

ADRIENNE BASSO

Amore e Malinconia

ADRIENNE
BASSO

Smak skandalo



Amore e Malinconia

Amore e Malinconia

ADRIENNE BASSO



*Smak
skandalu*

Romans historyczny

Miłosne intrygi i niezwykle sposób na zdobycie męskiego serca w powieści jednej z najpopularniejszych amerykańskich autorek romansów historycznych.

Gwendoline jest przerażona. Jej młodsza siostra chce podstępem zmusić do małżeństwa pewnego wicehrabiego. Śmiały plan zakłada zakradnięcie się do pokoju mężczyzny i... do jego łóżka. Gwendoline udaje się w ostatniej chwili powstrzymać nierozważną dziewczynę i zapobiec gorszącym plotkom. Ale oto spostrzega, że sama może stać się bohaterką skandalu. Jak bowiem wytłumaczyć wicehrabiemu swoją obecność w jego sypialni?

ADRIENNE BASSO, obdarzona żywą wyobraźnią amerykańska pisarka, jest autorką porywających romansów historycznych z zagadką i suspensem. Powieści

Uwieść aroganta, Poślubić wicehrabiego, Skazany na miłość, Grzeszne

pragnienia urzekają zmysłowym wątkiem snutym w zaciszu eleganckich buduarów i w blasku sal balowych XIX-wiecznej Anglii.



ADRIENNE
BASSO

Smak skandalu

Hrabstwo York, Anglia, 1817, wczesne lato

Jesteśmy już prawie na miejscu, jaśnie panie. Życzy pan sobie pozostać w powozie czy dosiądzie pan konia? Polecę woźnicy, żeby zjechał na bok, tak aby można było odwiązać pańskiego wierzchowca.

Jason Barrington uniósł powoli lewą powiekę, patrząc z wściekłością na Pierce'a, lokaja siedzącego naprzeciwko na czerwonych aksamitnych poduszkach. Nie otrząsnął się jeszcze ze snu, ale zauważył sarkazm w głosie służącego oraz lekceważący sposób, w jaki wymawiał słowa przez nos. „Jaśnie panie”, dobre sobie.

Gdyby nie to, że Pierce potrafił po mistrzowsku wiązać krawaty, czyścić buty tak, że można się było w nich przeglądać, i golić, nie pozostawiając nawet śladu zarostu, Jason odprawiłby go lata temu.

- Zostanę w powozie, Pierce. - Jason postukał pięścią w dach; pojazd zwolnił

i stanął. – Ty jednakże pojedziesz na górze wraz z resztą służby. John z pewnością doceni twoje towarzystwo.

Teraz z kolei Jason pozwolił sobie na ironię. Woźnica i lokaj nie przepadali za sobą. Tolerowali się jedynie, starając się schodzić sobie z drogi.

- Świeże powietrze z pewnością mnie ożywi, jaśnie panie - odparł Pierce.

Sapnął z dezaprobatą i Jasona ogarnęło poczucie winy.

Nie powinien karać Pierce'a za to, że trzyma się nakazów przyzwoitości i posiada w obfitości coś, czego - jak Jason sam przyznawał - jemu samemu brakuje; sumienie. Prawdę mówiąc, Jason nie był lordem i grzeczne „jaśnie panie”

należało

się

raczej

jego

bratu.

Jako

syn

hrabiego

i brat wicehrabiego dorastał w bogactwie i wygodach, ale nie posiadał tytułu, jak większość młodszych synów.

Tyle że nie różnica lat, ale zaledwie paru minut sprawiła, że był młodszym synem. Jego brat bliźniak, Jasper Barrington, wicehrabia Fairhurst, urodził się siedem minut przed Jasonem. Przez wiele lat, zwłaszcza w dzieciństwie, bliźniacy świetnie się bawili, zamieniając miejscami i psocąc.

Tym razem jednak Jason nie miał zamiaru wcielać się w swego brata. Nie zmieniało to jednak faktu, że podróżował na północ, do posiadłości Jaspера w hrabstwie York, korzystając z powozu Jaspера z herbem Fairhurstów, widniejącym na drzwiczkach z obu stron.

Nic dziwnego zatem, że karczmarz w pierwszej gospodzie, gdzie się zatrzymali, wziął go za wicehrabiego. Jason, początkowo nieświadomy pomyłki, ale podejmowany z honorami, jakich w innych okolicznościach nie mógł się spodziewać, nie miał już później ochoty wyjaśniać nieporozumienia.

Podobnie było w następnej gospodzie i jeszcze w następnej; tak więc półtora tygodnia podróży na północ spędził jako „wicehrabia”.

Służący, którzy z nim podróżowali, uważali to za świetny żart. Wszyscy z wyjątkiem Pierce'a.

- Wiesz, dlaczego jadę do posiadłości brata? - zapytał Jason.

Lokaj, który zarzucał właśnie pelerynę, choć było ciepło, znieruchomiał.

- To, naturalnie, nie moja sprawa - odparł wyniośle.

- Tak, ale to nie znaczy, że nie jesteś tego ciekaw.

W odruchu wspaniałomyślności Jason ponownie zastukał w dach, dając znak, by woźnica ruszył. Twarz Pierce'a wygładziła się nieco, kiedy uświadomił sobie, że jazda na koźle zostanie mu jednak oszczędzona.

- Jako że pański brat rzadko odwiedza tę posiadłość, uznałem, że podróż wiąże się z jakimś zadaniem zleconym przez lorda Fairhurst - rzekł po chwili zastanowienia.

- Tak. Z pewnymi sprawami dotyczącymi posiadłości mój brat nie był

w stanie sobie poradzić. To poważna kwestia. - Jason pokręcił głową. -

- Wygląda na to, że ktoś zagarnia dla siebie sporą część dochodów.

- Kradzież? - Pierce uniósł z oburzeniem chudą, spiczastą brodę. - To okropne. Złodzieje powinni zostać natychmiast zwolnieni. A potem aresztowani.

- Będą - stwierdził Jason stanowczo. - Kiedy tylko ich złapię.

- Pan?

Jason posłał mu złe spojrzenie, a lokaj - na swoje szczęście - miał tyle taktu, żeby okazać zakłopotanie.

- Powinieneś doceniać moje zdolności - powiedział Jason swobodnym tonem. - Kiedy miałem zaledwie dwadzieścia dwa lata, uratowałem moją siostrę, Meredith, i dwie inne młode damy przed pewną śmiercią.

- Coś o tym słyszałem - przyznał Pierce. - Chociaż miało to miejsce rok przed tym, jak wstąpiłem do pana na służbę.

- Święci pańscy, jesteś ze mną od sześciu lat? - Jason parsknął. - Wydaje mi się, że dłużej.

Lokaj sapnął gniewnie.

- Mnie też, jaśnie panie.

Jason burknął coś pod nosem, po czym odwrócił głowę, udając, że przygląda się zielonym wzgórzom i wrzosowiskom. Nie dostrzegał jednak piękna krajobrazu. Przed oczyma przesuwały mu się wspomnienia przywołane niespokojnym snem.

Elizabeth! Już dawno o niej nie myślał. Ale z jakiegoś powodu od początku tej podróży towarzyszył mu jej obraz. Przed laty zakochał się w niej, ledwie jego oczy spoczęły na delikatnej, jasnowłosej piękności. Młoda prowincjuszka wzruszała go słodyczą i brakiem obycia w świecie.

Tamtego pamiętnego sezonu z zapałem uczestniczył we wszelkich imprezach towarzyskich, w których i ona brała udział, przełamując uprzedzenia jej starszej, zaborczej siostry, odgrywającej rolę przyzwoitki. Każda wymiana zdań, każdy taniec, każda wykradziona chwila sprawiały, że coraz bardziej ulegał jej urokowi. W końcu, nawet o tym nie wiedząc, podbiła jego serce na dobre.

A potem Elizabeth, Harriet i Meredith wpadły w szpony szaleńca. Dzięki zręczności, szczęściu i zdecydowaniu zdołał je uratować. Jednak od tamtej chwili słodka, delikatna Elizabeth zawsze kojarzyła go z tym okropnym wydarzeniem i nie mogła znieść jego widoku.

Chciał ją za żonę, ale nie była w stanie wytrzymać z nim w jednym pokoju dłużej niż pięć minut. Płakała, błagała o wybaczenie i prosiła, aby spróbował

zrozumieć. Nie miał wyboru, zostawił ją w spokoju. Z upływem lat uświadomił

sobie, że nie chciała go zranić, że szczerze żałowała, ale nie potrafiła zmienić swoich uczuć.

Zrozumiał to. Zdołał nawet wybaczyć. Ale nie zapomniał.

Odmowa Elizabeth złamała go, bolało go każde ukłucie, każda złośliwość, jakiej doznał od

niesprawiedliwego, niezycziwego świata. Wciąż pamiętał

straszliwy żal, który go ogarnął, kiedy uświadomił sobie, że Elizabeth nigdy nie zmieni zdania. Ból sprawił, że pozbył się wszelkich hamulców. Jego i tak już gorszące zachowanie stało się jeszcze śmielsze, dziksze i jeszcze bardziej skandaliczne.

Wplątał się w romans z zamężną, dużo starszą księżną. Potem obiektem jego afektu stała się sławna włoska śpiewaczka operowa, którą wkrótce zastąpiła świeżo owdowiała markiza. W miarę jak płynęły lata, imiona i twarze, włosy i kolor oczu towarzyszek Jasona zaczęły się zmieniać z tą samą regularnością co pory roku.

Nigdy więcej nie pomyślał o małżeństwie.

- Woźnica mówi, że już widać Moorehead.

Głos Pierce'a wyrwał Jasona z melancholijnej zadumy. Zamrugnął, wpatrując się w dom, którego nie widział od lat.

Rezydencję wzniesiono w dolinie. Skrzydła budynku z czerwonej cegły obejmowały spory kawał ziemi. Okna lśniły pod zasłonami, a dzikie wino oplatało ściany niczym zielona kurtyna. Na południe od domu znajdował się ogród różany - klomby tworzyły plamy żółci, czerwieni i różu.

Rezydencję otaczały pola, za nimi rozciągały się gęste lasy. Na pierwszy rzut oka zboże wydawało się wysokie i bujne. Posiadłość robiła jak najlepsze wrażenie. A jednak wpływy z majątku kurczyły się znacząco z każdym kwartałem zeszłego roku.

- Czy mam nadal się zwracać do pana „lordzie Fairhurst”? - zapytał Pierce, gdy powóz potoczył się żwirową alejką, zbliżając do budynku.

- Tak. - Jason zastanawiał się nad tym cały ranek i w końcu podjął decyzję.

Będzie łatwiej prowadzić śledztwo, jeśli służba uwierzy, że jest wicehrabią. -

Czy wyglądam odpowiednio?

Lokaj rzucił chlebodawcy krytyczne spojrzenie: Jason miał na sobie szare bryczesy i ciemnozielony kubrak, który podkreślał szmaragdowe błyski w jego oczach. Śnieżnobiały halsztuk, wykrochmalony i nienagannie zawiązany, haftowana srebrną nicią kamizelka i biała koszula dopełniały stroju.

- Przywileju urodzenia nie podaruje nam ani drogi materiał, ani zręczność krawca. W końcu krew nas zdradzi. - Służący strzepnął pyłek z rękawa Jasona. -

Wygląda pan znakomicie.

Tym razem w jego głosie nie było sarkazmu, tylko uczciwe zadowolenie zmieszane z odrobiną pochlebstwa. Ostatecznie Pierce był człowiekiem, który wiedział, z której strony smaruje się kromkę masłem. Jason czuł się swobodniej, wiedząc, że ma wsparcie lokaja.

Wyskoczył z powozu. Zanim zdążył dobrze postawić nogi na zwirowej alejce, rzucił się ku niemu mężczyzna w średnim wieku. Dzięki szczegółowemu opisowi Jaspera, Jason wiedział, że to zarządca majątku, Cyril Ardley.

- To zaszczyt i miła niespodzianka, lordzie Fairhurst. - Zarządca skłonił się nisko. - Chociaż gdybyśmy wiedzieli wcześniej o pańskiej wizycie, służba zgotowałaby jaśnie panu specjalne przyjęcie.

- Ardley. - Jason nie zareagował na słowa zarządcy. Uniósł tylko lewą brew i zmrużył oczy, w czym, co wiedział z całą pewnością, świetnie naśladował brata bliźniaka. Przyjazd bez zapowiedzi nie był przypadkiem. Chciał zaskoczyć służbę.

Zarządca był mężczyzną średniego wzrostu o siwych włosach i bystrych, ciemnych oczach. Nie odwrócił wzroku pod spojrzeniem Jasona, ale odwzajemnił

je,

patrzac

mu

prosto

w

oczy.

To

właśnie

jego

bracia podejrzewali o rozkradanie majątku. Jason uświadomił sobie, że ten mężczyzna nie będzie łatwym przeciwnikiem.

Ardley ruszył naprzód i otworzył drzwi frontowe rezydencji. Kiwnąwszy głową w podziękę, Jason wstąpił do mrocznego i chłodnego holu, prowadzącego aż na tyły domu. Hol otaczała galeria z zawile rzeźbioną drewnianą balustradą - ciemna, lśniąca i przyjemnie pachnąca pszczelim woskiem. Na kamiennej podłodze holu stało co najmniej dwadzieścia osób służby, ustawionych w dwóch równych rzędach, z głowami zwróconymi ciekawie ku Jasonowi.

Przywitał się z głównym lokajem, majordomem i kucharką, zadowolony, że dzięki ubraniu zdołał rozpoznać ich pozycję. Potem - mając dziwaczne wrażenie, że jest powracającym synem marnotrawnym - ruszył wzdłuż pierwszego, a potem drugiego szeregu służby, uśmiechając się i kiwając głową na powitanie każdemu z osobna. Na szczęście od czasu, kiedy jego brat ostatnio odwiedził posiadłość, minęły co najmniej trzy lata. Nikt nie oczekiwał, że będzie pamiętał imiona

niższej służby.

W końcu Jason oznajmił, że udaje się do salonu, żeby odpocząć po podróży.

Chętnie przyjął sugestię majordoma co do lekkiego posiłku i polecił, aby podano mu go w salonie.

Na szczęście rezydencja miała tradycyjny rozkład pokoi, z salonem na drugim piętrze. Jason odnalazł pokój bez asysty, chociaż lokaj deptał mu z zapalem po piętach, oczekując rozkazów. Przegnał gorliwego młodego sługę z salonu i opadł na krzesło. Siedzenie było wypchane końskim włosiem i okazało się twarde i niewygodne.

Wstał i zaczął wędrować po pokoju, chcąc rozprostować zesztywniałe po podróży kości. Znalazł karafkę z whisky i znalazł sobie sporo do kieliszka, czekając na posiłek.

Przez okno widział otoczony murem ogród z licznymi krzewami róż, równymi ścieżkami i mnóstwem glicynii. Piękny widok dla kogoś, kto lubi kwiaty. I wieś. Dwie rzeczy, za którymi Jason dotąd nigdy nie przepadał.

Odwrócił oczy od sielankowego widoku i przyjrzał się wystrojowi salonu.

Niezbyt

dobrze

pamiętał

rezydencję,

choć

bywał

tu

nieraz w młodości. Być może świadomy, że pewnego dnia będzie to własność brata, nie zwracał wtedy uwagi na otoczenie, ale Jason na ogół nie interesował

się domami i meblami.

Salon był sporych rozmiarów, umeblowany francuskimi antykami. Kilka wysokich okien wpuszczało do środka światło; wisiały w nich jedwabne, żółte kotary. Na obiciach mebli dominował kwiatowy motyw w żółtym odcieniu.

Nawet wspaniały dywan z Aubusson, leżący na środku pokoju, miał zawiły żółty motyw.

Najwyraźniej ktoś, kto odpowiadał za wystrój salonu, odznaczał się niezwykłym upodobaniem do wszelkich odcieni żółci. A może niezwykłą predylekcją do masła? Bez względu na powód Jason

uznał szybko, że zbyt długie przebywanie w tym pomieszczeniu grozi jego cerze nabraniem niezdrowego, żółtawego koloru.

Śmiejąc się cicho z niemądrego dowcipu, Jason dopił whisky i nalał sobie następną porcję trunku. Usiadł na kilku krzesłach i kanapach, stwierdzając, że nie wszystkie są tak samo niewygodne. Popijał whisky, zastanawiając się nad nieciekawą kolorystyką pokoju, kiedy otworzyły się drzwi. Spodziewał się służby z posiłkiem, więc tylko lekko odwrócił głowę.

- Jaśnie panie! - Do pokoju wkroczyła kobieta o obfitym biuście i lśniących, ciemnych, krótko obciętych, wijących się wokół twarzy włosach. Wstał

odruchowo, mając nadzieję, że nie jest to ktoś, kogo powinien rozpoznać.

Udawanie brata mogło się okazać trudniejsze, niż sobie początkowo wyobrażał.

- Dzień dobry. - Skłonił się nisko, obdarzając damę w średnim wieku olśniewającym uśmiechem.

- Och, Boże! - Zatrzymała się, jakby zapomniała, po co przyszła. Szybko jednak doszła do siebie i odwzajemniła uśmiech. Bardzo szeroko.

Jason poczuł dreszcze niepokoju przebiegające wzdłuż kręgosłupa.

- Proszę wybaczyć tę niezapowiedzianą wizytę, ale my tutaj, na wsi, przywiązujemy mniejszą wagę do konwenansów niż mieszkańcy miasta -

oznajmiła.

- To odświeżające - odrzekł ostrożnie.

- Och, wspaniale. - Kobieta podniosła dłoń do ust, jakby próbując powstrzymać chichot. - Boję się, że uzna mnie pan za nazbyt śmiałą, skoro pozwalam sobie korzystać z naszej wcześniejszej znajomości.

A niech to! Powinien ją znać.

- Wedle mego przekonania, piękna kobieta nie może się narzucać - odparł

Jason czarującym, uwodzicielskim tonem.

Jej oczy zrobiły się okrągłe jak dwa spodki. Na twarzy pojawiło się zaciekawienie.

- Na Boga, stał się pan uwodzicielem przez ostatnie trzy lata, lordzie Fairhurst.

Uśmiech zastygł Jasonowi na twarzy. Do diabła! Był tutaj niecałą godzinę, a już zaczynał się zdradzać. Jego brat był bardziej powściągliwy wobec ludzi, szczególnie kobiet. Jeśli chciał z powodzeniem ciągnąć tę maskaradę, powinien o tym pamiętać.

- Widocznie wiejskie powietrze budzi we mnie tę frywolność - stwierdził

pośpiesznie. - Panuje tu dużo swobodniejsza atmosfera, jak sama pani powiedziała.

Kobieta kiwnęła głową. Rozległo się ciche pukanie do drzwi i Jason kazał

lokajowi wejść. Młody człowiek pchał przed sobą wózek ze srebrną zastawą.

- Zabierz jedzenie z powrotem do kuchni i przeproś ode mnie kucharkę.

Przynieś w zamian herbatę - powiedział Jason.

Lokaj znieruchomiał.

- Czy pani Hollingsworth zostanie na herbacie, jaśnie panie? Jason spojrzał

na gościa. To, że poznał wreszcie nazwisko kobiety, sprawiło mu taką ulgę, iż nie miał nic przeciwko temu, żeby została chwilę dłużej.

- Zechce się pani napić ze mną herbaty? Okrągłe policzki kobiety zabarwiły się na różowo.

- To prawdziwy zaszczyt.

- Poinformuj kucharkę, że mam gościa - rzucił lokajowi Jason.

- Tak jest, jaśnie panie. Czy herbatę mam podać tutaj?

Zwykle przyjmowano gości w salonie, ale Jason obawiał się, że od całej tej żółci zrobi mu się niedobrze.

- Z przyjemnością odetchnę ożywym wiejskim powietrzem. Przez wiele dni tkwiłem zamknięty w powozie. Czy stawi pani wraz ze mną czoło żywiołom, pani Hollingsworth, i napije się herbaty na tarasie? - Jason spojrzał na kobietę, pytająco unosząc brwi.

- Będę zachwycona.

- Doskonale.

Usiłował okazywać zainteresowanie, gdy pani Hollingsworth podjęła bezbarwną, nudną konwersację na temat pogody i ostatnich wydarzeń towarzyskich w okolicy. Od czasu do czasu tracił wątek i zmuszał się do skupienia uwagi.

- Herbata podana, jaśnie panie - oznajmił w końcu lokaj.

- Świetnie.

Podał pani Hollingsworth ramię. Kobieta poprowadziła go w stronę tarasu.

Jason pozwolił na to, mając dziwaczne poczucie, że jest gościem, a nie gospodarzem. Na dworze jasno świeciło słońce, a na gałęzi wielkiego, zwieszającego się nad tarasem drzewa siedziała para wróbli.

Z uśmiechem poprowadziła go do stołu nakrytego srebrnymi tacami z różnymi ciastami i ciasteczkami oraz małymi kanapkami. Całość robiła wrażenie, nawet na przybyszu z Londynu. Jason pomyślał, że musi podziękować kucharce za wspaniałą pracę, wykonaną w tak krótkim czasie.

Pani Hollingsworth, na jego prośbę, naląła herbaty. Podała mu filiżankę, którą przyjął uprzejmie. Łyknął odrobinę, krzywiąc się ukradkiem i myśląc z tęsknotą o szklaneczce whisky.

- Och, mój Boże, co za przemiła niespodzianka. To moja córka, Olivia.

W głosie pani Hollingsworth zabrzmiała sztuczna wesołość. Tylko udawała zaskoczenie. Jason nauczył się unikać mamus, które usiłowały wyswatać go ze swoimi córkami, i domyślił się natychmiast, że ta przemiła niespodzianka nie ma nic wspólnego z przypadkiem.

Nie mógł jednak zachować się niegrzecznie. Wstał i przywitał pannę Olivie Hollingsworth, młodszą i nieco szczuplejszą wersję matki. Miała na sobie szafranową, muślinową suknię haftowaną w różyczki. Jason o mało się nie skrzywił. Zastanawiał się, czy żółć ma jakieś tajemnicze znaczenie dla prowincjuszy, tak jak, na przykład, fiolet dla par królewskich.

Krygując się, panna przyłączyła się do nich. Odmówiła jedzenia, ale -

ulegając namowom matki - wzięła w końcu ciastko z owocami i kremem ze srebrnej tacy. Świeże truskawki wyglądały bardzo apetycznie. Panna Hollingsworth trzymała talerz ostrożnie jedną ręką. Jason czekał, aż ciastko zsunie się jej na kolana.

Na nieszczęście panna Olivia błędnie odczytała jego zainteresowanie.

Zerkając na Jasona spod rzęs, chwyciła największą truskawkę za szypułkę i podniosła do ust. Koniuszkiem języka zlizwała krem z owocu w zdumiewająco sugestywny sposób, po czym powoli wsunęła truskawkę między wargi.

Jason odstawił filiżankę na talerzyk i odchrząknął.

- Pani matka wspominała, że mamy tego roku nadzwyczaj ciepłą wiosnę.

Panna Olivia nie wydawała się ani odrobinę zmieszana. Wydeła wargi, chcąc odpowiedzieć, ale przeszkodziło jej w tym przybycie dwóch starszych niewiast, prowadzących ze sobą pięć młodszych kobiet.

W ciągu paru minut pojawiła się kolejna matrona wraz z córką. Jason uświadomił sobie, że panie na prowincji nie wiedzą o niedawnym małżeństwie jego brata. Osaczały go z zaciekłością myśliwego tropiącego zwierzynę. Jak wynikało z jego doświadczenia, tylko nieżonaci mężczyźni bywali obiektem takich polowań.

Przyniesiono więcej filiżanek i talerzy, a także kolejny czajniczek herbaty.

Jason starał się poświęcać tyle samo czasu każdej z kobiet, ale trudno mu się było skupić, a zwłaszcza zapamiętać ich imiona. Po dwudziestu minutach uznał

się za pokonanego - nie był w stanie opanować stadka zdecydowanych na wszystko panien.

Przemknęło mu przez myśl, żeby wspomnieć o lady Fairhurst, ale to mogło pociągnąć za sobą niewygodne pytania - gdzie przebywała obecnie jego małżonka i dlaczego nie towarzyszyła mężowi w podróży do posiadłości.

Nie, lepiej pozwolić, aby wiadomość rozniosła się powoli, poprzez służbę.

Jason każe Pierce'owi, aby zrobił nazajutrz rano w kwaterach służby parę uwag na temat ślubu jaśnie pana. W ciągu kilku godzin jego małżeństwo stanie się głównym tematem rozmów przy stołach w całym hrabstwie.

Do tego czasu będzie znosić najazd miejscowych przedstawicielek płci pięknej z pogodną miną. Zdawał sobie sprawę, że brat nigdy by mu nie wybaczył, gdyby zraził do siebie lokalną społeczność. Jęknął w duchu, ale uśmiechnął się miło, gdy następną matką przedstawiała mu swoją chichoczącą córkę.

Skłonił się sztywno. Miał nadzieję, że na prowincji popołudniowe herbatki trwają krócej.

- Jeśli się nie pospieszysz, ciociu Mildred, nie zdążymy przed podwieczorkiem! - zawołała zdenerwowana Dorothea Ellingham.

- Na miłość boską, nie możesz iść trochę szybciej?

- Gdybym wiedziała, że będziemy biec, wzięłabym inne buty - odparła zadyszana ciotka. Okrągła, zaczerwieniona twarz starszej kobiety spływała potem, ale dzielnie usiłowała dotrzymać kroku bratanicy. - Poza tym nie sądzę, aby było właściwe zjawiać się u wicehrabiego tuż po jego przyjeździe. Mój Boże, jest w Moorehead Manor zaledwie od paru godzin.

- Nonsens - odparła Dorothea. - Nie idziemy do niego z wizytą. Odwiedzimy pana Ardleya. Jeśli przypadkiem natkniemy się na wicehrabiego, chętnie go poznam. Choć to świetny londyński dżentelmen, z pewnością ucieszy się, że ktoś tutejszy wprowadzi go do naszej małej społeczności.

Była to piękna przemowa, jednak brzmiał w niej tak fałszywy ton, że Dorothea - zazwyczaj śmiała - z trudem wytrzymała wzrok ciotki. Obie wiedziały doskonale,

że

w

żaden

sposób

nie

obchodzi

jej pan

Cyril Ardley, zarządca posiadłości. Wykorzystuje tylko jego bliską przyjaźń z wujkiem Fletcherem, mężem ciotki Mildred, żeby móc bywać w rezydencji.

Na pukanie odpowiedział wysoki, barczysty lokaj. Nie posiadał się z podniecenia i nawet nie zapytał nowo przybyłych o nazwiska ani o cel wizyty.

Uklonił się lekko.

- Panie pozwolą za mną - powiedział.

Dorothea uniosła brwi, zdumiona tym dziwnym zachowaniem. Uspokoiła ciotkę surowym spojrzeniem i ruszyła za służącym. Poprowadził je przez główny hol, szerokim korytarzem, aż do szklanych drzwi wiodących na taras.

Radosne oczekiwanie i podniecenie Dorothei ulotniło się z chwilą, gdy wyszły na zalany słońcem taras. Jej serce zamarło, gdy przyglądała się dziwacznej scenie. Wydawało się, że wszystkie niezamężne kobiety z okolicy, między szesnastym a trzydziestym rokiem życia, wpadły na taki sam pomysł

jak ona. Przed nią tłoczyły się kobiety. Uznała, że wicehrabia musi być gdzieś wśród nich, ale trudno było zobaczyć cokolwiek poza morzem muślinowych sukien i słomkowych kapeluszy.

Dorothea niemal potknęła się ze zdenerwowania. Gdyby tylko ciotka Mildred nie wybierała się tak długo, mogłyby tu przybyć jako pierwsze. Teraz było już za późno, żeby wyrzucić niezatarte wrażenie.

Do licha! Wiedziała, że powinna dać spokój ciotce i zabrać siostrę, Gwendolyn, jako przyzwoitkę. Gwen nigdy się nie stroiła, chodziła szybkim, równym krokiem i potrafiła ją wesprzeć w każdej sytuacji.

Ponadto większość spośród tych nadętych paniuszek uciekłaby pewnie w popłochu na widok kobiety upadłej, co znacznie przerzedziłoby tłum na tarasie. Dorothea nie chciała narażać siostry na przykrości. Ale Gwen wciąż powtarzała, że wykluczenie z towarzystwa z powodu niefortunnego wydarzenia, które miało miejsce cztery lata wcześniej, wcale nie boli.

Przygoda Gwen była zresztą jedną z przyczyn, dla których Dorothea tu przybyła. Siostry potrzebowały jakiejś odmiany, wyrwania się z ram dotychczasowej egzystencji. Mogły to uczynić jedynie przez małżeństwo.

Z kimś równym sobie. I bogatym.

- Mój Boże, co za tłok - stwierdziła ciotka Mildred, popijając herbatę z filiżanki, którą wzięła od przechodzącego lokaja.

- Gdybyśmy tylko zjawili się wcześniej - mruknęła Dorothea, po czym zacisnęła szczęki tak mocno, że aż zaboląły ją zęby. Nie należało drażnić teraz ciotki Mildred. Lepiej sprawdzić, czy nie da się jakoś uratować sytuacji. -

Ciociu, widzisz gdzieś pana Ardleya?

Starsza kobieta stanęła na palcach, co stanowiło swego rodzaju wyczyn dla kogoś ojej tuszy, i rozejrzała się dokoła.

- Obawiam się, że nie.

- Szkoda. - Dorothea cmoknęła cicho, zdradzając tym, jak bardzo jest zdenerwowana. - Miałam nadzieję, że pan Ardley przedstawi nas lordowi Fairhurst.

- Tak byłoby najwłaściwiej - zgodziła się ciotka Mildred. - Może kazać służącemu, żeby go przyprowadził?

- Lorda Fairhurst? - zapytała przerażona Dorothea, chwytając ciotkę za rękę.

- Nie! Chodziło mi o pana Ardleya. Na Boga, co się dzieje z twoją głową, Dorotheo?

- Nie jestem pewna - odparła Dorothea. Usta jej drżały.

Niepowodzenie w planach zbiło ją z tropu. Nie należała do osób, które wychodzą obronną ręką z sytuacji kryzysowych, błyskawicznie dostrzegając nowe możliwości. W tym celowała raczej jej siostra, Gwendolyn.

Dorotheę ogarnęło przygnębienie. Plan był dobry, wręcz znakomity. Kłopot w tym, że był to jedyny plan. I że wszystkie inne niezamężne panny i ich mamusie usiłowały najwyraźniej zyskać uwagę wicehrabiego dokładnie w ten sam sposób. A niech to lichy!

- To musi być wicehrabia - szepnęła ciotka Mildred, uśmiechając się do jasnowłosego mężczyzny po drugiej stronie tarasu. - Co za przystojny mężczyzna. Bardzo przystojny.

Dorothea nie próbowała nawet udawać nieśmiałej. Podniosła brodę i

spojrzała

odważnie

we

wskazany

kierunku,

chcąc

zobaczyć

jak najszybciej obiekt swoich zainteresowań. Otworzyła szeroko oczy, zdumiona, że nie zauważyła go wcześniej.

Wicehrabia odznaczał się ponadprzeciętnym wzrostem - większość kobiet sięgała mu ledwie do ramienia i to w butach na obcasach. Miał blond włosy o głębokim, złotym odcieniu, lśniące zielone oczy, kwadratową szczękę i wydatny, ale zgrabny nos.

Był dużo przystojniejszy, niż się spodziewała. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Bez względu na koszt, bez względu na to, do jakich sztuczek będzie musiała się uciec, zdobędzie go. I zostanie jego żoną.

Cały rozsądek opuścił Jasona, kiedy jego oczy spoczęły na posągowej blondynce. Tak bardzo przypominała Elizabeth, że stracił na chwilę oddech.

Odcień włosów, linia nosa, wygięcie szyi. Nawet to, jak stała - wyprostowana, z zalotnie przechyloną głową.

Nie zamieniwszy z nią ani słowa, Jason wiedział, że nie będzie odporny na jej wdzięki, że jej uroda nim owładnie, że będzie jej słuchał z całą uwagą, choćby plotła najgorsze głupstwa.

Zdając sobie sprawę, że tylko to go może uratować, Jason się odwrócił.

Tłum, który przed chwilą go męczył, teraz okazał się błogosławieństwem.

W najgorszym wypadku ktoś przedstawi mu anielską blondynkę. W najlepszym zdoła uniknąć spotkania.

Poprzysiągł sobie unikać jej do końca swojej wizyty w posiadłości.

Gwendolyn, obudź się!

Te słowa i gwałtowne szarpnięcie za lewe ramię wyrwały Gwendolyn Ellingham z przyjemnego snu. Wtuliła się mocniej w puchową poduszkę, starając się zignorować intruza, ale nawoływania i potrząsanie nie ustawały.

Budziła się powoli, a w jej głowie powstawały jakieś niezwiązane ze sobą myśli i wydawało jej się, że płynie, zmagając się z silnym prądem.

Ulegając natrętnym próbom wyrwania jej ze snu, Gwendolyn powoli otworzyła oczy. Ujrzała młodszą siostrę, Emmę, skuloną na materacu łóżka, z wysoko uniesioną, zapaloną świecą w dłoni.

- Emma? - zapytała cicho.

- Tak, to ja - odparła dziewczynka chrapliwym szeptem.

- Co się dzieje? - Gwendolyn musnęła lekko policzek siostry.

- Znowu miałaś senny koszmar?

- Nie!

Emma się zaczerwieniła i spuściła głowę, a Gwendolyn pożałowała braku taktu. Chociaż ledwie piętnastoletnia, Emma uważała się za silną, dojrzałą, mądrą kobietę. Nie lubiła, kiedy jej przypominano o nękających ją złych snach.

- Powiedz, co się stało - powiedziała Gwendolyn.

- Mnie nic. To Dorothea ma kłopoty. Musisz natychmiast tam pójść.

- Jest chora? - zapytała przestraszona Gwendolyn. Mówiłam jej, żeby nie jadła drugiej porcji deseru, ale wydawała się taka zgnębiona przy kolacji, że nie miałam serca nalegać.

- Nie, to nie to - odparła Emma pełnym niepokojem głosem.

- Ona odeszła!

- Odeszła? Z twojej sypialni? - Gwendolyn poklepała Emmę pocieszającym gestem po dłoni. - Nie ma się o co martwić, Emmo. Dorothea często chodzi po domu, kiedy jest niespokojna i nie może zasnąć.

- Nie ma jej w domu, Gwen. Szukałam wszędzie.

- Och, Emmo, jestem pewna, że się mylisz. Dorothea widocznie chowa się przed tobą. Wiesz, że

czasami lubi być tajemnicza.

- Teraz to co innego. Proszę, Gwen, musisz mi uwierzyć. Gwendolyn pokręciła głową, ale słowa utknęły jej w gardle. Zobaczyła łzę spływającą po policzku Emmy. Emma, choć wrażliwa i niekiedy mająca skłonność do dramatyzowania, rzadko płakała.

Uniosła skraj prześcieradła i otarła twarz siostry.

- Uspokój się. Powiedz mi, dlaczego jesteś taka smutna. Co się stało z Dorothea?

Emma podniosła głowę, patrząc na nią z przygnębieniem.

- To lord Fairhurst. Poznała go dziś po południu i zakochała się natychmiast.

- Wicehrabia Fairhurst? Ale on mieszka w Londynie. Emma zacisnęła usta.

- Teraz jest tutaj, w Moorehead Manor. Przyjechał dzisiaj wczesnym popołudniem.

Gwendolyn poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach.

- Skoro dopiero przyjechał, jak Dorothea mogła go poznać? Emma oblizwała nerwowo wargi.

- Dziś po południu poszła złożyć mu wizytę w rezydencji.

- Co? Jesteś pewna?

- Tak. Widziałam, jak Dorothea i ciocia Mildred wychodzą, spiesząc się, z domu. A kiedy zapytałam, czy mogę iść z nimi na spacer, kazały mi zostać.

Nie

powiedziały

nawet,

dokąd

idą.

-

Emma

zmarszczyła

nos

z niezadowoleniem. - To mi się wydawało bardzo nieładne, więc poszłam za nimi aż do rezydencji.

Weszły głównymi drzwiami, ale słyszałam głosy na tarasie, więc obeszłam dom, weszłam do ogrodu różanego i się rozejrzałam.

- Co tam się działo? - zapytała Gwendolyn, wiedząc, że nie powinna zachęcać siostry do podobnego zachowania, ale zbyt ciekawa, żeby ją besztać.

Emma wzruszyła ramionami.

- Nie widziałam ich w tłumie, ale jestem pewna, że tam właśnie poszły.

Wyglądało na to, że wicehrabia wydał przyjęcie w ogrodzie, ale dziwne, że były tam same kobiety. Rozpoznałam panią Hollingsworth i Olivię, oraz panią Tiltondown i jej dwie córki.

Gwendolyn przeszło ukłucie bólu, ale niemiłe wrażenie minęło, ledwie się pojawiło. Jeśli wicehrabia urządzał przyjęcie czy inne spotkanie towarzyskie, wiedziała, że i tak by jej nie uwzględnił. A jednak było jej przykro, że ani siostra, ani ciotka nie wspomniały o przyjęciu i to nawet wieczorem, przy kolacji.

- Przyjęcie urządzone przez wicehrabiego Fairhurst to wielkie Wydarzenie tutaj na wsi - stwierdziła Gwendolyn. - Trudno byłoby je utrzymać w sekrecie, a jednak nic o tym nie słyszałam.

Emma zagryzła dolną wargę.

- Może to nie było formalne przyjęcie, ale zjawilo się dość gości, żeby to uznać za coś więcej niż popołudniową herbatkę.

Gwendolyn przetarła oczy, zmuszając się do myślenia. Wicehrabi, był

najwyższym rangą parem w okolicy, człowiekiem, o którym regularnie plotkowano i rozmawiano, nawet jeśli rzadko bywał w rezydencji. Jeśli przyjechał do Moorehead Manor, to jego wizyty nie dałoby się utrzymać długo w tajemnicy.

Możliwe, że siostra i ciotka złożyły mu popołudniową wizytę, choć wydawało się to dość niezwykle. Trzy siostry były wnuczkami barona ze strony matki. Miały wysoko urodzonego ojca, którego pozycji nie można było jednak porównać z rangą wicehrabiego i dziedzica hrabstwa. Jednak na prowincji miejsca na drabinie społecznej były nieco mgliściej określone niż w mieście.

- Przykro mi, Emmo, nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z Dorothea.

- Zakochała się w nim! - oznajmiła Emma. - A uciekła do niego. W środku nocy. Teraz, kiedy rozmawiamy, oni może szykują się do wyjazdu do Gretna Green!

Gwendolyn schyliła głowę, żeby ukryć uśmiech, nie chcąc urazić Emmy.

W takich chwilach, jak ta, należało pamiętać, że Emma miała tylko piętnaście lat i pomimo całej swojej inteligencji i dojrzałości ulegała napadom dziecinnej wyobraźni

skłonności

do

dramatyzowania.

Stała

dieta

złożona

z romantycznych, pełnych napięcia powieści wydawnictwa Minerva Press stanowiła znakomitą pożywkę dla jej wyobraźni. Ucieczka do Gretna Green. Co za zabawny pomysł. Gwendolyn uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Skąd przyszło ci do głowy, że Dorothea może uciec z wicehrabią?

- Zostawiła list.

Uśmiech znikł z twarzy Gwendolyn. Dopiero wtedy zauważyła, że Emma ściska w dłoni kartkę papieru. Chwyciła ją.

- Podnieś świecę wyżej, żebym mogła przeczytać. „Najdroższe Siostry!

Kiedy się obudzicie i stwierdzicie, że mnie nie ma, nie martwcie się. Udałam się do Moorehead, aby połączyć się z moim ukochanym. Proszę, koniecznie poczekać do rana, a potem przyjdźcie za mną, zabierając ze sobą ciotkę Mildred i wujka Fletchera. Powtarzam, nie martwcie się. Czynię to chętnie, z radosnym sercem.

Dorothea"

- Teraz mi wierzysz? - zapytała Emma.

- Tak - szepnęła Gwendolyn. Wpatrywała się w kartkę. Nagle stwierdziła, że drżą jej ręce. Mój Boże, co za historia!

Emma mogła naiwnie wierzyć, że chodzi o ucieczkę z ukochanym, ale Gwendolyn wiedziała, co się święci. To była pułapka! Gdyby jakimś cudem wicehrabia i Dorothea zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, nie byłoby potrzeby tego ukrywać. Najprawdopodobniej Dorothea uknuła spisek, żeby wymusić na wicehrabim małżeństwo.

Nie było tajemnicą, że Dorothea od dawna marzy o mężu na tyle bogatym, żeby wyrwał ją z życia na prowincji, które uważała za nudne i narzucające zbyt wiele ograniczeń. Dorothea była piękną dziewczyną o żywym usposobieniu i chętną do zabawy. W wieku dwudziestu lat powinna mieć zastęp

starających się o nią kawalerów.

Jednak niewielu mężczyzn interesowało się Dorothea, Gwendolyn miała głębokie poczucie winy z tego powodu. Zdawała sobie sprawę, że to ona jest przyczyną tego stanu rzeczy. Skandal, który przed czterema laty wykluczył ją z miejscowej społeczności, rzucił cień również na jej siostry. Broniły jej i cierpiały z tego powodu.

Jednak tamten skandal mógł zblednąć wobec postępu Dorothei. Jeśli Gwendolyn nie zdoła jej do rana uratować, reputacja siostry zostanie zrujnowana i życie stanie się nieznośne dla nich wszystkich.

- Pomóż mi się ubrać - poleciła Gwendolyn, wyskakując z łóżka. - Podaj mi muślinową

suknię,

buty

do

spacerów

i

granatowy

kubrak.

- Ja też chcę iść.

- Nie! - Gwendolyn odwróciła się gwałtownie. Chwyciła siostrę za rękę i ścisnęła mocno. - Musisz tu zostać, Emmo, na wypadek, gdyby ciotka albo wujek się obudzili.

Siostra uniosła buntowniczo brodę. Zmartwiona Gwendolyn dodała:

- Proszę cię, żadnych sporów i śledzenia mnie, kiedy pójdę. Obiecujesz?

Emma wydawała się zastanawiać, ale było jasne, że nie ma wyboru.

- Nie chcę, ale skoro nalegasz, zostanę. Ale musisz mi wszystko opowiedzieć.

Gwendolyn szepnęła coś niezobowiązującego. Miała nadzieję, że Emma wzięła to za zgodę. Potem zrzuciła nocną koszulę i zaczęła się ubierać. Dzięki pomocy Emmy szybko była gotowa. Nakazawszy raz jeszcze siostrze, żeby została w domu, wymknęła się na dwór bocznymi drzwiami.

Szybciej dotarłaby tam konno, ale nie umiałyby sama siodłać konia, a potem ukryć go po przybyciu na miejsce. Przez chwilę się wahała, czy nie poprosić Emmy o pomoc, ale odrzuciła tę myśl. Będzie musiała udać się pieszo do rezydencji wicehrabiego. Moorehead Manor leżało dwie mile na wschód.

Gwendolyn ruszyła znajomą drogą, przez pola. Nie sądziła, że może spotkać kogoś o tej porze, ale na wszelki wypadek trzymała się blisko drzew, rosnących na skraju pól.

Noc pachniała inaczej niż dzień. Wieczorem spadł przelotny deszcz i w powietrzu unosił się zapach mokrej kory i wilgotnej ziemi. Raz po raz rozlegało się żałobne pohukiwanie sowy.

Księżyc oświetlał drogę. Gwendolyn szła szybko, modląc się, żeby zdążyć na czas i zapobiec nieszczęściu.

Odetchnęła z ulgą, kiedy rezydencja pojawiła się wreszcie w polu widzenia.

Zalany księżycowym światłem budynek stał wysoki i dumny, dominując nad otoczeniem. Okna były ciemne, wszędzie panowała cisza. Dom spał.

Przyspieszyła kroku, przechodząc przez wypielegnowany trawnik. Trzewiki Gwendolyn skrzypiały głośno na zwirowanej alejce, kiedy szła przez południowy ogród. Bezpiecznie dotarła na tyły domostwa, po czym przystanąła, wpatrując się w drzwi balkonowe. Co teraz? Jak znaleźć Dorotheę, nie stawiając na nogi całej służby?

Może poprosić o pomoc pana Ardleya? Gwendolyn zagryzła dolną wargę w zamyśleniu. Kilka razy, dzięki przyjaźni wuja Fletchera z panem Ardleyem, zarządcą posiadłości, miała okazję odwiedzić Moorehead Manor. Nie знаła go dobrze, ale lubiła, bo był jednym z niewielu dżentelmenów w okolicy, którzy nie krzywili się z dezaprobatą na jej widok.

Wierzyła, że można mu zaufać, ale mimo to nie chciała wciągać go w zamieszanie. Jeśli jej podejrzenia były słuszne, sprawa mogła się okazać niezwykle delikatna. Im mniej ludzi o tym wiedziało, tym lepiej. Chciała rozwiązać ten problem bez niczyjej pomocy.

W sytuacjach takich jak ta najdotkliwiej brakowało jej rodziców. Ich taktowne wskazówki, pełne miłości wsparcie i wiara, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bardzo się przydawały w trudnych chwilach. Chociaż, gdyby żyli, nigdy by do tego nie doszło. Ich śmierć przed ośmioma laty, w odstępie zaledwie paru miesięcy, pozostawiła w sercach sióstr niepewność i strach. Wuj Fletcher i ciotka Mildred robili, co mogli, ale to nie było to samo.

Gwendolyn odsunęła na bok myśli o rodzicach i lepszych czasach.

Wspominanie przeszłości nie przynosiło żadnego pożytku. Problem pojawił się tu i teraz i - jeśli wkrótce nie znajdzie jakiegoś wyjścia - przerośnie ją.

Z rękami na biodrach stała pod tarasem, zastanawiając się nad kolejnym krokiem. Ledwie pamiętała rozkład domu. Ale jeśli Dorothea dotarła do sypialni wicehrabiego, Gwendolyn sądziła, że uda jej się ją odnaleźć. Tylko jak wejść do domu, nie alarmując służby? Stłuc szybę?

Gwendolyn zacisnęła powieki, usiłując sobie przypomnieć, czy psy w rezydencji spały w domu, czy w stajniach. Za dnia były to łagodne, przyjazne stworzenia, podstawiające łby, żeby je poklepać czy podrapać za uszami.

Z pewnością jednak potraktowałyby ją inaczej, gdyby stłukła szybę i zachowała się jak intruz.

Na nieszczęście był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Poszukała w klombach dużego kamienia. Otrzeputując znaleźisko z ziemi, ujęła je w prawą dłoń i stanęła mocno na nogach, przygotowując się do rzutu. Przesunęła ramię w tył i w przód, parę razy ćwicząc ten ruch, wciągnęła głęboko powietrze i... Nic.

Do licha! Zła na siebie za brak odwagi, upuściła gniewnie kamień na ziemię, weszła po schodach na taras i sięgnęła do klamki drzwi balkonowych. Ku jej zdumieniu drzwi otworzyły się cicho, nie stawiając najmniejszego oporu.

Z bijącym gwałtownie sercem i lekkim uśmiechem satysfakcji na ustach Gwendolyn weszła do domu. W środku nocy w Moorehead Manor panował

spokój jak w grobowcu. Przeszukała szybko pomieszczenia na pierwszym i drugim piętrze. Okazały się puste. Była rozczarowana, ale nie zaskoczona.

Gwendolyn westchnęła głęboko i wspięła się głównymi schodami na kolejne piętro. Potem ruszyła długim korytarzem wschodniego skrzydła, wdzięczna, że wysokie okno na końcu wpuszcza do środka światło księżyca.

Zatrzymała się przy drzwiach pierwszego pokoju. Nie miała pojęcia, która sypialnia należała do wicehrabiego, ale z braku innych gości, pozostałe pokoje powinny stać puste. Z właściwą sobie systematycznością Gwendolyn zaczęła po kolei otwierać drzwi, wiedząc, że w końcu znajdzie to, czego szuka.

Przeszła jedną stronę korytarza, zawróciła i zaczęła od drugiej, zastanawiając się, ile sypialni znajduje się w pozostałych skrzydłach. Jej trud został jednak wynagrodzony, kiedy otworzyła następne drzwi. Weszła do środka i natychmiast się zorientowała, że ten pokój jest inny.

Wewnątrz czuło się życie - drżenie oddechów i ciepło ciała. Gwendolyn odczekała chwilę, zanim zrobiła kolejny krok naprzód.

Do pokoju wpadła smuga księżycowego światła, przecinając łóżko.

Gwendolyn dostrzegła dwa wyraźne kształty w pościeli, a potem, ku swemu przerażeniu zauważyła lekki ruch pod przykryciem. Gwendolyn ogarnęła fala gorąca, ale posunęła się za daleko, żeby teraz stracić odwagę.

Przez ułamek sekundy rozważała koszarne następstwa, jeśli to nie był

pokój wicehrabiego albo jeśli jedna z osób w łóżku nie była jej siostrą.

Gwendolyn odchrząknęła.

- Pst, Dorotheo... Dorotheo. - Słyszała strach w swoim głosie i usiłowała go ukryć, mówiąc niższym tonem. - Dorotheo, przyszedłem, żeby cię zabrać do domu. Wyjdź z łóżka. Pospiesz się, zanim ktoś ze

służby się obudzi.

Co do snów, to ten był zdecydowanie erotyczny. Ktoś gładził go po włosach jednostajnym ruchem. Jason czuł miłe odprężenie, choć jego ciało napinało się z pożądania. Potem nastąpiły pocałunki; słodkie, czułe, wydatne usta wyciskały szybkie całusy na jego policzkach, czole i - w końcu - na wargach. Wciąż pogrążony we śnie, Jason przysunął się bliżej do zjawiskowej kochanki, wciągając w nozdrza zapach cytrynowego mydła i czując, jak jego ciało się ożywia.

Instynktownie wyciągnął ręce, tuląc ciepłe, miękkie kobiece ciało. Pod cienką koszulą czuł gładkość skóry uroczej zjawy. Było mu tego za mało.

Dotyk, choć należał do zmysłowego snu, obudził w nim coś głębokiego i prymitywnego. Chciał więcej, potrzebował więcej.

Jego ostatni romans zakończył się przed kilkoma miesiącami i od tamtego czasu nie miał żadnych miłostek. Zdawał sobie sprawę, że za długo pozostawał

bez fizycznej bliskości kobiety, zwłaszcza że potrzeby ciała dręczyły go nawet we śnie. Przechylając głowę, Jason musnął językiem dolną wargę zjawy.

Sapnęła, a kiedy otworzyła usta, wsunął język do środka, pieszcząc i badając wewnętrzną stronę jej policzków.

Cudowny sen trwał. Pogłębił pocałunek. Ciągnął za delikatny materiał

nocnej koszuli, aż zebrał go w garści. Drugą ręką gładził nagą skórę jej ud i bioder, potem przesunął dłońmi po plecach. Zadrżała, otaczając go ramionami.

Bojąc się, że obudzi się za wcześnie, przyciągnął ją do siebie niespokojnie.

Jęknęła cicho.

Natrętny hałas wdarł się do jego umysłu, przerywając przyjemność. Jason zmarszczył się przez sen, próbując nie zwracać na niego uwagi, ale hałas trwał.

„Dorotheo! Dorotheo!” Co? Ktoś wołał Dorotheę. Kim ona, u diabła, była?

Sen stracił przyjemny charakter, stał się męczący. Rozzłoszczony mąż, wpadający do pokoju, kiedy zaczynało się robić interesująco, nie pasował do erotycznych marzeń. To bardziej przypominało koszmar.

- Dorotheo! Dorotheo!

Jason, zniecierpliwiony, próbował raz jeszcze wrócić do swoich fantazji, ale na próżno. Rozczarowanie ulotniło się natychmiast, kiedy Jason uświadomił

sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze, to nie był sen ani koszmar. Po drugie, nie był sam w sypialni.

Powoli otworzył oczy.

- Wielkie nieba, czy to ty, Gwendolyn? - przenikliwym szeptem zapytała śliczna, leżąca obok niego kobieta.

- Spodziewałaś się kogoś innego? - padła sucha odpowiedź ze strony stojącej w cieniu przy drzwiach postaci.

- Wiesz doskonale, że tak. Nie czytałaś mojego listu?

- A skąd wiedziałabym, gdzie cię szukać? - Cień westchnął. - Popełniłaś ogromny błąd, Dorotheo, ale nie ma czasu na wyjaśnienia. Chodź ze mną natychmiast. Pospiesz się, zanim wicehrabia się obudzi.

Choć próbował, Jason nie umiał się powstrzymać. Musiał się wtrącić w ten przedziwny dramat.

- Za późno, moje panie. Wicehrabia już się obudził.

Jego głos - głęboki, dźwięczny baryton - rozległ się echem po pokoju.

Kobieta w łóżku krzyknęła.

- Cicho! - odezwali się jednocześnie Jason i cień przy drzwiach.

Mrużąc oczy, Jason wpatrywał się w ciemność, pragnąc, żeby tajemnicza postać przysunęła się bliżej do księżycowego światła, tak żeby mógł zobaczyć rysy jej twarzy.

Nastąpiła cisza, tak dziwna, że trudno byłoby nawet nazwać ją niezręczną.

Jason, niepoprawny uwodziciel, doświadczył w życiu wielu niezwykłych sytuacji, zwłaszcza gdy chodziło o kobiety. Ukrywał się w szafie, skakał

z balkonu, raz nawet przebrał się za służącą, uciekając przed mężem kochanki.

Ale w tej chwili wypływał na niezbadane wody.

- Wiem, że to wszystko można jakoś wyjaśnić - zaczął spokojnym tonem. -

I wyznam, że jestem bardzo ciekaw tych wyjaśnień.

- Zostałam skompromitowana. - Kobieta w łóżku zaczęła drżeć. -

I spodziewam się, że jako dżentelmen, prawdziwy dżentelmen, naprawi pan tę sytuację.

Do wszystkich diabłów! Pułapka! Do tej pory wiele kobiet próbowało wymusić na nim oświadczenia.

Ale był szczerym lisem. A w omijaniu wszelkich pułapek stał się swego rodzaju ekspertem. Nagle Jason uświadomił

sobie, że wstrzymał oddech. Czy wszystkie lata uganiania się za kobietami, lata burzliwych romansów, które z góry skazane były na szybki kres, bez najmniejszych szans na to, że przerodzą się w trwałe związki, dobiegały teraz końca?

Cień się poruszył. Jasonowi wydawało się, że pokręcił głową.

- On jest żonaty. Rozumiesz, Dorotheo? Lord Fairhurst ma już żonę.

Kobieta w łóżku wydała dziwny, zduszony dźwięk i nawet w bladym świetle księżyca Jason zauważył, jak krew odpłynęła jej z twarzy.

- Czy to prawda?

Czuł na sobie wzrok obu kobiet.

- Rzeczywiście, istnieje lady Fairhurst.

Choć na ogół pozbawiony skrupułów, hulaka i awanturnik, Jason nigdy nie był kłamcą. Bywało jednak, że wykręcał się od mówienia całej prawdy, jeśli to mu odpowiadało, nie wdając się w szczegóły, o które go nie pytano. No cóż... to była prawda. Istniała lady Fairhurst. Jego brat ożenił się przed paroma miesiącami, a niedawno odbył nawet drugą ceremonię ślubną, żeby rodzina panny młodej mogła w niej uczestniczyć.

Jason, który jakoby skompromitował tę niewinną istotę, nie był żonaty, ale nikt go o to nie pytał. Jego oddech odzyskał powoli naturalny rytm.

Uświadomił sobie, że jest bezpieczny. Nie będzie oburzonego ojca, domagającego się, żeby przez małżeństwo uratował reputację córki, ponieważ te kobiety uważały go za Jaspera.

- Jest żonaty! - Kobieta obok wydała cichy okrzyk, przyciskając wierzch dłoni do czoła.

- Spokojnie, Dorotheo - poleciła druga. - Narobisz jeszcze większego bałaganu, jeśli zemdlejesz.

Drobna istota w łóżku odsunęła się od niego i usiadła. Jej twarz znalazła się przez chwilę w smudze księżycowego światła i Jason wstrzymał oddech. To była blond piękność z dzisiejszego podwieczorku, kobieta, która tak bardzo przypominała mu Elizabeth.

- Nie zemdleję, Gwendolyn - powiedziała jasnowłosa, przerzucając wspaniałe włosy za ramię. - Przrzekam.

- Ani nie będziesz krzyczeć?

- Nie.

Szelest pościeli dał mu znać, że podniosła się z łóżka. Podbiegła cicho do drugiej kobiety. Dywan tłumił odgłos jej stóp. Usłyszał jakiś stuk i domyślił

się, że blondynka wkłada buty. A potem co? Wyjdą z pokoju, opuszczą rezydencję i rozplyną się w ciemności?

- Dobranoc - usłyszał zaszokowany. Zakasłał.

- Tak? - zainteresował się cień.

Jason zamrugał oczami. Niewiele kobiet było w stanie go zaskoczyć, ale te dwie radziły sobie znakomicie.

- Nie wiem, co powiedzieć - odparł Jason rozdrażnionym tonem. -

Doprawdy, jestem nad wyraz zdumiony wydarzeniami dzisiejszej nocy.

Cień parsknął cicho.

- Powinnyśmy zapewne poczekać, aż odzyska pan przytomność umysłu -

stwierdziła kobieta ostrym tonem. - Ale obawiam się, że to potrwa zbyt długo.

Chodź, Dorotheo.

- Poczekajcie! - Jason sięgnął po krzesiwo, które leżało na stolyczku przy łóżku. Zapalił świecę w mosiężnym lichtarzyku.

Świeca dawała dość światła, żeby przyjrzeć się obu kobietom. Blondynka, potargana i drżąca, miała na sobie cienką, bawełnianą koszulę nocną, która niewiele pozostawiała wyobraźni. Była piękna, bez cienia wątpliwości. Jason zdziwił się zupełnym brakiem zainteresowania ze swej strony. Podobieństwo do Elizabeth było uderzające, ale jego wcześniejsze podniecenie znikło bez śladu.

Natomiast cień pochłonął jego uwagę bez reszty. Miała kruczoczarne włosy i głębokie, czekoladowobrazowe oczy obramowane długimi, gęstymi rzęsami oraz zadarty nos. Pełne wargi wydawały się stworzone do pocałunków.

Ale nie jej uroda zaintrygowała Jasona, raczej osobowość; siła ducha, która zdawała się wypełniać pokój. Wysoka i dumna, z wyrazem słusznego oburzenia na twarzy, stanowiła uosobienie kobiecej siły. Każdy, kto wziąłby ją za zwyczajną, ładną dziewczynę, popełniłby błąd.

Zdjęła płaszcz i okryła nim drżąca blondynkę.

- Idziemy - oznajmiła. - Ufam, że jest pan dżentelmenem i nie będzie rozpowiadać o tym niefortunnym zdarzeniu.

Jason przywykł do szybkich decyzji. Nie zamierzał pozwolić obu kobietom odejść bez wyjaśnienia.

Zdawał sobie jednak sprawę, że chwila nie była odpowiednia, by prowadzić rozmowę.

- To nie koniec, moje panie. Oczekuję was jutro u siebie. W południe.

Zapadła cisza. Tym razem przerwała ją blondynka.

- Nie musi pan wciągać w to Gwendolyn. Przyjdę sama.

Jason uniósł brwi.

- Byłbym głupcem, gdybym przyjął panią bez świadków. Nalegam, abyście panie zjawiły się obydwie.

- Odmawiam - oświadczył zdecydowanie cień.

- Słucham?

- Nie jestem podejmowana w towarzystwie - powiedziała bezbarwnym tonem. - Niech pan zapyta, kogo chce. Panią Hollingsworth, panią Tiltondown, nawet służącego. Nie mam ochoty iść tu tylko po to, żeby mi zatrzaśnięto drzwi przed nosem.

Jason zamrugał, po czym spojrzał na nią uważnie. Chyba nie kłamała, ale to oświadczenie

wywołało

w

nim

niepokój.

Nie

podejmowano

jej

w towarzystwie? Dlaczego? Co takiego zrobiła, żeby zasłużyć na takie traktowanie?

- Nie dbam o cudze opinie, ani też nie trzymam się sztywno etykiety -

odparł.

- Słyszałam co innego.

Do diabła! Miała rację. Jasper był przewrażliwiony na punkcie tego, co stosowne, a co nie. Dzięki Bogu, miał teraz żonę, która temperowała te skłonności.

- Nie obchodzi mnie, co pani słyszała - stwierdził Jason, usiłując jakoś zachować wiarygodność. - Daję słowo, że zostanie pani przyjęta w moim salonie jutro w południe. Spodziewam się, że zastosuje się pani do mojego życzenia. Jeśli nie, będę zmuszony sam pani poszukać, co zapewne wprawi mnie w zły humor.

To ją przestraszyło. Patrzyła na niego dłuższą chwilę.

- Będziemy w południe - odparła w końcu, kiwnąwszy głową.

- Doskonale. - Uśmiechnął się leciutko. Lubił stawiać na swoim.

Kobiety wyszły w milczeniu. Jason wstał i ubrał się pośpiesznie. Zerknął na zegar i odczekał pełnych pięć minut, zanim opuścił sypialnię. Zszedł szybko na parter i wyslizgnął się na dwór bocznymi drzwiami.

Rozejrzał się wokół, szybko znajdując to, czego szukał. Zaklął głośno, kiedy stwierdził, że nieproszeni goście wędrowali na piechotę. Zacisnął zęby ze złości - miał nadzieję, że przechadzka nie będzie zbyt długa - i ruszył za nimi.

Szybko się zorientował, że nie musi zachowywać przesadnej ostrożności.

Kobiety były zajęte szeptaniem między sobą i nie zwracały uwagi na otoczenie.

Szły przez pastwisko, a potem piaszczystą dróżką prowadzącą obok chaty i obory. Dróżka zamieniła się potem w brukowaną drogę, na końcu której wznosił się dom - niezbyt wielki, ale dostatecznie okazały.

W pobliżu nie zauważył śladu żywej duszy.

Rozejrzał się dookoła. Jednym z powodów, dla których śledził kobiety aż do domu, było to, że chciał dowiedzieć się o nich wszystkiego, co się da. Poza tym chciał zapewnić im ochronę podczas wędrówki po opustoszałej okolicy.

O Jasonie Barringtonie można by wiele powiedzieć, ale zawsze był dżentelmenem.

Miękkie smugi bladego, słonecznego światła przebijały się przez cienkie zasłony, a przez otwarte okno wpadał łagodny wietrzyk. Gwendolyn poczuła chłód na policzku i otworzyła oczy. Otrząsnęła się ze snu. Miała nadzieję, że dziwne obrazy w jej umyśle okażą się nocnym koszmarem, ale peleryna wisiała na krześle zamiast w szafie - widoczne świadectwo nocnej wyprawy.

Westchnęła cicho. To wszystko zdarzyło się naprawdę. Jej szalona siostra usiłowała zastawić sidła na wicehrabiego i zmusić go do małżeństwa. Ale plan obrócił się przeciwko niej. Znalazły się przez to w bardzo niezręcznej sytuacji, co niepokoiło Gwendolyn.

Wicehrabia mógł bardzo utrudnić im życie, gdyby zechciał. Wiedziała, że musi temu jakoś zapobiec. Na nieszczęście tego ranka nie była w najlepszej formie. Wróciły do domu bardzo późno i Gwendolyn poszła do łóżka ze ściśniętym ze zdenerwowania żołądkiem. A potem spędziła parę godzin, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Może uda się przekonać wicehrabiego, żeby ich nie karał.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i pokojówka, Lucy, weszła do sypialni.

- Jest pani gotowa, żeby się ubrać, panno Gwendolyn? A może woli pani, żebym przyszła po tym, jak pomogę panie Dorothei i panie Emmie?

- Przyjdź później, proszę - odparła Gwendolyn.

Ponieważ wujowi Fletcherowi zależało na oszczędnym trybie życia, siostry korzystały z usług jednej pokojówki. Aby żadnej nie skrzywdzić, Lucy co rano zaczynała od innej. Gwendolyn i tak zwykle odsyłała ją do pozostałych, wołąc zostać sama.

Po wyjściu Lucy Gwendolyn próbowała jeszcze zasnąć, ale bezskutecznie.

Poddała się i podeszła do szafy. Przejrzała jej zawartość i postanowiła włożyć jedną z nowszych sukienek, aby dodać sobie animuszu. Wybrała białą, muślinową suknię obszytą niebieską, satynową wstążką. Lucy, która po chwili powtórnie zapukała do jej drzwi, dopięła jej suknię na plecach i zaciesała włosy w luźny kok.

Gwendolyn zeszła na śniadanie jako ostatnia. Starła się zachowywać, jakby nic się nie stało. Nie spała dobrze, a jedno spojrzenie przekonało ją, że Dorothea nie spędziła tej nocy lepiej. Miała na sobie jeden z ładniejszych strojów -

muślinową bladonoróżową sukienkę, ozdobioną ciemniejszą różową satyną -

jednak jej twarz zdradzała zmęczenie.

Emma posmarowała tost masłem i sięgnęła po dżem. Gwendolyn próbowała udawać, że nie czuje spojrzenia młodszej siostry. Dla każdego, kto był

dostatecznie spostrzegawczy, musiało być oczywiste, że Emma niemal pęka z ciekawości. Na szczęście miała dość rozumu, żeby o nic nie pytać, kiedy ciotka i wuj siedzieli z nimi przy stole.

Ciotka Mildred przyjęła od usługującej im dziewczyny talerz z piętrzącą się wysoko szynką oraz tostami i poprosiła o drugą filiżankę kawy. Gwendolyn próbowała wciągnąć ciotkę w pogawędkę, jako że Emma nie wydawała się usposobiona do rozmowy, a Dorothea milczała jak zakłeta. Na szczęście ciotka Mildred należała do kobiet, które upajają się dźwiękiem własnego głosu, nie było więc trudno sprawić, żeby mówiła bez przerwy.

Wuj Fletcher nigdy się nie odzywał przy śniadaniu, chociaż Gwendolyn była przekonana, że słucha, nawet jeśli niezbyt uważnie. Ona sama nie miała ochoty najedzenie, ale zdołała w siebie wmusić parę kęsów.

W końcu wuj Fletcher odstawił filiżankę i odsunął krzesło.

- Dziś rano mam do załatwienia pewne sprawy związane z interesami, a po południu wybieram się na spotkanie z panem Ardleyem. Zobaczymy się przy kolacji. Przyjemnego dnia.

Gwendolyn wstrzymała oddech, pewna, że wzmianka o panu Ardleyu sprowokuje ciotkę do jakiejś uwagi na temat wicehrabiego, jako że Ardley pełnił

funkcję zarządcy majątku. Jednak ciotkę Mildred tak pochłonęło opowiadanie śmiesznej historyjki o pani Hollingsworth, że nie zwróciła uwagi na słowa męża.

Kiedy wuj wyszedł z pokoju, Emma postanowiła się wreszcie odezwać.

Zapytała ciotkę o coś, co skłoniło ją do podjęcia kolejnego tematu. Gwendolyn wykorzystała sytuację i nachyliła się do Dorothei.

- Wuj Fletcher wspominał o spotkaniu z panem Ardleyem dziś po południu.

Musimy zjawić się w Moorehead Manor punkt dwunasta, tak żebyśmy mogły odejść, zanim przyjdzie wuj. Przy odrobinie szczęścia uda nam się utrzymać naszą wizytę w tajemnicy.

- Czy naprawdę musimy tam iść? - zapytała Dorothea. Gwendolyn wzięła siostrę za rękę.

- Lord Fairhurst był raczej stanowczy. Powiedział, że sam nas odwiedzi, jeśli nie dotrzemy obietnicy. Lepiej mu wierzyć na słowo.

Błękitne oczy Dorothei pociemniały ze zmartwienia.

- Skąd miałby wiedzieć, gdzie nas szukać? Nie wyjawiliśmy mu nazwiska.

- Wie, że ty masz na imię Dorothea, a ja Gwendolyn. Nieszłowna Gwendolyn, która nie jest przyjmowana w towarzystwie. - Gwendolyn wciągnęła ostro powietrze, zastanawiając się, czy rozsądnie było mówić mu o tym. - Wydaje się inteligentny. Zadając parę dobrze dobranych pytań, dowie się o nas wszystkiego, także tego, gdzie mieszkamy.

- Pewnie masz rację. - Dorothea odwróciła wzrok. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak mi przykro, że doprowadziłam do takiej sytuacji.

- Mogło być dużo gorzej. A gdyby jakiś służący zastał cię w łóżku wicehrabiego? Zostałabyś nieodwołalnie skompromitowana. - Gwendolyn ścisnęła rękę siostry. - Myślałam o tym długo i doszłam do wniosku, że jest mocno wątpliwe, aby lordowi Fairhurst zależało na ujawnieniu szczegółów tej sprawy.

Zachowa sekret choćby po to, żeby nie narażać się na plotki.

- Być może. - Dorothea spojrzała w bok. - Lord Fairhurst to tylko połowa kłopotu. Jak zdołamy wymknąć się stąd, nie mówiąc ciotce, dokąd idziemy?

Musimy znaleźć coś, co ją zajmie.

- Albo kogoś - dodała Gwendolyn, patrząc na Emmę. Wolałaby trzymać najmłodszą siostrę z dala od całej tej historii, ale nie miała wyboru. - Emma wybiera się dzisiejszego ranka do krawca, do przymiarki. Czy zechciałabyś ją tam zabrać, ciociu Mildred?

- Oczywiście. Przy okazji sprawdzę, jak się posuwa praca nad moją nową suknią. - Ciocia Mildred uwielbiała wyświadczać przysługi.

Zła mina Emmy uświadomiła Gwendolyn, że siostra nie jest zadowolona z takiego obrotu sprawy. Bystra dziewczynka zrozumiała, że wykorzystuje się ją dla odwrócenia uwagi.

„Proszę”, Gwendolyn poruszyła bezgłośnie wargami, podczas gdy ciotka kończyła śniadanie. „Potrzebujemy twojej pomocy”.

Emma uniosła brwi, po czym kiwnęła głową na znak zgody.

Prędzej czy później będzie musiała odpłacić za tę przysługę. Gwendolyn cieszyła się jednak, że siostra jest gotowa im pomóc. Wypiła łyk wystygłej kawy, zastanawiając się, kiedy powinny wyjść z domu.

Poranek był ciepły, ale rzeński wiatr na polach chłodził Gwendolyn i Dorotheę. Szły różnym krokiem, rozmawiając od czasu do czasu.

- Żałuję, że nie mogłyśmy wziąć powozu - narzekala Dorothea. - To byłoby eleganckie, a tak musimy uważać, żeby nie zjawić się w rezydencji spocone i potargane.

- Ciocia Mildred i Emma pojechały powozem - odparła Gwendolyn. -

Mogłyśmy iść albo jechać konno, ale obie uznałyśmy, że przebieranie się w stroje do konnej jazdy zajęłoby nam za dużo czasu.

W duchu przyznała jednak, że to raczej upokarzające odbywać tę drogę pieszo. I to nie tylko ze

względu na wygląd. Gwendolyn zdawała sobie sprawę, jak ważne jest, żeby robić wrażenie dobrze urodzonej damy, kiedy składało się komuś wizytę. Zwłaszcza komuś, kto stał wyżej od nich w hierarchii społecznej.

Pojawienie się w staromodnym, ale wciąż wygodnym i imponującym powozie wzbudziłoby należyty szacunek.

Gwendolyn, choć jeszcze niedawno niepokoiła się, że się spóźnią, teraz żałowała, że już dotarły na miejsce. Spojrzała w niebo, starając się odgadnąć godzinę z pozycji słońca. Nie chciała przyjść zbyt wcześnie.

Zwolniły kroku, zbliżając się do domu, aż w końcu nie mogły już dłużej zwlekać z wejściem do środka. Dorothea uniosła lśniącą, mosiężną kołatkę przy drzwiach. Pukanie odbiło się echem w holu za drzwiami. Gwendolyn, stojąc obok siostry, nagle poczuła, jak ogarnia ją chłód na myśl, że mogą odmówić jej przyjęcia. Nie wiedziała, jak zdołałaby wówczas zachować dumę i godność.

Cztery lata odrzucenia przez towarzystwo to bardzo długo, ale Gwendolyn -

wiedząc, że nie ma wyboru - przywykła do takiego stanu rzeczy. Szybko nauczyła się, jak unikać sytuacji, w której ktoś mógłby okazać jej niechęć. To wymagało odcięcia się od niemal wszystkich liczących się osób. Początkowo czuła się samotna i opuszczona, potem stwierdziła, że umie z tym żyć.

Nie była całkowitą pariaską. Rozmawiali z nią kupcy, również proboszcz i jego żona, a także pan Ardley. Ale to była mniejszość. Przyjęto cichą zasadę, że nie zapraszano jej na przyjęcia, bale czy popołudniowe herbatki. Nie składała wizyt towarzyskich, a kiedy goście odwiedzali wujostwo, wycofywała się z salonu. W tych rzadkich wypadkach, kiedy w żaden sposób nie dało się uniknąć spotkania, trzymała głowę wysoko, a potem wyrzucała z pamięci wszelkie nieprzyjemności z tym związane.

Dzisiaj jednak nie mogła niczego uniknąć. Zmierzała prosto w paszczę lwa.

Lokaj otworzył drzwi i Gwendolyn zebrała wszystkie siły, żeby wyglądać na pewną siebie.

- Lord Fairhurst nas oczekuje - powiedziała głosem, który w jej własnych uszach brzmiał przesadnie donośnie.

Lokaj przyglądał im się chwilę w pełnym napięcia milczeniu, po czym otworzył drzwi szeroko.

- Tędy proszę.

Weszły do holu. Gwendolyn z trudem panowała nad wzburzeniem.

Wicehrabia dotrzymał słowa. Wbrew sobie zastanawiała się, jakie straszne opowieści o jej przeszłości do niego dotarły.

- Boisz się? - szepnęła Gwendolyn, czując, jak siostra drży.

Dorothea zachichotała nerwowo.

- Jestem zbyt otępiała, żeby się bać - odparła. Szły za lokajem w takiej odległości, żeby nie słyszał, o czym rozmawiają.

- Teraz jesteś otępiała, ale w nocy miałaś dość odwagi, żeby zakraść się do tego domu i do łóżka wicehrabiego - łajała ją Gwendolyn.

- To było co innego. Zeszłej nocy miałam cel. Dzisiaj chcę tylko zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło. - Dorothea wyglądała na zasmuconą. - Ja także myślałam o tym, jak powinniśmy postąpić. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli podczas spotkania z wicehrabią będziemy udawać, że zeszłej nocy nic się nie stało.

Gwendolyn westchnęła, żałując, że to nie jest takie proste.

- Niezwracanie uwagi, przez uprzejmość, na jakąś gafę towarzyską to rzecz powszechna, ale to wydarzenie trudno porównać z sytuacją, kiedy ktoś włożył

nieodpowiednie rękawiczki albo użył złego widelca, jedząc rybę podczas uroczystego obiadu. Nie możemy ignorować problemu. Trzeba przekonać lorda Fairhurst, że skorzysta, nie rozgłaszając tej historii.

Przez chwilę wydawało się, że Dorothea będzie chciała z nią dyskutować, ale potem spuściła głowę, przysuwając się bliżej do Gwendolyn.

Lord Fairhurst stał przy oknie, przyglądając się ogrodowi. Odwrócił się, odsyłając lokaja i wskazując nowo przybyłym miejsce na kanapie przy niezapalonym kominku.

Gwendolyn zmusiła się, żeby posłuchać. Wolalaby stać, wierząc, że to zapewnia jej kontrolę nad sytuacją, ale nie chciała zniechęcać go do siebie od pierwszej chwili. Opadła z wdziękiem na brzeg kanapy, Dorothea za nią.

Fairhurst usiadł na krześle naprzeciwko nich. Miał surową minę, patrzył

badawczo. Choć Gwendolyn czuła się zmieszana tym spojrzeniem, nie chciała tego okazać. Myśl, że specjalnie próbuje przestraszyć ją i Dorotheę, wywołała przeciwny skutek. Wyprostowała się sztywno.

Wydawał się inny, niż się spodziewała. Zeszłej nocy było zbyt ciemno, żeby mu się przyjrzeć. Słyszała, że przestrzegał konwenansów, nie czyniąc wyjątków. W świetle dnia robił wrażenie starszego. Gwendolyn obawiała się, że za uprzejmą fasadą kryje się twardy, bezwzględny mężczyzna.

- Przede wszystkim, pragnę się dowiedzieć, jakie więzy łączą panie -
powiedział.

Gwendolyn gdzieś w głębi duszy poczuła ulgę, że zostanie jej oszczędzona błaża, uprzejma

konwersacja, którą tak niezręcznie było prowadzić podczas towarzyskich wizyt. Mimo to bezpośredniość wicehrabiego lekko wytrąciła ją z równowagi, ponieważ sądziła, że łatwiej będzie przejść do głównego tematu stopniowo, kiedy pierwsze lody zostaną przełamane.

- Dorothea i ja jesteśmy siostrami - odparła spokojnie, zastanawiając się, czy Fairhurst już o tym wie i tylko sprawdza jej uczciwość, czy też rzeczywiście nie próbował się niczego o nich dowiedzieć.

- Siostrami? - Powiódł ze zdumieniem wzrokiem od jednej do drugiej. - Ani trochę nie jesteście do siebie podobne.

- Tak często bywa u rodzeństwa - odparła wymijająco Gwendolyn, po raz pierwszy uświadamiając sobie, jak ze swoimi czarnymi, prostymi włosami różni się od jasnowłosej Dorothei o kręconych lokach.

- Nie zawsze. - Wicehrabia roześmiał się i atmosfera na chwilę zelżała.

Odznaczał się niezwykłym urokiem. Gwendolyn stwierdziła, że zaczyna odpowiadać uśmiechem na jego uśmiech. Szybko przywołała się do porządku.

Wbiła wzrok w ziemię, wiedząc, że kwestia atrakcyjności wicehrabiego nie powinna jej obchodzić ani trochę.

- A pan jest podobny do swojego rodzeństwa? - zapytała Dorothea.

- Nie do siostry, ale z bratem łączy nas pewne podobieństwo.

Gwendolyn zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Pewne podobieństwo? To nie była prawda. Podniosła głowę. Teraz sobie przypomniała. Wicehrabia i jego brat byli bliźniakami, więc podobieństwo musiało być uderzające.

W jego oczach pojawił się jakiś błysk i Gwendolyn pomyślała, że Fairhurst jest świadomy tego, że Gwendolyn zna prawdę. Z jakiegoś powodu wydawało się, że to go wprawia w zmieszanie. Zaskoczona, przybrała obojętny wyraz twarzy, chcąc ukryć własne uczucia.

- Jesteśmy tutaj, jak pan żądał, chociaż nie rozumiem, dlaczego -
stwierdziła.

- Domagam się wyjaśnienia zdumiewającego zachowania pani siostry dzisiejszej nocy - oznajmił lord Fairhurst. - Muszę wyznać, że jestem człowiekiem, który niejednego doświadczył, a jednak udało wam się wprawić mnie z zadziwienie.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć - odezwała się Dorothea.

- Niech pani zacznie od początku.

Dorothea odchrząknęła, usiłując najwyraźniej zyskać na czasie. Gwendolyn zerknęła na

wicehrabiego. Patrzył prosto przed siebie. Miał piękny profil -

wysoko zarysowane kości policzkowe i silną szczękę.

- Doprawdy, nie potrzeba tu długich wyjaśnień - stwierdziła Gwendolyn, kiedy stało się jasne, że Dorothea nie zamierza się odezwać. - Wydarzenia ostatniej nocy były takie, jakie były, i im szybciej o nich zapomnimy, tym lepiej dla nas wszystkich.

Wicehrabia spojrział na nią uważnie, jakby rozważał jej słowa. Gwendolyn nie odwróciła wzroku.

- Skąd wiedziała pani o lady Fairhurst? - zapytał. - Ledwie pojawiłem się w Moorehead Manor, zostałem osaczony przez wszystkie niezamężne niewiasty mieszkające w promieniu dwudziestu mil. Wszystkie miały jeden cel.

Małżeństwo. Szybko zrozumiałem, że nie zdają sobie sprawy z istnienia lady Fairhurst, a jednak pani posiada tę informację, panno Ellingham.

- Tak jest. - Gwendolyn zeszywniała. Musiał wiedzieć o nich więcej, niż okazywał, skoro użył jej nazwiska. To tylko wzmocniło jej przekonanie, że trzeba zachować ostrożność. Przede wszystkim nie wolno go lekceważyć. -

Czytałam w gazecie opis przyjęcia wydanego przez księcia Warwick, w którym wymieniano pana i lady Fairhurst jako honorowych gości. Ponieważ wiem, że pana matka jest hrabiną Stafford, jedyną osobą, która może nosić tytuł lady Fairhurst, jest pańska żona.

- W jakiej gazecie?

- W „Timesie”. Wiele osób w okolicy ją czyta, ale dochodzi do nas nieregularnie. Choć to wydanie pochodzi sprzed miesiąca, musieliśmy je dostać jako pierwsi.

Odetchnął głęboko.

- Hm... Jak widać, nie podzieliła się pani tą wiadomością z siostrą?

Gwendolyn wzruszyła ramionami.

- Prawdę mówiąc, zapomniałam. Nie wydawało się to konieczne. - Nie dodała, że czytała gazetę wczoraj, przed zaśnięciem i w związku z tym nie mogła wspomnieć Dorothei o ślubie Fairhursta. Gdyby było inaczej, nie doszłoby do tej dziwacznej sytuacji.

Wicehrabia zmrużył na chwilę oczy, jakby zastanawiał się, czy jej wierzy. Co za zarozumialec! Czy zdumiało go, że nie był głównym tematem rozmów w okolicy? Czy naprawdę uważał się za słońce, wokół którego krążą planety?

- Powiedział pan, że niezamężne kobiety osaczyły pana tuż po przyjeździe, więc nie byłam odosobniona w swoim pragnieniu korzystnego mariażu - wtrąciła Dorothea. - Kiedy przyszedłam tu wczoraj, zorientowałam się, że konkurencja będzie ogromna, tak więc postanowiłam znaleźć sposób,

żeby zwrócić pańską uwagę.

Wicehrabia spojrział na Dorotheę.

- Przyznaję, że nie była pani jedyną kobietą, dążącą do zamążpójścia, ale z

pewnością

najbardziej

zdesperowaną.

-

Odrobinę

uniósł

brwi.

- Czy spodziewa się pani dziecka? To dlatego uznała pani za stosowne uciec się do podstępu?

Dorothea sapnęła z oburzeniem, ale Gwendolyn nie straciła panowania nad sobą. Oskarżenie nie zaskoczyło jej zbyt. Prawdę mówiąc, w ogóle jej nie zdziwiło. Każda kobieta, która miała tyle śmiałości, żeby wślizgnąć się do łóżka obcego mężczyzny w środku nocy, musiała spodziewać się podobnych komentarzy.

Wiedziała jednak, że nie może okazać lordowi Fairhurst śladu zrozumienia.

Nie może dopuścić, aby widział coś więcej, poza oburzeniem. Szansa na uratowanie reputacji Dorothei zależała od tego, czy wicehrabia uzna ją za damę -

kogoś, kto w normalnych okolicznościach nigdy nie zachowałby się w podobny sposób.

- Zachowanie Dorothei było objawem aberracji, chwilowego szaleństwa -

oznajmiła Gwendolyn.

- Ach, a zatem myśl o poślubieniu mnie doprowadza kobiety do szaleństwa?

- Wyraz twarzy lorda Fairhurst się nie zmienił. - Nie jestem pewien, czy ta uwaga powinna mi pochlebiać, czy też przerażać, panno Ellingham.

Gwendolyn ledwie powstrzymała okrzyk rozpacz. Wicehrabia celowo nie ułatwiał sprawy, a ona niewiele mogła zrobić, żeby to zmienić. Jednakże przyszły tutaj w określonym celu i musiała wydobyć od niego jakieś zapewnienie, że nie będzie opowiadał o tym nieszczęsnym wydarzeniu.

- Nie chcemy się usprawiedliwiać, ale raczej prosić pana o dyskrecję. Jestem pewna, że nie chce pan

być obiektem plotek i spekulacji.

- Przypuszczam, że moja reputacja wyszłaby z tej burzy nienaruszona. -

Wyciągnął nogi przed siebie, krzyżując je w kostkach. - Jednak ten rodzaj plotek mógłby zrujnować przyszłość młodej dziewczyny.

- Właśnie - zgodziła się Gwendolyn. - Dlatego też prosimy, aby okazał pan wyrozumiałość i zachował milczenie. Musiała być w pańskim życiu chociaż jedna chwila, kiedy działał pan pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się nad konsekwencjami swoich czynów.

Lord Fairhurst pozostał nieruchomy, ale przez chwilę mrugał oczami.

Poruszyła w nim jakąś strunę. Może wicehrabia nie był aż taki sztywny i dobrze ułożony, jak się wydawało. Gwendolyn przypomniała sobie plotki, że młodość miał raczej burzliwą.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Była ciekawa, co w nich zobaczył. No i chciała wiedzieć, czego od nich oczekiwał.

- Mówi pani na podstawie własnego doświadczenia, panno Ellingham.

Ciekaw jestem, co, czy raczej kto panią zrujnował.

Dobry Boże. W ciągu czterech lat od owego incydentu nigdy o nim nie mówiono z Gwendolyn tak otwarcie. Nie wiedziała, czy wicehrabia zadał to pytanie kierowany poczuciem wyższości, wynikającym z wysokiej pozycji społecznej, czy raczej jakąś inną cechą charakteru.

O jej kompromitacji szeptano za zamkniętymi drzwiami. Było coś niewidocznego, ale jednak wyczuwalnego, co wisiało w powietrzu za każdym razem, kiedy spotykała kogoś z towarzystwa. Zwykle ci ludzie udawali, że jej w ogóle nie widzą.

- Gwendolyn nie zrobiła nic złego. Nic! - powiedziała gwałtownie Dorothea.

- Została niegodnie potraktowana przez głupie, ograniczone kobiety, które zazdroszczą jej dowcipu, inteligencji i urody.

- Wydaje się, że płaci pani wysoką cenę za to, że nie zrobiła nic złego -

zauważył sucho wicehrabia.

- Nie rozumie pan! - zawołała Dorothea.

- Proszę mnie zatem oświecić.

Gwendolyn czuła, że ściskają w gardle. Nie spotkali się, żeby rozmawiać o niej, tylko żeby nie dopuścić do skandalu, który zniszczyłby reputację Dorothei. Wydawało się jednak, że niezależnie od okoliczności, zawsze w końcu rozprawiano o Gwendolyn i jej skandalicznym zachowaniu. Jak to się

stało, że jej życie przerodziło się w taki koszmar?

Gwendolyn zamknęła oczy, chcąc się uspokoić. Uniosła powieki i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, jak mocno zaciska palce na kolanach. Powoli rozluźniła dłonie. Poczła ból, kiedy krew zaczęła znowu krążyć normalnie.

Westchnęła, zła na siebie za tchórzostwo.

- Cztery lata temu podróżowałam z cioteczną babką do miasta - zaczęła Gwendolyn. - Zobowiązała się zapewnić mi skromny debiut w towarzystwie, pomimo mojego zaawansowanego wieku.

- Nasza matka była jej ulubioną siostrzenicą i chciała jakoś uczcić jej pamięć

- dodała Dorothea.

Lord Fairhurst się zdziwił.

- Nie wiedziałem, że straciłyście panie matkę. Dorothea zmarszczyła mocno brwi.

- Nasz ojciec także nie żyje.

- Czy to świeża strata? - zapytał wicehrabia, postukując w zamyśleniu palcami w wyściełane ramię fotela.

- Nie. Oboje nie żyją od lat - odparła Gwendolyn.

- Jesteśmy same na świecie - powiedziała Dorothea żalonym tonem. - Poza Gwendolyn i mną rodzice osierocili jeszcze naszą najmłodszą siostrę, Emmę.

Jest od nas całkowicie zależna. Ma zaledwie piętnaście lat.

Gwendolyn odwróciła się do Dorothei, jęknąwszy w duchu na widok błysku wyrachowania w jej oczach. Siostra potrafiła świetnie odgrywać rolę poszkodowanej przez los, bezbronnej panienki, Gwendolyn obawiała się jednak, że wicehrabia nie należy do mężczyzn, na których robi to jakieś wrażenie.

Zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Jesteście sierotami? - zapytał Fairhurst z ledwie słyszalną nutką rozdrażnienia w głosie. - Mój Boże, ta historia z każdą chwilą staje się bardziej melodramatyczna. Zaraz pewnie pojawi się podły opiekun, który zagrozi, że zmusi panią do małżeństwa z trędowatym starcem, trzy razy od pani starszym.

Czy chce mi pani wmówić, że dlatego zdecydowała się na tak drastyczny i desperacki postępek zeszłej nocy? Trzeba było aż wślizgnąć się do mojego łóżka?

Dorothea sapnęła i ściągnęła brwi w jedną linię, głęboko oburzona i zaszokowana.

Gwendolyn podzielała uczucia siostry. Z trudem zachowywała panowanie nad sobą.

- To niezwykle zajmujące patrzeć, jak bawią pana nasze nieszczęścia! -

wybuchnęła Gwendolyn. - Z największą przykrością muszę zatem poinformować, że ciotka i wuj są dobrymi, kochającymi ludźmi i, chociaż nie jesteśmy bogate, żyjemy w dostatku i wygodach.

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

- Proszę wybaczyć, jeśli panie uraziłem. Zapewniam, że nie chciałem nikogo obrazić.

Gwendolyn patrzyła na jego przystojną twarz, niepewna, czy mówi szczerze, ale nie znalazła niczego, co by temu przeczyło. Nagle zdała sobie sprawę z własnej bezsilności. Fairhurst wyrobił już sobie opinię na ich temat i zdecydował, jak postąpić w związku z zachowaniem Dorothei.

- Chodź, Dorotheo, wracamy do domu. - Gwendolyn podniosła się z wdziękiem z kanapy. Kiedy stała wyprostowana, odzyskała nieco pewność siebie. Dorothea poszła w jej ślady.

W oczach wicehrabiego błysnęło zniecierpliwienie.

- Jeszcze nie skończyliśmy - stwierdził.

- Dalsza dyskusja nie ma sensu - odparła Gwendolyn. - Moja przeszłość nie ma tu żadnego znaczenia i sądzę, że już pan postanowił, czy narazi, czy też nie, moją siostrę na skandal.

Spojrzał jej w oczy.

- Czyżby pani czytała w myślach?

- Nie. Tak naprawdę nie wiem, co pan uczyni. Wiem tylko, że już pan powziął decyzję i wątpię, żeby cokolwiek mogło na nią wpłynąć. Mam nadzieję, że postąpi pan jak dżentelmen, na jakiego pana wychowano. Moja siostra zachowała się źle, ale nie poniósł pan w związku z tym żadnej szkody.

Każdy mężczyzna, który ma choć odrobinę współczucia w sercu, wzięłby to pod uwagę, zanim zdecydowałby się zrobić coś, co zniszczyłoby przyszłość młodej dziewczyny. - Gwendolyn zadała ostateczny cios. - Na nieszczęście, pańskie dzisiejsze zachowanie rzuca poważne wątpliwości na pańską prawdziwą naturę, ale zawsze możemy modlić się o cud.

Ta ostatnia kwestia była wspaniała, godna wielkiej aktorki. W ustach każdej innej kobiety zabrzmiałoby to melodramatycznie. Choć wbrew sobie, Jason nie mógł nie zauważyć uczciwości i szczerości w głosie panny Ellingham. Zimne spojrzenie dodawało wagi słowom, sztywne ustawienie ramion podkreślało wrogość. Dawała mu jasno do zrozumienia, co o nim myśli.

Jason poczuł ukłucie żalu. Nie zamierzał być taki surowy, ale, doprawdy, jak miał im wierzyć?

Niemal żałował, że nie może wyjaśnić Gwendolyn, iż źle go rozumiała.

Najbardziej denerwujące w tym wszystkim było to, że miała rację. Zastanawiał

się nad wydarzeniami ostatniej nocy rano podczas golenia, a potem jeszcze raz przy śniadaniu. I doszedł do wniosku, że narażanie głupiej Dorothei na skandal nie przyniesie nic dobrego. To spotkanie było, w istocie, niepotrzebne.

Początkowo zamierzał od razu wyjawic siostronom swoją decyzję. Nie było sensu ciągnąć tego dłużej, wysłuchiwać ich na pół zmyślonych usprawiedliwień i żalów. Ale widok Gwendolyn w świetle dnia rozproszył jego myśli.

Jason, chociaż uwielbiał wszystkie kobiety, zawsze wolał jasnowłose. Ich delikatna uroda i blada cera stanowiły dla niego pokusę nie do odparcia.

Jednakże uroda Gwendolyn Ellingham kazała mu przemyśleć od nowa swoje gusta. Jej lśniące, czarne włosy, kontrastujące z mlecznobiałą cerą, przypominały najlepszy jedwab.

Delikatna, słiczna buzia szła w parze z doskonałą figurą. Wielkie ciemne oczy, gęste czarne rzęsy, piękne usta o zmysłowych wargach. Już dawno żadna kobieta tak go nie pociągała i sam zdumiewał się swoją reakcją.

Nawet teraz Jason się zastanawiał, jak ta gniewna kobieta może być dla niego taka atrakcyjna. Zamiast słuchać jej uważnie, stwierdził, że patrzy na jej pełne usta oraz lśniące oczy i oddycha płycej z podniecenia.

Doświadczenie go nauczyło, że nie należy pozwalać rozgniewanej kobiecie odejść w tym stanie, jednak Jason przyjął z ulgą fakt, że wychodzą. Podniósł

się, gdy obie kobiety wstały z kanapy i ruszył, żeby zadzwonić na służącego, aby je odprowadził.

Nie spodziewając się, że Gwendolyn przejdzie przed nim, szybko wyminął

kanapę i niemal się z nią zderzył. Krzyknęła, cofając się chwiejnie. Chwycił ją instynktownie, kładąc dłonie na ramionach.

Odzyskała równowagę, ale nie zabrał dłoni. Puścił ją, dopiero kiedy zdał

sobie sprawę, jaką przyjemność sprawia mu ten dotyk. Cofnął się o kilka kroków, jakby mogła go zarazić jakąś niebezpieczną chorobą.

- Proszę mi wybaczyć niezręczność - powiedziała zduszonym głosem.

- To moja wina. - Jason wydał policzki z zakłopotania, po czym wolno wypuścił powietrze. - Wydaje się, że dzisiaj niczego nie jestem w stanie zrobić dobrze.

- To był trudny dzień dla nas wszystkich.

- Istotnie. - Przesunął wzrok na jej piersi. - Miała pani rację, panno Ellingham. Przemyślałem tę

sprawę gruntownie i mogę panią zapewnić, że nocny incydent zostanie zachowany w tajemnicy.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Z oczu Gwendolyn nie zniknęła nieufność, ale kiedy się w końcu odezwała, w jej głosie brzmiała ulga.

- Dziękuję panu. Ma pan moje słowo, że nie pożałuje tej decyzji. Uśmiechnął

się odrobinę krzywo i po raz pierwszy w życiu był nierad, że jego znajomość kobiecego ciała nie dorównuje znajomości kobiecego umysłu. O czym teraz myślała?

Czy miała takie same diabelskie, niestosowne, niewłaściwe myśli, co on?

A może podniecała go zupełnie nieświadomie?

Zrobił krok naprzód i jej twarz się zaróżowiła. Jason się uśmiechnął. Dobrze.

Wzajemny pociąg nie był wytworem jego wyobraźni. Interesowała go bardziej, niżby należało.

- Życzymy panu dobrego dnia. - Głos Gwendolyn zabrzmiał piskliwie.

Skłonił się uprzejmie i ujął jej rękę. Nie włożyła rękawiczek ze względu na upał. Jej palce zwięzały się elegancko, paznokcie miała krótko obcięte i ładnie spiłowane, skórę aksamitną. Podniósł jej dłoń do ust, potem zerknął na nią, rzucając jej milczące wyzwanie.

Z jej gardła wydobył się dziwny, zduszony dźwięk. Przestraszył się, że posunął się za daleko, za szybko, być może nawet ją przeraził, ale po chwili uświadomił sobie, że panna Ellingham wcale nie jest przestraszona.

Śmiała się! Nie chichotała nerwowo jak pensjonarka, ale śmiała się głośno, pełną piersią, wyraźnie rozbawiona.

- Panno Ellingham? - powiedział, unosząc brwi.

- Lordzie Fairhurst - odparła, zabierając rękę. - Jest pan niezwykle czarujący.

I niezawodnie przewidywalny.

Opadła we wdzięcznym ukłonie, po czym odwróciła się i wyszła. Siostra ukłoniła się pośpiesznie i także opuściła pokój.

Jason wpatrywał się w drzwi przez dłuższą chwilę. Odjęło mu mowę. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek jakaś kobieta udzieliła mu takiej reprimendy. Niewiasty w każdym wieku domagały się jego uwagi i były zachwycone, gdy zechciał spojrzeć w ich stronę. To, że podszywał się pod brata z jego arystokratycznym tytułem, podnosiło tylko jego atrakcyjność.

Oczywiście, brat był żonaty. To z pewnością odbierało mu część uroku w oczach niezamężnej kobiety, chociaż Gwendolyn Ellingham nie należała do kategorii niezamężnych, dziewiczych, dobrze

ułożonych panien. Jak sama przyznała, była wyrzutkiem. Reguły jej nie dotyczyły.

Co dziwniejsze, brak zachęty ze strony panny Ellingham podniecał go jeszcze bardziej. Przed jego oczami przesuwały się obrazy Gwendolyn w łóżku.

Jason zastanawiał się, czy nie wciągnąć jej w krótki romans. Poczł napięcie w ciele. Człowiek mógł się zagubić w tych oczach, zmysłowych ustach, miękkim ciele - i nie mieć ochoty wracać.

Westchnął. Gwendolyn najwyraźniej postanowiła ignorować jego zapędy.

O ile uda mu się spotykać z nią częściej, nie zdoła sprawić, żeby zmieniła zdanie.

Przyznał niechętnie, że tak byłoby najlepiej. Jego brat spaliłby się ze wstydu, gdyby Jason splamił honor rodziny i zbrukał cześć jego prawowitej małżonki jakąś aferą miłosną. Jeśli miał dalej występować jako brat bliźniak, powinien postępować bardziej powściągliwie i hamować pożądanie.

Śliczna Gwendolyn pozostanie niedostępna. Na razie.

- Śmiałaś się z niego! Och, Gwen, jak mogłaś? - Wiatr poniósł daleko głos Dorothei, ale siostry szły przez otwarte pola, wracając do domu, i nie musiały uważać na słowa.

- Po prostu nie mogłam się powstrzymać. - Gwendolyn urwała, marszcząc brwi. - Spotkanie przebiegało niekorzystnie dla nas i w tamtej chwili zdawałam sobie sprawę, że nie mam nic do stracenia. Zaborcze zachowanie lorda Fairhursta wobec mnie na sam koniec wydało mi się śmieszne. Obawiam się, że jest taki, jak wielu innych mężczyzn. Kiedy nie wie, co robić, bawi się w uwodziciela.

Oczy Dorothei zaokrągliły się ze zdumienia.

- Uwodziciela? Myślałam, że on tylko z tobą flirtuje. Częściowo, żeby mnie ukarać za mój nieszczęsny postępek ubiegłej nocy.

- To też mogło na niego wpłynąć - zgodziła się Gwendolyn. - Nie przychodzi mi do głowy inne wytłumaczenie. Wicehrabia jest bardzo przebiegłym mężczyzną. Za jego zachowaniem coś się kryje, zawsze jest jakiś powód, dla którego postępuje tak, a nie inaczej.

Było coś jeszcze, ale Gwendolyn nie chciała powiedzieć tego głośno.

Odkrycie, że nie jest w stanie z nim dyskutować, podkopało jej naturalną pewność siebie. To dlatego wybuchnęła śmiechem. Miała do wyboru to albo poddać się jego urokowi.

- Cóż, ja byłam zaszokowana jego zachowaniem - powiedziała Dorothea oburzonym tonem.

- Doprawdy? - Gwendolyn uniosła brew. - Zdumiewające u kobiety, która nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu wślizgnęła się do jego łóżka.

Oczy Dorothei rozblęły.

- Moje zachowanie było zupełnie inne. Wynikało z desperacji i nie zaszkodziło nikomu poza mną.

Gwendolyn wiedziała, że powinna się sprzeciwić, ale uznała, że lepiej dać spokój.

- Sądzę, że po mężczyźnie, który niedawno się ożenił, można by się spodziewać większego umiaru i godności w postępowaniu - stwierdziła.

- Może to było zaaranżowane małżeństwo - powiedziała Dorothea. - Może lord Fairhurst nie lubi swojej żony ani ona jego.

Gwendolyn mocniej ściągnęła brwi. Która kobieta mogłaby być nieszczęśliwa, mając męża tak przystojnego i męskiego, jak wicehrabia? Mój Boże, gdyby ona była jego żoną...

Gwendolyn przełknęła ślinę, niezdolna dokończyć myśli.

- Może masz rację, Dorotheo. Może wicehrabia i jego żona nie darzą się miłością. To zwyczajna rzecz wśród arystokracji. Na przyjęciu wiele lat temu słyszałam, jak pewna baronowa mówiła, że cieszy się, iż jej zmarły mąż nigdy jej nie kochał, ponieważ wiedziała, że nie umiałaby odwzajemnić jego miłości.

Dorothea zadrżała.

- Co za smutne życie.

- Tak, bardzo smutne - przyznała Gwendolyn. - Mam nadzieję, że rozumiesz, iż ty sama mogłabyś się znaleźć w takim rozpaczliwym, pozbawionym miłości małżeństwie u boku wicehrabiego, gdyby twój plan się powiódł.

- Chociaż uważasz inaczej, nie jestem aż taką głupią gąską, żeby nie przemyśleć wszystkich konsekwencji mojego uczynku, zanim znalazłam się w łóżku wicehrabiego. Włącznie z możliwością, że mnie odrzuci. - Piękne, błękitne oczy Dorothei patrzyły bystro i zdecydowanie. - Co więcej, w odpowiednich okolicznościach, chętnie poślubię mężczyznę, którego nie kocham.

Gwendolyn spojrzała na siostrę zaskoczona.

- Smutno mi słyszeć, że zadowolilibyś się czymś takim.

Dorothea wzruszyła ramionami.

- To kwestia przeżycia, Gwendolyn. Jeśli jakiś dżentelmen mi się spodoba, jeśli będzie odpowiadał mi wyglądem oraz temperamentem i będzie miał do tego odpowiedni majątek, to będę próbowała zdobyć go dla siebie.

- A co z miłością? Dorothea zachichotała.

- Miłość jest ważna, ale nie ma gwarancji, że będzie trwać. Nigdy nie wyszłabym za mąż za człowieka, jeśli nie istniałaby możliwość, że się w sobie zakochamy. Ale też zawsze będę gotowa na

to, że takie uczucie się między nami nie narodzi. W takim razie będę żoną człowieka, którego lubię i podziwiam. I to mi wystarczy do szczęścia.

Gwendolyn nie była pewna, co powiedzieć. Nie mogła odmówić temu rozumowaniu logiki. Te poglądy na udany związek były wyjątkowo praktyczne i realistyczne, jak na Dorotheę. Co wyjątkowo nie pasowało do jej upartej, impulsywnej, obdarzonej namiętną naturą starszej siostry.

- To niezwykle praktyczny i przemyślany plan - powiedziała powoli.

- Tak. - Dorothea pokiwała głową, najwyraźniej zadowolona z siebie. -

Rozumiem, że małżeństwo to kwestia wygody i majątku. Spodziewać się po nim więcej byłoby czystym szaleństwem, jeśli wybierze się nieodpowiedniego partnera.

Gwendolyn zatrzymała się i stanęła przed siostrą.

- Czy dlatego usiłowałaś zdobyć wicehrabiego z taką determinacją?

Ponieważ sądziłaś, że byłby dla ciebie dobrym partnerem?

- Jest stosownym kandydatem, utytułowanym, przystojnym i zamożnym.

I, jak myślałam, wolnym. - Dorothea przełknęła ślinę. - Poza tym w chwili, kiedy go zobaczyłam, uznałam, że byłby dla mnie dobrym partnerem.

Okoliczności skłoniły mnie do zbyt pośpiesznego osądu. Po dłuższym zastanowieniu i rozmowie z lordem Fairhurst doszłam do wniosku, że błędem byłoby wyjść za niego za męża. Straszliwym błędem.

Gwendolyn uśmiechnęła się szeroko, nie bardzo wiedząc, dlaczego słowa siostry sprawiły jej taką przyjemność, wsunęła rękę pod ramię Dorothei i poszły dalej. Wkrótce dotarły do granic posiadłości wuja.

- Mam tylko nadzieję, że lord Fairhurst szybko zapomni o twoim niewczesnym wybuchu wesołości. - Dorothea przystanęła, mocniej ściskając siostrę za ramię. - Czy myślisz, że mógłby zmienić zdanie i wyjawić komuś, co zaszło w nocy?

- Nie powinien. - Gwendolyn walczyła z wątpliwościami i nagłym przypiływem paniki. Byłyby całkowicie bezradne, gdyby wicehrabia zmienił

zdanie.

- Już po wszystkim, Dorotheo. Najlepiej będzie, jeśli postaramy się o tym zapomnieć - powiedziała, próbując dodać otuchy także i sobie.

Tak jak chciała, te słowa podziałały uspokajająco na Dorotheę. Jednak Gwendolyn nadal dręczyła niepewność. Jej niepokój narastał z każdym krokiem.

Godzinę później Jason przebierał się w strój do konnej jazdy.

- Czego się dowiedziałeś o siostrach Ellingham, Pierce? - zapytał lokaja.

Uczucie napięcia i niepokoju nie opuszczało go, zwłaszcza kiedy przypominał

sobie popołudniową rozmowę. Miał nadzieję, że jazda konna uspokoi jego umysł i ciało.

Pierce obrócił się na obcasie wyczyszczonego do połysku buta, niosąc ostrożnie świeżo wyprasowany kubrak Jasona.

- Słyszałem pogłoski, że panny Ellingham złożyły panu dzisiaj wizytę, chociaż na dole spierano się zawzięcie o to, czy pozwoli pan starszej zostać.

Tak się stało, sądzę więc, że podczas rozmowy dowiedział się pan wszystkiego, czego potrzebował.

- Zaczęły mi opowiadać o skandalu dotyczącym starszej siostry, ale rozmowa wkroczyła na inne tory.
- Jason westchnął ze zdumieniem. - Co uczyniło z panny Ellingham persona non grata? Służba musi znać szczegóły.

Z pewnością coś wiesz.

Pierce rzucił pracodawcy gniewne spojrzenie, które zwykle rezerwował dla źle wychowanej, niższej służby.

- Muszę zachować dyskrecję, starając się zbadać tego rodzaju sprawę. Jako służący z miasta traktowany jestem ze znaczną dozą nieufności ze strony miejscowej służby. Nie mogę przecież ich przesłuchiwać niczym tajniak z Bow Street na tropie jakiegoś kryminalisty.

Jason nie był w nastroju, żeby się sprzeczać. Odpowiedział lokajowi jeszcze twardszym spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że nie dowiedziałeś się niczego?

- Nie zechciał pan wspomnieć, w jakim celu potrzebuje tych informacji -

odparł Pierce.

- I nie zamierzam tego zrobić. - Incydent w sypialni miał pozostać tajemnicą, którą, jak podejrzewał, zabierze ze sobą do grobu.

Pierce westchnął dramatycznie.

- Choć nigdy dotąd nie należałem do tych, którzy dają posłuch plotkom, na pańskie żądanie postanowiłem dowiedzieć się, czego zdołam. I muszę przyznać, że w ciągu minionych dwunastu godzin usłyszałem dość, żeby napisać jedną z tych okropnych powieści Minerva Press. Może nawet dwie.

- Na temat sióstr? - zapytał podniecony Jason.

- Zdecydowanie tak. Kucharka jest kobietą chętną do zwierzeń, wystarczyło wspomnieć nazwisko Ellingham, żeby uraczyła mnie większą liczbą plotek, niż miałem ochotę słuchać.

Jason zrobił krok do przodu.

- No dalej, mów, Pierce. Co to za wielki skandal?

Lokaj łypnął na Jasona, dając do zrozumienia, że temat rozmowy ogromnie go zmęczył. Podniósł butelkowitzelony kubrak. Jason się odwrócił, wkładając go na siebie i zaciskając zęby z niecierpliwości, podczas gdy Pierce wyglądał

fałdy i strzepywał niewidoczne pyłki z rękawów. Jasonowi zależało na tym, żeby dobrze wyglądać, ale Pierce traktował stan jego ubrań stanowczo zbyt poważnie.

- Skandal? - powtórzył niecierpliwie Jason.

Pierce przyłożył dłoń do czoła, jakby usiłując sobie przypomnieć. Był to czysto teatralny gest.

- Według kucharki wypadek miał miejsce przeszło cztery lata temu, ale wciąż budził żywe zainteresowanie miejscowych.

Jason kiwnął głową, zadowolony, że wreszcie uzyska odpowiedź na swoje pytania.

- Wiem, że podróżowała wówczas do Londynu z cioteczną babką.

- Tak. Tak to się zaczęło. Ale nigdy nie dotarły do miasta. Biedna ciotka zachorowała niespodziewanie i zmarła w Berkshire.

- A Gwendolyn z jakiegoś powodu o to oskarżono? - zapytał zaskoczony Jason. - Jakże mogłaby to zrobić? Podejrzewano morderstwo?

- Morderstwo? - Oczy Pierce'a zabłyśły z ciekawości. - To byłaby dopiero zajmująca historia. Warta powieści.

Jason otworzył usta ze zdumienia.

- Oskarżono pannę Ellingham o to, że zabiła swoją krewną?

Lokaj spuścił głowę w geście rzekomego rozczarowania.

- Co to, to nie. Nic takiego nie słyszałem, choć nadal twierdzę, że dzięki temu historia stałaby się dużo bardziej smakowita.

- Do diabła, Pierce, trzymaj się faktów - parsknął Jason.

Lokaj wciągnął powoli powietrze przez nos, ale pod surowym spojrzeniem Jasona, podjął na nowo opowiadanie.

- Po śmierci starszej kobiety, która nastąpiła z przyczyn naturalnych, jej bratanica pozostała w Berkshire.

Jason zmarszczył brwi.

- Po pogrzebie?

Lokaj pokręcił gwałtownie głową.

- Nie, panna Ellingham została w Berkshire po jej śmierci. W miejscowej gospodzie. Sama. Przez siedem dni i sześć nocy przebywała w gospodzie bez towarzystwa przyzwoitki, bez innej kobiety, nawet służącej.

- Dlaczego?

- Służba ciotki została jak najszybciej wysłana, żeby poinformować rodzinę panny Ellingham o wypadku. Jak się wydaje, w tym momencie nastąpiły jakieś niejasności co do zajęcia się ciałem i wuj dziewczyny, Fletcher, zjawił się w Berkshire dopiero po siedmiu dniach. Tak więc panna Ellingham pozostawała zupełnie sama.

Jason postukał niecierpliwie palcami w parapet okna.

- Z pewnością ktoś spośród miejscowej społeczności zaofiarował pomoc samotnie podróżującej kobiecie w tak ponurych okolicznościach? Co z proboszczem?

Pierce skrzyżował ręce na piersi.

- Odrzuciła wszelkie oferty pomocy, a według kucharki było ich wiele. Panna Ellingham nie tylko mieszkała sama w gospodzie, ale też zachowywała się w sposób wielce niestosowny. Kupowała drogie stroje, nieodpowiednie na czas żałoby, spożywała posiłki na dole, w karczmie, piła trunki i wdawała się w rozmowy z mężczyznami. Postępowała skandalicznie.

Jason zwolnił zasuwkę przy oknie i otworzył je na oścież. Ciepły wiatr działał uspokajająco.

- Czy byli jacyś świadkowie tego zachowania?

- Niezupełnie. Jak się wydaje, pani Hollingsworth ma dalekich krewnych w Berkshire, którzy powiadomili ją o tym, co się stało. Chociaż powstały ponoć pewne wątpliwości co do tego, czy owa krewna stanowi źródło godne zaufania.

- Ale uznano te opowieści za prawdziwe?

- Och, tak. Pannę Ellingham potępiono, zanim jeszcze wróciła do domu. Moim zdaniem, to, czego pannie Ellingham było rzeczywiście potrzeba, a czego na nieszczęście jej zabrakło, to świadka, który mógłby bronić jej zachowania, twierdząc, że postępowała nienagannie w nadzwyczaj trudnych okolicznościach.

Jason parsknął gniewnie.

- A zatem, krótko mówiąc, potępiono ją za to, co mogła zrobić?

- W pewnym sensie. - Pierce wyciągnął z szafy buty do konnej jazdy i podniósł je do światła, sprawdzając, czy zostały należycie wypucowane. - Nie ma wątpliwości, że panna Ellingham przebywała bez przyzwoitki, w miejscu publicznym, przez kilka długich dni i nocy. A kiedy pytano ją o to po powrocie, przyznawała, że tak było. W ten sposób przypieczętowała swój los.

Jason odsunął się od okna, usiadł na wskazanym przez Pierce'a krześle i posłusznie podniósł nogę.

- Boże, nie chciałbym być kobietą - mruknął, kiedy lokaj, sapiąc i pochrzając, usiłował wcisnąć mu na nogę dopasowany but. - Cóż za okropna, pełna przerażających ograniczeń egzystencja.

Nie wydawało się, żeby panna Ellingham popełniła jakąś zbrodnię.

Okoliczności postawiły ją w niezwykle trudnej sytuacji i choć nie podjęła wówczas, być może, najmądrzejszych decyzji, spotkała ją kara zdecydowanie zbyt surowa.

Jason pomyślał o swojej siostrze, Meredith, inteligentnej, obdarzonej otwartym umysłem kobiecie. Ona także doświadczyła wielkich przykrości ze strony społeczności, która nie chciała jej zaakceptować. Gdyby nie małżeństwo z markizem i stanowcze poparcie teścia, księcia Warwick, Meredith mógł

spotkać los podobny do losu Gwendolyn.

Wciąż myślał o nieszczęściu Gwendolyn, przemierzając konno ziemie należące do majątku. Wybrał się na przejażdżkę, żeby szczegółowo zbadać stan gruntów, pól, sadów, bydła i gospodarstw dzierżawców, ale trudno mu się było skupić.

Jechał tak, jak zwykle, kiedy bywał na wsi - szybko i nie zważając na drogę.

Przeskakiwał strumienie i płoty, zmuszając wierzchowca do wciąż szybszego biegu. Kiedy zwierzę się zmęczyło, wrócił do rezydencji z nieco jaśniejszą głową.

W domu skierował się do gabinetu, zamierzając jeszcze raz przejrzeć księgi rachunkowe. Zwracając się ku zamkniętym drzwiom gabinetu, kątem oka zauważył Cyrila Ardleya. Zarządca majątku siedł korytarzem wraz z dystyngowanym dżentelmenem w średnim wieku. Rozmawiali, śmiejąc się, i w pewnym momencie Ardley podniósł ramię i klepnął towarzysza w plecy.

Jason, z jakiegoś powodu niezadowolony z tego, co zobaczył, odwrócił się od drzwi, czekając, aż mężczyźni go dostrzegą.

- Dzień dobry, lordzie Fairhurst.

- Ardley. - Jason kiwnął głową, patrząc pytająco na drugiego dżentelmena.

- Pamięta pan pana Fletchera Ellinghama? - zapytał zarządca.

- Oczywiście. Dzień dobry, Ellingham. - Do diabła. Brat zawarł przynajmniej powierzchowną znajomość z wujem Gwendolyn i Dorothei. To odkrycie go zaniepokoiło.

- Fairhurst.

Jason ukrył zaskoczenie tą poufałością, dochodząc do wniosku, że Fletcher Ellingham musi zajmować dostatecznie wysoką pozycję, żeby móc równać się z parem. Albo może znajomość z jego bratem nie była taka powierzchowna.

Denerwowało go, że nie może dowiedzieć się więcej na ten temat.

Jednak jeśli Ellingham mógł się równać z wicehrabią, to dlaczego przyjaźnił się z zarządcą majątku? Najwyraźniej przyszedł tu dzisiaj, żeby się z nim zobaczyć.

Po co?

- Mam nadzieję, że odwiedzivszy nasze strony, znajdzie pan czas, aby wstąpić do nas któregoś popołudnia na herbatę - powiedział Ellingham. - Moja żona będzie zachwycona, mogąc pana poznać, podobnie jak moja bratanica Dorothea.

Jason spojrzał mu prosto w oczy.

- O ile dobrze pamiętam, ma pan więcej niż jedną. Bratanicę, rzecz jasna, nie żonę.

Ardley się zaśmiał, ale Fletcher Ellingham nie skrzywił się nawet. Odchrząknął

tylko i popatrzył na Jasona z lekką niechęcią.

- Zgadza się, mój panie. Mam więcej bratanic. Piękne dziewczęta, świetne damy. Opieka nad nimi to wielka odpowiedzialność, ale to córki mojego młodszego brata, więc moja żona i ja uznaliśmy za chrześcijański obowiązek zająć się nimi, kiedy ich rodzice niespodziewanie umarli.

A jednak zawiodłeś ogromnie jako opiekun. Jasona ogarnął gniew na myśl, że Ellingham nie potrafił zapewnić Gwendolyn dostatecznej ochrony. Może oceniał

go zbyt surowo, ale, ostatecznie, ktoś musiał być za to odpowiedzialny.

Zapadła długa cisza, która sprawiała wrażenie zawieszenia broni. Ellingham przerwał milczenie, żegnając się. Jason zauważył, że obaj mężczyźni wymieniają ukradkowe spojrzenia, a potem Ardley także się odwrócił, żeby odejść. Jason postanowił go zatrzymać.

- Chciałbym z panem porozmawiać, Ardley. Teraz jest odpowiednia chwila.

Nie zdecydowałby się na żadne spotkanie, czy to w interesach, czy to towarzyskie, kiedy był tak spocony i ubłocony pojeździe konnej. Jednak chęć wykorzystania elementu zaskoczenia przeważała nad potrzebą kąpieli i świeżego ubrania.

- Powiniennem być w stajni, żeby obejrzeć konia gospodarskiego, zakupionego ostatnio od pana Kitteringa - odparł Ardley. – Sprzedaż nie zostanie sfinalizowana, dopóki nie uznam, że zwierzę jest odpowiednie.

- To może poczekać. - Jason zmrużył oczy nieprzyjemnie.

Zarządca spuścił powieki.

- Jak pan sobie życzy.

Jason odsunął się od drzwi, przepuszczając Ardleya. Celowo poprowadził go do biurka i wskazał jedno z krzeseł, sam natomiast usadowił się w wygodnym, obitym brązową skórą fotelu, w którym, jak wiedział, zwykle siadywał Ardley.

To nie było przypadkowe. Chciał podkreślić fakt, że jest tutaj panem. Miał

wrażenie, że zarządca dla własnej wygody o tym zapomniał, ale błysk gniewu w jego oczach przekonał Jasona, że Ardley rozumie, co się dzieje.

- Zeszłego wieczoru, zanim poszedłem spać, poświęciłem parę rodzin na przejrzenie ksiąg rachunkowych. Znalazłem kilka błędów w dodawaniu -

powiedział Jason. Otworzył oprawiony w skórę tom i popchnął przez biurko.

Ardley przysunął go do siebie i starannie przejrzał miejsca, w których Jason znalazł błędy. Jason początkowo się zdziwił, jak łatwo było je znaleźć. Śmiechu warte, jeśli ktoś naprawdę sądził, że można w ten sposób okradać majątek, źle dodając kolumny i zgarniając różnicę do kieszeni

Ale kiedy analizował cyfry, zorientował się, że nie wszystkie pomyłki służyły złym celom. W paru wypadkach suma przewyższała tę faktycznie zebraną, w innych na odwrót. Byłoby zatem trudno dowieść, że błędy wprowadzono celowo, mimo że w ostatecznym rozrachunku dochody z posiadłości się kurczyły.

Ardley zachował obojętny wyraz twarzy, odsuwając od siebie księgę.

- Proszę wybaczyć. Po datach mogę stwierdzić, że to robota młodego Thomasa Lee.

- Kto to?

- Praktykant. Albo raczej były praktykant. - Ardley potarł czoło palcami lewej dłoni. - Na początku zeszłego roku, w charakterze przysługi dla jednej z miejscowych rodzin, przyjąłem ich syna na

praktykę.

Jason oparł się na krzesło.

- Niedoświadczony pracownik powinien znajdować się pod ścisłym nadzorem.

- To prawda. - Ardley skinął głową. - Był pilnym i pracowitym uczniem.

Jego praca pod wieloma względami nie pozostawiała nic do życzenia. Na nieszczęście nie odkryłem, że brak mu zdolności matematycznych. Prowadził

rachunkowość przez większość roku, zanim się zorientowałem, jak rzeczy stoją.

- To zaniedbanie z pana strony - orzekł Jason, podnosząc wzrok na twarz zarządcy i posyłając spojrzenie, które powinno zmrozić mu krew w żyłach.

Ale Ardley ledwie mrugnął.

- Myślałem, że wyłowiłem i poprawiłem wszystkie błędy. Proszę wybaczyć te, których nie zauważyłem.

- Czy to powszechna praktyka, żeby brać uczniów do posiadłości tych rozmiarów?

- To nie jest czymś niezwykłym. Może pamięta pan, że pisałem do pana list z pytaniem, czy mogę zatrudnić chłopaka, a potem drugi, z informacją, że umowa nie została przedłużona.

- Nie studiowałem ich zbyt uważnie - odparł Jason, przekonany, że gdyby zarządca istotnie wysłał listy do brata, Jasper przeczytałby je z całą uwagą.

- Jak zawsze, doceniam pańskie zaufanie - powiedział Ardley. - Czy jest coś jeszcze, o czym pragnie pan powiedzieć?

- Nie w tej chwili - mruknął Jason.

Spodziewał się, że Ardley wypadnie z pokoju rozzłoszczony, ale zaraz zdał

sobie sprawę, że zarządca jest zbyt sprytny, żeby tak łatwo się zdradzić.

A jednak na czole Ardleya pojawiła się lekka zmarszczka. Drobnym, ale istotnym sygnałem, że zdołał podważyć pewność siebie zarządcy. Jason stwierdził, że może to uznać za zwycięstwo, pierwsze z wielu w walce o wydobycie finansów majątku z mętnego bagna.

Jak się okazało, jego radość była przedwczesna. Był to jedyny triumf Jasona w ciągu wielu dni.

Dni mijały i tydzień później Jason zmuszony był przyznać, że znalazł się w martwym punkcie. Nie zbliżył się ani o krok do rozwiązania kwestii finansów w posiadłości. Brak widocznych postępów bardzo go przygnębiał.

W ciągu tygodnia odwiedził wszystkie gospodarstwa dzierżawców, rozmawiając z gospodarzami, o ile się to okazało możliwe. Wyniki ich pracy widać było gołym okiem i Jason nie wątpił, że są uczciwi. Dobytek utrzymywano w dobrym stanie. Rentę płacono na bieżąco.

Wszyscy bez wyjątku chwalili Cyrila Ardleya jako dobrego zwierzchnika i rozsądnego człowieka. Jason przyjmował te zapewnienia z wahaniem. Dobry stan majątku dowodził zręcznego kierownictwa i ciężkiej pracy zarządcy, a jednak nie dało się zaprzeczyć, że pieniądze odpływały, nie wiadomo dokąd.

Wszędzie powtarzały się drobne nieścisłości. Niedodane sumy w księgach, nieprawidłowe działania, wpłata z dzierżawy odnotowana w księdze, ale nieuwzględniona w ogólnym rachunku. W każdym wypadku chodziło o małe sumy, które łatwo można było wyjaśnić jako pomyłki, jednak dodane do siebie stanowiły już pokaźną kwotę.

Najprościej byłoby zwolnić Ardleya. Jako zarządca powinien doglądać wszystkich spraw majątku, a wydawało się, że niektóre zaniedbał. Jason podejrzewał, że to Ardley zgarnia dla siebie pieniądze, ale nie miał na to dowodu. Brat zatrudnił Ardleya przed wieloma laty, kiedy odziedziczył majątek, i darzył go wielkim szacunkiem.

Ponadto nie wolno było niszczyć człowiekowi reputacji, nie mając dowodów na poparcie oskarżeń, zwłaszcza tak poważnych. Ardley nigdzie nie dostanie pracy, jeśli rzeczywiście winny jest defraudacji.

Siedząc samotnie w gabinecie, z piórem w ręku, Jason usiłował napisać list do brata. Męczyło go to - zwykle rzadko pisywał listy, a ponadto niewiele miał do zakomunikowania.

Upokarzało go, że musi się przyznać do porażki, chociaż brat i rodzina tyle się po nim spodziewali. W tej chwili mógł jedynie potwierdzić, że pieniądze rzeczywiście zniknęły z majątku, o czym wiedzieli już, zanim tu przybył.

Pytanie, kto i w jakim celu je kradł, dręczyło Jasona w dzień i w nocy.

Wiedział doskonale, że samo odkrycie złodzieja nie zadowoli brata. Jasper będzie chciał się dowiedzieć, dlaczego zabierano pieniądze i na co zostały przeznaczone.

Głównym podejrzanym pozostawał Cyril Ardley, zarządca majątku. Ale Ardley pracował w majątku dziesięć lat. Dlaczego pieniądze zaczęły zniknąć dopiero teraz? Co się zmieniło w życiu Ardleya? Jason sądził, że klucz do tajemnicy znajdzie, dowiadując się więcej o zarządcy.

- Kolejne zaproszenia, jasnie panie - oznajmił majordom Snowden, wchodząc do gabinetu. - Gdzie mam je położyć?

- Na biurku razem z innymi - odparł Jason zmęczonym głosem.

Służący zrobił, co mu polecono, po czym się zawahał.

- Ponieważ nie ma pan ze sobą sekretarza, chciałbym zaoferować swoje usługi w razie potrzeby.

- Dziękuję. To miło z twojej strony podejmować się dodatkowych obowiązków, ale sam dam sobie radę z przeglądaniem korespondencji.

- Doskonale. - Snowden skłonił głowę. - Jeśli mogę pozwolić sobie na śmiałość, to chętnie odpowiem na wszystkie pytania jasnie pana dotyczące miejscowych. Będę zaszczycony, mogąc podzielić się swoją wiedzą.

To była kusząca propozycja, ale Jason nie odważył się jej przyjąć. Chociaż jego podejrzenia skupiały się na Ardleyu, nie mógł na razie wykluczyć winy kogoś spośród wyższej służby. Byłoby niemądrze zaufać na tym etapie komukolwiek.

- Nie zapomnę zapytać, jeśli zajdzie potrzeba.

Lokaj się grzecznie skłonił i wyszedł. Uwagi służącego zepsuły Jasonowi humor. Potrzebował pomocy, a właściwie nikogo nie mógł o nią poprosić. Jako że Ardley aktywnie uczestniczył w życiu miejscowego towarzystwa, Jason zdawał

sobie sprawę, że musi poznać ludzi, stworzyć sobie okazję, żeby obserwować zarządcę w jego żywiole. Tyle że ta strategia mogła łatwo obrócić się przeciwko niemu.

Chociaż Jasper nie był w posiadłości przez ostatnie trzy lata, wydawało się jasne, że znał sporo osób z miejscowego towarzystwa. Szczęśliwym trafem Jasonowi udało się wyjść z twarzą ze spotkania z panią Hollingsworth i Fletcherem Ellinghamem, ale byłoby szaleństwem rzucać się w wir życia towarzyskiego bez asysty. Potrzebował kogoś, kto pomógłby mu się obracać w miejscowych kręgach towarzyskich. Przed oczami stanął mu nagle obraz Gwendolyn Ellingham. Z cichym westchnieniem Jason odrzucił tę myśl, ale i tak nie dawała mu ona spokoju.

Pod wieloma względami Gwendolyn byłaby idealna do tej roli. Znała wszystkich. Była trzeźwo myślącą kobietą o bystrym umyśle. A co najważniejsze, miała wobec niego zobowiązania - chciała utrzymać postępek siostry w tajemnicy.

To mu dawało przewagę w negocjacjach ze starszą z panien Ellingham.

Uśmiechając się ponuro, Jason próbował sobie wyobrazić reakcję Gwendolyn na jego żądanie. Będzie przerażona i oznajmi mu, że nie uczestniczy w wydarzeniach towarzyskich, ponieważ nie jest na nie zapraszana. Kto jednak ośmieli się odmówić jej wejścia, jeśli zjawi się pod rękę z lordem Fairhurst?

W gruncie rzeczy skandal z przeszłości Gwendolyn odwróci uwagę gości od tego, że zadaje zbyt wiele pytań. Ardley był sprytny. Jason wiedział, że nie wolno mu wzbudzać podejrzeń.

Tak więc zaraz po lunchu Jason włożył swój najlepszy strój, przygotowując się do złożenia wizyty rodzinie Ellingham. Przebył drogę konno, nie chcąc jechać powozem niby jakiś wychuchany dandys. Konna przejażdżka i świeże powietrze rozjaśniły mu w głowio i wzmocniły postanowienie, żeby rozwikłać zagadkę.

Dom Ellinghamów był skromną, wzniesioną z kamienia, budowlą. Nie odznaczał się żadnym określonym stylem architektonicznym, ale i tak robił

przyjemne wrażenie, podobnie jak zadbana posiadłość wokół.

Wjechał przez bramę, zatrzymując konia przed porośniętą bluszczem furtką do małego ogródka. Pośrodku dziedzińca wznosiła się raczej niegustowna fontanna. Nieproporcjonalnie duża, odbierała nieco uroku domowi, ale plusk wody działał uspokajająco i natychmiast przyciągnął uwagę spragnionego konia.

Jason zsunął się na ziemię, czekając, aż pojawi się służący, który zajmie się koniem. Po paru minutach uznał, że pozwoli zwierzęciu napić się z ozdobnej fontanny, skoro nie ma się kto nim zająć.

Na szczęście chłopak stajenny przyszedł, kiedy koń Jasona skierował się do fontanny. Przestraszony, dotykając krawędzi czapki, zapytał, czy może w czymś pomóc.

- Przyjechałem z wizytą. Poprowadź konia wolno, żeby ostygł, a potem daj mu wody - polecił Jason, rzucając chłopakowi monetę.

Młodzieniec złapał pieniążek, kiedy leciał wysoko w powietrzu, i schował

go z uśmiechem do kieszeni.

- Zajmę się nim, jaśnie panie.

Wierząc chłopcu na słowo, Jason skierował się do drzwi frontowych. Na pukanie otworzyła starsza kobieta, która uśmiechnęła się przyjaźnie i zaprosiła go do środka. Pęk kluczy u jej pasa wskazywał, że jest gospodynią. Jason nie był zaskoczony, że w domu nie zatrudniono lokaja. Nie pasowałoby do tak skromnego obejścia.

Gospodyni wyciągnęła ku niemu małą, srebrną tackę i Jason poczuł się niezręcznie. Nie miał wizytówek z imieniem i tytułem brata. Jeszcze jedna z konsekwencji podjętej naprędce decyzji, żeby się pod niego podszyć.

- Jestem lord Fairhurst - oznajmił, ściągając kapelusz z głowy. - Czy państwo są w domu?

Pytanie wydawało się wprawić służącą w zmieszanie. Podniosła tackę wyżej, podsuwając ją niemal Jasonowi pod nos.

- Pańska wizytówka?

- Obawiam się, że wszystkie rozdałem. - Uśmiechnął się czarująco. - Czy zechciałabyś przekazać wiadomość o moim przyjeździe i zapytać, czy zostaną przyjęty?

- Och, przyjmą pana, oczywiście - szepnęła kobieta. - Wrócę za chwilę.

Zjawiała się po chwili, jak zapowiedziała. Poszedł za nią krętą klatką schodową i dalej korytarzem w stronę zamkniętych drzwi. Wystrój pokoi, które mijał po drodze, wydawał się gustowny, choć skromny. Siostry Ellingham może nie opływały w luksusy, ale z pewnością nie cierpiały biedy.

Gospodyni zapukała krótko, zanim otworzyła drzwi. Jason wkroczył do środka. Szybko się rozejrzał i spostrzegł Gwendolyn. Z piórem w ręku, pochylała się nad biurkiem.

- Lord Fairhurst - oznajmiła gospodyni uroczyście.

Gwendolyn podniosła gwałtownie głowę, mrużąc oczy, jakby nie dowierzała własnym uszom. Złożyła papier, na którym pisała, i schowała go do szufladki.

Zerknęła w lewo i przez jej twarz przemknął wyraz, który trudno byłoby nazwać przyjemnym.

- Mój Boże, ciociu Mildred, powinnaś nam powiedzieć, że ktoś przybył

z wizytą.

Starsza kobieta, do której się zwróciła, uśmiechnęła się przelotnie, wzruszając ramionami. Gwendolyn zacisnęła usta ze zdenerwowania.

Odwróciła głowę i posłała Jasonowi gniewne i niepewne spojrzenie, zachowując jednak panowanie nad sobą. Widać było, że jego pojawienie się mocno ją niepokoi.

Jasonowi podobała się przenikliwość w jej wzroku. Wolał kobiety obdarzone osobowością od nijakich. Uśmiechnął się do niej niewinnie.

Zwróciła na niego spojrzenie, które przewiercało go na wylot, wywołując w nim uczucie przyjemnego ciepła.

W tej chwili Jasonowi przyszło do głowy, że nigdy nie spotkał tak ślicznej i pociągającej kobiety. Musiał zwalczyć pokusę, żeby podejść do niej bliżej, zwłaszcza że nie byli sami w pokoju.

Przeniósł uwagę na pozostałe osoby. Dorothea otworzyła usta z przerażenia.

Przyglądała mu się spod gęstych, jasnych rzęs. Uznał, że trzecia, siedząca obok Dorothei, dziewczyna musi być najmłodszą z sióstr, Emmą. Trzymała w dłoniach szkicownik i miała poważny wyraz twarzy. Ukłonił się w jej stronę i dziewczyna się ożywiła, pozwalając sobie na uśmiech. Patrzyła na niego ciekawie.

- Co za miła niespodzianka. - Obok niego stanęła tęga, siwowłosa dama, którą Gwendolyn nazwała ciotką Mildred. - Tak się cieszę, mogąc w końcu pana poznać. - wyciągnęła rękę i Jason ujął ją, kłaniając się z wdziękiem.

- Pani Ellingham. Proszę wybaczyć najście. Pan Ellingham zaprosił mnie, kiedy bawił w Moorehead Manor w zeszłym tygodniu i postanowiłem skorzystać z miłej oferty. Mam nadzieję, że nie zjawiam się w niewłaściwym momencie.

- Och, mój Boże, ależ skąd. - Szczebiotała, przewracając oczami, jakby myśl, że mógłby przeszkadzać, była pozbawiona sensu. - To wspaniała okazja, żeby poznać moje bratanice. Dziewczęta.

Gwendolyn z pewnym trudem zastosowała się do polecenia, ale w końcu stanęła przed nim, pomiędzy siostrami, opuszczając ramiona i lekko marszcząc czoło. Pani Ellingham była zbyt podniecona, żeby zwrócić na to uwagę.

Przedstawiła dziewczęta w wyszukany sposób, z niemądrym uśmiechem triumfu na twarzy.

Jason bawił się doskonale. Przywykł, że kobiety poświęcają mu dużo uwagi, ale jako młodszego, pozbawionego tytułu, bliźniaka, nigdy nie traktowano go z takimi honorami.

- Jestem zachwycony, mogąc panie poznać - powiedział z uśmiechem. -

Zwłaszcza że tyle o was słyszałem.

Pani Ellingham zamrugnęła oczami, spojrzała wprost na Gwendolyn, a potem zrobiła

zbołą

minę.

Gwendolyn

zesztywniała.

Rozbawienie

Jasona natychmiast się ulotniło. Przeklęty język! Nie zamierzał robić żadnych aluzji.

Pani Ellingham zacisnęła wargi. Jason zastanawiał się, czy przeprosiny polepszyłyby, czy pogorszyły sytuację, kiedy starsza kobieta się odezwała:

- Proszę, musi pan napić się z nami herbaty.

Niemal westchnął z ulgą.

- Będę zaszczycony. Dziękuję. - Usiadł na kanapie naprzeciwko pani Ellingham, starając się nie

zwracać uwagi na niespokojne spojrzenia dwóch starszych sióstr.

Pani Ellingham zadzwoniła na służącą. Dziewczęta usiadły i Jason się zdziwił, widząc Gwendolyn obok siebie. Uznał, że to dobry znak, póki nie uchwycił jej nieufnego spojrzenia.

Pod przewodnictwem pani Ellingham zaczęli prowadzić nudną towarzyską rozmowę. Jason widział, że Gwendolyn i Dorothei trudno jest zachowywać się wesoło i przyjaźnie, ale bardzo się starały. Sytuacja przypominała mu salony Londynu, które tak umiejętnie omijał.

Podano herbatę. Pani Ellingham instruowała służbę, gdzie co ustawić. Jason wykorzystał okazję, żeby pochylić się do Gwendolyn i szepnąć parę słów.

- Chce pan, żebym co zrobiła? - Jej głos był pełen zdumienia, zabrzmiał

głośno i piskliwie.

Ciotka i siostry spojrzały na nią z ciekawością. Jason się pochylił, oparł rękę na kolanie i odezwał się szeptem, nie chcąc, aby inni słyszeli.

Gwendolyn zerknęła na pozostałe kobiety. Skupiły się przy tacy z herbatą, usiłując wyglądać na zaaferowane przygotowaniem poczęstunku, ale Gwendolyn była pewna, że łowią każde słowo wypowiedziane przez wicehrabiego.

Lord Fairhurst również spojrzał na kobiety, a potem jęknął cicho.

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

- Sami? - wyjąkała Gwendolyn.

- Tak byłoby najlepiej.

- Niemożliwe! To wystarczająco niezwykle, że pozwolono mi wypić z panem herbatę. Nigdy nie zostaję w salonie, kiedy przychodzą goście.

- Muszę z panią porozmawiać bez świadków.

Gwendolyn się wyprostowała.

- Mogę panu pokazać ogród różany. Nie jest taki śliczny, jak w Moorehead Manor, ale będziemy tam sami. Zabierzemy Emmę ze względu na konwenanse.

- Na jego skrzywioną minę, dodała: - Emma będzie najlepsza jako przyzwoitka.

Potrafi być cicha i niezauważalna, jeśli się ją poprosi.

- Skoro pani nalega.

Walcząc ze strachem, Gwendolyn zwróciła się do reszty towarzystwa.

Usiłowała nadać głosowi obojętny ton.

- Lord Fairhurst zainteresował się twoimi różami, ciociu Mildred. Chętnie pokażę mu ogród. Emma może się do nas przyłączyć.

Ciotka, zmieszana, uniosła talerz ciasteczek z kremem.

- Ale... właśnie podano herbatę.

- Wrócimy, zanim wystygnie. - Gwendolyn spojrzała znacząco na siostrę. -

Emmo?

Oczy młodej dziewczyny się zapaliły.

- Z przyjemnością będę wam towarzyszyć - powiedziała z ożywieniem.

Emma poszła przodem. Po chwili wahania Gwendolyn położyła leciutko koniuszki palców na ramieniu lorda Fairhurst. Unikając ciekawych spojrzeń ciotki i Dorothei, wyszła z pokoju.

Korytarz był tak wąski, że biodro Gwendolyn ocierało się o udo wicehrabiego. Nie okazał, że jest tego świadom, ale ciepło jego umięśnionego, twardego ciała poraziło jej zmysły. Poczuli się jeszcze bardziej niezręcznie.

Dlaczego lord Fairhurst ich odwiedził? Dlaczego chciał z nią porozmawiać w cztery oczy? Chociaż nie miała na to ochoty, Gwendolyn uważała, że rozsądniej jest zastosować się do jego życzenia niż otwarcie mu się przeciwstawić.

Szli alejką. Emma paplała z przejęciem, pokazując wicehrabiemu najpiękniejsze okazy kwiatów; Jason odpowiadał uprzejmym, obojętnym

tonem. Kiedy dotarli do fontanny w której pulchny cherubinek przechwalał

wodę z dzbana, Gwendolyn odsunęła się od wicehrabiego i chwyciła siostrę za rękę.

- Potrzebuję paru chwil na osobności z lordem Fairhurst. Poczekaj nas przy altance różanej.

- Gwen! - Emma podniosła oczy do nieba. - Dlaczego zawsze jestem wykluczona z wszelkiej zabawy?

Gwendolyn ujęła dłoń siostry ściskając ją mocno.

- Wierz mi, Emmo, w tym nie ma nic z zabawy.

- Zawsze tak mówisz - mruknęła dziewczyna, wydymając wargi niechętnym grymasie. Spojrzała na

wicehrabiego. - Obejdę mały staw wolnym krokiem, ale tylko raz.

- Dziękuję. - Gwendolyn odczekała niecierpliwie, aż Emma odeszła, po czym zwróciła się do Jasona.
- Proszę powiedzieć, o co chodzi, lordzie Fairhurst. Ciekawość Emmy jest niczym w porównaniu ze wścibstwem ciotki.

Nie pozwoli nam zostać tu długo.

Lord Fairhurst uniósł brew.

- Jest pani niezwykle bezpośrednia, panno Ellingham.

- To jedna z moich największych zalet. - Uśmiechnęła się z fałszywą słodyczą. - Proszę mi wyjaśnić, w czym rzecz. Miałam wrażenie, że

powiedzieliśmy sobie już wszystko w zeszłym tygodniu w pana salonie.

Dlaczego pan przyjechał?

- Chciałbym wziąć udział w kilku imprezach towarzyskich, podczas mojego pobytu w Moorehead Manor, i pragnąłbym zapewnić sobie towarzystwo damy.

- Zatem niech pan sprowadzi żonę.

- Lady Fairhurst nie przepada za wiejskim otoczeniem.

- Szkoda. - Rzuciła mu wysoce sceptyczne spojrzenie. - Jeśli pan nalega, mogę pomówić z Dorothea, ale nie jestem pewna, czy się zgodzi.

- Nie o Dorotheę mi chodzi. Chcę pani.

Gwendolyn poczuła falę gorąca. Milczała przez dłuższą chwilę wpatrując się w ogród.

- Musiałam się z pewnością przesłyszeć, mój panie.

- Nie przesłyszała się pani. - Podszedł krok bliżej. - Chcę towarzystwa kogoś o trzeźwym umyśle i powściągliwego w zachowaniu, To musi być pani.

Był pewien, że się zgodzi i denerwowało ją to. Widać było, że przywykł

stawiać na swoim. Cóż, nie tym razem.

- Pański plan ma jedną zasadniczą wadę. Towarzystwo mnie nic akceptuje, zatem nie mogę występować na balach i przyjęciach u pańskiego boku.

- Moja droga panno Ellingham, to wszystko się zmieni.

Coś ścisnęło ją w gardle. Oddychała z trudem. Nie chodziło o słowa, ale o siłę, z jaką zostały

wypowiedziane. Stać się ponownie członkiem towarzystwa. Zupełnie oszalał!

Zaśmiała się nerwowo.

- Pański żart był raczej w złym tonie.

Odwróciła się, chcąc odejść. Chwycił jej rękę i przyciągnął do siebie, nie puszczając nadgarstka.

- Mówię poważnie.

- Jest pan szalony! - odparła, wykręcając rękę i nadaremnie usiłując się uwolnić. - Dlaczego potrzebuje pan właśnie mnie?

- Dobre pytanie. - Zerknął przez ramię, upewniając się, czy Emma nie jest w zasięgu słuchu. - Najpierw poproszę, aby zachowała pani wyłącznie dla siebie to, co powiem. Musi pani przyrzec, że nie zdradzi tego nikomu, nawet Dorothei.

Tajemnicze zachowanie wicehrabiego ją zaintrygowało. Wbrew rozsądkowi, Gwendolyn odparła:

- Jeśli pan sobie tego życzy, dotrzymam tajemnicy.

Skinął głową.

- W istocie, z wielu powodów, chciałbym chodzić na przyjęcia w towarzystwie damy, ale w pewnych okolicznościach staje się to wręcz koniecznością. Widzi pani, zapamiętywanie nazwisk sprawia mi ogromną trudność,

nawet

jeśli

parę

razy

miałem

okazję

kogoś

spotkać.

Dlatego też niekiedy czuję się niezręcznie w takich sytuacjach. Wszyscy mnie znają, a ja nie pamiętam niemal żadnego nazwiska.

Gwendolyn pokręciła głową, uśmiechając się lekko.

- To mógłby być pewien kłopot w Londynie, ale tutaj, na prowincji, nie ma znaczenia, czy pamięta pan czyjeś nazwisko, czy nie. Jest pan wicehrabią, a oni... cóż, oni nie są.

Jason się skrzywił.

- To świadectwo złych manier nie zwracać się do kogoś po nazwisku zwłaszcza jeśli poprzednio zostaliśmy sobie przedstawieni.

Gwendolyn uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Takiego zachowania niemal się po panu oczekuje. Wszyscy wiedzą, że arystokraci są ekscentryczni. To zresztą pospolita wymówka, żeby

usprawiedliwić ich dziwne zachowania.

Lord Fairhurst rzucił jej spojrzenie pełne irytacji.

- Nie jestem ekscentryczny ani dziwny i nienawidzę złych manier.

Ale jego żądanie było pozbawione sensu, biorąc pod uwagę jej reputację.

Czyżby lord Fairhurst o tym zapomniał?

- Okaże pan jak najgorszy gust, zabierając mnie na przyjęcie - odparła lekkim tonem, mając nadzieję, że znalazła dobry powód, żeby go zniechęcić do tego żalostnego pomysłu. - Nie jestem przyjmowana w domach osób liczących się w towarzystwie.

- Barringtonowie nigdy nie robią czegoś w złym guście - oświadczył

wyniośle. - Jeśli będzie mi pani towarzyszyć, będzie to jak najbardziej na miejscu.

Gwendolyn spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Zapamiętał pan nazwisko moje i mojej siostry, i nasze imiona. Może pańska pamięć nie jest jednak najgorsza.

- Najwyraźniej stanowicie wyjątek. Musicie odznaczać się czymś, co powoduje, że trudno was zapomnieć. - Jego usta drgnęły. - Na nieszczęście to nie dotyczy innych mieszkańców Willoughby.

Mówił poważnie! Gwendolyn zaczęła pocierać ramiona, czuła, że z niepokoju dostała gęsiej skórki.

- Moja garderoba jest rozpaczliwie niemodna. Trudno byłoby mi znaleźć coś odpowiedniego, żeby się pokazać w towarzystwie - szepnęła.

Wicehrabia zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Zamówienie czegoś w Londynie zajęłoby zbyt dużo czasu, ale znajdzie się chyba jakiś miejscowy

krawiec, który umie uszyć modne suknie. Naturalnie pokryję wszelkie wydatki.

- Nie może pan płacić za moje stroje! Wszyscy uznają, że zostałam pańską kochanką! - Nadal czuła ścisk w żołądku, ale siłą narzuciła sobie spokój.

- Proszę o wybaczenie. To trafna uwaga. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak to można odebrać. - Zaciśnął usta. - Zamówi pani potrzebne stroje, a ja zwrócę koszt. Nikt się nie dowie. Proszę mi wierzyć, panno Ellingham, potrafię być uosobieniem dyskrecji.

- Niezbyt mnie to podnosi na duchu - parsknęła Gwendolyn. - Jak wytłumaczę się z nowej garderoby przed ciotką i wujem?

Sapnął gniewnie, najwyraźniej zirytowany jej sprzeciwem.

- Pani zastrzeżenia są uzasadnione, ale na wszystko znajdzie się rada. Przyjadę jutro rano i zabiorę panią na przejażdżkę, żebyśmy mogli to jeszcze omówić.

- Będziemy potrzebować przyzwoitki - powiedziała szybko, zadowolona z kolejnej przeszkody.

- Czy Emma jeździ konno?

- Już nie. Parę lat temu spadła z konia, ale pamięta ten wypadek i boi się usiąść w siodle.

- Wezmę jednego ze stajennych.

Gwendolyn chciała odmówić. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał ją, że ze znajomości z wicehrabią nie wyniknie nic dobrego. Pomysł pokazywania się z nią w towarzystwie był nie do przyjęcia. Jednak nie ulegało wątpliwości, że wicehrabia rzadko spotykał się z odmową.

Gwendolyn ruszyła wolno w stronę domu. Chciała porozmawiać szczerze, powiedzieć, że wolałaby się nie narażać na upokorzenia, ale nie chciała prowokować jego gniewu świeżo po incydencie z Dorotheą.

Mógł jeszcze zmienić zdanie i wywołać skandal. Bezpieczniej było się zgodzić.

Na razie.

- Proszę być tutaj jutro o ósmej - powiedziała. Z trudem zdobyła się na spokojny ton. - Pojedziemy, zanim zrobi się ciepło i zanim zbyt wielu ludzi wyjdzie z domów.

- Jak pani sobie życzy. - Ukłonił się uprzejmie; uosobienie łaskawości.

Gwendolyn zeszywniała. Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Co za nonsens. Oboje wiedzieli, że to nieprawda. Przez jedną szaloną chwilę Gwendolyn chciała zaprzeczyć, zmusić go do uznania prawdy. Ugryzła się jednak w język. Zyskała na czasie. Teraz musiała go tylko przekonać o bezsensowności jego szalonego planu.

Następnego ranka Gwendolyn usadowiła się w siodle bokiem, wsuwając wolną stopę w strzemię, które przytrzymał dla niej stajenny wicehrabiego.

Wyprostowała się sztywno, podczas gdy Jason obserwował jej każdy ruch. Czuła na sobie jego gorące spojrzenie, ale nie zerknęła nawet w jego stronę. Poza chłodnym powitaniem, kiedy zjawił się przy stajniach o ósmej, Gwendolyn się nie odezwała.

Wyprowadziła konia z dziedzińca. Wielki czarny wierzchowiec Fairhursta sunął blisko klaczy Gwendolyn. Stajenny jechał za nimi w pewnej odległości.

Nie porozumiewając się, ruszyli klusem, gdy tylko opuścili podjazd.

Chłodne powietrze owiało policzki Gwendolyn. Podniosła twarz ku słońcu.

Poranek był słoneczny i bezchmurny, doskonały do jazdy konnej.

- Piękny dzień - szepnęła.

- Piękny - zgodził się lord Fairhurst.

Skręcili i Gwendolyn zobaczyła, jak jej klacz stawia uszy do góry, kiedy wyjeżdżali na otwarte pole. Wiedziała, że zwierzę tęskni za szybkim biegiem.

Sądząc, że dzięki temu uniknie rozmowy, Gwendolyn lekko szarpnęła lejce i koń ruszył z kopyta.

Koń wicehrabiego ruszył za nią, doganiając ją bez trudu. Posuwali się szybkim, bezpiecznym klusem przez otwarte pola. Świeże powietrze ożywiło Gwendolyn i poprawiło jej nastrój. W nocy prawie nie spała, przewracając się z boku na bok i rozmyślając, jak przekonać wicehrabiego, że popełni błąd, zmuszając ją, żeby mu towarzyszyła podczas wizyt.

Przejechali kilka mil, kiedy na horyzoncie ukazała się para jeźdźców.

Wicehrabia zawołał, przekrzykując tętent końskich kopyt:

- Zna ich pani?!

Gwendolyn podniosła głowę i wciągnęła powietrze z wrażenia. Pomimo znacznej odległości rozpoznała jaskrawozielony strój kobiety.

- Sądzę, że to pan i pani Merrick. Ich posiadłość leży na północ stąd. Jeśli natychmiast zawrócimy, unikniemy spotkania.

Wicehrabia machnął ręką.

- Nie. Chwila jest dobra, jak każda inna, żeby sprawdzić, na czym stoimy.

- Nie sądzę... - zaczęła Gwendolyn, ale wiatr porwał jej słowa. Lord Fairhurst spiął konia do biegu, a jej zdradziecka klacz natychmiast pobiegnęła za nim.

Konie harcowały, biegnąc koło siebie, póki wicehrabia nie zatrzymał

wierzchowca przed parą jeźdźców. Oni także stanęli. Gwendolyn, chociaż marzyła, żeby ich wyminąć, poszła za przykładem wicehrabiego.

- Dzień dobry, panie Merrick, pani Merrick. Wspaniały dzień, nieprawdaż? -

Lord Fairhurst uchylił kapelusza, uśmiechając się szeroko. - Panna Ellingham i ja zażywamy porannego powietrza. Czy zechcą państwo się do nas przyłączyć?

- Nie dzisiaj - odparła pani Merrick ponuro, zachowując się dokładnie tak, jak się tego obawiała Gwendolyn. Chociaż zwracała się do wicehrabiego, prawie na niego nie patrzyła, piorunując gniewnym wzrokiem Gwendolyn. -

Może umówimy się na przejażdżkę innym razem, milordzie. Kiedy będzie pan sam.

Pani Merrick zrobiła wyniosłą minę i Gwendolyn zadrzała wbrew sobie.

- Ale dzisiaj akurat nadarza się wspaniała okazja - oznajmił lord Fairhurst głosem, w którym pobrzmiwała stalowa nutka. - Byłoby niemądrze ją zmarnować.

Pani Merrick zaszczebiotała gniewnie, po czym zwróciła swoje czarne jak u żuka oczka na męża. Pan Merrick pobladł. Pokręcił leciutko głową, ale żona nie spuszczała z niego wzroku, aż spojrzał na wicehrabiego niemal przepaszająco.

- Zmierzamy do domu, milordzie.

Twarz lorda Fairhurst pociemniała. Gwendolyn bała się, że wybuchnie gniewem, co by tylko pogorszyło sprawę. Wciągnął głęboko powietrze, jakby próbując się uspokoić.

- Państwa dom znajduje się na północ, tak? Dobrze się składa, że wybieramy się z panną Ellingham w tę samą stronę. Pojedziemy razem.

- Nasz dom leży dokładnie w przeciwnym kierunku - stwierdziła z oburzeniem pani Merrick.

Na twarzy pana Merricka wykwitł blady rumieniec. Odwrócił się do żony, przekazując jej coś bezgłośnie, tylko poruszając wargami. Cokolwiek to było, wyraźnie przekonał ją, żeby nie robiła sceny.

Nie dając im więcej czasu na dyskusję, lord Fairhurst ruszył przodem.

Pozostali pojechali za nim. Wicehrabia milczał jakiś czas, po czym wdał się w uprzejmą

konwersację z panem Merrickiem, który starał się podtrzymać rozmowę najlepiej, jak potrafił. Kobiety nie odezwały się ani słowem.

W końcu dotarli do polany na skraju posiadłości Merricków. Oczy pani Merrick zabłyśły podejrzliwie, kiedy zwróciła się do wicehrabiego.

- Wybraliście się na przejażdżkę tylko we dwoje?

Gwendolyn drgnęła, ale nie odpowiedziała, wiedząc, że nic jej to nie da.

- Jest z nami stajenny - odparł lord Fairhurst. Odwrócił się i wskazał

służącego na koniu, który trzymał się w pewnej odległości za nimi. - Choć wydaje mi się, że zasady etykiety nie są tutaj, na wsi, tak ściśle przestrzegane, nigdy nie ryzykowałbym reputacji prawdziwej damy.

Gwendolyn dostrzegła gniew w oczach starszej kobiety. Pani Merrick już otwierała usta, żeby stwierdzić, że panna Ellingham nie jest damą, ale spojrzenie wicehrabiego odwiodło ją od tego zamiaru.

- Nikt nie zaprzeczy, że postępuje pan jak dżentelmen - powiedział pan Merrick, dotykając nerwowo czubkiem języka górnej wargi. - Zwłaszcza moja żona, które podziela pańskie oddanie temu, co stosowne i właściwe.

- Cieszę się ogromnie, słysząc to - rzekł lord Fairhurst. - Ważne jest, aby utrzymać pewne standardy. Pochwalam wysiłki pani Merrick.

Na ten komplement napięcie na twarzy pani Merrick złagodniało, a gniewne zmarszczki w kąciakach jej oczu zaczęły znikać. Gwendolyn obawiała się, że to tylko chwilowa zmiana. Pani Merrick nie zmarnuje takiej okazji. Wkrótce zacznie raczyć wicehrabiego opowieściami o przeszłości Gwendolyn.

Z przyzwyczajenia zwiesiła głowę, żałując, że nie może zamknąć oczu i zniknąć. Jakie to byłoby cudowne móc uciec przed przykrością i okrucieństwem. Wymknąć się bólowi bez wysiłku.

Ale nie dało się uciec. Jedyne, co mogła zrobić, to ukryć cierpienie i udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Szybko zbliżali się do domu.

Gwendolyn zagryzła dolną wargę, zastanawiając się, co zrobić, jeśli wicehrabia zostanie zaproszony do środka, a ona nie.

Jednak w ostatniej chwili wicehrabia skierował konia w przeciwnym kierunku. Gwendolyn odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej nie zamierzał badać granic gościnności Merricków, wjeżdżając na dziedziniec ich rezydencji.

Małżonkowie pożegnali się z nim i kiwnęli głowami gdzieś w stronę Gwendolyn, która stwierdziła, że jeśli ich spojrzenia byłyby równie gorące co potępiające, to musiałyby się roztopić, tworząc

kałużę na ziemi.

Lord Fairhurst przez dłuższą chwilę przyglądał się, jak para małżonków odjeżdża w stronę swoich stajni.

- Wydaje mi się, że poszło raczej dobrze, nieprawdaż?

Gwendolyn poczuła rumieniec na twarzy.

- Dobrze? W porównaniu z czym? Z klęską Napoleona pod Waterloo? -

Próbowała mówić równie beztruskim tonem, jak jej towarzysz, ale przychodziło jej to z trudem. - Czy nie widzi pan, że pański pomysł jest niedorzeczny? Pani Merrick omal nie połknęła języka, kiedy zmusił ją pan, żeby mnie zauważyła.

I oboje wiemy, że gdyby nie pańska obecność, przejechałaby obok, nie rzuciwszy nawet okiem w moją stronę.

- Nie ośmieliłaby się pani nie zauważyć ze mną u boku - zauważył lord Fairhurst.

- Nie lubię pani Merrick i nie mam ochoty starać się zdobyć jej aprobaty.

- Jest pani dumna i szanuję to. Ale musi pani sobie zdawać sprawę, że bez okazania pokory nie uda się wrócić do towarzystwa. Jak się domyślam, pani Merrick ma w tutejszej społeczności ogromne wpływy. Jeśli przeciągnie ją pani na swoją stronę, inni pójną jej śladem.

- Na przystojnej twarzy Fairhursta pojawił się uśmiech zadowolenia. - Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy. Następnym razem, kiedy ją pani spotka, z pewnością pójdzie łatwiej.

Gwendolyn zwinęła palce w pięści. W jego ustach to było takie proste. Była zła na siebie, że z całych sił chce w to wierzyć.

- Łudzi się pan. Nie mogę sobie wyobrazić, aby ta kobieta mogła ze mną rozmawiać bez zgrzytania zębami.

- Nie łudzę się. - Ściągnął wodze, żeby się z nią zrównać. - Po prostu lubię wyzwania.

- Moim kosztem. - Poczuła dziwne drapanie w gardle, ale zdołała nadać głosowi twardy ton. - Nie ma pan pojęcia, na co się pan naraża.

Proszę, aby pan to jeszcze raz przemyślał, zanim sprawy zajdzie za daleko.

Dotarli do małego, drewnianego mostku. Końskie kopyta zastukały głośno, uniemożliwiając dalszą rozmowę. Jednak Gwendolyn nie wątpiła, że to nie koniec dyskusji.

Po drugiej stronie lord Fairhurst zwolnił konia, dając Gwendolyn znak, żeby zrobiła to samo. Pojechała za nim, a kiedy skręcił na polanę, zatrzymał się i zsiadł. Gwendolyn wyjęła stopę ze

strzemięcia i ześlizgnęła się na ziemię.

Stajenny zjawił się chwilę później, żeby przejąć od niej lejce. Zaprowadził zwierzę do drzewa, gdzie stał już przywiązany wierzchowiec lorda Fairhurst.

- To się nigdy nie uda, jeśli wciąż będzie mi się pani sprzeciwiać, panno Ellingham - oznajmił wicehrabia.

Lekki, ciepły wiaterek poruszył gałęziami drzew. Lord Fairhurst zdjął

kapelusz, złote włosy opadły mu na czoło. Gwendolyn opanowała niestosowny odruch - miała ochotę wyciągnąć rękę i odsunąć je na miejsce.

- Nie sprzeciwiam się panu, milordzie, próbuję tylko oszczędzić sobie i panu ogromnie krępującej sytuacji.

Patrzył na nią poważnie.

- Myślałem nad tym długo i proszę, żeby pani zrobiła to samo. Słyszałem o owym wypadku i nie sądzę, żeby była pani skompromitowana raz na zawsze.

- Nie jestem? - Gwendolyn westchnęła z rozpaczą. Słońce wzniosło się wyżej na niebie, grzejąc jej słomkowy kapelusz i twarz pod nim. - A więc wykluczano mnie z towarzystwa przez ostatnie cztery lata bez specjalnego powodu?

- Wiem wszystko o Berkshire. O ciotce, gospodzie, zakupach. Wszystko. -

Oparł się ramieniem o pień drzewa. - Pani reputacja doznała uszczerbku, ale da się ją uratować.

- Zakupy? - Ściągnęła brwi, zmieszana. Zakupy? Wspomnienie wróciło nagle. Odrzuciła głowę do tyłu, napełniając płuca ciepłym, rześkim powietrzem. - Niemal zapomniałam. Moje zachowanie poddano dogłębnej krytyce i lista grzechów rozrosła się do takich rozmiarów, że trudno to wszystko spamiętać. Przypominam sobie teraz, że pewna grupa kobiet była szczególnie oburzona, że miałam czelność odwiedzić miejscowe sklepy po śmierci ciotki.

Uznały to za najcięższy grzech. Sądzę, że pani Merrick należała do ich grona.

Skrzyżował ramiona.

- Wiem, że skandal może żyć własnym życiem, a fakty można tak przekręcić, że niewiele mają wspólnego z rzeczywistością.

Mówił spokojnym tonem, w zamyśleniu, jakby na podstawie własnych

doświadczeń. W każdym razie Gwendolyn miała takie wrażenie.

- Ale w tych opowieściach była prawda - powiedziała. - Mieszkałam w gospodzie, sama, po niespodziewanej śmierci ciotki. Tak więc skandal narodził się z prawdy. Przekręcono ją, oczywiście, ale inaczej, cóż by to była za rozrywka? O czym by szeptano i snuto domysły i dlaczego potępiano by mnie, gdyby tylko sama prawda została ujawniona? Jakby mogli, z czystym sumieniem, uznać mnie za pariaskę, gdybym nie była złą osobą?

Lord Fairhurst westchnął i potarł szyję dłonią.

- Współczuję pani udreće, panno Ellingham. Niestety, kiedy człowiek spada na dno, to dla innych ludzi najlepsza okazja, żeby pokazać, jacy potrafią być podli.

- Robiłam zakupy, to prawda. - Zaciskając usta w stanowczą linię, patrzyła przed siebie. - Kupiłam kapelusz.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Kapelusz?

- Tak. Zapłaciłam za niego cztery gwinee, śmieszna cena, wzięwszy pod uwagę, jaki był mały i zgrabny, ale kiedy go zobaczyłam, wiedziałam, że Dorothea wpadnie w zachwyty. Pamiętam, że zdobyło go pawie pióro i należało go nosić przekrzywiony na bok.

- Kapelusz był dla siostry?

- Bardzo była przygnębiona, że nie może mi towarzyszyć do Londynu, więc obiecałam jej jakiś piękny prezent. – Gwendolyn odwróciła głowę, zmuszając się, żeby na niego patrzeć. - Po śmierci ciotki wiedziałam, że nie dotrę do Londynu, a nie chciałam wrócić do domu z pustymi rękami. Kupiłam też, za resztę kieszonkowego, komplet pędzli dla Emmy. Uważa się za artystkę, a ja wierzę w jej talent.

Wicehrabia przyglądał jej się w zamyśleniu.

- Robienie zakupów może być uznane za niewłaściwe, jeśli nie znamy całej historii. Sądzę jednak, że najpoważniejszy zarzut to ten, że pozostawała pani sama w publicznej gospodzie. Czy nie było nikogo, kto przyszedłby pani z pomocą?

Gwendolyn wzruszyła ramionami.

- Pastor zaprosił mnie niechętnie do domu. Ale była to licha chatka, a miał

liczną rodzinę. Jego żona urodziła właśnie szóste dziecko. Nie chciałam im się narzucać i zajmować miejsca, którego im i tak brakowało. Spodziewałam się, że wuj przyjedzie następnego dnia. Kiedy nie przyjechał, myślałam, że zjawi się jeszcze następnego. I tak dalej. I tak minęło siedem dni, a ja byłam sama.

Utkwił w niej poważne spojrzenie.

- Wszyscy popełniamy błędy.

- Ach! Ale ich skutki nie zawsze są tak dotkliwe.

Wicehrabia wydawał się poruszony.

- Musi mi pani zaufać. Wiem, co robię. Nie pozwolę, aby ktoś panią zranił.

Daję pani słowo. Ale jeśli ma pani jakąś nadzieję, że zdoła się oczyścić ze skandalu, musi pani stawić czoło tym ludziom, albo zawsze będą panią pomiatać.

Ujął jej rękę, odwrócił dłonią do góry i podniósł do ust. Patrząc w jej oczy, pocałował nagą skórę nadgarstka. Poczła dziwne, nieznane jej dotąd mrowienie. Ogarnęło ją poczucie słabości.

Wielki Boże! Był ekspertem w przekonywaniu i uwodzeniu!

W odruchu paniki Gwendolyn wyrwała się i ruszyła w stronę koni. Szła dumnym krokiem, pragnąc dać mu w ten sposób do zrozumienia, że nie zgadza się na takie traktowanie. I że mu nie ufa.

- Proszę, panno Ellingham, niech pani mi tego nie utrudnia. Oboje wiemy, że w tych okolicznościach dostanę, czego chcę.

Słowa wisiały w powietrzu, kiedy dosiedli koni. Klacz zawróciła w stronę domu. Zapadła między nimi cisza. Gwendolyn nie zwracała uwagi na to, którędy jadą. Myślała wciąż o wydarzeniach poranka, o zdecydowaniu wicehrabiego, żeby ją przywrócić do towarzystwa.

I o tym, że musi mu pozwolić spróbować.

Martwiła się. Nie ufała lordowi Fairhurst. Nie ufała jego motywom, ani sposobom postępowania, a co najgorsze, nie potrafiła stwierdzić, czy chciał ją uwieść, czy też odegrać się na niej. Żadna z tym rzeczy nie wróżyła dobrze jej ani jej rodzinie.

Zadrzała. Siedziała pewnie na koniu, ale przestraszyła się, że traci równowagę. Przesunęła się lekko. Nie mogła zrozumieć swoich uczuć. Strach mieszał się z podnieceniem.

Tak, z podnieceniem... Miała pozwolić mężczyźnie, którego uważała za niezwykle przystojnego i pociągającego, który w hierarchii towarzyskiej pozostawał poza jej zasięgiem, nie wspominając już o tym, że był żonaty z inną, aby ponownie wprowadził ją do towarzystwa.

Czyste szaleństwo.

Jason wyciągnął wiosła z wody, ustawił pod kątem i zanurzył w jeziorze, mocno pociągając. Zwinna łódź mknęła leciutko po gładkiej tafli, rysując za sobą wodną ścieżkę. Odczuwał każde szarpnięcie w mięśniach ramion i barków, ale pociągnął znowu, zadowolony, że może zająć się czymś konkretnym.

Często uciekał się do ćwiczeń fizycznych, kiedy chciał oczyścić umysł

i spojrzeć na wszystko świeżymi oczami. Jedynie siedząca naprzeciwko, roześmiana i flirtująca towarzyszka mogłaby sprawić, że popołudnie stałoby się jeszcze przyjemniejsze.

Młoda, ładna kobieta.

Przed oczami stanął mu obraz Gwendolyn Ellingham. Jej śliczna twarz, niezwykle ciemne oczy, blask gęstych, czarnych włosów. Nie kończyło się jednak na urodzie. W Gwendolyn Ellingham było coś, co poruszało go znacznie głębiej.

Kto wie, co by się zdarzyło, gdyby tu z nim teraz była? Jason uśmiechnął się z politowaniem, wyobrażając ją sobie, jak wygląda przez burtę łodzi, sprawdzając głębokość wody. Gdyby ją rozniewał - co udawało mu się chyba przy każdym spotkaniu - pewnie wyskoczyłaby i popłynęła do brzegu.

Zaczął ją sobie wyobrażać, jak ocieka wodą, a zwykła muślinowa suknia przykleja się do wszystkich zmysłowych wypukłości jej sylwetki. Jego ciało natychmiast zareagowało na ten obraz. Oddychał ciężko. Nigdy nie zachowywała się prowokująco, nie flirtowała ani nie drażniła się z nim, co - ku jego zdziwieniu - wywoływało w nim tym większą chęć, żeby jej dotknąć.

Nie był w stanie przestać o niej myśleć od czasu ich wspólnej porannej przejażdżki przed dwoma dniami. Interesowała go znacznie bardziej niż na początku, kiedy starał się zyskać jej współpracę w nawigowaniu pośród miejscowego towarzystwa. Pragnął naprawić zło, jakie jej wyrządzono. Chciał zmusić miejscowych, aby uznali ją za damę nie mniej wartą niż każdy z nich.

Wiedział, że wątpi w powodzenie tego planu, co sprawiało, że tym bardziej pożądał sukcesu. Czekał tylko na odpowiednie zaproszenie, żeby wprowadzić plan w życie i, szczęśliwie, takie zaproszenie otrzymał właśnie dzisiaj.

Zaproszenie na bal wydawany nie przez kogo innego, jak pana i panią Hollingsworth. Już sobie wyobrażał okrzyki protestu, kiedy panna Ellingham się dowie, że ma mu towarzyszyć na tej imprezie.

- Jaśnie panie!

Jason podniósł głowę, patrząc na odległy brzeg. Jego lokaj, Pierce, stał niezgrabnie tuż przy brzegu, machając czymś wysoko w powietrzu.

- Odejdź! - krzyknął Jason. - Chcę być sam.

- Przyniosłem pocztę z Londynu - odparł lokaj.

Jason uświadomił sobie, że przedmiot w dłoni Pierce'a to list. Jęcząc w duchu, powiosłował w stronę brzegu. Kiedy zbliżył się do płycizny, umieścił

wiosła w łodzi, nie zważając, że pochlapał sobie bryczesy.

- Co jest takie ważne, że nie mogło poczekać? - zapytał Jason i nagle rozpoznał zamaszyste, wyraźne pismo na kopercie, którą trzymał Pierce. List był od brata.

- Szczęśliwie się złożyło, że znalazłem się w holu akurat wtedy, kiedy jeden z chłopców stajennych przyniósł pocztę - powiedział lokal. - Natychmiast rozpoznałem pieczęć lorda Fairhurst i uznałem, że trudno byłoby wytłumaczyć, iż pisze pan list do samego siebie z Londynu.

Słowa lokaja stanowiły niezbyt subtelne napomnienie, że nie zawiadomił

Jaspera o swoim planie podszycia się pod niego podczas pobytu w posiadłości.

Jeszcze bardziej rozzłościło go to, że Pierce miał rację. Doszłoby do katastrofy, gdyby ktoś ze służby zobaczył list, albo - co gorsza - gdyby wpadł

przypadkiem w ręce Ardleya.

Jason wiedział, że powinien od razu napisać do brata i powiadomić go o swoich poczynaniach, choćby po to, żeby uniknąć kłopotliwych sytuacji.

Wahał się jednak, ponieważ podejrzewał, że Jasperowi nie przypadłoby to do gustu. Z latami brat stawał się coraz bardziej zasadniczy, jeśli chodzi o maniery i zachowanie. Przejmował się ogromnie swoimi obowiązkami wobec rodziny oraz reputacją rodu.

Jason przejął rolę głowy domu, chociaż ich ojciec, hrabia Stafford, wciąż żył i dobrze się miewał. Hrabia się nie sprzeciwiał, żeby syn przejął te powinności, jako że sam nie był specjalnie zainteresowany ich wypełnianiem.

Jason uważał, że to chwalebne, iż jego brat bliźniak uchodzi za człowieka o niezłomnej cnocie. Że jest silny, zdolny, uczciwy i prawy. Prawdziwy święty.

Jednak był także uparty, pedantyczny i niewiarygodnie sztywny. Cała rodzina -

włącznie z matką i siostrą - zgadzała się, że ogólnie biorąc, Jasper nie zmienił

się na lepsze.

Dobrze się złożyło, że zdobył miłość niezwyklej kobiety, której wpływ łagodził nieco niemiłe cechy jego charakteru. Jasper odzyskiwał powoli bardziej wyważony stosunek do życia, zaczynał uświadamiać sobie, że można żyć szczęśliwie, nie stawiając zawsze na swoim.

Co jednak najważniejsze w przekonaniu Jasona, brat uczył się akceptować innych,

nie

oceniając

ich

i

nie

uznając

za

bezwartościowych,

jeśli nie byli w stanie sprostać jego wysokim wymaganiom. Dzięki temu Jason miał szansę naprawić nieco napięte stosunki między nimi.

I bardziej niż kiedykolwiek pragnął udowodnić swoją wartość, rozwiązując problemy w posiadłości.

- Dobrze zrobiłeś, przynosząc mi to bezzwłocznie, Pierce. Napiszę odpowiedź, ale będziesz musiał nadać ją w Selby, dziesięć mil stąd. - Jason wsunął papier do kieszeni kubraka. - Dostaniesz też wiadomość, którą należy dostarczyć do domu Ellinghamów. Do rąk własnych panny Gwendolyn.

Potem, na nowo przejęty swoją misją, Jason powędrował w stronę domu, zastanawiając się, co napisze w listach.

Gwendolyn z bijącym sercem chodziła w kółko po sypialni. Lord Fairhurst miał się zjawić lada chwila. Ciotka, wuj i Dorothea wyjechali prawie pół

godziny wcześniej. Mimo że wicehrabia się sprzeciwiał, uznała, iż jej udział

w balu lepiej zachować w tajemnicy przed krewnymi. Z wyjątkiem sióstr. Obie, Dorothea i Emma, znały jej plany i obie przyjęły je z entuzjazmem.

Pokojówka Lucy także została dopuszczona do tajemnicy i wydawała się podniecona, że Gwendolyn ma się niespodziewanie pokazać na balu z przystojnym wicehrabią w charakterze eskorty. Chociaż nikt nie mówił o tym głośno, Gwendolyn powtarzała sobie, że to przystojny, żonaty wicehrabia.

Gwendolyn westchnęła i nadal miotła się z kąta w kąt. Wiedziała, że ta przygoda może się skończyć, zanim się nawet zacznie, jeśli nie zdoła się uspokoić. Przystanęła na krótko przed lustrem, badając swoje odbicie, zadowolona, że przynajmniej dobrze wygląda.

Stanowczo odmówiła, żeby wicehrabia płacił za jej stroje. Gwendolyn, szczęśliwie, odznaczała się poczuciem smaku i mody. Dzięki siedzeniu w domu miała więcej czasu na studiowanie „La Belle Assemble”, co uczyniło z niej coś w rodzaju eksperta od mody. Dorothea, utalentowana krawcowa, pomogła jej z radością.

We dwie zdołały przekształcić starą satynową suknię we wspaniałą, modną kreację balową.

Niebieska satyna miała na obrzeżu wyhaftowane maleńkie złote kwiatuszki i zielone listeczki. Cera Gwendolyn wydawała się przy kolorze sukni kremowa, oczy jeszcze bardziej lśniące. Krój sukni o

głębokim dekolcie podkreślał jej zgrabną figurę, uwydatniając pełne piersi i szczupłą talię.

Włosy upięła w zwykły węzeł z paroma strategicznie rozmieszczonymi lokami opadającymi na szyję. Założyła delikatny złoty łańcuszek, pamiątkę po matce, oraz należące do kompletu, połyskujące przy każdym ruchu kolczyki.

Gwendolyn zdumiewała się, że przy jej wzroście fason tak zręcznie zaprojektowany przez siostrę nadawał jej niemal zjawiskową delikatność.

- Gospodyni powiedziała, że wicehrabia właśnie przybył, panno Gwendolyn. - Pokojówka otworzyła szeroko oczy bardzo podekscytowana.

Gwendolyn poczuła ściskanie w żołądku. Dlaczego, ach, dlaczego przystała na ten żalosny plan?

- Poczekaj. - Emma podbiegła do niej i podniosła ręce, szczypiąc jej blade policzki, po czym wzburzyła jej kruczoczarne loki. - Wyglądasz tak pięknie, Gwen. Żałuję, że nie idę z tobą.

- Och, Emmo, chciałabym widzieć twoją przyjazną buzię w tłumie dziś wieczorem. - Gwendolyn mocno objęła młodszą siostrę, a potem się odwróciła i zbiegła po schodach.

Powitała pośpiesznie lorda Fairhurst, zbyt przestraszona, żeby powiedzieć coś więcej poza zwykłym dzień dobry i zbyt podniecona, żeby zareagować, kiedy - z rosnącym uznaniem - lustrował ją od stóp do głów.

Jechali na bal niemal w milczeniu. W końcu powóz zatrzymał się na małym dziedzińcu przed domem Hollingsworthów i lokaj otworzył drzwi.

Żołądek podszedł Gwendolyn do gardła.

Wiedziała, że powinna czuć choćby satysfakcję, triumf czy przyjemność.

Miała wejść ponownie w socjetę u boku najbardziej wpływowego człowieka w okolicy, co gwarantowało sukces. Wszystkie złe spojrzenia, grymasy, złośliwe komentarze będą musiały ustać, kiedy zjawi się na balu.

Powtarzała sobie, że przywitają ją z szacunkiem i zazdrością, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce się narazić na gniew czy niezadowolenie wicehrabiego. Byłoby to towarzyskie samobójstwo.

Ale nie czuła satysfakcji, triumfu czy przyjemności. W gruncie rzeczy Gwendolyn nigdy dotąd tak się nie bała. Miała wrażenie, jakby szła na pogrzeb.

Swój własny.

Służący odchrząknął, wrywając ją z zamyślenia. Gwendolyn wychyliła się z powozu, patrząc na dłoń w rękawiczce, którą wyciągał do niej lokaj.

- Czy zjawiamy się jako pierwsi?

- Raczej nie. Sądzę, że są państwo jednymi z ostatnich, panienko.

- Naprawdę? - zapytała, rozglądając się po dziedzińcu. Zauważyła dwóch innych lokajów, stojących u stóp schodów, ale żadnych powozów.

Lokaje! Hollingsworthowie nie szczydzili wydatków. Wynikało stąd niezbitcie, jak wielkie znaczenie przypisywali temu balowi. I że będą wściekli, jeśli Gwendolyn zepsuje go swoją obecnością.

Gwendolyn się zastanowiła i po chwili uznała, że jej obawy są śmieszne.

Nawet jeśli nie wszystko pójdzie tak, jak się spodziewa lord Fairhurst, nawet jeśli nie zostanie przyjęta, ale zlekceważona i wyśmiana, jak się obawiała, świat się nie skończy. Ludzie nie umierają z upokorzenia. Tak się tylko czują.

Lord Fairhurst dostrzegł widocznie zmieszanie w jej oczach, bo pochylił się ku niej i szepnął:

- Ma pani wiele wspaniałych zalet, panno Ellingham, ale tą, którą podziwiam najbardziej, jest odwaga. Z pewnością teraz pani nie opuści.

Gwendolyn zacisnęła usta, a potem położyła mu rękę na ramieniu. Jego słowa dźwięczały jej w uszach, kiedy wchodziła po schodach i przekraczała drzwi frontowe niczym królowa.

O dwaga Gwendolyn ulotniła się w chwili, gdy dotarli do głównego holu.

Służący skierował ich na drugie piętro i jej serce zaczęło bić gwałtownie.

Rozsądek mówił, że jest już za późno na ucieczkę, wchodziła więc po schodach powoli, chora ze strachu.

Przeniosła wzrok na portrety na ścianach, usiłując opanować panikę. Ale nawet widok pary w strojach z poprzedniej epoki okazał się przygnębiający -

dama o wyniosłej twarzy, odziana w satynową, ozdobioną koronkami suknię, przypominała mocno obecną panią Hollingsworth.

Hol na drugim piętrze oświetlały dziesiątki świec. Przed otwartymi drzwiami, rzędem, stał pan i pani Hollingsworth oraz ich córka, Olivia.

Za drzwi dobiegały głosy zmieszane z muzyką, śmiech, rozmowy, wydawało się, że większość zaproszonych już przybyła, ale gospodarze czekali na najbardziej znakomitego gościa, zamierzając dopiero razem z nim pojawić się na sali. Czy nie będą zaskoczeni, widząc, z kim przychodzi ów znakomity gość?

Gwendolyn nie mogła powstrzymać drżenia. Nie powinna tu być.

- Niech pani spróbuje się uśmiechnąć i wyglądać wyniośle - szepnął lord Fairhurst, kiedy zbliżali się do Hollingsworthów. - Niech się czują zaszczyt, że zechciała pani pojawić się na balu.

Gwendolyn roześmiała się cicho. Czyżby oszalał? Tak może się zachowywać ktoś z arystokracji, nie ona.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan takim pyszałkiem.

- Pycha należy do moich najlepszych cech. Jest zaletą, którą przez lata doprowadziłem do perfekcji. - Oprócz rozbawienia w jego wzroku była ogromna pewność siebie. - Jestem także nieznośnie oficjalny i niejedną raz oskarżono mnie o sztywność graniczącą z *rigor mortis*.

- Te cechy z pewnością przyczyniają się do tego, że jest pan tak czarujący i pożądanym towarzyszem.

Uśmiechnął się.

- Dobrze, że potrafi pani żartować w takiej chwili, byłoby jednakże lepiej, gdyby przestała pani robić minę, jakby chciała rzucić się z okna.

- Jesteśmy tylko dwa piętra nad ziemią, milordzie. - Gwendolyn się wyprostowała. - Gdybym skoczyła, złamałabym najwyżej rękę albo nogę.

- To prawda. Szkoda zachodu, czyż nie?

Gwendolyn wiedziała, że nie zdoła się uśmiechnąć, ale zmusiła się do przybrania maski stoickiego spokoju. A potem stanęli twarzą w twarz z gospodarzami.

Pan Hollingsworth uklonił się uniznienie i wypaplał nerwowe powitanie. Pani Hollingsworth dygnęła chwiejnie, ale kiedy jej wzrok padł na Gwendolyn, na jej twarzy odbiło się nieprzyjemne zaskoczenie.

Piekło i szatani!

Wiedziała, że to się nie może udać. W tej chwili Gwendolyn pożałowała swojej głupoty. Pożałowała, że nie posłuchała głosu rozsądku i nie odmówiła żądaniom wicehrabiego.

Zaciskając zęby schyliła głowę. Nie doceniła jednak wicehrabiego.

Zamierzał dopilnować, aby przyjęto ich z najwyższymi honorami.

- Panna Ellington zgodziła się łaskawie towarzyszyć mi dzisiaj wieczorem.

Choć muszę przyznać, że niezwykle trudno było ją do tego namówić. Otóż z niewiadomego powodu przekonana była, że nie powitaliby jej państwo z radością. Zapewniłem ją wielokrotnie, że to nie może być prawda. Nie myliłem się chyba, pani Hollingsworth?

Starsza kobieta zrobiła minę, jakby gryzła cytrynę.

- W pańskim towarzystwie nie możemy odmówić wejścia pannie Ellingham, chociaż nie figuruje na liście gości, ani też nie otrzymała zaproszenia - odparła pani Hollingsworth z wyrazem pogardliwej niechęci na twarzy.

- Nie przypuszczałbym nigdy, że może nie zostać powitana z należnym szacunkiem. - Ostentacyjnie włożył sobie rękę Gwendolyn pod ramię.

- Hrabia, mój ojciec, mawiał zawsze, że ci, którzy wątpią we własną wartość, okazują innym wyższość. Jestem zachwycony, mogąc stwierdzić, że jest pani kobietą z charakterem. - Zniżył głos. - Chociaż wolałbym, aby okazywała to pani dobitniej.

Pani Hollingsworth zbladła. Gwendolyn zrobiło się jej niemal szkoda, ponieważ najwyraźniej nie wiedziała, czy uwagi lorda Fairhurst obrażają ją, czy też jej pochlebiają. Podwójny podbródek drżał jej rozpaczliwie, a dwa jaskrawoczerwone strusie pióra w starannie uczesanych włosach poruszały się w tył i w przód. Na szczęście córka pośpieszyła jej z pomocą.

- Cieszymy się wszyscy, że udało się pani przybyć na nasze skromne przyjęcie, panno Ellingham - powiedziała Olivia. Uśmiechnęła się, żeby podkreślić szczerą tych słów i ukazała dwa rzędy bardzo białych i bardzo krzywych zębów

- Dziękuję - szepnęła Gwendolyn, zerkając w stronę sali za plecami gospodarzy. Była pełna ludzi. -

Jestem zachwycona, że się tu znalazłam.

Nikt nie podał w wątpliwość tego kłamstwa. Lord Fairhurst uklonił się krótko, Gwendolyn dygnęła z wdziękiem, po czym opuścili gospodarzy bez dalszych incydentów.

Gwendolyn oddychała z trudem, kiedy weszli do salonu. Jako że dom nie miał sali balowej, usunięto meble z salonu, żeby zrobić miejsce dla tańczących par. Słysząc było wesołe, podniecone głosy i Gwendolyn przez chwilę miała nadzieję, że uda jej się wtopić w tłum niezauważenie.

To, rzecz jasna, okazało się absolutnie niemożliwe. Mało brakowało, żeby Gwendolyn roześmiała się głośno z własnej głupoty. Najwyraźniej zapomniała, kto jej towarzyszy i że wicehrabia natychmiast znajdzie się w centrum uwagi.

Stopniowo goście zaczęli dostrzegać ich obecność. Wokół dało się słyszeć, jak kilka osób wciąga powietrze ze zdumienia. Wielu gości posłało w stronę Gwendolyn lodowate spojrzenia. Czowała nienawiść płynącą od niektórych gości.

Wiedziała, że nie wolno jej wpaść w panikę, że musi trzymać głowę wysoko.

A jednak, w zdenerwowaniu, jej dłoń powędrowała do gardła.

Ironia polegała na tym, że przez cztery długie lata wmawiała sobie, że jej nie zależy. Że nie dba o to, iż stała się wyrzutkiem i uważa się ją za kobietę upadłą, niemoralną. Jednak ku swojemu zaskoczeniu, kiedy stała pod ogniem wrogich spojrzeń, stwierdziła, że bardzo ją obchodzi, w jaki sposób zostanie przyjęta.

- Proszę nie pozwolić im wyczuć słabości, bo będzie pani zgubiona - pouczył

ją lord Fairhurst. Wszystkie uczucia na jego twarzy zniknęły za bezbarwnym uśmiechem.

Gwendolyn wysiłkiem woli podniosła głowę wyżej. Wicehrabia miał rację, chociaż nie mogła powstrzymać się od uwagi:

- Brzmi to tak, jakby pan mówił na podstawie własnych doświadczeń.

- Bardziej niż pani sądzi - szepnął tak cicho, że uznała, iż musiała się przestyszeć.

Zaczęli powoli okrążyć pokój, witając się z innymi gośćmi.

- Widzę, jak pani wuj sztyletuje nas złym wzrokiem - powiedział wicehrabia. -

Najwidoczniej zignorowała pani moją radę i nie powiadomiła bliskich, że będzie na balu.

- Dorothea wiedziała - westchnęła Gwendolyn. - Nie było sensu mówić o tym wujowi i ciotce, ponieważ zabroniliby mi z pewnością przyjscia tutaj.

- Posłuchałaby ich pani?

- Wbrew powszechnej opinii, nie czuję się dobrze w roli buntowniczkii, byłoby mi trudno otwarcie im się przeciwstawić. Dlatego nie wspominałam im o swoich planach.

Poszła za jego spojrzeniem, gdzie jej rodzina stała przy stole z napojami.

Ciotka Mildred wydawała się lekko zmieszana, a wuj Fletcher przybrał

zdecydowanie groźną minę.

- Będziemy ich omijać, dopóki pani wuj się nie opanuje - uznał lord Fairhurst.

- To może potrwać cały wieczór.

- A więc miejmy nadzieję, że bal skończy się wcześniej - odparł przeciągle lord Fairhurst. Rozejrzał się po sali, marszcząc lekko brwi. - Nie tylko pani rodzina wydaje się okazywać niezwykle zainteresowanie naszymi osobami.

Niemal wszystkie kobiety patrzą na nas zza wachlarzy, a mężczyźni mają nadzieję, że chodząc z miejsca na miejsce, ukrywają swoją ciekawość.

- Z pewnością spodziewał się pan tego - wydusiła Gwendolyn piskliwym głosem, tak jakby ktoś ścisnął ją za gardło.

Lord Fairhurst odetchnął głęboko.

- Klucz do sukcesu leży w tym, żeby nie okazywać napięcia czy zdenerwowania. Bez względu na sytuację, panno Ellingham, musi się pani nauczyć udawać, że jest pani przyjemnie.

- Tę umiejętność, wydaje się, ma pan opanowaną do perfekcji.

- W istocie. Ale w pewnych przypadkach liczy się tylko prawdziwa przyjemność. Zachęcam panią, aby nauczyła się pani rozpoznawać różnicę.

Zrobiło jej się gorąco pod wpływem jego śmiałego spojrzenia. Usiłowała nie przejmować się rumieńcem, który oblał jej twarz i szyję. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był niestosowny flirt.

- Powinniśmy zmieszać się z gośćmi - powiedziała, chcąc zmienić temat. -

Razem czy osobno?

- Razem na początek. Nie zostawię pani jak owcę na rzeź - oznajmił

wicehrabia. - Chociaż z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że w końcu będziemy musieli się rozdzielić.

- Wiem - odparła Gwendolyn. - Plotki staną się nie do zniesienia, jeśli nie będziemy się odstępować przez cały wieczór.

W ciągu następnej półgodziny lord Fairhurst obszedł powoli pokój, prowadząc ją od jednej grupy gości do drugiej. Gwendolyn udawała, że nie widzi badawczych spojrzeń, a chociaż od czasu do czasu padały niezbyt życzliwe uwagi, nikt nie odważył się otwarcie jej zignorować czy obrazić.

Kiedy zbliżali się do kolejnej grupki, wicehrabia pochylił się ku niej, pytając:

- Proszę odświeżyć moją pamięć. Kim jest dżentelmen w źle dopasowanym ciemnoniebieskim kubraku, który stoi obok pana Ardleya?

- Pan Chelton. Jest właścicielem największej farmy mlecznej w hrabstwie i uważa się za wielkiego potentata. Będzie zachwycony, jeśli zaczniesz się pan do niego zwracać, używając tytułu *squire*.

Wicehrabia posłuchał rady i rozmowa potoczyła się gładko. Już mieli przejść do następnej grupy, kiedy zatrzymał ich męski głos.

- Gwendolyn! Jesteśmy zdumieni, widząc cię tutaj. Wiedziała, nie oglądając się, że to wuj. Na szczęście nie był sam. Obok stały ciotka i Dorothea - w oczach Gwendolyn błogosławieni sprzymierzeńcy.

- Wicehrabia był tak uprzejmy, że ofiarował mi towarzystwo, a ja z przyjemnością przyjąłem zaproszenie - odparła spokojnie, chociaż jej ton brzmiał bardziej przeprasząco, niżby sobie życzyła.

Wuj Fletcher ścisnął nasadę nosa między kciukiem a palcem wskazującym.

- Żałuję, że nie porozmawiałaś najpierw ze mną. To właśnie tego rodzaju bezmyślne zachowanie postawiło cię w kłopotliwej sytuacji cztery lata temu.

Gwendolyn uniosła brodę, ale zanim odpowiedziała, odezwał się wicehrabia.

- Ciężar winy spoczywa na panu i spodziewam się, że udzieli pan panie Gwendolyn wsparcia, jakiego potrzebuje i na jakie zasługuje teraz, kiedy ponownie pojawia się publicznie.

Wuj Fletcher parsknął, ale widocznie zdał sobie sprawę, że urządzenie sceny nie leży w niczyim interesie, więc zmienił temat.

- Tańce wkrótce się zaczną. Będę ci partnerować, jeśli nikt cię nie poprosi.

Była to dosyć obraźliwa uwaga, ale Gwendolyn nie chciała zrażać wuja.

- Dziękuję, wujku. Wątpię, żebym zatańczyła, ale doceniam twoją gotowość.

Ciotka Mildred położyła rękę na ramieniu męża, patrząc na niego błagalnie.

- Chcemy tylko, żebyś była szczęśliwa, Gwendolyn. Prawda?

Wuj Fletcher zaciął usta, ale nie czynił więcej uwag. Oboje się oddalili, a Gwendolyn w końcu się

uśmiechnęła. Odwróciła się do siostry. Dorothea wyglądała olśniewająco. Jej przypominające klepsydrę kształty znakomicie podkreślała nisko wycięta suknia z białego jedwabiu, przy której jej włosy wydawały się mieć jeszcze jaśniejszy odcień złota. Gwendolyn była dumna z siostry. Nie miała wątpliwości, że Dorothea zaćmiewała większość lalkowatych, mizdrzących się młodych dam na przyjęciu.

- Chciałbym przyłączyć się do dżentelmenów przy barze - oznajmił

wicehrabia. - Czy mogę panią zostawić samą?

- Zostanę z nią - odezwała się Dorothea.

Zawahał się, wydymając lekko usta w zamyśleniu. Gwendolyn niemal widziała, jak myśli kłębią mu się w głowie.

- Powierzę ją pani kompetentnym rękóm, panno Dorotheo. Odwrócił się, ale Dorothea klepnęła go po ramieniu złożonym wachlarzem.

- Proszę nie odchodzić na długo. Wiem, że sprowadzenie jej tutaj było wyłącznie pana pomysłem. Spodziewam się więc, że wkrótce pan wróci, aby dotrzymywać mojej siostrze towarzystwa.

- Niech pan nie zwraca uwagi na marudzenie Dorothei - powiedziała Gwendolyn. - Dam sobie radę sama. A jeśli chciałby pan odwiedzić pokój gier, wystarczy, że pójdzie pan za mężczyznami w holu.

- Na Boga, Gwendolyn, wszyscy wiedzą, że lord Fairhurst nie uprawia hazardu - upomniała ją Dorothea.

- Prawda - odezwał się. - Zarzuciłem to przed laty.

W jego głosie brzmiało dziwne napięcie. Gwendolyn spojrzała na niego uważnie, widząc, jak błysk zainteresowania, który przez chwilę pojawił się w jego oczach, znika, co kazało jej się zastanowić, jaki naprawdę stosunek do hazardu ma lord Fairhurst.

Kiedy odszedł, Gwendolyn mogła w pełni ocenić jego elegancję, zwłaszcza w tłumie prowincjuszy. Ubrany w czarne, opinające silne uda bryczesy, dopasowany, czarny wieczorowy kubrak i świetnie zawiązany biały halsztuk, był zdecydowanie najbardziej interesującym mężczyzną na sali.

- To niesprawiedliwe, że jest tak niepokojąco przystojny - zauważyła Dorothea z westchnieniem. - Ale to raczej jego tytuł, a nie osoba, przemawia dziś wieczorem na twoją korzyść. Tak się cieszę, że przysłaś, Gwendolyn.

Martwiłam się, że zmienisz zdanie w ostatniej chwili i spędzisz noc na ponurych rozmyślaniach w swoim pokoju.

- Zastanawiałam się nad tym - przyznała Gwendolyn.

- Panno Ellingham, to nasz taniec, jak sądzę.

- Panie Harper. - Dorothea zerknęła na małą karteczkę zwisającą z jej nadgarstka na białej, satynowej wstążce. - Tak, widzę pańskie nazwisko tak pięknie napisane. Znakomicie włada pan piórem. - Zwróciła się do Gwendolyn.

- Czy poznał pan moją siostrę, panie Harper?

- Aaach... nieoficjalnie. Dobry wieczór, panno Ellingham.

Gwendolyn współczuła młodemu człowiekowi, który zaczerwienił się i jąkał, ale zdobył się na ukłon i uprzejme powitanie. Usta Dorothei zdrząły, a na jej prawym policzku pojawił się dołeczek, kiedy pan Harper poprowadził ją na parkiet.

Słyszała wokół siebie głosy. Goście śmiali się, żartowali, plotkowali.

Gwendolyn znalazła wygodne krzesło, usiadła i, popijając szampana, poczuła się dziwnie odprężona. Po raz pierwszy od czterech długich lat znalazła się ponownie pośród ludzi z towarzystwa.

Cóż, może niezupełnie pośród nich. Może stała raczej na obrzeżach socjety, ale też nikt nie śmiał wprost się od niej odciąć. Pod tym względem wicehrabia miał rację. Przez liście palm doniczkowych spojrzała w róg zatłoczonej sali, gdzie siedziały, plotkując, starsze kobiety. Miała nadzieję, że nie stanowi jedynego tematu ich rozmów.

A potem uświadomiła sobie, że nawet jeśli tak było, nie miało to aż takiego znaczenia.

Taniec się skończył i zaczął następny. Gwendolyn widziała, że siostra ma nowego partnera, i się ucieszyła. Dorothei należała się od dawna uwaga mężczyzn.

Ale w związku z tym Gwendolyn została sama. Oparła się wygodnie i czekała.

Nagle obok pojawił się lord Fairhurst. Wyjął jej z dłoni niedopitego szampana. Rozległo się głośne stuknięcie, kiedy odstawił kieliszek na mahoniowy stolik obok krzesła.

- Jak miło z pani strony, że zachowała pani ten taniec dla mnie.

Gwendolyn pozwoliła się podnieść i zaprowadzić na parkiet, próbując stłumić panikę, kiedy wicehrabia ustawił się z nią na samym środku sali.

Pamiętając o tych, którzy przyglądali im się dyskretnie, i o tych, którzy gapili się otwarcie, Gwendolyn uśmiechnęła się do wicehrabiego promiennie.

Ujął jej dłoń, drugą ręką objął jej kibić i w tym momencie zdała sobie sprawę, że to walc.

O Boże!

- Coś nie tak? - zapytał zaniepokojony.

Pytanie pozwoliło jej na chwilę zapomnieć o panice.

- To walc.

Zmarszczył czoło, gdy rozbrzmiały dźwięki muzyki.

- Zna pani kroki?

- Tak sędzę. Nauczyciel tańca pokazywał mi je kilka lat temu, ale nigdy nie tańczyłam walca publicznie.

- To łatwe. Proszę po prostu pozwolić mi się prowadzić.

Porwał ją do tańca. Gwendolyn zamknęła oczy, po czym je otworzyła, usiłując sobie przypomnieć, czego ją uczono. Wicehrabia okazał się, rzecz jasna, znakomitym tancerzem. Poruszał się płynnie, prowadząc ją delikatnie.

Gwendolyn ścisnęła go mocniej i poczuła, jak jego ramię pręży się pod jej palcami. Jego dłoń, spoczywająca na jej plecach, zsunęła się niżej. Poczowała pustkę w głowie, usiłując przypomnieć sobie, jak ma stawiać stopy.

Tańczył jak arystokrata, prowadząc ją po mistrzowsku wśród labiryntu wirujących par. Gwendolyn próbowała odprężyć się w jego ramionach, pozwalając po prostu się prowadzić. Głowy zwracały się ku nim, a Gwendolyn bała się, że się potknie i narazi oboje na śmieszność.

Chociaż nie wypowiedziała na głos swoich obaw, wydawał się ją rozumieć.

Przyciągnął ją mocniej, teraz dzieliła ich odległość zaledwie paru cali, podczas gdy inne pary trzymały się w odległości około stopy. Ich ciała muskały się, dotykały, czuła jego pierś tuż przy swojej.

Podniosła głowę, szepcząc:

- Chyba trzyma mnie pan za blisko.

Spojrzał na nią z tajemniczym błyskiem w oczach.

- Będę panią trzymał, jak uważam za stosowne, bo to ja prowadzę w tym tańcu. Poza tym odpowiada mi to.

Mnie także. Gwendolyn wciągnęła powietrze, usiłując zapanować nad uczuciami. Stopniowo poddała się jego woli. W jego ramionach czuła się jak w kokonie - siła i niewymuszony wdzięk Fairhursta kryły jej niedociągnięcia.

To było niezwykle uczucie. Po raz pierwszy w życiu Gwendolyn zrozumiała, dlaczego kobiety zdobywają się niekiedy na zdumiewające zachowania, kiedy znajdują się w towarzystwie mężczyzny.

Jako że przybyli ostatni, lord Fairhurst oznajmił, że odjadą jako pierwsi.

Gwendolyn ogarnęła ulgą. Udawanie, że wszystko jest wspaniale i tak, jak należy, zaczynało ją męczyć. Przetrwiała ten wieczór, nie popełniwszy poważniejszych błędów, ale zdecydowanie wolą odejść, dopóki jeszcze nie opuściło jej poczucie sukcesu.

Pani Hollingsworth nigdzie nie było widać, zatem pożegnawszy się krótko z panem Hollingsworth, wyszli z dusznego domu w chłodne nocne powietrze.

Kiedy czekali na powóz, zerwał się podmuch wiatru. Suknia Gwendolyn zafurkotała w powietrzu, a dziewczyna stłumiła dziecinne pragnienie, żeby rozłożyć ramiona i zakręcić się z wiatrem, dając upust radości.

Udało się! Może nie do końca, ale dużo lepiej, niż mogłaby się spodziewać, gdyby była sama. Uśmiechnęła się radośnie. Uczestniczyła w balu i wyszła z tego bez szwanku.

Cudowne uczucie!

Lord Fairhurst pomógł jej wsiąść do karety i sam wsunął się za nią, zamykając drzwi.

- To triumf, panno Ellingham. Powinna pani być zadowolona.

- Jestem.

Powóz ruszył. Gwendolyn zaczerwieniła się lekko. Usiadła wygodnie w mroku, przepelniona radością zwycięstwa. Po paru minutach jej serce zaczęło nagle bić żywiej. Zmieszana, zerknęła na wicehrabiego.

Wpatrywał się w nią uważnie. Gwendolyn, pod wpływem szoku, chwyciła brzeg ławki, żeby się uspokoić. Walczyła z własnymi zmysłami, które wydawały się pchać ją ku katastrofie.

Otworzyła wachlarz i zaczęła się nim bawić, chcąc zebrać myśli. Tak bardzo pochłonęły ją własne uczucia, że nie zauważyła, iż wicehrabia zmienił pozycję.

Przestraszona Gwendolyn uniosła głowę. Jego przystojna twarz była tak blisko, że dziewczyna nie mogła wymówić słowa. Napięcie, które zaczęło narastać między nimi już w tańcu, zwiększało się teraz z każdym skrzypnięciem kół. Serce Gwendolyn biło tak mocno, że niemal kręciło jej się w głowie,

- Jest tylko jeden sposób, żeby przypieczętować nasze zwycięstwo. - Patrzył

na nią spokojnie, ale uwodzicielsko. - Pocałunkiem.

Gwendolyn usiłowała zwalczyć wrażenie, jakie wywarły jego słowa, obawiając się, że skoro na samo wspomnienie pocałunku tak bardzo przyspiesza jej serce, to pocałunek pozbawiłby ją pewnie przytomności.

Pochylił się. Gwendolyn odwróciła się akurat wtedy, kiedy wargi lorda Fairhurst dotknęły jej twarzy. Wicehrabia pocałował ją w policzek, a nie w usta.

Tak

było

lepiej,

upomniwała

się

surowo,

zmieszana

gwałtownym

rozczarowaniem, które ogarnęło ją wbrew woli.

Odsunęła się, patrząc na niego, ciekawa reakcji. W jasnym świetle księżyca widziała, jak się uśmiecha, ale drapieżny wyraz jego oczu nie pomagał uspokoić jej napiętych nerwów.

- Próbował pan szampana? - zapytała pośpiesznie. - Przyznaję, że trudno byłoby mnie nazwać ekspertem, ale wydawał mi się nieco mdły. Jakie jest pana zdanie?

Wicehrabia nie spuszczał oczu z jej twarzy. Nie miała pojęcia, o czym myślał

i zastanawiała się, czy tak nie jest dla niej lepiej. Gdyby знаła jego niestosowne, uwodzicielskie myśli, wpadłaby w panikę.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Fairhurst zdobył się na odpowiedź.

- Szampan był dobrej jakości, ale nie dość schłodzony. Powszechna trudność o tej porze roku.

- Interesujące - skłamała Gwendolyn na tyle swobodnym głosem, na jaki udało jej się zdobyć. - Hollingsworthowie wydawali się nie szczędzić wydatków na bal, ale poskapili na lód.

- Doprawdy, szkoda - odparł rozbawionym tonem.

Z tętnem bijącym gwałtownie, jak u myszy uciekającej przed kotem, Gwendolyn szukała rozpaczliwie kolejnego tematu.

- A jedzenie? Próbował pan czegoś? Prawdę mówiąc, zbyt się denerwowałam, żeby zjeść chociaż odrobinę.

- Ostrygi były pyszne - powiedział wicehrabia. - Muszę się dowiedzieć, skąd Hollingsworthowie je wzięli, takie świeże.

Widziała po wyrazie jego twarzy, że za tą uwagą coś się kryje, ale była zbyt wytrącona z równowagi,

żeby się nad tym zastanawiać. Udawała, że wszystko jest w porządku, i z pewnym wysiłkiem podjęła konwersację.

Jednak Gwendolyn zdawała sobie sprawę, że lord Fairhurst przygląda się jej z rozbawieniem i zainteresowaniem. Mimo to podtrzymywał rozmowę i za to Gwendolyn była mu wdzięczna.

Niemal krzyknęła z ulgą, kiedy powóz skręcił w żwirowy podjazd. Była prawie w domu. Służba się nie pokazała, kiedy zajechali na dziedziniec. Lokaj wicehrabiego pomógł Gwendolyn wysiąść. Podziękowała cicho.

Ruszyła pośpiesznie w stronę domu, idąc za smugą światła wypływającą z okna na pierwszym piętrze. Czowała, że lord Fairhurst jest tuż za nią, ale wołała nie zdradzać, że wie o jego obecności.

Przy drzwiach Gwendolyn obróciła się tak gwałtownie, że się zderzyła z następującym jej na pięty wicehrabią. Objął ją, chroniąc przed upadkiem.

- Och, proszę wybaczyć moją niezręczność. Obawiam się...

Nie pozwolił jej dokończyć. Prawą dłoń położył na jej karku, odchylił głowę do góry, po czym śmiało zamknął jej usta swoimi. Gwendolyn była na jego łasce, nie mogąc się poruszać.

Ujął zębami jej dolną wargę i ścisnął. Gwendolyn wciągnęła powietrze i zadrżała, kiedy gorący, wilgotny czubek języka przesunął się po jej wargach.

Poczuła mrowienie i otworzyła usta. Wicehrabia, źle odczytawszy ten gest, wsunął w nie język.

Zmiana nastąpiła natychmiast. Fascynacja, z którą walczyła Gwendolyn, buchnęła płomieniem pożądania. Zagubiła się w odczuciu przyjemności.

Pocałunek pogłębiał się i przedłużał.

Gwendolyn brakowało powietrza. Chciała się oderwać, zachować z godnością i przyzwoitością, ale była bezsilna. Z zaskakującą łatwością poddała się przyjemności i pożądaniu. Nie umiała tego przerwać.

Gwendolyn całowano dotąd dwa razy, ale nigdy z taką zręcznością i pasją.

Pocałunki wicehrabiego odbierały jej przytomność, napełniały tęsknotą, której dotąd nie знаła. Miała wrażenie, że unosi się nad ziemią. Była oszołomiona, jak wcześniej tego wieczoru, kiedy zbyt szybko wypila ciepłego szampana.

Pocałował ją w policzek, potem musnął wargami poniżej ucha. Nie zastanawiając się nad tym, wtuliła się w niego, rozkoszując tą chwilą.

Nadal półprzytomna, Gwendolyn otworzyła oczy. Lord Fairhurst patrzył na nią szeroko otwartymi, ciemnymi oczami. Uniosła rękę do gardła, chcąc uspokoić wzburzone uczucia.

- Nie przeproszę za to, że cię pocałowałem - szepnął chrapliwym głosem. -

Bo pragnę to zrobić jeszcze raz. I jeszcze. Chcę się zagubić w tej chwili, kochana Gwendolyn. Chcę się zagubić w tobie.

Zadrżała. Pokusa była ogromna. Większa niż mogła sobie wyobrazić. Nie mogła jednak pozwolić na podobną lekkomyślność teraz, kiedy w jej życiu nastąpiła taka zmiana. Dziś wieczorem socjeta przyjął ją ponownie.

Niezbyt chętnie i niezbyt łatwo, ale był to pierwszy krok. Ze względu na Dorotheę i Emmę, oraz oczywiście ze względu na nią samą, musi się wyrwać z marginesu, na jaki ją zepchnięto.

- Och, milordzie - powiedziała cicho. - Nie wolno nam się całować nigdy więcej.

- To smutne zakończenie wieczoru.

Serce jej się ścisnęło, bo w gruncie rzeczy miał rację. Ale wiedziała, że musi słuchać głosu rozsądku. Nie należała do kobiet, które wdawały się w puste romanse, a to było wszystko, co mógł jej ofiarować.

- Nigdy więcej - szepnęła, patrząc mu prosto w oczy.

Lord Fairhurst zacisnął na chwilę powieki, potem wziął w dłonie jej obie ręce.

- Śpij dobrze, najdroższa Gwendolyn. Słodkich snów i śnij tylko o mnie.

Odwrócił się i odszedł. Stała w miejscu, wbijając wzrok w jego plecy, kiedy wchodził do powozu. Drzwi się zamknęły i pojazd ruszył.

Żal ścisnął ją za gardło. Gwendolyn się opanowała i chwyciła za mosiężną gałkę drzwi tak mocno, że zabolęła ją ręka. Walczyła z rozpaczliwym impulsem, żeby za nim pobiec.

Szarpnęła drzwi i weszła do domu. Na szczęście nikogo nie było w holu.

Chociaż zabawili w powozie nieco dłużej, wyjechali na tyle wcześnie, żeby wyprzedzić siostrę i wujostwo.

Zamknęła za sobą ciężkie drzwi, zasunęła zasuwkę i oparła się o nie, słuchając bicia własnego serca. Dzięki Bogu, zdrowy rozsądek przeważył!

Otarła się o granicę przyzwoitości i, tak jest, przekroczyła ją, ale opamiętała się, zanim doszło do katastrofy.

Cała ta sytuacja była w najwyższym stopniu niewłaściwa i niemoralna. Lord Fairhurst był żonaty. Nie mieli przyszłości. Byłaby to krótka przygoda, albo, co gorsza, dłuższy, tajemny romans. Każdy związek tego rodzaju rzuciłby ją w bagno, z którego już by się nie wydostała.

Dzisiejszy incydent należało uznać za chwilowe szaleństwo, euforyczną reakcję na sukces na balu u Hollingsworthów. To nie mogło się nigdy, w żadnych okolicznościach, powtórzyć. Nigdy już nie może dopuścić, aby namiętność przyćmiła jej poczucie przyzwoitości i kazała zapomnieć o zasadach moralnych, choćby pokusa była ogromna, a tęsknota rozdzierająca.

Pocałunki wicehrabiego pozbawiły ją tchu, przyprawiły niemal o gorączkę.

W tej krótkiej chwili Gwendolyn czuła, że żyje intensywniej niż kiedykolwiek przedtem. To doświadczenie zmieniło ją i niepokojące uczucie, że nic już nie będzie takie samo, nie opuszczało jej, kiedy wreszcie zasnęła.

Jason spacerował niespokojnie po sypialni. Zdjął strój wieczorowy i odprawił

Pierce'a, wiedząc, że jeśli służący zostanie dłużej, oberwie mu się niezasłużenie za zły humor pana.

Wszystko zaczęło się tak dobrze. Strach i zdenerwowanie Gwendolyn były doskonale wyczuwalne. Jednak dziewczyna zdołała je opanować i szczęśliwie cały wieczór potoczył się gładko. Był z niej dumny i cieszył się, że zdołał

zapewnić jej godne traktowanie po czterech długich latach towarzyskiej banicji.

Dzięki jej pomocy poruszał się swobodnie wśród miejscowych, tak że nikt nie podejrzewał, iż nie jest tym, za kogo się podaje. Co zdumiewające, czuł się dobrze w roli wicehrabiego, chociaż zdarzało się, że było mu trochę ciasnawo w cudzych szatach.

Parę partyjek w pokoju karcianym stworzyłoby znakomitą okazję nawiązania niewymuszonej konwersacji z innymi dżentelmenami, ale nie mógł zasiąść do gry, bo Jasper nie uznawał hazardu. Co dziwniejsze, miejscowi zdawali sobie z tego sprawę. Jeszcze jedna rzecz, która przypomniała Jasonowi dobitnie, że musi bardzo uważać, żeby wyplątać się z tej afery i rozwiązać zagadkę.

Niestety, postępy, jakich dokonał, i cały sukces wieczoru przesłoniło jego naganne zachowanie, kiedy opuścili Hollingsworthów. Kiedy znalazł się w ciemności sam na sam z Gwendolyn, w intymnym kokonie powozu, dał się ponieść instynktom i pożądaniu, czego jego brat nigdy by nie uczynił.

Pocałował ją! Co się z nim działo? Czy naprawdę był zdeprawowanym libertynem, o co oskarżał go Jasper? Czy brakowało mu choćby odrobiny poczucia przyzwoitości? Nie był w stanie nad sobą panować?

Pomimo skandalu z przeszłości Gwendolyn nie była rozwiązłą kobietą, która łatwo wskoczy do łóżka mężczyzny. Należała do kobiet, które prowadzi się do ołtarza. Była zatem właśnie takim typem kobiety, których Jason zawsze unikał.

A w sytuacji, kiedy wcielił się w swego brata, człowieka żonatego, tym bardziej żaden związek z Gwendolyn nie wchodził w rachubę.

Zacisnął dłoń w pięść. Tylko najgorszy drań kochał się z kobietą, która wierzyła, że jedyne, co może jej dać, to rola kochanki. To była obraza. Powinna zrobić więcej niż tylko go odepchnąć, kiedy ją całował. Powinna była dać mu w twarz!

Jęknąwszy z niesmakiem, Jason podszedł do okna i wyjrzał w ciemną noc.

Przesunął ręką po szczęce, wyczuwając szorstkość zarostu. Czy jego broda zadrapała jej delikatną skórę, powodując zaczerwienienie? Było zbyt ciemno, żeby to zobaczyć.

Wspomnienie tych pocałunków wytrącało go z równowagi. Całował

dziesiątki kobiet w swoim życiu, ale z Gwendolyn... Już samo to, że trzymał ją w ramionach, było bardzo poruszającym doświadczeniem.

Szalał w niej ogień. Ogień i namiętność. Tylko czekały, żeby je wyzwolić.

Wciąż czuł delikatny, lawendowy smak jej skóry, słyszał pomruki zadowolenia.

Zachwycał się sposobem, w jaki wtuliła się w jego ramiona, przywierając do niego. To było dużo więcej niż tylko zmysłowa przyjemność. To coś, co poruszyło go dużo głębiej.

Z uczuciem bardzo podobnym do strachu Jason przypomniał sobie ten jeden, jedyny raz, kiedy pozwolił sobie pójść za głosem serca. Głęboka, bezwarunkowa miłość do Elizabeth sprawiła, że nie mógł bronić się przed bólem, kiedy odkrył, że dziewczyna nie odwzajemnia jego afektu. Ten ból niemal go zniszczył.

A teraz czuł, że budzi się w nim coś podobnego. Czy to możliwe? Przecież przysiągł sobie, że to się już nigdy nie powtórzy!

Czyżby zakochał się w Gwendolyn Ellingham?

Gwendolyn obudziła się następnego dnia zmęczona i nieswoja. Spała niezbyt dobrze, miała niepokojące i nieco erotyczne sny. Chociaż nie pamiętała szczegółów, wrażenie dotyku ciepłych męskich warg na ustach, wspomnienie dreszczu rozkoszy, kiedy wsunął język między jej wargi, gorąca, jakie ogarnęło całe jej ciało - to wszystko w niej pozostało.

Jej nastrój się nie poprawił, kiedy rozsunęła zasłony, pozwalając światłu słońca wpaść do sypialni. Gwendolyn się zastanawiała, czyby nie wrócić do łóżka. Wiedziała jednak, że nie zdoła wiecznie unikać rodziny. Ciocia i wuj mieli z pewnością mnóstwo pytań co do zeszłej nocy i oczekiwali wyjaśnień.

Reszta rodziny wróciła z balu wkrótce potem, jak Gwendolyn położyła się spać. Rozległo się ciche pukanie do drzwi jej sypialni. Wiedząc, że opowiadając o wieczorze, nie zdoła nie wspomnieć o gorących pocałunkach na koniec, Gwendolyn ukryła się pod kołdrą i udała, że śpi. Na szczęście Dorothea odeszła, nie próbując jej budzić.

Gwendolyn zacisnęła mocno powieki, wspominając swoje tchórzliwe zachowanie. Jeśli nie potrafiła stanąć twarzą w twarz z Dorothea, jak zdobędzie się na odwagę, żeby porozmawiać z ciotką i wujem? Otworzyła oczy, zastanawiając się, jakie ma możliwości. Nie było ich, niestety, wiele.

Z westchnieniem rezygnacji przeszła przez pokój i naląła wody do porcelanowej misy w umywalce. Umyła ręce i twarz. Przesunęła palcami po wargach, wspominając uczucie przyjemności, kiedy wicehrabia ją całował.

- Czy potrzebuje panienka pomocy?

Gwendolyn, przestraszona, upuściła ręcznik.

- Nie, dziękuję, Lucy. Sama dam sobie radę.

- Doskonale. Odłożę tylko bieliznę na miejsce. - Służąca krzątała się po pokoju, nie śpiesząc się, czekając najwidoczniej na zaproszenie do rozmowy.

Kiedy skończyła, odwróciła się z uśmiechem. - Czy dobrze się panienka bawiła na balu?

Gwendolyn spokojnie wytarła dłonie do sucha.

- Tak, Lucy. Chcę ci podziękować za pomoc.

Służąca uśmiechnęła się szerzej i skromnie spuściła oczy.

- Cieszę się, że się na coś przydałam.

- Twoje wsparcie miało dla mnie ogromne znaczenie - powiedziała szczerze Gwendolyn.

Służąca aż się zaczerwieniła z dumy, dygnęła i wyszła. Gwendolyn powoli złożyła wilgotny ręcznik. Zakryła twarz dłońmi i zadrżała. Opanowanie. Musi odzyskać panowanie nad sobą i godność, albo nigdy nie zdoła stawić czoła rodzinie.

Wybrała wykwintną suknię z bladoniebieskiego muślinu, wciągnęła ją przez głowę i zawiązała ciasno. Skupiając się na poszczególnych czynnościach, rozpuściła włosy, przeczesала je i upięła w prosty węzeł na karku.

Była gotowa, żeby zejść na śniadanie. Miała nadzieję, że burza wywołana jej pojawieniem się u Hollingsworthów uspokoiła się nieco. Przy odrobinie szczęścia może nie będzie to jedyny temat porannej konwersacji.

Podniesiona na duchu tą myślą, zeszła pośpiesznie na dół, zjawiając się jako ostatnia przy stole. Oczy wszystkich zwróciły się na nią, kiedy weszła do pokoju i Gwendolyn poczuła, jak jej twarz pokrywa bład rumieniec. Optymizm stopniał gwałtownie, kiedy zajęła miejsce przy stole.

- Dzień dobry, Gwendolyn - powitała ją wesoło ciotka Mildred. - Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

- Tak, dziękuję. - Gwendolyn unikała wzroku ciotki i machnęła odmownie ręką na talerz jajek, bekonu, plasterków wołowiny oraz biszkoptów z marmoladą, który służąca próbowała przed nią postawić. - Poproszę tylko herbatę i zwykły tost, Jane.

- Straciłaś apetyt, czy tak? - zapytał wuj Fletcher, nalewając sobie sporą porcję słodkiej śmietany do porcelanowej filiżanki. - Nic dziwnego, po twoim zachowaniu zeszłego wieczoru.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Nie odwrócił oczu, po czym wsunął sobie całe jajko do ust. Gwendolyn spojrzała w bok i łyknęła nieco herbaty, żeby zapobiec ściskaniu w gardle.

- Zachowanie Gwendolyn zeszłego wieczoru było jak najbardziej przykładne

- oznajmiła gwałtownie Dorothea. - Uważam, że wykazała się niezwykłą odwagą, zjawiając się wczoraj na balu. Jej sukces to triumf nas wszystkich.

- Triumf? - Wuj Fletcher uniósł brwi. Jego gardło poruszyło się gwałtownie, kiedy przełykał resztę jajka. - Raczej szok. Bardzo nieprzyjemny szok. -

Podniósł rękę, kiedy Dorothea chciała zaprotestować, i skierował całą uwagę na Gwendolyn. - Twoja ciotka i ja nie posiadaliśmy się ze zdumienia na twój widok zeszłego wieczoru. Dlaczego nie poinformowałaś nas o swoich planach?

Gwendolyn podniosła czajniczek i naląła sobie parującego płynu do filiżanki.

- Uznałam, że to nieistotne.

- Cholerna bzdura!

- Fletcher! Co za język. I to przy śniadaniu. - Ciotka Mildred energicznie wachlowała twarz lnianą chusteczką. - Wiem, że jesteś zdenerwowany i słusznie, ale po co ta wulgarność?

- Nie chciałem cię urazić, moja droga. Wybacz.

Wuj usiłował przybrać skruszony wyraz twarzy, ale Gwendolyn nie dała się oszukać. Był rozgniewany - dużo bardziej, niż Gwendolyn się spodziewała.

Zerknęła na Dorotheę. Siostra wzruszyła bezradnie ramionami.

- Sądzę, że wuja zaskoczył wybór osoby towarzyszącej. Czy zechcesz mu wyjaśnić, jak poznałaś lorda Fairhurst? - powiedziała ciotka Mildred scenicznym szeptem, nachylając się ku Gwendolyn.

- Poznałam go, kiedy przyjechał nas odwiedzić, ciociu Mildred - odparła spokojnie Gwendolyn. - W gruncie rzeczy wicehrabia przybył tu na zaproszenie wuja Fletchera.

Ta uwaga ciotkę zmieszała.

- Tak, tak, oczywiście. Jaka ze mnie gapa, że nie pamiętałam.

- A jako że to ty go zaprosiłaś, drogi wuju, żadnej z nas nie przyszło do głowy, że mógłbyś go uważać za nieodpowiedniego dżentelmena - powiedziała Dorothea słodziutkim tonem.

- To wicehrabia! Oczywiście, że jest odpowiedni! - wrzasnął wuj Fletcher.

- A więc nie masz powodu się niepokoić, wuju - wtrąciła Emma.

- Czy bal był udany, Gwen? Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Wuj Fletcher zeszywniał, przybierając kamienny wyraz twarzy.

- Nie teraz. Nie będę słuchać tych sakramenckich głupot. Przewróci mi się w żołądku.

Ciotka Mildred sapnęła, ale tym razem nie doczekała się przeprosin za szorstki język.

- To było wspaniałe przyjęcie. Wszyscy, z wyjątkiem wuja Fletchera, świetnie się bawili. Z największą chęcią opowiem ci wszystko po śniadaniu, Emmo. - Gwendolyn ogarnęło oburzenie. - Chociaż muszę stwierdzić, że lord Fairhurst był najbardziej czarującym i eleganckim towarzyszem i ogromnie się cieszę, że ktoś wreszcie się za mną ujął po tylu latach.

- Tak, należało to zrobić już dawno - powiedziała Dorothea. Mięsień zadrgał

w szczęce wuja Fletchera, kiedy oparł się na krześle.

- Może ci się wydawać, że Fairhurst to rodzaj szlachetnego rycerza, ale jako twój opiekun muszę podać w wątpliwość jego motywy.

Trudno zachować gniewny wyraz twarzy, czując, jak rumieniec zakrada się na policzki, ale Gwendolyn jakoś zdołała to zrobić.

- Był moim towarzyszem. Niczym więcej. Ciotka Mildred pokiwała głową z entuzjazmem.

- No właśnie! Widzisz, Fletcher, nic w tym złego. Zupełnie nic.

Ugodowy ton ciotki podrażnił nerwy Gwendolyn. Dlaczego nagle zaszła potrzeba, żeby koniecznie udobruchać wuja Fletchera? Nigdy przedtem nie wydawał się szczególnie zainteresowany tym, co robi jego podopieczna. A może coś mu się nie podobało w lordzie Fairhurst?

- Sądzę, że nie ma po co rozwodzić się nad tym po fakcie - odezwał się w końcu wuj Fletcher. - O ile na tym się skończy.

Gwendolyn łyknęła gorącej herbaty, zanim odpowiedziała.

- Jeśli lord Fairhurst zaprosi mnie na inne przyjęcie, przyjmę jego zaproszenie.

- To bardzo nierozsądne, Gwendolyn.

Głos wuja brzmiał spokojnie, ale coś w jego tonie sprawiło, że cztery kobiety poczuły się niepewnie.

- Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć, wuju? - zapytała odważnie Gwendolyn.

- Jestem pewna, że wuj pragnie ci tylko uświadomić, że jesteś pod jego opieką, Gwendolyn. Tak jak wy wszystkie, dziewczęta - dodała ciotka Mildred niepewnym tonem. - Czyż nie tak, najdroższy?

Wuj Fletcher nie zwrócił uwagi na żonę, nie spuszczał oczu z Gwendolyn.

- Fairhurst jest żonaty. Ty jesteś panną. To bardzo niestosowne, żebyś przebywała z nim sam na sam, nawet podczas krótkiej jazdy powozem.

- W moim wieku jestem niemal starą panną. Jednakże, skoro nalegasz, postaram się o przyzwoitkę, kiedy będę przebywać w towarzystwie wicehrabiego - odparła Gwendolyn. – I wybiorę taką, która nie uchybi swoim obowiązkom.

- Zawsze byłaś uparta, Gwendolyn, ale nigdy nie uważałem cię za głupią. -

Wuj Fletcher się skrzywił. - Żonaci lordowie, tacy jak Fairhurst, nie kierują się szlachetnymi pobudkami w stosunku do młodych, atrakcyjnych kobiet.

Przejął ją nagły chłód. Wypowiedział na głos jej najgorsze obawy.

Gwendolyn zbladła i odwróciła głowę.

- Mówisz takie straszne rzeczy, Fletcherze. Mój Boże, nie musimy wątpić w moralność dziewcząt, zwłaszcza Gwendolyn – powiedziała ciotka Mildred głosem, który przeszedł w pisk. - Nie ma też powodu, żeby kwestionować pobudki lorda.

Było to żalosne stwierdzenie, jeśli się weźmie pod uwagę rozwiązłe obyczaje

arystokracji i skandaliczną reputację Gwendolyn przez ostatnie cztery lata, ale wsparcie ciotki było cenne. Wuj Fletcher chyba w końcu zrozumiał, że przewaga liczebna działa przeciwko niemu. Z wyrazem niesmaku na twarzy otworzył gazetę i pogrążył się w lekturze.

Ciotka Mildred westchnęła z ulgą i poklepała niezgrabnie Gwendolyn po dłoni. Ta odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Nie zważając na zły nastrój po nieprzyjemnej rozmowie, próbowała dokończyć śniadania. Ale każdy kęs wydawał się utykać jej w gardle.

Chociaż Jason podświadomie spodziewał się tego, jednak się zdziwił, kiedy następnego popołudnia Snowden zapowiedział gości. Damy.

- Gdzie je umieścićś? - zapytał Jason.

Majordom uniósł brwi.

- Jeszcze nigdzie, jaśnie panie. Czekają w holu. Nie byłem pewien, czy pan dzisiaj przyjmuje gości.

Jason wypuścił powietrze.

- To źle, co, Snowden?

Trudno było zgadnąć, co myśli lokaj, ponieważ jego twarz pozostała całkowicie bez wyrazu. Płynnym ruchem podsunął Jasonowi małą, srebrną tackę, na której spoczywały trzy wizytówki. Jason pochylił głowę i przeczytał nazwiska.

Pani Hollingsworth, pani Merrick i pani Tiltontown. Święta trójca socjety Willoughby! Jason niemal

jęknął.

- Co pan rozkaże?

- Lepiej, żebym się z nimi spotkał. Inaczej wrócą jutro.

- Doskonale, jasnie panie. Czy mam je zaprowadzić do salonu?

Jason pomyślał o natrętnym, żółtym wystroju pokoju i tym razem naprawdę jęknął.

- Nie. Zaprowadź je do bawialni we frontowej części domu.

- Czy podać herbatę? Jason się zastanowił.

- Nie trudź się. Nie zostaną na tyle długo.

Kiedy szedł w stronę bawialni, umacniał się w swojej determinacji.

Domyślał się, dlaczego kobiety przyszły z wizytą i nie miał zamiaru poddawać się krytyce.

Wkroczył do pokoju ze stoickim wyrazem twarzy. Skłonił się przed gośćmi, a panie dygnęły pośpiesznie. Na jego zaproszenie usiadły na krzesłach obok siebie. Zasiadł naprzeciwko, czując się jak niegrzeczny chłopak, któremu zaraz natrą uszu.

Jason rozpoczął uprzejmą konwersację, oceniając przeciwnika. Szybko uświadomił sobie, że przywódczynią grupy jest pani Merrick. Odcień zieleni, w który była ubrana, nie stanowił korzystnego tła dla jej cery, ani też nie ukrywał wad jej figury. Pomyślał z rozbawieniem, że kształtem przypomina rzepę.

- Uznałyśmy za swoją powinność przyjść tutaj i porozmawiać z panem -

zaczęła pani Merrick, nawiązując w końcu do prawdziwego celu wizyty. - Po wydarzeniach ostatniego balu wydaje się zupełnie oczywiste, że nie zna pan sytuacji dotyczącej pewnych członków naszej społeczności. Musimy zatem, w dobrej wierze, ostrzec pana przed wchodzeniem w jakiegokolwiek związek z Gwendolyn Ellingham.

Jasona ogarnęła wściekłość, ale spojrzał na damy chłodnym wzrokiem.

- Wybaczcie, moje panie. Obawiam się, że mój słuch ucierpiał od ostrego, wiejskiego powietrza. Przez chwilę wydawało mi się, że panie mówią mi, jak mam postępować i, co jeszcze bardziej nieprawdopodobne, z kim mam zawierać znajomości.

Kobiety wymieniły przestraszone spojrzenia.

- Nigdy nie ośmieliłybyśmy się mówić panu, co ma robić. Jednakże fakt, że towarzyszył pan wczoraj panie Ellingham u mnie na balu, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że nie zna pan jej prawdziwej natury - odezwała się pani Hollingsworth.

- Słyszałem plotki - warknął. - I widziałem, jak ją panie traktują: podejrzliwie, z wyższością, a nawet z pogardą. To niegodne. - Powiódł

wzrokiem od jednej do drugiej, czekając na ich reakcję.

Pani Hollingsworth wypięła pierś jak rozwścieczony indyk.

- To panna Ellingham jest niegodna!

Jason pochylił się w przód, przemawiając cichym, ale groźnym głosem:

- Czy wie pani, jaką cieszę się reputacją, pani Hollingsworth?

Pani Hollingsworth otworzyła, po czym zamknęła usta. Z obłędem w oczach zwróciła się do pani Tiltondown, która pośpieszyła jej na ratunek.

- Powiada się, że wicehrabia Fairhurst jest uosobieniem przykrości, dlatego uznaliśmy, że nie zna pan prawdy o tej dziewczynie.

Pani Merrick pokiwała energicznie głową.

- Wiedzialiśmy, że gdyby znał pan prawdę, nie udzielałby jej pan twojej protekcji. Nie wspominając już o tym, że pańska małżonka, naturalnie, nigdy nie zaaprobowałaby takiej znajomości.

- Aach... Zna pani zatem doskonale lady Fairhurst? – Jason uniósł brwi. -

Moja żona zwierzyła się pani i wyraziła dezaprobatę wobec panny Ellingham?

Twarz pani Merrick splonęła krwawym rumieńcem.

- Cóż, nie. Nie miałam zaszczytu poznać lady Fairhurst.

- Nie może zatem pani twierdzić, że zna jej umysł i usposobienie. - Jason zacisnął szczęki, patrząc po kolei na kobiety. - Proszę zatem, aby pani więcej tego nie czyniła.

Najwyraźniej obrażona, pani Merrick przycisnęła dłoń do obfitej piersi.

- Z pewnością mogę przypuszczać, jak zareagowałyby dama, gdyby jej mąż stanął w obronie upadłej kobiety. To niegodne.

Twarz Jasona skamieniała.

- Lady Fairhurst to skarb wśród kobiet, kobieta o inteligencji i dowcipie, który nie znosi głupoty. Wiem, że gdyby się poznały, ona i panna Ellingham, stałyby się szybko przyjaciółkami.

Wszystkie trzy przyglądały mu się przez chwilę, próbując odgadnąć, czy mówi szczerze.

- Lady Fairhurst zmieniłaby zdanie, usłyszawszy o skandalicznej przeszłości panny Ellingham -

oznajmiła pani Hollingsworth.

Nieproszone, zaczęła opowiadać o skandalu, przytaczając szczegóły dowodzące przesady i nieścistości wynikających z wielokrotnego powtarzania tej historii. Po chwili Jason miał tego dosyć.

- Wystarczy.

- Ależ, lordzie Fairhurst, z pewnością zgodzi się pan, że...

- Dość!

- Panie...

- Szez! - Przyłożył palec do ust. - Ani słowa więcej.

Pani Hollingsworth uniosła brwi tak wysoko, że niemal zginęły pod czepkiem. Pani Tiltondown wydawała się bliska wybuchu. Powstrzymywanie się od mówienia wydawało się dla niej zadaniem na miarę Herkulesa. Spojrzała z rozpaczą na panią Merrick, ta jednak pokiwała tylko głową.

Zapadło długie i pełne napięcia milczenie. W końcu odezwała się pani Merrick.

- Nie zamierzałyśmy pana obrazić.

- A jednak zrobiły to panie. - Boże, czy jego rodzina też musiała przechodzić przez coś takiego z jego powodu? Wysłuchiwanie niekończącej się listy

zarzutów

i

konieczność

bronienia

go

przed

złośliwością

i świętoszkowatym oburzeniem innych?

Najgorsze było to, że jego postępów często nie dało się usprawiedliwić.

Potrafił zachowywać się po grubiańsku, lekceważąc wszelkie zasady przyzwoitości. Dopuścił się czynów szokujących, postępował w sposób, który budził komentarze. Był, przez wiele lat, powodem skandali. Natomiast uczynki Gwendolyn nie miały znaczenia i nie dotyczyły nikogo poza nią samą.

Przeszył panią Merrick lodowatym spojrzeniem.

- Jestem zaszokowany i głęboko zasmucony będąc świadkiem tak małodusznego zachowania.

Miałem
nadzieję
spędzić
więcej
czasu

w Willoughby, brałem nawet pod uwagę spędzenie tutaj wakacji zimowych, sądząc, że jest to miejsce nie tylko piękne, ale również takie, gdzie spotkać można wielu szlachetnych ludzi. Miałem też nadzieję namówić paru moich nieżonatych przyjaciół, aby tu przybyli z wizytą i zapoznali się z, jak sądziłem, szacowną społecznością. Zawsze są chętni do zawarcia nowych znajomości, zwłaszcza z niezepsutymi, młodymi pannami. Ostatecznie rynek matrymonialny nie istnieje wyłącznie w Londynie.

Jason dostrzegł wyraz grozy na twarzy pani Hollingsworth i uznał, że zrozumiała przesłanie. Dobrze. Wszystkie trzy kobiety miały niezamężne córki.

Pani Tiltown miała dwie. Pokusa, żeby ściągnąć tutaj godnych, arystokratycznych kandydatów na mężów dla ich córek, była nie do odparcia.

Nawet gdyby zdobyły się na kosztą i wysłały pociechy na jeden sezon do miasta, z pewnością nie miały znajomości, żeby zapewnić sobie zaproszenia na najlepsze bale. Byłyby doprawdy głupie, odrzucając tę cudowną okazję.

Stawałyby o zakład, że ich praktyczna natura przewycięży upartą dumę i małomiasteczkową, ciasną moralność.

- Nie chcemy, aby pan nas uważał za zacofane - odezwała się pani Merrick. -

Musimy jednakże utrzymywać standardy właściwego zachowania, aby zapewnić sobie bezpieczną przyszłość.

Ostrożne. Chociaż tak naprawdę chciał, żeby się wiły, Jason uznał, że dużo rozsądniej będzie ułatwić im zmianę frontu.

- Miłe panie, jestem świadomy okoliczności owego niefortunnego wypadku, które nie są szerzej znane. Muszą mi panie uwierzyć, kiedy mówię, że plotki są znacznie przesadzone, fakty przeinaczone na skutek przekazywania ich z ust do ust. Panna Ellingham winna jest jedynie niewłaściwej oceny

sytuacji, co, biorąc pod uwagę jej wiek w owym czasie, można z pewnością zrozumieć. I wybaczyć.

- Jason uśmiechnął się ponuro. - Uznam za osobistą przysługę, jeśli wasze serca i sumienia pozwolą paniom przygarnąć pannę Ellingham z powrotem na łono społeczności Willoughby. Ze względu na mnie.

Spojrzały na niego przestraszone. Wydawały się wstrząśnięte żądaniem, nie spodziewając się takiej bezpośredniości.

- Chciałybyśmy wyrazić zgodę - odezwała się pani Hollingsworth, czyniąc wyłom w murze nietolerancji. Popatrzyła niepewnie na panią Merrick.

- Być może osądziłyśmy ją zbyt pośpiesznie, zwłaszcza jeśli nie ujawniono wszystkich faktów. Czy zgodzi się pani ze mną, pani Tiltondown?

- To jest możliwe. - Grymas pani Tiltondown wydawał się wymuszony, ale z lekka przypominał uśmiech. - Może mogłybyśmy zmienić opinię, gdyby jego lordowska mość zechciał nas oświecić co do tego, co jest mu wiadomo.

Wszystkie trzy zwróciły się ku niemu oczekująco.

Do diabła! Jason miał nadzieję, że nie przyprą go w ten sposób do muru, ale trzy stare ptaszyska były twardsze, niż się spodziewał. Zastanawiał się nad odpowiedzią, zdając sobie sprawę, że wymyślone naprędce kłamstwa tylko pogorszyłyby sytuację.

- Nie będę plotkować. - Podniósł brodę do góry z wyrazem wyższości, który jego brat doprowadził latami do perfekcji i za który Jason miał ochotę go udusić. - Muszą panie wznieść się ponad plotki oraz pomówienia i wziąć moje słowo za dobrą monetę. Wierzę mocno, że jesteście panie na tyle odważne i oświecone, aby to uczynić. Proszę, nie sprawcie mi zawodu.

Sapnął lekko dla wzmocnienia efektu, żałując, że nie ma głupiego monokla, aby móc na nie spojrzeć przez szkło, onieśmielając je jeszcze bardziej.

Kobiety wydały zbiorowe westchnienie. Popatrzyły na siebie w milczeniu przez parę sekund, zanim ponownie zwróciły na niego wzrok.

- Jeśli zastosujemy się do pańskiego życzenia, czy wyda pan potem przyjęcie z udziałem swoich znajomych i przyjaciół z Londynu? - zapytała pani Merrick.

- Nieżonatych przyjaciół? - dodała pani Tiltondown.

Jason odchrząknął.

- Tak. Pojawi się tutaj mnóstwo chętnych młodych mężczyzn o prawym charakterze i dobrym pochodzeniu. I obiecuję skierować zaproszenia do waszych rodzin.

Czoła pań powoli się wygładziły. Chociaż kobiety starały się to ukryć, nie zdołały powstrzymać

triumfalnych uśmiechów.

- A zatem zawarliśmy ugodę, lordzie Fairhurst - powiedziała pani Merrick. -

Zrobimy co w naszej mocy, aby zapewnić pani Ellingham wstęp do każdego domu, do którego będzie pan jej towarzyszyć.

Nie umknęło jego uwagi ograniczenie tej propozycji, ale zdawał sobie sprawę, że w tych okolicznościach na coś lepszego trudno byłoby liczyć.

- To bardzo wspaniałomyślne z waszej strony, miłe panie.

Wszyscy wstali. Jason zadzwonił po Snowdena, polecając, aby odprowadził

gości. Wyszły z pokoju jak stadko gęsi, z panią Merrick na czele. Negocjacje należały do delikatnych i Jason był z siebie zadowolony. Panując nad emocjami i zastanawiając się, jak zachowałby się jego brat, zdołał z powodzeniem osiągnąć cel.

A co najbardziej zdumiewające, Jason stwierdził, że się uśmiecha, kiedy za kobietami zamknęły się drzwi.

Hłas przy drzwiach biblioteki go przestraszył. Cyril Ardley wciągnął

gwałtownie powietrze, żeby się uspokoić, ale panika znikła, kiedy zobaczył, kto stoi w progu.

- Nie powinieneś przychodzić. - Westchnął i opuścił głowę. - Fairhurst jest dzisiaj w domu. Nasza znajomość już go, zdaje się, zainteresowała. Jeśli zobaczy, że znowu przyszedłeś, może zacząć zadawać pytania.

Fletcher Ellingham sapnął gniewnie.

- Nie pozwolę, żeby ten londyński dandys dyktował mi, co mam robić. -

Wszedł śmiało do biblioteki i stanął przed zarządcą. - Jesteśmy przyjaciółmi od lat i nie będę udawać, że jest inaczej. Niech wicehrabia myśli, co mu się podoba.

Tak szybko, jak się pojawił, gniew Cyrila się ulotnił.

- Bardzo ryzykujemy, Fletcher. Wicehrabia nie jest głupcem. Przesiaduje nad księgami rachunkowymi dzień w dzień. Już znalazł wiele nieścisłości. Jeśli nie przestanie grzebać, boję się, że w końcu odkryje prawdę. A wtedy obaj będziemy zgubieni.

Zapadła ponura cisza.

- To pech, że przyniosło go tutaj w najgorszym momencie - odparł Fletcher, biorąc butelkę porto, która stała otwarta na biurku Cyrila. - Ale wkrótce znudzi się naszym spokojnym, wiejskim życiem i wróci do Londynu, gdzie jego miejsce.

Cyрил przeczesał palcami siwe włosy. Och, tak bardzo pragnął uwierzyć, że tak się stanie.

- Wydaje się, że się nie śpieszy, zwłaszcza teraz, kiedy zaczął się interesować miejscowym towarzystwem.

- Wkrótce się znudzi. Nasza socjeta jest mało zajmująca. Cyril wolno pokręcił głową.

- Obawiam się, że jest inaczej, zwłaszcza odkąd zaczął okazywać wyraźne względy twojej bratanicy. Nie zachęcałbym do podtrzymywania tej znajomości.

- Zgadzam się. Gdyby był wolny, to by była zupełnie inna historia. - Fletcher wypił porto i dolał sobie trunku. - Niedobrze, że jest żonaty. Z takimi głębokimi kieszeniami byłby świetnym zięciem. Takie już moje szczęście, że ma żonę.

- To chyba nie jedyny pech, jaki nas nęka, przyjacielu. - Zarządca pociągnął

długi łyk wina, ledwie czując smak. Jego czoło się zmarszczyło ze zmartwienia.

Nie podzielał pewności Fletchera, że wicehrabia wkrótce ich opuści. Ta wizyta była jakaś inna. Nawet człowiek wydawał się inny. Cyril westchnął. - Zdajesz sobie, oczywiście, sprawę, że mógłbym wszystko stracić.

Fletcher usiadł na krześle i pochylił się do przodu.

- To najgorsza pora, żeby się rozklejać. Musisz wziąć się w garść, inaczej z pewnością wszystko weźmie w łeb.

Odwróciwszy się, Cyril sięgnął po butelkę i nalał sobie szczerze trunku.

- Niewiele mogę zrobić w tej sytuacji. Poza modlitwą. Fletcher zmrużył lekko oczy.

- Fairhurst może coś podejrzewać, ale nic nie robi, nie mając dowodów.

A gdyby je miał, nie stałbyś teraz tutaj. Byłbyś w więzieniu.

To przeraziło Cyrila - dużo bardziej, niż można by przypuszczać. Wznieść się tak wysoko i upaść tak nisko było czymś przerażającym. Odbudował

posiadłość niemal z ruin. Kiedy go najęto w charakterze zarządcy dziesięć lat temu, dzierżawcy ledwie byli w stanie wyżyć. Gospodarstwa znajdowały się w katastrofalnym stanie, nastroje ludzi były jeszcze gorsze.

Cyril miał kilka radykalnych pomysłów na poprawę tego stanu rzeczy.

Młody lord Fairhurst go wysłuchał i, co dziwniejsze, pozwolił je wcielić w życie. Wicehrabia zaufał mu i pod kierownictwem Cyrila dzierżawcy zostali zaopatrzeni w nowy sprzęt i zachęceni do nowych metod gospodarowania.

Stopniowe wprowadzenie nowych technik i eksperymentowanie z różnymi uprawami uratowały posiadłość i gospodarstwa dzierżawców. W rezultacie uzyskano zdrowsze uprawy, wyższe zbiory i większe dochody dla wszystkich.

A kiedy ziemia zaczęła dawać stały dochód, Cyril zajął się rezydencją, która także pozostawała w żalosnym stanie - kwietne ogrody porastały chwasty, jezioro pokrywał gęsty zielony dywan rzęsy, wiele z ponad setki okien domostwa miało wybite szyby, które zastąpiono deskami.

Lord Fairhurst uczestniczył z zapalem w tych pracach, ale cały nadzór spoczywał na Cyrilu. Zarządca przejął się zadaniem - od umocowania chwiejnego

balaska

przy

głównych

schodach

po

naprawę

okien

i przeciekającego dachu.

Powierzono mu dzieło przekształcenia posiadłości w kwitnący, dochodowy majątek i przywrócenia rezydencji jej pierwotnego piękna. Rozglądając się teraz po bibliotece z jej lśniącym drewnianym wystrojem, jedwabnymi zasłonami i bezcennymi antykami, Cyril poczuł przypływ dumy, wiedząc, że powiodło mu się ponad wszelkie oczekiwania pracodawcy. Stosownie go wynagrodzono za dobrze wykonaną pracę.

Może powinien zdradzić jego lordowskiej mości całą prawdę? Źle się czuł

z kłamstwami i wykrętami i bał się, że na długo ich nie wystarczy. Wicehrabia był bystrym człowiekiem, trudno było wyprzedzać jego domysły. Wydawało się logiczne, że ujawnienie prawdy to tylko kwestia czasu.

Może gdyby wyjaśnił całą sytuację, przyznał się do błędów i zobowiązał się naprawić szkody, wicehrabia wybaczyłby mu jego postęпки?

Albo kazałby go wtrącić do więzienia.

- Wiem, że zwróciłeś jedynie małą część pieniędzy, które pożyczyliśmy, ale ile przedmiotów zdołałeś odkupić i sprowadzić do rezydencji? - zapytał

Fletcher.

Cyril skrzywił się niechętnie.

- Mniej niż połowę.

Fletcher sapnął z irytacją.

- Zgodziliśmy się, że przedmioty zwrócimy w pierwszej kolejności! Wiem, że dałem ci pieniądze, żebyś odkupił więcej. Jak to się stało, że poczyniłeś takie marne postęпки?

- Lichwiarze wypijają ze mnie krew! - wykrzyknął Cyril. - Należność rośnie z dnia na dzień. Akurat wtedy, kiedy czuję, że zaraz się od nich wyzwolę, muszę zapłacić kolejną ratę. Nigdy nie zdołam

spłacić dług.

- Musisz zatem więcej dać lichwiarzom i mniej przeznaczyć dla majątku.

Kiedy ich się wreszcie pozbędziemy, będziemy w stanie odkupić resztę obrazów, sreber i antyków, które zastawiliśmy.

- Gdyby to było takie proste - mruknął Cyril pod nosem. - Z pustego i Salomon...

- Tak. Cóż... przynajmniej nie gramy już przy stole. Udało nam się pokonać demona hazardu, który nas dręczył. - Fletcher uniósł kieliszek w toaście, żeby to uczcić.

Cyril spuścił wzrok. Czy naprawdę go pokonali? Pomyślał o wyścigach konnych w dniu targowym, przed dwoma tygodniami, kiedy obaj postawili dużo pieniędzy i przegrali. Zastanawiał się, czy aby sami się nie oszukują. To, że zarzucili grę w karty, nie oznaczało, że uwolnili się od hazardu.

Cyril zazgrzytał zębami.

- Jeśli stracę posiadę, nie będzie żadnej nadziei na zwrócenie tego, co zabraliśmy.

- Wiem.

Strach mocniej ścisnął Cyrila za gardło, kiedy usiłował stłumić poczucie winy. Tak szybko stracili nad tym kontrolę. Nigdy nie zamierzał wziąć z majątku tyle pieniędzy. Zaczęło się od małych sum, wystarczających, żeby pokryć straty po całonocnej grze w karty. Chciał oddać wszystko, kiedy tylko szczęście zacznie mu sprzyjać.

I zrobił to. W ciągu dwóch tygodni pieniądze wróciły, wraz z paroma szylingami procentu, żeby uspokoić nieczyste sumienie, że je w ogóle wziął.

Miesiąc później potrzebował więcej pieniędzy i tych już tak łatwo nie udało się zwrócić. Wtedy Cyril zastawił kilka antycznych waz, wiedząc, że nawet jeśli służba zauważy, że zniknęły, nikt nie powie słowa.

Musiał je w końcu zastąpić tanimi imitacjami, jako że nigdy nie wygrał tyle, żeby odkupić oryginały, chociaż poprzysiął sobie pewnego dnia to zrobić.

Potem, kiedy któregoś ranka rozkleił się po wypiciu zbyt dużej ilości wina, wyznał nieopatrznie swoje grzechy towarzyszowi gry, mając nadzieję, że Fletcher będzie mógł mu pożyczyć trochę pieniędzy.

Zamiast tego Fletcher poprosił o pożyczkę na pokrycie swoich długów, zmuszając Cyrila, żeby ukradł dwa razy tyle, co przedtem. Obiecał zwrócić pieniądze, ale w ciągu roku obaj wzięli dużo więcej, niż zwrócili.

- Musimy zachować zimną krew i modlić się, żeby Fairhurstowi znudziło się proste życie na wsi i żeby zatęsknił za miejskimi rozrywkami - powiedział

Fletcher. - Z czasem wszystko naprawimy.

Cyril łyknął wina, czepiając się kruchej nadziei.

- Chociaż pracuję dla niego od lat, nigdy go dobrze nie poznałem. Wydaje się jednak bardzo zmieniony. Nie jest taki sztywny i czasami nie trzyma się etykiety. Zadziwiająca różnica.

Fletcher wzruszył ramionami.

- Może małżeństwo go zmieniło.

- Może. Ale dlaczego nie przyjechał z żoną?

- To może być powodem jego swobodnego zachowania. Życie jest dużo łatwiejsze, gdy nie ma wokół kobiet, które zwracają ci głowę. - Obaj mężczyźni się roześmieli. - Uspokój się, przyjacielu. Wicehrabia wyjedzie, pozbędziemy się bałaganu i uwolnimy od kłopotów.

Cyril pokiwał ponuro głową.

- Ale nigdy od poczucia winy.

Fletcher parsknął.

- Nie mów mi o winie. Wydałem większość posagów moich bratanic, żeby pozbyć się tego długu. Kto by przypuszczał, że skandal związany z Gwendolyn okaże się takim błogosławieństwem? Żaden mężczyzna z dobrej rodziny nie weźmie jej za żonę, co oznacza, że mam jedno wiano mniej do zwrócenia.

- Fairhurst, jak się wydaje, upodobał ją sobie. To może wzbudzić zainteresowanie innych mężczyzn.

Twarz Fletchera pociemniała ze zmartwienia.

- Zachowanie jego lordowskiej mości nie uszło mojej uwagi. Z jego pomocą Gwendolyn próbuje wejść ponownie do socjety ale wobec silnej niechęci, jaką budzi, wątpię, czy nawet Fairhurst zdoła uratować w pełni jej reputację.

- Może udałoby się nam sprawić, żeby zainteresowanie Fairhursta obróciło się na naszą korzyść - powiedział Cyril. Nawet w stanie częściowego zamroczenia alkoholem zdawał sobie sprawę, że przekracza pewną granicę, sugerując coś niegodnego, był jednak na tyle zrozpaczony, że to uczynił.

Fletcher wzruszył ramionami.

- Gwendolyn jest przyzwoitą dziewczyną. Nie pomoże nam. Wstrząśnięty odpowiedzią i zły na siebie, że o tym wspomniał, Cyril podniósł się chwiejnie na nogi i podszedł do okna. Widok zielonych pól przypomniał mu, co z takim trudem osiągnął i co tak łatwo mógł stracić.

- Znowu się gryziesz - zauważył Fletcher. Odstawił kieliszek i przyłączył się do przyjaciela przy

oknie. - Nie możesz brać sobie tego do serca. Nie jesteś pierwszym zarządcą w Anglii, który małwersował pieniądze.

To było prawdziwe i niezwykle przygnębiające stwierdzenie.

- Mogę nie być pierwszym, ale jeśli lord Fairhurst odkryje moje wykroczenia, zanim zdołam je naprawić, to mogę być ostatni.

Gwendolyn zauważyła szybko, że stosunek towarzystwa wobec niej uległ

subtelnej zmianie. Chociaż nie czuła, że przyjmuje się ją z otwartymi ramionami na przyjęciach, miejscowe matrony okazywały jej mniej niechęci.

Kiedy spotykała je na balu czy też we wsi, rozmowa z sąsiadami nie była już taka wymuszona i napięta.

Na żądanie wicehrabiego nadal występowała w roli jego towarzyszk, chociaż pojawiała się na balach z ciotką i wujem i wracała do domu razem z nimi. Na mocy niewypowiedzianej umowy nigdy nie zostawała sama z lordem Fairhurst. Gwendolyn wcale nie była tym rozczarowana.

W gruncie rzeczy czuła ulgę. Wicehrabia zachowywał się nienagannie, i traktował ją uprzejmie i z dystansem, tak jak wypadało w ich sytuacji.

W przeciwnym razie doszłoby do katastrofy. Występowali razem tylko z jednego powodu - miała mu pomóc obracać się wśród członków miejscowej społeczności. Kiedy wypełni to zadanie, co miało wkrótce nastąpić, przestanie go widywać tak często.

Dzisiejsze przyjęcie wydali proboszcz z małżonką i był to zaskakująco miły wieczór - z dobrym jedzeniem, wyśmienitym winem i ożywioną konwersacją przy stole. Gwendolyn się cieszyła, że mogła tam być i po raz kolejny przyznała, że jej życie uległo poprawie dzięki lordowi Fairhurst. Nawet jeśli potrafił przyprawić ją o rumieniec i gwałtowne bicie serca, nawet jeśli miała przez niego niestosowne myśli, nigdy nie przekroczyłaby granic przyzwoitości.

Gwendolyn wyjrzała przez okno karety na nocne niebo i westchnęła.

Powinna być zadowolona, dumna, że postępuje właściwie. Dlaczego w takim razie czuła wewnątrz taki chłód i pustkę?

- Wyobrażam sobie, że pikniki na wsi wyglądają inaczej niż te, które urządzamy w Londynie, panno Ellingham. Musi mnie pani uświadomić co do waszych obyczajów, tak żebym nie popełnił jakiegoś rażącego faux pas -

powiedział lord Fairhurst z czarującym uśmiechem.

- To dla mnie zaszczyt.

W głosie Emmy brzmiało podniecenie i Gwendolyn nie miała serca wyjaśnić młodszej siostrze, że

pytanie wicehrabiego było w gruncie rzeczy skierowane do niej.

- Dziękuję, panno Emmo. Przyjmę z wdzięcznością pani rady. - Wicehrabia skłonił głowę, a Emma uśmiechnęła się promiennie.

Gwendolyn także się uśmiechnęła, wdzięczna, że wicehrabia nie sprostował

pomyłki i nie wprawiał siostry w zakłopotanie. Oparła się wygodnie o poduszki otwartego powozu, próbując się odprężyć. Wybierali się na piknik do domu Bartwella, który - jak sądziła Gwendolyn - miał być hucznym przyjęciem, ponieważ pan i pani Bartwell z zasady nie urządzali małych imprez.

Jechali powozem wicehrabiego, pięknym i niewątpliwie kosztownym. Dla dopełnienia obrazu wicehrabia zabrał dwóch stajennych oraz trzech służących na koniach, zapewniając sobie entree godne księcia.

- Żałuję, że Dorothea nie mogła z nami jechać - stwierdził lord Fairhurst.

- A ja nie - odparła szczerze Emma. - Skorzystała z uprzejmości pana Harpera i jego rodziny i doskonale się złożyło. Ma pan tylko dwie ręce i gdyby Dorothea tu była, nie mogłabym pana trzymać pod ramię.

Gwendolyn otworzyła usta, żeby zbesztać siostrę, ale śmiech lorda Fairhurst zagłuszył jej słowa.

- Jest pani niezwykła, panno Emmo - powiedział rozbawiony. - Założę się, że kiedy nastąpi pani debiut, połowa londyńskich kawalerów będzie tańczyć, jak im pani zagra.

- Tylko połowa? - zapytała Gwendolyn.

- Dorothea zawładnie drugą połową - oznajmiła Emma. - W takim wypadku, nie mam nic przeciwko temu, żeby się dzielić.

- To niezwykle wspaniałomyślne z pani strony. - Lord Fairhurst się uśmiechnął.

Gwendolyn pokręciła głową, patrząc na niego. Chociaż zwracał się do Emmy, wzrok miał skierowany na nią. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się raz jeszcze i mrugnął okiem. Gwendolyn poruszyła się na siedzeniu, zmieszana.

Była w nim jakaś tajemnica. Nie przesadzał, mówiąc jej wcześniej, że potrafi być sztywny i oficjalny. Okazywał tę cechę w ciągu ostatnich paru dni częściej, niżby sobie życzyła. Zwłaszcza na wieczorze muzycznym u państwa Scarbrough zeszłego wieczoru.

Kiedy przebrzmiał ostatni utwór, spojrział przez monokl, oznajmiając, że wieczór był dość udany. Zachowywał się nieco wyniośle, ale to właśnie monokl i afektowany ton zirytowały Gwendolyn. Miała wrażenie, że Fairhurst gra, i bardzo chciała mu powiedzieć, że wygląda śmiesznie, patrząc przez szkiełko.

Ale się nie odważyła.

Po pierwsze, dlatego że naprawdę nie chciała sprawiać mu przykrości, po drugie, taka postawa pomagała jej nabrać dystansu wobec chwili zapomnienia, jaka im się zdarzyła.

Od tamtego czasu spotykali się wiele razy, ale nigdy nie wspominali owych pocałunków. Wiedziała, że tak jest lepiej, że tylko dzięki temu mogła pozostać

„towarzyszką” wicehrabiego.

Jednak ciągle się zastanawiała, czy Fairhurst myśli o tym równie często, jak ona.

Dojechali na piknik. Życzenie Emmy się spełniło i wkroczyła na przyjęcie jak królowa, uczeplona lewego ramienia lorda, podczas gdy Gwendolyn trzymała się prawego. Podczas powitania Gwendolyn zauważyła błysk złości w oczach pani Bartwell, ale szybko znikł i gospodyni była już tylko miła i uprzejma.

Przywitali się z innymi gośćmi, a potem - jak zaproponowała Emma -

wspięli się na małe wzgórze, we trójkę. Zastanawiali się, gdzie usiąść, kiedy doszli na szczyt, aż w końcu wicehrabia wybrał miejsce, gdzie były zarazem słońce i cień, i skąd widzieli piknik w dole.

Stajennego lorda Fairhurst, który towarzyszył im w pewnej odległości, wysłano po koc. Kiedy wrócił i go rozłożył, cała trójka usiadła wygodnie.

Emma gawędziła z wicehrabią, a Gwendolyn cieszyła się, że siostra wyręcza ją w rozmowie. Sama napawała się pięknym otoczeniem i pogodą, chłonąc widok zielonych pól i lśniących wód jeziora.

Słońce świeciło jasno, w powietrzu czuło się lekki powiew wiatru.

Zabłąkany podmuch wyrwał parę kosmyków z jej koka, ale Gwendolyn nie przejmowała się wyglądem. Podniosła twarz do góry, grzejąc się w słońcu.

Poruszała powoli głową, poddając się wiatrowi.

- Niech pani będzie ostrożna, zniszczy pani sobie cerę - ostrzegł wicehrabia.

Gwendolyn ucieszyłaby się tym przejawem troski, gdyby nie to, że przemówił tonem opiekuńczej ciotki.

- Parę piegów to nie koniec świata - oznajmiła lekkim tonem, nie poruszając głową. Czekwała na to, że powie coś jeszcze, ale milczał.

- Nie jesteście, panie, głodne? - zapytał w końcu wicehrabia. - Mogę poprosić służącego, żeby przyniósł nam koszyk z prowiantem.

- Co za wspaniały pomysł. - Emma skoczyła na równe nogi. - Pójdę z nim, żeby się upewnić, że dostaniemy najlepsze kaski. Czy ma pan jakieś szczególne życzenie?

- Proszę mi sprawić niespodziankę, moja droga.

Emma zaczerwieniła się z radości i odbiegła. Gwendolyn odczekała, aż dziewczynka znalazła się poza zasięgiem głosu.

- Bardzo pana polubiła.

Fairhurst wzruszył ramionami.

- Nie uszło to mojej uwagi.

Gwendolyn chwyciła luźne kosmyki włosów i wsunęła je za ucho.

- Doceniam pańską dobroć i cierpliwość, ale proszę, aby pan postępował rozważnie. Emma jest bardzo wrażliwym dzieckiem.

- Robi na mnie wrażenie bardzo rozsądnej młodej kobiety - zauważył wicehrabia.

Gwendolyn westchnęła.

- Ma prawdopodobnie najwięcej zdrowego rozsądku z nas wszystkich. Ale jest bardzo młoda.

- A ja, bez wątpienia, wydaję jej się bardzo stary, może na mnie zatem bezpiecznie uczyć się flirtować. Jej pochlebstwa są czarujące.

- To dużo więcej niż pochlebstwa, jeśli odpowiadają prawdzie i są szczerze.

- Brawo! Oto przykład doskonałego flirtu - powiedział głębokim, ciepłym głosem. - Muszę panią pochwalić.

Gwendolyn poczekała, aż rumieniec ustąpi z jej policzków, zanim odwróciła głowę od słońca i spojrzała na niego. Patrzył tak, jakby wiedział, o czym myśli.

- Źle mnie pan zrozumiał.

- Nie sędzę. - Przeszył ją spojrzeniem. - Nie będę igrać z jej uczuciami.

Z pani sercem też nie.

- Ależ milordzie...

- Mam do pani ogromną prośbę. Kiedy jesteśmy sami, czy mogłaby pani zwracać się do mnie mniej formalnie?

Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Wezmę to pod uwagę, ale nie znam, niestety, pańskiego imienia.

Oczy mu zalśniły i Gwendolyn zdziwiła się, co w tym takiego zabawnego.

- Rodzina nazywa mnie Jason.

- Jason... - Smakowała wolno to imię. - Jeśli ja pozwolę sobie na taką śmiałość, pan z pewnością będzie chciał uczynić to samo?

- Co za niemądry pomysł. To oczywiste, że myślę o sobie, używając imienia Jason.

Znowu! Ta skłonność do psoty, poczucie humoru, które wydawał się tłumić, ale nad którym czasami nie panował.

Pochylił głowę i przysunął się blisko. Czują jego oddech przy lewym uchu.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Uniosła głowę i napotkała jego wzrok.

W wyrazistych szmaragdowozielonych oczach wicehrabiego czaiła się pokusa i coś, czego nie rozumiała.

Miała ogromną ochotę dotknąć jego policzka, ale wiedziała, że nie powinna tego robić. Położyła dłonie na piersi wicehrabiego i go odepchnęła. Odsunął się natychmiast, ale dziwny wyraz w jego oczach nie zniknął.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej o naszych gospodarzach - odezwał się w końcu. - Wydaje się, że nie szczydzili wydatków. Czy tak jest zawsze?

Zadowolona ze zmiany tematu, Gwendolyn rozejrzała się po falującej, trawiastej łące, upstrzonej teraz licznymi namiotami w zielone i białe pasy. Pod namiotami zasiadali panowie i panie, racząc się smakołykami. Większość siedziała na krzesłach, ale kilka młodych par usadowiło się na kocach.

- Pan Bartwell zbił majątek na wełnie i przez ostatnich dziesięć lat usiłował

pozbyć się handlowego swędu - wyjaśniła. Zauważyła, że gospodarze zajmowali dwa wielkie fotele ustawione pod pasiastym baldachimem, który falował na wietrze. Z tego dogodnego miejsca mogli podziwiać widowisko, które stworzyli, niczym para władców z czasów elżbietańskich. - Niestety, obawiam się, że bez powodzenia.

Wicehrabia się uśmiechnął.

- Niewątpliwie potrafi wydawać przyjęcia. Nie nazwałbym tego kosztownego szaleństwa piknikiem.

W tej chwili wróciła Emma - z dwoma służącymi, z których każdy dźwigał

duży, wiklinowy kosz.

- Nie wiedziałam, na co macie ochotę. Przyniosłam więc po trochu wszystkiego.

- Mądra dziewczyna.

Podczas gdy panie zabrały się do cienkich jak wafelki kromek chleba z masłem i serem, wicehrabia posilał się bardziej pożywnym jedzeniem -

kanapką z pieczoną wołowiną, połówką pieczonego bażanta, sporym kawałkiem sera i miseczką świeżo zebranych owoców. Kończyli właśnie ciasto malinowe i cytrynowe ciasteczka, kiedy, zniechciana, spadła pierwsza kropla deszczu.

- Ścigamy się na dół! - krzyknęła Emma i ruszyła biegiem.

Gwendolyn przyjęła wyzwanie bez zastanowienia. Ślizgając się i popiskując, znalazła się na dole tuż za siostrą. Zasapane i roześmiane, schroniły się pod daszkiem. Gwendolyn się odwróciła, żeby sprawdzić, co się dzieje z wicehrabią.

Maszerował po zboczu wzgórza, sztywno wyprostowany, z podniesioną głową. Spływający z kapelusza deszcz moczył jego piękny, niebieski kubrak.

- Lordzie Fairhurst! Tutaj! - Emma pomachała energicznie rękami.

Wicehrabia odwrócił głowę, patrząc na nie bez uśmiechu.

- Mój Boże, to tylko mały deszczyk. Chyba się pan nie rozpuści? -

powiedziała Gwendolyn lekkim tonem, widząc, jak krople wody osiadają na jego policzkach. - Lepiej dla pana, jeśli z mniejszą powagą będzie pan traktował

takie przygody.

- Może panią bawi przebywanie na deszczu, ale zapewniam, że mój kamerdyner zapłaci nad moimi butami - oznajmił lord Fairhurst, podchodząc do nich.

- Lepiej wejdźmy do środka - zaproponowała Emma.

Weszli do domu. Emma szybko ich opuściła.

- Nigdy nie widziałam tylu ludzi naraz w domu. - Gwendolyn wykonała w holu powolny piruet. - Jak się tu wszyscy zmieścimy?

Lord Fairhurst się uśmiechnął.

- Musi być jakaś droga ucieczki. - Wskazał ręką w prawo. - Tędy?

- Och, nie! - Gwendolyn pokręciła głową. - Muzycy wcisnęli się jakoś w odległy kąt sali i zaraz zaczną grać. Zostaniemy uwięzieni, jak tylko tłum ruszy do tańca.

- Może tutaj? - zapytał lord Fairhurst, zatrzymując się przed na wpół

przymkniętymi drzwiami. - To chyba biblioteka.

Gwendolyn uniosła brwi.

- Pan Bartwell ma bibliotekę? To niezwykle. Nie należy raczej do moli książkowych.

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Ciemne deszczowe chmury sprawiały, że w pomieszczeniu panował mrok, ale było na tyle jasno, żeby nie wpadać na meble.

Ku zdumieniu Gwendolyn była to istotnie biblioteka, zastawiona regałami aż po sufit z rzędami równo poustawianych, oprawionych w skórę dzieł. Pokój zdobiły brązowe statuetki i starożytna ceramika, a także wypchana głowa wielkiego jelenia. Gwendolyn przeszła na drugi koniec pomieszczenia, chcąc uniknąć widoku jego niepokojących, szklanych oczu.

- Co za imponujący zbiór - zauważył wicehrabia, zerkając na tytuły książek. -

Greka, łacina, francuski, włoski. Pan Bartwell okazuje się człowiekiem renesansu.

Gwendolyn zmarszczyła brwi.

- Z pewnością nie. Ledwie czyta po angielsku, a co dopiero w innych językach.

- Ach! Jest zatem kolekcjonerem, który dokonał paru celnych inwestycji. -

Lord Fairhurst wyjął kilka książek z półek i je przejrzał. - Pierwsze wydania są rzadkie i wiele warte.

Gwendolyn przesunęła palcami po grzbietach książek, tłumacząc sobie po cichu ich tytuły, i stwierdziła, że lord Fairhurst ma rację. Szła wzdłuż półek, spotykając się z nim pośrodku.

Mijając go, poczuła się nieswojo. Odstąpiła w tył, zachowując jak największą odległość między nimi. To niewiele zmieniło.

Wciąż czuła jego niepokojącą bliskość, obecność mężczyzny, który wyzwał

w niej kobiecą zmysłowość. Pociągał ją, co było zarazem fascynujące i przerażające.

Coś się w niej obudziło, coś, co tkwiło głęboko przez wiele lat. Coś, co, niestety, musiało pozostać w ukryciu. Wicehrabia był żonaty i na pewno nie powinna snuć na jego temat romantycznych fantazji.

Przez chwilę ogarnęło ją tak silne fizyczne pożądanie, że jej serce ścisnęło się boleśnie. A że zawsze stała mocno na ziemi, odsunęła na bok to uczucie, wiedząc, że zakochuje się w kimś, kto jest dla niej niedostępny.

Jason kręcił się po bibliotece, czując się jak tygrys w klatce, dusząc się pod maską przybranej

osobowości. Wiedział, że niebezpiecznie jest pozostawać sam na sam z Gwendolyn, nawet przy otwartych drzwiach, jednak trudno mu było postąpić inaczej.

Jej obecność przypominała, że wiecie teraz samotne, pozbawione kobiet życie. Udawanie brata narzucało mu pewne oczywiste ograniczenia. Nie mógł

wdać się, jak zazwyczaj, w łatwy flirt, a nawet gdyby mógł, wątpił, żeby chciał

zachować się w ten sposób wobec Gwendolyn.

Oskarżyła go, że jest zbyt oficjalny! Śmieszne, ale też pocieszające, gdyż był

to dowód, że dobrze gra swoją rolę. Kiedy zaczął padać deszcz, a Emma pobiegła szukać schronienia, chciał jedynie pociągnąć Gwendolyn za kępę drzew i stać tam, aż deszcz przemoczyłby ich do suchej nitki i ubrania przykleiłyby im się do ciała.

Próbując pozbyć się erotycznych myśli, Jason odsunął się od ponętnej Gwendolyn i zbliżył się do wazy ustawionej na kominku. Jej kształt i wzór wydawały się dziwnie znajome, zdradzając bliskowschodnie pochodzenie. Teraz w modzie była sztuka egipska, mimo to Jason znał dobrze zabytki z Azji, ponieważ jego ojciec zajmował się nimi przez wiele lat.

Wazę pokrywała gęsta, szklista glazura. Brzeg naczynia zdobiła klasyczna, wijąca się chryzantema z pięcioma dużymi, błękitnymi kwiatami, poniżej zaś namalowano pięć krewetek wśród wodorostów i innych, unoszących się w wodzie roślin.

Jason zmarszczył czoło ze zdumienia, uświadamiając sobie, że to w istocie ta sama ozdobna waza, którą jego ojciec nabył przed wieloma laty. Hrabia twierdził, że to jedyny istniejący okaz tego rodzaju, a zwykle nie mylił się w tych sprawach. A jednak można było znaleźć logiczne wyjaśnienie. Na rynku antyków nie brakowało podróbek, które łatwo wpadały w ręce tych, którzy nie byli ekspertami w tej dziedzinie. W tym jednak wypadku istniał sposób, żeby dojść prawdy.

Jason podniósł wazę i wolno obrócił ją w dłoniach, szukając pewnej wady.

- Do diabła - mruknął pod nosem, kiedy zauważył mały, pozbawiony glazury, fragment u podstawy.

Ojciec, rozpakowawszy delikatnie swoje trofeum, pokazał je niezbyt zainteresowanym synom i wyjaśnił, że ta wada podnosi, w gruncie rzeczy, wartość wazy, ponieważ uszkodzone egzemplarze zazwyczaj niszczone. Ta, jakimś cudem, przetrwała. I tajemniczym sposobem trafiła do biblioteki pana Bartwella, podczas gdy powinna stać w bawialni Moorehead Manor.

- Jest bardzo ładna. - Gwendolyn kiwnęła głową w stronę wazy. - Czy to dynastia Ming?

- Nie. Późny okres Yuan.

Uniosła brwi.

- Jestem pod wrażeniem pana wiedzy. Mógłby mnie pan zapewnić, że to garnek w stylu

Wedgewooda, a nie zauważyłabym różnicy.

- Mój ojciec interesował się antykami. Badał je przez całe życie. Dziwne upodobanie u hrabiego, ale my, rodzina, musieliśmy się z tym pogodzić.

W naszych posiadłościach znajduje się wiele zgromadzonych przez niego skarbów. W istocie waza niemal identyczna z tą tutaj znajduje się w bawialni w Moorehead Manor.

- Jakie to niezwykle. Pan Bartwell musiał ją zobaczyć i kiedy nadarzyła się okazja, postanowił kupić taką dla siebie. - Uśmiechnęła się. - Sądzę, że powinieneś być zadowolony. Czyż naśladownictwo nie jest szczerą formą pochlebstwa?

Imitacja czy kradzież? Jason nie był pewien. Nie zamierzał jednak spocząć, zanim się o tym nie przekona.

Nie było trudno trafić do Yorku, ale miasto leżało ponad pięćdziesiąt kilometrów od posiadłości. A to oznaczało, że Jason musiał sobie znaleźć nocleg. Rozmawiając z panem Bartwellem, Jason dowiedział się, który antykwariusz sprzedał mu antyczną wazę. Ukradzioną antyczną wazę - chociaż nie wspomniał o tym fakcie panu Bartwellowi.

Jason szczerze wątpił we współdziałanie Bartwella w jakimś nielegalnym przedsięwzięciu, ale trzymał się postanowienia, żeby wszelkie fakty, jakie odkryje, zachowywać dla siebie. Przypuszczał, że nie będzie łatwo wydobyć z antykwariusza informację o tym, jak i od kogo kupił wazę, ale musiał spróbować.

Jason wyruszył w podróż sam, konno. Kiedy wjechał w bezpieczne, stare mury miasta, przestał odczuwać zmęczenie długą jazdą. Większość dorosłego życia spędził w Londynie i wizyta w rojącym się od ludzi, handlowym mieście go odmłodziła.

Znalazł kwaterę w przyzwoitej gospodzie, zjadł solidny posiłek, wyspał się i następnego ranka pełen zapału wyruszył na miasto. Po jego drugiej stronie dostrzegł wznoszącą się ponad wszystkimi innymi budynkami katedrę Świętego Piotra; kolorowe witraże lśniły w jasnym słońcu. Był to piękny widok i Jason -

choć nie należał do osób przesiadujących w kościele - postanowił zwiedzić katedrę, jeśli czas mu na to pozwoli.

Kierując się wskazówkami karczmarza, Jason posuwał się ostrożnie wąskimi, brukowanymi uliczkami, gdzie mieściły się lepsze sklepy.

W pochodzących z innej epoki, średniowiecznych, w dużym stopniu drewnianych domostwach swe siedziby mieli: rzeźnicy, piekarze, krawcy, jubilerzy, księgarze i antykwaryści.

Subiekt się pojawił, gdy tylko Jason wszedł do sklepu i, na żądanie przybysza, przyprowadził właściciela, pana Pimma.

- Czym mogę służyć?

Jason uśmiechnął się uprzejmie. Widok Pimma trochę go zaskoczył. Był to przysadzisty, mocno zbudowany mężczyzna o ostrych rysach twarzy i przenikliwych czarnych oczach, ubrany w poważny, doskonale uszyty, czarny kubrak i także spodnie. Miał do tego śnieżnobiały, wykrochmalony i zwyczajnie zawiązany krawat z małą rubinową szpilką.

Elegancki strój powinien wyglądać zabawnie na człowieku tak pospolitej budowy ciała, ale Pimm prezentował się szacownie, jeśli nie dystyngowanie.

- Uczestniczyłem ostatnio w przyjęciu u państwa Bartwellów i miałem okazję podziwiać zabytkowe przedmioty zdobiące ich dom - zaczął Jason. - Jeden z nich przyciągnął moją uwagę. Chińska waza z

okresu wczesnego Yuan.

Rzadka rzecz, doprawdy. Pan Bartwell powiedział, że kupił ją tutaj. Miałem nadzieję, że będę mógł obejrzeć inne okazy.

- Ma pan bystre oko - odparł Pimm z uśmiechem. - A także doskonały gust.

Jak pan powiedział, zabytki z tego okresu są niezmiernie rzadkie. Przypuszczam, że jest pan kolekcjonerem?

- Przelotne zainteresowanie. - Jason rozejrzał się po sklepie. - Proszę mi powiedzieć, panie Pimm, od jak dawna pracuje pan w tym fachu?

- Przeszło dwadzieścia lat, w tym samym miejscu. - Beczkowata pierś antykwariusza wypięła się z dumy. - To fascynujący sposób zarabiania na życie.

Te obiekty to coś więcej niż zwykłe przedmioty, milordzie. To pamiątki historyczne, spojrzenie na życie naszych przodków. Ci, którzy starają się je zachować, doceniają talenty rodzaju ludzkiego i piękno jego wytworów.

- Szlachetna ambicja, panie Pimm, ciekawa filozofia. Bardzo chciałbym obejrzeć inne przedmioty.

Pimm uśmiechnął się szeroko.

- Tędy, proszę.

Poprowadził Jasona małym sklepionym korytarzykiem do większego pomieszczenia zapchanego meblami, dywanikami, posążkami, obrazami i delikatną porcelaną ustawioną na długim stole. Wazy niektóre inkrustowane klejnotami, pobłyskiwały w porannym słońcu wpadającym przez okna na tyłach sklepu.

Jason przyjrzał się uważnie porcelanie, mając nadzieję znaleźć coś znajomego. Jednakże, jak się obawiał, nie zauważył niczego takiego. Po raz kolejny pożałował, że nie poddał się w większym stopniu wysiłkom ojca, który chciał go wprowadzić w subtelności dotyczące licznych dzieł sztuki z rodzinnej kolekcji.

- Nie widzę nic interesującego - powiedział z żalem. - Wiem, że w tym fachu często nabywacie całe zbiory. Czy ma pan jakieś przedmioty ze zbioru, z którego pochodziła waza pana Bartwella?

Pimm spuścił wzrok i milczał przez chwilę.

- Przedmioty tak rzadkie jak waza Yuan kupuje się na sztuki.

- Z konkretnego źródła?

Antykwariusz uniósł brodę.

- Otrzymuję towar z rozmaitych źródeł. Z rezydencji, od innych antykwariuszy, niezależnych kupców.

- I zapewne nie zadaje pan pytań, jak owe przedmioty trafiły do sprzedaży -

zauważył sucho Jason.

- Chce pan powiedzieć, że sprzedaję kradzione rzeczy?

- A nie?

Pimm uniósł w górę mięsistą pięść, rozmyślił się i splótł ręce bezpiecznie za plecami.

- Nie dosłyszałem pana nazwiska.

- Nie podałem go. - Jason sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciężką od monet skórzaną sakiewkę. - Byłbym zobowiązany, panie Pimm, gdyby pan wyszperał

w swoich księgach więcej informacji o tej wazie. Interesuje mnie zwłaszcza nazwisko człowieka, który ją panu sprzedał.

Antykwariusz zmarszczył czoło. Jego spojrzenie przesunęło się z sakiewki na twarz Jasona, a potem znowu na sakiewkę.

- Nie chcę kłopotów. Powodzenie w interesach opiera się w dużym stopniu na mojej dyskrecji. Jeśli stracę dobrą opinię, odejdą najlepsi klienci.

- I najlepsi dostawcy. Rozumiem doskonale, panie Pimm. Nie pragnę zagłębiać się w pańskie sprawy handlowe. Niech mi pan dostarczy informacji o tym jednym przedmiocie, a daję słowo, że nie będę pana więcej niepokoić.

Na twarzy pana Pimma malowało się napięcie.

- Znalezienie tego, czego pan żąda, może zająć trochę czasu. Niestety, moja księgowość nie jest tak szczegółowa, jak powinna.

Sądząc po schludnym wyglądzie Pimma, kłamał.

- Szczycę się tym, że nigdy nie zapłaciłem za nic więcej, niż było to, moim zdaniem, warte. Oferuję panu znaczną sumę za dokładną informację. To najlepsza i ostatnia oferta z mojej strony. Rozsądnie byłoby ją przyjąć.

Pimm wydawał się rozdarty. Zerkał dyskretnie na sakiewkę, którą Jason trzymał kuszaco blisko.

- Jeśli wróci pan jutro po południu, być może będę miał dla pana tę informację.

- Za godzinę.

- Ależ...

- Wrócę za godzinę. - Jason się odwrócił, pozwalając sobie na lekki, triumfalny uśmiech. Wcisnął kapelusz na głowę i wymaszerował ze sklepu, wołając głośno przez ramię: - Proszę mnie nie rozczarować, panie Pimm!

Wrócił po czterdziestu pięciu minutach, zbyt podniecony, żeby chodzić po sklepach czy spacerować zatłoczoną ulicą. Na jego widok subiekt pobiegł po szefa, który wyłonił się ze skrzywioną miną z pokoju na zapleczu.

- Nie upłynęła jeszcze godzina - zaprotestował Pimm, sapnąwszy z irytacją.

- Niemożliwe, aby mając bałagan w księgach, uzyskiwał pan taki ładny dochód - odparł Jason. - Sądzę, że utrzymuje pan większy porządek, niż pan twierdzi.

Wyciągnął oczekująco dłoń w rękawiczce i Pimm, niechętnie, położył na niej złożony kawałek papieru. Sakiewka Jasona szybko zniknęła w kieszeni antykwariusza.

Zbyt niespokojny, żeby czekać, Jason rozłożył kartkę i przeczytał jej treść.

Zmarszczył czoło, zaskoczony. Nazwisko i adres antykwariusza wskazywały Londyn.

- Jest pan pewien co do prawdziwości tych danych?

- Tak. - Pimm poczerwieniał. - Rzadkie okazy często przechodzą z rąk do rąk, zanim zostaną zakupione do prywatnych kolekcji.

Do diabła! Logiczne, że skradziony przedmiot został przewieziony gdzieś dalej, zanim wystawiono go na sprzedaż. Prawdopodobnie złodzieje mieli po prostu pecha, że waza trafiła do Yorku, tak blisko miejsca jej pochodzenia.

Rozczarowany, Jason się odwrócił, żeby odejść, ale zanim dotarł do drzwi, jego wzrok padł na obraz wiszący na ścianie w głębi.

Z sercem bijącym coraz mocniej z każdym krokiem, podszedł bliżej, żeby mu się przyjrzeć. Niebył duży, przedstawiał damę w ciemnej sukni podbitej futrem i spiczastym nakryciu głowy, otoczoną sześciorgiem równie elegancko ubranych dzieci.

Jason się pochylił, sprawdzając podpis w lewym rogu, upewniając się co do tego, co już wiedział. Był to portret dzieła Hansa Holbeina, nadwornego malarza Henryka VIII.

Jako dorosły człowiek Jason był w stanie docenić piękno i równowagę kompozycji, ale w dzieciństwie fascynowali go dwaj mali chłopcy, obaj uczepli sukni matki. Byli bliźniakami, jak Jason i jego brat.

To byli także jego przodkowie. I od tak dawna, jak mógł sięgnąć pamięcią, portret wisiał w domu rodziców. Dali go bratu wiele lat wcześniej z okazji jego dwudziestych pierwszych urodzin, a on

umieścił go z dumą w galerii Moorehead Manor.

- Ten obraz, czy on także pochodzi od wspomnianego handlarza z Londynu? - zapytał Jason ostrym tonem.

- Mówił pan, że nie będzie więcej pytań - powiedział Pimm głosem, w którym brzmiała panika. - Dał pan słowo.

- Od tego samego handlarza? - powtórzył Jason, coraz bardziej wściekły.

Pimm rozejrzał się dookoła w popłochu, nie chcąc spojrzeć Jasonowi w oczy. Ten zdołał jakoś opanować gniew i powtórzył pytanie po raz trzeci.

- Tak - przyznał niechętnie antykwariusz.

- Czy nabył go pan razem z wazą?

Pimm patrzył na niego, milcząc jak kamień, i Jason, nie hamując się więcej, posłał mu wściekłe spojrzenie.

- To były różne dostawy - powiedział antykwariusz po dłuższej chwili. -

Obraz przyjechał parę tygodni temu.

Jason uniósł ramię i powiódł ręką po sklepie.

- Niech mi pan pokaże wszystko, co stamtąd pochodzi. Pimm się zawahał, ale rozwścieczony wzrok gościa szybko go przekonał. W milczeniu oprowadził

Jasona po sklepie. Jason nie rozpoznał więcej przedmiotów, ale ponieważ nie prowadził inwentarza wyposażenia domu brata, niektóre z nich mogły należeć do Jaspera.

- Niech pan zapakuje obraz - zażądał Jason. - Zabieram go. Antykwariusz parsknął z oburzeniem.

- Dwóch klientów bardzo się nim interesuje. Muszę dać im możliwość złożenia oferty, zanim pozwolę panu go kupić.

Chrząknawszy ze złością, Jason chwycił obraz.

- Nie dam ani grosza więcej, panie Pimm. Wiem, że ten obraz jest kradziony i zamierzam go zwrócić prawowitemu właścicielowi. Powinien pan się uważać za szczęśliwego, że jestem człowiekiem, który ceni swoje słowo i zostawię tę sprawę tak, jak obiecałem.

Tuląc odzyskane dzieło w ramionach, Jason wyszedł ze sklepu, stukając głośno obcasami na drewnianej podłodze. Zapomniał o wcześniejszych planach zwiedzenia miasta przed podróżą powrotną. Wrócił do gospody i zarządził, aby obraz dostarczono następnego dnia do rezydencji.

Dwa dni później o zachodzie słońca Jason siedział w długiej galerii w Moorehead Manor, z prawie pustym kieliszkiem brandy w dłoni i ze wzrokiem utkwionym w jednym z obrazów.

Przyznał, że ktokolwiek go namalował, miał talent. Gdyby nie widział

ostatnio oryginału, nie poznałby, że to kopia. Kiedy jednak przyglądał się z bliska falsyfikatowi, mógł zauważyć, że brakowało mu dojrzałości i głębi oryginału. Pomimo starannego odwzorowania wszystkich szczegółów, malarz nie potrafił oddać charakteru postaci.

Jason dopił brandy i westchnął. Najpierw waza, potem obraz. Ktoś nie tylko kradł pieniądze z posiadłości, ale również przedmioty. Zastępując je dobrej jakości kopiami. To odkrycie nadało sprawie nowy wymiar, zmuszając Jasona do przemyślenia strategii.

Musiał teraz nie tylko schwytać winnego, ale także uczynić to w taki sposób, żeby zmusić go do wyznania prawdy. Inaczej nigdy nie zdoła odzyskać pozostałych oryginałów.

Powóz podskakiwał na koleinach, kiedy wjechali w wąską drogę wiodącą do domu Ellinghamów. Na zakręcie Gwendolyn przechyliła się na bok wraz z pojazdem i Jason czuł przez chwilę dotyk jej miękkiego ramienia na swoim.

- Przepraszam - szepnęła, zanim się odsunęła. - Usiadłabym z drugiej strony obok Dorothei, ale jazda tyłem do koni przyprawia mnie o mdłości.

- Cierpię na tę samą przypadłość - odparł.

Jej usta drgnęły w leciutkim uśmiechu.

- Mój Boże, kto by pomyślał, że jesteśmy w tym tacy podobni?

- Kto, doprawdy?

Zamilkli. Światło księżyca przebijało się z trudem przez gęsty las jesionów i wiązów. Jason przesunął w zamyśleniu kciukiem i palcem wskazującym po zaroście, który już się zdążył pojawić, mimo że golił się późnym popołudniem.

Byli dziś na wieczorku muzycznym u państwa Pruitów. Kilka miejscowych dam popisywało się swoimi talentami śpiewaczymi. Gwendolyn i Dorothea także wystąpiły i Jason uważał, że poszło im doskonale. Dorothea zaśpiewała czystym, przyjemnym głosem irlandzką balladę, a Gwendolyn akompaniowała jej na harfie.

Jason pomyślał, że Gwendolyn, pochylona nad harfą, wygląda jak anioł

o kruczoczarnych włosach. Zręcznymi palcami wydobywała właściwe nuty z uczuciem i talentem. Koronka o barwie kości słoniowej przy ciemnoniebieskiej sukni podkreślała delikatne piękno jej bladej, pozbawionej skaz, cery. Blask złota i brylantów, który zdobił jej szyję i uszy, dodawał jej elegancji i wyrafinowania, które uznał za niezmiernie pociągające.

Ponieważ ciotka i wuj opuścili wieczorek wcześniej, Jason odwoził

dziewczęta powozem. Gwendolyn i Dorothea na przemian bawiły go rozmową, ale konwersacja niezbyt się kleiła i w końcu zabrakło im tematów. Nikt nie wydawał się chętny, żeby przerwać milczenie.

Jason przypomniał sobie mimo woli pierwszą noc, kiedy znalazł się sam na sam z siostrami Ellingham - noc w jego sypialni. Dorothea w jego łóżku i Gwendolyn stojąca obok, zdecydowana na wszystko, żeby ratować siostrę przed pewną kompromitacją. Nawet w tamtej dziwacznej sytuacji coś go pociągało w starszej z sióstr. Przeznaczenie?

- Księżyc świeci dzisiaj wyjątkowo jasno - mruknął.

Jego głos wyrwał Gwendolyn z zamyślenia. Odwróciła głowę w jego stronę, a potem zerknęła przez okno powozu.

- Jest prawie pełnia i nie ma ani jednej chmury.

- Ach, logika zamiast romantycznego wyjaśnienia. Rozczarowuje mnie pani.

Spojrzała na niego tak, jak miał nadzieję. Ale wyraz twarzy miała nieodgadniony jak kamienna rzeźba. Zazwyczaj oczy zdradzały jej nastrój, ale teraz brakowało w nich przyjaznego ciepła. Był pewien tylko jednego - nie wydawała się szczególnie szczęśliwa.

Jason zaklął pod nosem. To była jego wina. Nie powinien całować Gwendolyn. Sądziła, że jest żonaty, i ten gest wprowadził ją w zakłopotanie, i spowodował, że powstał między nimi dystans, którego nienawidził. Jej powściągliwość działała jak ściana lodu.

Teraz, kiedy był przy niej, toczył nieustanną walkę ze sobą, chcąc wyjawic jej prawdę. Coś, czego nie potrafił wytłumaczyć, go powstrzymywało. A Jason starał się słuchać wewnętrznego, ostrzegawczego głosu, jako że od lat dzięki niemu wychodził cało z rozmaitych opresji.

Wiedział, że tamte pocałunki były poważnym błędem. Źle ocenił Gwendolyn.

Dziewczyna towarzyszyła mu z ochotą na wszystkich balach i przyjęciach, ale nigdy nie ruszała się bez przyzwoitki.

A chociaż, z jednej strony, pochwalał jej praktyczne podejście do życia i pragnienie utrzymania nowo odzyskanego, dobrego imienia, to z drugiej jednak, był przygnębiony, ponieważ nigdy nie zostawali sam na sam. Chciał

z nią rozmawiać, śmiać się, droczyć, dowiedzieć się więcej o tym, kim była i co czyniło ją szczęśliwą. Ale przede wszystkim chciał sprawić, żeby nie sztywniała ze strachu za każdym razem, kiedy podchodził bliżej.

Nawet kiedy usiłował zachowywać się jak dżentelmen, budziła w nim piekielne pokusy. Nigdy go nie pociągały dobrze ułożone dziewczęta, które pojawiały się na wszelkich imprezach towarzyskich,

szukając męża. Gwendolyn stanowiła niezwykle połączenie niewinności i dojrzałości, a jej bezpośredni sposób wyrażania myśli działał jak afrodyzjak.

Chciałby ją uwodzić długimi pocałunkami i delikatną pieśczołą, łagodnymi słowami i szczerymi komplementami. Ale nie mógł tego zrobić, dopóki grał

swojego brata. Jasper, niezależnie od tego czy żonaty, czy w stanie kawalerskim, nie zniżyłby się do nieprzyzwoitego zachowania.

Jasonowi znowu przyszło do głowy, jakie bezbarwne i nudne życie musiał

wieść brat, zanim się ożenił. Wiedział, że Jasper nigdy nie zachowałby się śmiało wobec samotnej kobiety, nie wziąłby jej za rękę, nawet rękę w rękawiczce, a co dopiero skradł całusa czy dwa.

Odwrócił głowę i westchnął. Zapach Gwendolyn drażnił mu nozdrza.

Pomyślał znowu o wieczorze, jaki spędzili razem, i musiał stwierdzić, że nie dowiedział się niczego nowego o członkach miejscowej społeczności ani o Cyrilu Ardleyu. Największą ulgę sprawiło mu to, że nie natknął się na żadne nowe przedmioty stanowiące własność brata.

Nadal uważał, że to zarządca odgrywa główną rolę w tej ponurej aferze, ale na razie trop się urwał. Wydawało się, że od miejscowych nie mógł już się niczego więcej dowiedzieć, a zatem nie było też potrzeby uczestniczyć dalej w życiu towarzyskim. Następnym logicznym posunięciem byłoby złożenie wizyty antykwariuszowi w Londynie. Należało się dowiedzieć, w jaki sposób trafiły do niego waza i obraz.

Ale wyjeżdżając z Moorehead Manor, opuściłby Gwendolyn. A na to nie był

jeszcze gotowy.

Gwendolyn poprawiła spódnicę, a Jason poruszył się na siedzeniu, przysuwając się do niej. Jechali tego wieczoru w powozie należącym do rezydencji, nie takim nowym i eleganckim, jak ten, którym Jason przyjechał

z Londynu. W przyćmionym świetle lampy ledwie widział Gwendolyn, ale ten półmrok wprowadzał niemal romantyczny nastrój.

Jakkolwiek Gwendolyn nie potrzebowała żadnych sztuczek ze światłem, aby lepiej wyglądać. Pociągała go jej śmiałość i uroda, ale sama Gwendolyn zachowywała się tak, jakby nie była świadoma piękna swego ciała. Ten brak zalotności go intrygował. Wielu wolałoby wielkooką, jasnowłosą Dorotheę o niewinnej twarzyczce, ale nie Jason.

W jego oczach Gwendolyn o ciemnych włosach i żywych brązowych oczach, z piękną cerą i pełnymi, zmysłowymi, proszącymi się o pocałunki wargami, była najwspanialszą kobietą na ziemi. A kiedy była tak blisko niego, ogarniał go płomień.

Zaniepokojony tymi myślami, Jason odchrząknął. Choć starał się uczciwie, nie zdołał się uwolnić od

frywolnych fantazji i pragnienie urzeczywistnienia ich stawało się trudne do zniesienia.

Przyznawał jednak, że te pragnienia wykraczają poza zmysłową przyjemność.

W głębi duszy marzył, aby poznać Gwendolyn tak, jak samego siebie.

- Czy mam brudną twarz, milordzie?

- Jasonie - poprawił, zerkając na Dorotheę, która drzemała, chrapiąc cicho. -

Dorothea zasnęła, więc jesteśmy bezpieczni. Ustaliliśmy, że kiedy jesteśmy sami, będzie pani zwracać się do mnie po imieniu.

- To, jak się do pana zwracam, nie ma związku z tym, że tak mi się pan przygląda

- Podziwiam piękne kobiety.

- Zatem powinien pan patrzeć na Dorotheę.

- Wolę panią.

- Nieprawda. - Jej twarz spoważniała. - Wszyscy wiedzą, że to Dorothea jest piękną w naszej rodzinie - powiedziała cicho, ale w tonie jej głosu słychać było gorzkość.

Chciał zaprzeczyć. Chciał wymienić wszystkie powody, dla których wołał

jej urodę i jej osobowość. Powstrzymał się jednak.

Wyrzał przez okno i stwierdził, że dotarli do wyjątkowo odludnego, dzikiego zakątka. Nocną ciszą wstrząsnęło nagle coś, co zabrzmiało jak wystrzał. Powóz zakołysał się z boku na bok, szarpnął w przód, a potem zjechał

gwałtownie w lewo. Potoczył się jeszcze parę stóp, po czym się zatrzymał.

Gwendolyn się wyprostowała. Serce jej zamarło, a potem zabiło gwałtownie.

Słyszała, jak woźnica krzyczy.

- Co się dzieje? - zawołała wyrwana ze snu Dorothea.

- Sądzę, że zostaliśmy napadnięci - powiedział spokojnie lord Fairhurst. -

Przez rabusiów.

- W Wdloughby? - pisnęła Dorothea.

- Widocznie zbrodnia nie zna granic. - Wicehrabia sięgnął pod ławkę i zaklął cicho. -

- Co? Co jeszcze się stało? - zapytała Gwendolyn.

- Zapomniałem, że to nie jest powóz, którym zwykle jeżdżę. Zawsze trzymam pod siedzeniem naładowany pistolet, na wszelki wypadek.

- Mój Boże - szepnęła Dorothea.

- To nie jest powóz, którym zwykle jeżdżę, ale powozi nim ten sam człowiek. Wie, co robić. - Wicehrabia pochylił się i zdmuchnął lampę, pogrążając wnętrze powozu w ciemności. - Chcę, żebyście obie tu zostały i zachowywały się bardzo, bardzo cicho.

Gwendolyn ogarnęła panika, przez chwilę nie mogła złapać tchu.

Księżycowego światła wystarczało tylko, żeby odróżnić wicehrabiego od siostry. Wyciągnęła rękę, chwytając go za kolano.

- Nie może pan wyjść nieuzbrojony.

- Na pudle powozu jest dość broni - odparł. - Służący niewątpliwie uciekli i pojechali po pomoc, albo ukrywają się w lesie, czekając na moje rozkazy.

Gwendolyn się skrzywiła.

- Służący mogą być ranni, albo gorzej.

- Święci pańscy, miejcie nas w opiece! - zawołała ze strachem Dorothea.

- Nie pozwolę was skrzywdzić - powiedział Fairhurst.

Gwendolyn poczuła, że się porusza i domyśliła się, że chce otworzyć drzwi.

Na ślepo wyciągnęła rękę, chwyciła go za nadgarstek, ściskając z całej siły.

- Poczekaj!

- Gwendolyn, moja droga...

- Proszę, niech pan to weźmie. - Zdjęła kolczyki sztywnymi ze strachu palcami zaczęła niezgrabnie odpinać naszyjnik.

- Nie mogę wziąć pani biżuterii.

- Niech pan nie będzie niemądry. - Gwendolyn gorączkowo wcisnęła mu klejnoty w dłoń. - To nic niewarte w porównaniu z pana życiem. Może zadowolą się biżuterią i zostawią nas w spokoju.

Lord Fairhurst schował błyskotki do kieszeni i westchnął.

- Zostańcie tu, na podłodze - polecił, wyslizgując się na zewnątrz.

Gwendolyn zsunęła się posłusznie z ławki. Złapała siostrę za ramię i ściągnęła ją na dół. Poprzez wycie wiatru słyszała przekleństwa, potem kolejny wystrzał. Dobry Boże, czy Jason był bezpieczny?

Usta Gwendolyn zaczęły się poruszać w bezgłośnie modlitwie. Modliła się, żeby Jasonowi i woźnicy nic się nie stało. Modliła się, żeby napastnicy uciekli.

Żeby nikt nie został ranny. Żeby wszyscy przeżyli.

Czyjeś buty zastukały na górze i Gwendolyn się domyśliła, że woźnica zeskoczył z kozła. Poza tym nie słyszała żadnego dźwięku. Cisza była nie do zniesienia.

Żałowała, że nie ma broni, potem jednak zdała sobie sprawę, że broń na nic by się jej nie przydała. Nie potrafiła strzelać. Musiała pokładać całą ufność w wicehrabim i wierzyć, że ich uratuje.

W tej chwili zrozumiała, że nie jest jej tak obojętny, jak nieustannie usiłowała sobie wmawiać.

Jasonowi nie podobał się układ sił.

Trzej mężczyźni na koniach wpatrywali się w pudło powozu, na którym, z rękami w górze, siedział woźnica. Czwarty, wysoki, szeroki w ramionach, stał

na ziemi, o parę stóp od pojazdu. Wydawało się, że przewodzi grupie. Widząc Jasona, otworzył szeroko oczy, był wyraźnie zdumiony.

Wynikało z tego, że bandyta spodziewał się, iż ktoś inny wysiądzie z powozu.

Może siostry Ellingham? Jason zacisnął pięści na myśl, że ci mężczyźni mieliby skrzywdzić Gwendolyn. Cóż, najpierw będą mieli z nim do czynienia.

Uspokoił się nieco. Każdy z mężczyzn trzymał pistolet i Jason wiedział, że przede wszystkim musi zachować panowanie nad sobą, inaczej wszyscy będą zgubieni.

- Mam przy sobie niewiele pieniędzy, ale weźcie je i pozwólcie nam odjechać w spokoju! - zawołał Jason.

Mężczyzna stojący na ziemi posłał mu kolejne, zdumione spojrzenie.

- Wszyscy z powozu - zażądał.

Jason wciągnął powietrze przez zęby

- W środku nie ma nikogo.

- Kłamiesz - powiedział mężczyzna.

- Naprawdę.

- Jeśli to nie on, to co robimy?! - krzyknął jeden z jeźdźców.

Jason przyjrzał się uważniej całej grupce. Nie byli zamaskowani, jak pospolicci bandyci, a nędzne konie, jakich dosiadali, świadczyły o tym, że musieli się swoim fachem parać od niedawna. Z tego, co wiedział, bandyci szczycili się świetnymi wierzchowcami, dzięki którym udawało im się unikać schwytania.

Ten napad wyglądał dziwnie. Jeśli ci ludzie nie byli zwykłymi opryszkami, po co zatrzymali powóz?

- Ty na górze, złaż stamtąd! - zawołał przywódca.

Woźnica posłuchał powoli, stając obok swego pana. Jason spojrzał mu w oczy i sługa lekko skinął głową. Jeden z koni przy powozie zarżał. To wystarczyło Jasonowi. Schylił się i chwycił pistolet,

który woźnica specjalnie upuścił.

Kilka rzeczy zdarzyło się naraz. Przywódca bandytów rzucił się na niego, a Jason poczęstował go silnym ciosem w żołądek, aż tamten zwał się na kolana. Drugi - mężczyzna zeskoczył z konia i rzucił się do ataku. Woźnica grzmotnął go pięścią w szczękę, przewracając na ziemię. Jeden z napastników wymierzył pistolet w woźnicę. Jason błyskawicznie uderzył i wytrącił mu broń z dłoni.

Ostatni z jeźdźców zawrócił konia i zaczął uciekać. Rozbrojony jeździec ruszył zanim. Tak szybko, jak powstało zamieszanie, powrócił spokój.

- Jason! - Gwendolyn pojawiła się u jego boku. Położyła głowę na jego ramieniu. – Tak się bałam. Nic ci nie jest?

- Nie. Ale prosiłem, żebyś została w powozie.

Na drodze zatętniły końskie kopyta. Dwaj pozostali bandyci usiłowali uciec.

Woźnica rzucił się na jednego z nich; ku rozczarowaniu Jasona, nie był to przywódca.

Ukazała się grupa jeźdźców - stajenni Jasona wraz z kilkoma służącymi z rezydencji. Czekali na rozkazy. Niebezpieczeństwo, jak się wydawało, minęło, ale Jason nie chciał ryzykować, pozostając w tym miejscu.

- Rodgers, weź dwóch mężczyzn i spróbuj złapać napastników - polecił

Jason. -Reszta pojedzie ze mną, żeby odprowadzić damy do domu.

- Już po wszystkim? - odezwał się przestraszony głos z powozu. Jason się odwrócił. Nagle rozległ się strzał, konie się szarpnęły i Dorothea wypadła z otwartych drzwi powozu.

- Kryć się! - krzyknął ktoś.

Wyraz przerażenia na twarzy Gwendolyn wstrząsnął Jasonem. Przełknął

ślinę i pobiegł w jej stronę, wiedząc, że nie zapomni tego do końca życia.

Przewrócił ją na ziemię, osłaniając własnym ciałem, łowiąc każdy dźwięk, każdy ruch w pobliżu.

- Proszę, musimy zająć się moją siostrą - jęknęła Gwendolyn.

- Za chwilę. Moi ludzie się upewnią, czy nikt nie będzie już do nas strzelać.

W końcu uznano, że nic im nie grozi. Jason się podniósł i pomógł wstać Gwendolyn. Pobiegli do leżącej na ziemi Dorothei.

Jej ciało skrzywiło się pod dziwnym kątem. Jason ujął dziewczynę delikatnie i przewrócił na plecy. Czoło miała rozcięte, oczy zamknięte.

- Czy jest ciężko ranna? - Gwendolyn uklękła obok niego.

Pochylił się, bojąc się tego, co musiał powiedzieć.

- Oddycha spokojnie i równo, puls ma dobrze wyczuwalny.

- Dlaczego nie otwiera oczu?

- Potrzebuje pewnie paru minut, żeby wrócić do przytomności. - Jason podziwiał opanowanie Gwendolyn. Widział, jaka jest przerażona. - Musiała uderzyć się w głowę. Ale krwi jest bardzo niewiele.

- Na zewnątrz. - Gwendolyn ostrożnie odsunęła włosy z twarzy siostry. -

Może krwawić w mózgu.

Zdumiała go jej wiedza. Tego się właśnie obawiał.

- Musimy sprowadzić doktora.

Jason podniósł Dorotheę i umieścił ją w powozie. Gwendolyn usiadła obok.

Jason rzucił krótkie spojrzenie na jej bladą, przerażoną twarz, zamknął drzwi i wdrapał się na kozła. Wziął lejce, wprowadził powóz na drogę i ruszył tak szybko, jak się ośmielił, wioząc ranną dziewczynę.

Gwendolyn siedziała sztywno wyprostowana w bawialni wicehrabiego, ze stopami ustawionymi równo na podłodze, z dłońmi na kolanach i gardłem ściśniętym ze strachu. Odmówiła herbaty, którą chciała podać służba, a także wina i brandy, wiedząc, że niczego nie przełknie.

Od czasu wypadku minęła godzina, choć we wspomnieniach wszystko się Gwendolyn mieszało. Kiedy bandyci uciekli, wicehrabia zawiózł je do Moorehead Manor, ponieważ tam było najbliżej. Powoził osobiście, podczas gdy Gwendolyn trzymała Dorotheę na kolanach. Wezwano doktora i Gwendolyn, ledwie panując nad paniką, czekała na diagnozę.

Drgnęła nagle na dźwięk kroków i szmer głosów w holu. Męskich głosów.

Drzwi się otworzyły i wszedł lord Fairhurst.

- Doktor właśnie ją zbadał. Zapewnia, że Dorothea ma się dobrze i odpoczywa. Ma mocno spuchniętą, ale niezłamaną, kostkę, która powinna się zagoić bez kłopotu.

Gwendolyn przełknęła ślinę, próbując pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że coś tkwi jej w gardle.

- Kula?

- Nie trafiła jej. Odgłos wystrzału musiał ją przerazić i dlatego upadła.

Wspominałem, że się przestraszyliśmy, bo uderzyła głową o ziemię, ale doktor twierdzi, że widocznie zemdląca. Uważa, że nie ma wstrząsu mózgu, a rana na czole jest tak nieznaczna, że nie wymaga szycia.

Chwilę trwało, zanim Gwendolyn opanowała drżenie rąk.

- Kiedy mogę ją zobaczyć? - zapytała, starając się mówić pewnym głosem.

- Teraz, jeśli zechcesz. Wysłałem do twojej ciotki i wuja służącego z zawiadomieniem o wypadku i o tym, że obie z Dorothea zostaniecie na noc w rezydencji.

Gwendolyn kiwnęła obojętnie głową. Myślała tylko o tym, żeby zobaczyć Dorotheę i przekonać się na własne oczy, czy siostra wyzdrowieje.

Wicehrabia zaprowadził ją na drugie piętro. Gwendolyn prawie nie zwracała uwagi na otoczenie, kiedy szli korytarzem. Weszli do jasno oświetlonego świecami pokoju. Przez uchylone okno wpadał ciepły, łagodny wiaterek.

Dorothea leżała nieruchomo na wysokim łóżku z baldachimem, które wydawało się zbyt wielkie na jej szczupłe ciało. Gwendolyn podbiegła do niej i ujęła ją za rękę. Siostra nie odpowiedziała, ale wydawała się spokojna, tak jakby była pogrążona w naturalnym, zdrowym śnie.

- Jest taka cicha - szepnęła Gwendolyn.

- Doktor twierdzi, że nic jej nie jest - odparł Fairhurst. - Przekonałem go, żeby został na noc, na wypadek, gdyby jej stan uległ zmianie.

- Dziękuję. - Gwendolyn odetchnęła głęboko. - Zostanę przy niej. Chcę być blisko, kiedy się obudzi.

Lord Fairhurst pokręcił głową.

- Nie ma potrzeby. Pielęgniarka będzie czuwać cały czas. Doktor uważał, że to zbędne, ponieważ podał Dorothei środek nasenny, który powinien działać do rana, ale wiedziałem, że nie spoczniesz, dopóki twoja siostra nie będzie miała zapewnionej najlepszej opieki.

- Dziękuję. - Gwendolyn uśmiechnęła się słabo. - Odchodziłam od zmysłów z niepokoju. To wszystko stało się tak szybko. Zobaczyłam, jak wypada z powozu. Nie wydawała się poważnie ranna, ale leżała tak nieruchomo... Tak spokojnie. Przez chwilę myślałam... - Ucisk w gardle nie pozwolił jej dokończyć zdania.

Zapadła cisza. Gwendolyn walczyła z uczuciami, starając się opanować drżenie i strach. Nagle poczuła ciepłą dłoń na swojej. Ten zwykły przejaw dobroci, delikatny dotyk, który miał jej dodać otuchy, wstrząsnął nią.

Przez chwilę mogła tylko wpatrywać się w silną rękę, która z taką łatwością osłoniła jej własną - długie palce bez pierścieni, wyraźne kostki, kępki cienkich, jasnych włosów. Odwróciła rękę i splótła palce z jego palcami. Ścisnął je współczująco.

Nagle odczuła z dojmującą siłą napięcie ostatnich paru godzin. Jej oczy zwilgotniały, usta zaczęły drżeć. Ból w piersi stał się palący. Ze wszystkich sił

starła się powstrzymać szloch.

Boże, nienawidziła okazywać emocji przed ludźmi! Płakać można w obecności sióstr i bliskich przyjaciółek. Albo samotnie. Powinna się natychmiast wycofać w zacisze pokoju, ale jakoś bała się zostać sama.

Nie ruszała się więc, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Ale w jej umyśle stale przesuwwały się obrazy z napadu. Słyszała wystrzał, czuła wstrząs, kiedy powóz gwałtownie zahamował, pamiętała, jak siostra upadła na ziemię.

Gwendolyn zaszlochała raz i drugi. Opuściła głowę, zakrywając twarz dłonią.

Usłyszała westchnienie Jasona. Zrobił krok w jej stronę, ale ona się odsunęła, kręcąc głową. Westchnął ponownie i tym razem nie pozwolił jej na sprzeciw.

Pociągnął rękę, za którą ją trzymał, i wziął Gwendolyn w ramiona, przytulając mocno.

Wierciła się przez chwilę, aż w końcu wsparła się o niego. Płakała coraz głośniejsze i rozpaczliwiej.

Na szczęście nie robił żadnych uwag ani nie próbował jej pocieszać. Zamiast tego delikatnie gładził jej plecy między łopatkami, przytulając policzek do jej włosów w geście pociechy i wsparcia.

Co wywołało jeszcze głośniejszy płacz.

Po paru minutach poczuła, że Jason wsuwa coś jej w dłoń. Otworzyła oczy i zobaczyła lnianą chusteczkę. Otarła łzy i wydmuchała nos. Powoli dochodziła do siebie.

Uspokoiwszy się, odczuła silniej ciepło ramion wicehrabiego, obejmującego jej kibić. Był blisko, tak blisko... Gdyby podniosła brodę i odchyliła głowę do tyłu, bez trudu mógłby sięgnąć do jej ust. Wyzywając los, zachowała się dokładnie w ten sposób. A potem zamarła w oczekiwaniu.

Nie drgnął mu ani jeden mięsień. Ani też nie wypuścił jej z ramion. Stali wtuleni w siebie, rozkoszując się tą chwilą. Gwendolyn czuła, jak jego pierś wznosi się raz za razem. Rytm ich oddechów się wyrównał. Przytuliła się jeszcze mocniej i poczuła bicie jego serca.

Zamknęła oczy, pozwalając umysłowi błądzić swobodnie, a strachowi i niepokojom odpłynąć na zewnątrz. Jeszcze jedna łza spłynęła jej z oczu.

Pozwoliła jej spać. Zdała sobie sprawę, że wicehrabia najwyraźniej chciał

wyprowadzić ją z sypialni.

Wtulona w jego ramiona, opuściła pokój. Jej nastrój poprawił się nieznacznie, gdy zobaczyła siostrę. Ruszyli długim korytarzem, który wydawał

się jej znajomy. Uświadomiła sobie, że tuż obok znajduje się jego sypialnia.

Doszli do drzwi pokoju i Gwendolyn się zatrzymała. Jason opuścił ramiona.

Gwendolyn bez słowa objęła go mocniej, nie chcąc się z nim rozstawać.

- Gospodyni przygotowała pokój dla ciebie, ale mogę ci odstąpić swój na tę noc - powiedział cicho.

- Wolisz tu zostać?

Skinęła głową. Jason zdołał otworzyć drzwi prawą ręką. Wciąż objęci w uścisku, weszli do sypialni. Gwendolyn nie mogła znieść myśli, że miałyby go opuścić, przyłgnęła do niego, niczym dzikie wino do muru ogrodu. Stali tak dłuższą chwilę.

Usłyszał jej milczące błaganie.

Jego pocałunek był tym słodszy, że oboje właśnie uniknęli śmierci. Był to pocałunek kochanka, pełen zmysłowego głodu i ognia. Ogarnęło ją podniecenie.

Przesunęła dłoń na jego plecy, przyciskając go do siebie.

A potem Jason odsunął się nagle. Odstąpił o krok, pozostawiając ją samotną i opuszczoną.

- Powinnaś się położyć.

- Tylko z tobą.

Nie planowała tego. Słowa wypłynęły z serca, uwolnione pod wpływem przeżytego strachu i szoku. Nie chciała tego powiedzieć, ale nie zdawała też sobie dotąd sprawy z siły swoich pragnień. Ledwie przebrzmiało to wyznanie, zrozumiała, jakie jest prawdziwe. I niczego nie żałowała - słów ani uczuć.

Na jego przystojnej twarzy przez chwilę malowała się tylko namiętność.

- Wydarzenia dzisiejszego wieczoru wytrąciły cię z równowagi, Gwendolyn.

- Chcesz mnie przekonać, że nie wiem, o co proszę? - Przysunęła się bliżej, aż znowu się dotykali.

- Nie wykorzystam cię, kiedy jesteś w takim stanie - oznajmił. - To byłoby nieuczciwe z mojej strony.

Czułe słowa sprawiły jej ból. Wiedziała, że niemądrze było dążyć do zaspokojenia tęsknot i pragnień, które ją ogarniały, kiedy znajdowała się w pobliżu Jasona. Noce spędzone na tęsknocie za nim, dni, kiedy marzyła, aby z nim być - nie do końca rozumiała wówczas swoje uczucia. Z pewnością później tego pożałuje, ale teraz zachowa się jak egoistka i zażąda tego, czego tak bardzo

jej brak.

O mało nie zginęli dzisiaj wieczorem. Świadomość, że mogła odejść z tego świata, nie poznawszy dobrze Jasona, wstrząsnęła nią głęboko. Zdawała sobie sprawę, że porusza się na krawędzi szaleństwa, igra ze zdrowym rozsądkiem.

Ale nie potrafiła poskromić pragnień.

Uczciwie przyznała, że go pożąda, i kazało jej to zapomnieć o zasadach przyzwoitości.

- Możesz nie chcieć mnie wykorzystać. Ale ja, niestety, nie jestem aż tak ostrożna. - Przycisnęła dłoń do jego szyi, masując delikatnie napięte mięśnie. -

Możesz odrzucić moją propozycję. Potrafię to zrozumieć.

- Odrzucić ciebie? Co za obłąd.

Ich spojrzenia się spotkały i Gwendolyn zobaczyła własne pragnienia odbite w jego oczach.

- Widzisz, Jasonie, zrozumiałam wreszcie, że choćbym nie wiem jak z tym walczyła, ile razy mówiła sobie, że to złe, nie jestem w stanie ukrywać prawdy.

Chcę ciebie. Tylko ciebie.

Objął ją, całując z namiętnością, która pozbawiła ją tchu. Gwendolyn wbiła palce w jego ramiona, przysuwając się jak najbliżej. Odwzajemniła pocałunek równie namiętnie, oddając się czystej zmysłowej przyjemności, rozpaczliwie pragnąc uczyć fakt, że żyje.

Pod wpływem pocałunków jej skóra zaczęła płonąć. Jego dłonie poruszały się bezustannie.

Chciała tylko być blisko niego, uwolnić tę wspaniałą, niezwykłą tęsknotę, którą oboje czuli. Jej ciało się rozpływało. Zanurzyła twarz w jego szyi.

Przesunął ręką w jej włosach, spinki posypały się na dywan i gęste, ciemne loki opadły do połowy jej pleców. Jason położył dłonie na talii Gwendolyn, potem na biodrach, potem znowu przeniósł je w górę. Porozpinał haftki sukni.

Drżącymi palcami pomogła mu ją ściągnąć z ramion i bioder, aż spadła na podłogę.

Potem znowu wziął ją w ramiona, całując długo i mocno. Półprzytomna, poczuła, że uniesiono ją w powietrze. Wtulona w ramiona Jasona, Gwendolyn nie przerywała pocałunku, dopóki nie położył jej na środku łóżka.

Usiadła, zaskoczona i aż sapnęła z zachwyty oraz podniecenia, kiedy zobaczyła, co robi. Z łobuzerskim uśmiechem na przystojnej twarzy Jason rozwiązał halsztuk i rzucił go na ziemię. W ślad za nim poszły kubrak, a potem kamizelka i koszula. Gwendolyn śledziła ruchy jego rąk, kiedy odpinał guziki czarnych, wieczorowych spodni.

Stał przed nią nagi. Szedł ku niej z płonącymi oczami.

Zadrzała. Ściągnęła koszulę, potem jedwabne pończochy. Naga, opadła na łóżko, szepcząc:

- Ja też chcę, żebyś na mnie patrzył.

- Jesteś niezwykle piękna - szepnął jej do ucha, zanim chwycił je delikatnie zębami.

Gwendolyn się poruszyła, dreszcze przebiegły po jej skórze. Przesunął usta, całując ją poniżej ucha i w szyję.

- Otwórz oczy - zażądał cicho.

Ta prośba ją zaskoczyła. Posłuchała, otrząsając się z zamroczenia.

Wydawało jej się, że śni. W jego oczach widziała, że jest piękna i godna pożądania jak nikt na świecie.

Ona także uważała, że jest piękny. Przesunęła dłonie w górę, żeby poczuć mięśnie jego ramion i piersi. Miał gładką skórę, mięśnie pod spodem napięte.

Przesunęła palcami przez gęste włosy na piersi Jasona, potem niżej, wywołując jęk rozkoszy.

Pocałował ją w czubek nosa, potem pochylił się nad piersią. Patrzyła zafascynowana, jak językiem dotyka nabrzmiałego sutka. Czowała, jak jej mięśnie się rozluźniają. Miała wrażenie, że jej ciało budzi się z głębokiego snu. Czegoś tak cudownego jeszcze nie doznała. Zaczęła wiercić się na materacu - jej ciało błagało Jasona, żeby uwolnił ją od słodkiej męki.

Och, Boże! Co on z nią wyczyniał?

Powoli odzyskiwała świadomość, jej oddech się uspokajał.

Uśmiechnął się.

- To się nazywa orgazm. Podobało ci się?

- Powinieneś to sprzedawać w butelkach. Zarobiłbyś fortunę.

Rozciągnął się nad nią, Gwendolyn westchnęła i objęła go ramionami, zachwycona jego ciężarem. To było piękne i podniosłe być razem z nim, chociaż

- ze względu na okoliczności - wydawało się to całkowitym absurdem.

- Rozsuń nogi.

Mówił głębokim, poważnym głosem. Zadrzała. Uniosła głowę i napotkała spojrzenie jego lśniących szmaragdowych oczu,

Jason wsunął rękę pod jej pośladki, sadowiąc się między jej udami.

Gwendolyn usiłowała zachować przytomność umysłu, ale emocje były zbyt silne i pogmatwane. Przepełniały ją podniecenie, strach, pożądanie.

Odwróciła głowę, żeby pocałować go w ramię, a on zaczął powoli wsuwać się w jej ciało. Nagle przestał się poruszać i przycisnął usta do jej ucha.

- Jesteś pewna?

Gwendolyn otworzyła oczy.

- Dziwna pora, żeby zadać podobne pytanie.

- Wcale nie. Praktycznie rzecz ujmując, nadal jesteś dziewicą.

- Gdybym powiedziała, żebyś przestał, co byś zrobił?

Dotknął lekko czołem jej głowy.

- Przekonałbym cię, żebyś zmieniła zdanie?

- Nie musisz mnie przekonywać - szepnęła. Wiedziała, że nie poczuje się spełniona, dopóki ich ciała się nie połączą.

- Dzięki Bogu. - Uśmiechnął się i przesunął koniuszkiem języka po jej dolnej wardze.

Jason był jak w transie. Oddawał cześć Gwendolyn swoim ciałem - nigdy z żadną kobietą nie czuł się w ten sposób. Zachwycała go jej niehamowana namiętność i uczciwość. Jej słodki zapach wypełniał jego nozdrza, smak ciała drażnił język. Miętkość ciała sprawiała, że tracił rozsądek.

Słyszał szaleńcze bicie swego serca, szum własnej krwi. Myśl, że wyzwolił jej namiętną naturę, sprawiała mu ogromną przyjemność. Oddychając ciężko, Jason poruszał biodrami w tył i w przód, chciał, żeby była gotowa, żeby odczuła jak najmniej bólu.

Krzyknęła.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, zanim pocałował jej miękkie, obrzmiałe wargi.

- Nie jestem pewna. Czy już po wszystkim?

W jej głosie brzmiały smutek i zmieszanie. Trudno było nad sobą panować, gdy jego ciało domagało się spełnienia, ale Jason zdołał tego dokonać.

Ta chwila była zbyt ważna, żeby zepsuć coś pośpiechem. Wiedział, że nie odczuje przyjemności, jeśli Gwendolyn jej nie będzie miała. Pochylił się i przesunął językiem po muszli jej ucha.

- Leż i rozluźnij się, kochana. I pozwól mi się kochać. Przyrzekam, że to będzie cudowne.

Poruszał się powoli, rytmicznie, aż usłyszał, jak jęknęła.

- Lepiej?

- Hm...

Przesunęła dłońmi po jego plecach aż do pośladków i ścisnęła je lekko.

- Nie przerywaj. Och, proszę, nie przerywaj.

Miała ciepłe dłonie. Zastanawiał się przedtem, czy Gwendolyn nie będzie się krępować, obnażając swoje ciało, i był zachwycony jej naturalnością.

Objął ją ramionami, przyciskając mocno. Czuł jej pożądanie, które zgadzało się z jego własnym.

Gwendolyn zadrżała. Jason ujął jej prawą rękę w swoją lewą, splótł nią palce i przełożył ich złączone dłonie nad jej głowę. Gwendolyn krzyknęła jego imię.

Poruszał się wciąż i wciąż, aż drzenie jej ciała ustało.

- Jason - szepnęła w zachwycie.

- Trzymaj mnie - jęknął. Otoczyła go ramionami i położyła nogi wysoko na jego udach, przyciskając go mocniej. Przesunęła pośladki, unosząc biodra do góry, pozwalając mu wsunąć się jeszcze głębiej.

Jason jęknął i chwycił ją za biodra, przyciągając mocno, wiążąc ją ze sobą.

Ciałem, sercem i duszą. Teraz, w tej chwili. I na resztę życia.

Nie był pewien, ile czasu upłynęło, zanim się opamiętał. Starał się odzyskać równy oddech, wydawało mu się, że minęły całe wieki, zanim zdołał się poruszyć.

Puścił jej dłoń i z czułością odgarnął wilgotne włosy z czoła. Co za niezwykle doświadczenie! Namiętność, słodycz, całkowite oddanie i poczucie jedności.

Podniósł się na łokciu i spojrzał na Gwendolyn. Leżała z zamkniętymi oczami i głową przechyloną na bok. Ciemne włosy w dzikim nieładzie zaścielały poduszkę. Jason uznał, że mógłby z radością spędzić resztę życia, podziwiając ten widok.

Pogładził kciukiem jej policzek. Odwróciła się do niego. Nieświadomy gest zaufania sprawił, że poczuł ciepło w okolicy serca.

Wcześniejsze pocałunki Gwendolyn kazały mu przypuszczać, że będzie namiętną kochanką, ale jej niepowstrzymana pasja go zaskoczyła. Chociaż nie miał

doświadczeń z dziewczynami - jako że była jedyna - wątpił, aby wiele z nich potrafiło się zdobyć na taką naturalność w miłości fizycznej.

Gwendolyn okazała się chętną i pełną zapału partnerką. Jej pieszczoty były pełne radości.

To, że była tak otwarta, podsunęło mu myśl o nauczaniu jej bardziej wyrafinowanych aspektów sztuki miłości. Jason się uśmiechnął, jego ciało ponownie ogarnęło gorąco.

Gwendolyn westchnęła i przytuliła się do niego, a serce Jasona przeppełniło się czułością. Pocałował jej szyję. Przysunęła się jeszcze bliżej. Przytulił twarz do jej policzka, szepcząc:

- Kocham cię, Gwendolyn.

Tykanie zegara na kominku wydawało się bardzo głośne. Przez chwilę Gwendolyn mogła jedynie rozkoszować się brzmieniem tych słów. Przyniosły jej falę czystej radości. Kochał ją - może nawet bardziej, niż ona kochała jego.

Przepelniał ją zachwytem. Myśli mknęły jedna za drugą, nie mogła skupić się na żadnej. Niemal bolało ją serce. Biło tak mocno i szybko, że świat wydawał się nierzeczywisty, jak z sennego marzenia.

Ale to nie był sen. Ciało przekonywało ją, że to się zdarzyło naprawdę.

Doznawała sprzecznych uczuć doświadczyć miłości i rozkoszy, żeby potem zostać ich pozbawioną przez okrutną rzeczywistość.

Jason był żonaty. Jedyne, na co mogła liczyć w jego życiu, to pozycja kochanki. Kobiety, którą będzie wykorzystywał dla swojej przyjemności.

A kiedy się nią znudzi, po prostu ją odeśle, skąd przyszła.

Zbladła. Podniecenie jego bliskością znikło raptownie.

- Dobry Boże, uratuj mnie - szepnęła w rozpacz. - Co ja zrobiłam?

Pochylił głowę, muskając ustami jej ucho. Posłał jej leniwy, łobuzerski uśmiech, a ona zrozumiała ogrom własnej głupoty. Kochać ją? Jakże by mógł?

Był żonaty z inną kobietą.

- Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi - powiedział Jason.

Bardzo chciała zatrzymać radość tej chwili, nie okazując zazdrości, ale to było niemożliwe.

- Nie mam prawa czynić cię szczęśliwym - szepnęła, przechylając głowę tak, żeby nie mógł patrzeć jej w oczy. - Należysz do innej.

- Gwendolyn, proszę, nie mogę znieść twojego smutku. - Ujął ją za brodę i ich spojrzenia się spotkały. - Nie chciałem, żeby do tego doszło. Ręczę słowem honoru, musisz mi uwierzyć.

Gwendolyn odetchnęła głęboko.

- Wiem. Nigdy nie sądziłam, że mogę posunąć się tak daleko. Nie sądziłam, że jestem taka słaba i że mogę postąpić tak głupio.

To, co zrobili, zaczęło wolno docierać do jej świadomości i gardło ścisnęło jej się boleśnie. Nawet teraz, kiedy wiedziała, że nie ma do niego żadnych praw, czuła rozpaczliwą zazdrość.

Muszę odejść. Muszę stąd odejść.

Poruszyła się. Uświadomiła sobie, że jest naga, i się zawstydzila. Naciągając kołdrę pod brodę, patrzyła na niego w milczeniu.

Usiadł na łóżku, pozwalając, aby okrycie spadło, odsłaniając jego masywną pierś.

- Potrzebujesz czegoś?

Nie mogąc się powstrzymać, spojrzała na pasmo włosów, które biegło w dół

poprzez jego tors, aż znikało pod kołdrą, którą owinał się w pasie. Zła na siebie, że wciąż czuje z nim taką fizyczną i uczuciową więź, Gwendolyn się odwróciła.

- Jasonie, proszę, nie mów o tym więcej. To, co zrobiliśmy, jest bardzo, bardzo złe.

- Ukochana, nie bądź taka nieszczęśliwa. Dużo większe grzechy niż ten zostają wybaczone.

- To dla mnie żadne pocieszenie. - Gwendolyn się skrzywiła. Serce zabiło jej boleśnie w piersi.

- Czy byłoby lepiej, gdybyś mnie odepchnęła? Uderzyła w twarz, kiedy chciałem cię pocałować?

- Wstydzę się, że nawet nie próbowałam.

- Ponieważ pragnęłaś mnie tak samo, jak ja ciebie.

Potarła dłonią czoło, wzdychając.

- Pragnąć i mieć prawo zaspokoić namiętność to nie to samo.

Pochylił się tak blisko, że niemal dotknęli się nosami.

- Chcę cię poślubić.

Gwendolyn parsknęła. Te niegodne słowa sprawiły, że zapomniała o skromności. Wskoczyła z łóżka i zaczęła grzebać w stosie ubrań, szukając bielizny.

- Jakże nieszczęśliwie się składa, że masz już żonę. Byłoby mi trudno dopilnować, żebyś dotrzymał obietnicy, nieprawdaż?

- Nie mam żony.

Koszula, którą podniosła, sfrunęła na podłogę.

- Słucham?

Podniósł jej rękę do ust i pocałował leciutko kostki dłoni.

- Wiem, że to się wydaje pozbawione sensu, i żałuję, że nie mogę wyjawić wszystkiego. W każdym razie, nie teraz. Ale wiedz, najdroższa, że cię poślubię.

Gwendolyn spuściła wzrok, patrząc na ich złączone dłonie. Ścisnął

delikatnie jej rękę. Wyrwała ją.

- Żałuję głęboko, że powiedziałam ci kiedyś, iż powinieneś być bardziej otwarty na zabawę i frywolny, mój panie. Nie to miałam na myśli. Żart w złym guście jest dużo gorszy niż poważne usposobienie.

- Nie żartuję. Jestem całkowicie poważny. Uwielbiam cię. Całym sercem i duszą. Wierz mi, któregoś dnia będę twoim mężem.

Zamilkł. Zapadła napięta cisza.

- Kpisz ze mnie - szepnęła.

- Nie! Nigdy!

Minęła dłuższa chwila, zanim do Gwendolyn dotarły jego protesty. Poczwała się jeszcze bardziej niezręcznie. Odwróciła się, patrząc mu w oczy i starając się wyczytać z nich prawdę. Jego wzrok wyrażał pewność siebie i zdecydowanie.

Wpatrywała się nieprzerwanie w te błyszczące zielone oczy i w końcu zrozumiała, że mówi poważnie i jest szczery.

Gwendolyn opadła na brzeg łóżka. Sięgnęła po ubranie u stóp i przycisnęła koszulę do piersi, prostując się sztywno ze zdumienia.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że zamierzasz rozwieść się z lady Fairhurst?

Wybuchłby straszliwy skandal.

- Nie to chciałem powiedzieć. Nie będzie rozwodu ani skandalu.

- Jakim sposobem? - wychrypiąła.

- Zaufaj mi.

Gwendolyn się schyliła, wpatrując się w swoje splecione palce. Miałaby wyjść za niego, mimo że już miał żonę? Ale nie, twierdził, że jej nie ma, choć wszyscy wiedzieli, że niedawno się ożenił. O jego żonie pisały londyńskie gazety, opisywano też przyjęcia, na jakich bywali, sztuki, jakie widzieli, jej działalność dobroczynną. Z pewnością lady Fairhurst była żywą kobietą.

Prawdziwą żoną.

Nagle Gwendolyn zabrakło tchu. Nie mogła opanować paniki. Bez rozwodu, bez skandalu? Jak lady Fairhurst mogłaby tak po prostu rozpląnąć się w powietrzu?

- Są tylko dwa sposoby, żeby pozbyć się żony. Rozwód albo śmierć.

A skoro powiadasz, że nie rozwiedziesz się z lady Fairhurst, musisz planować coś znacznie gorszego.
- Gwendolyn zadrżała. Jej oczy zaszklily się od łez. -

Nie wolno ci jej skrzywdzić.

Jason zerknął na nią z ukosa.

- Cóż, gdybym miał taki zamiar, byłbym głupcem, mówiąc ci o tym.

W jego głosie słychać było kpinę i oburzenie. Gwendolyn się uspokoiła.

- Przepraszam. - Westchnęła. - Wydajesz się zdolny do wielu rzeczy, ale nie do tego, żeby zamordować niewinną kobietę.

- Dziękuję. Tak sądzę. - Ujął Gwendolyn za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy. - Zrobiłbym wiele, żeby cię zdobyć, ale nie posunąłbym się do morderstwa. Czy nie znasz mnie na tyle?

- Być może na tym rzecz polega. Nie znam cię w ogóle.

- Musimy zatem postarać się zmienić ten smutny stan rzeczy.

Usta Gwendolyn zadrżały. Nie mogła sobie pozwolić, żeby go lepiej poznać, żeby bardziej się do niego zbliżyć. Brakowało jej doświadczenia i obycia, ale nie była naiwna. Wiedziała, jak okrutne i niesprawiedliwe bywa życie.

Zastanawiała się, czy byłaby szczęśliwa w nielegalnym związku, czy mogłaby poświęcić reputację, żeby połączyć się z ukochanym mężczyzną.

Bo musiała przyznać, że go kochała. Kochała go całym sercem, z siłą, która ją przerażała. Kochała go, chociaż nigdy nie wolno jej będzie powiedzieć tego głośno. Nie, dopóki był związany z inną kobietą.

- Nie wiem, czy potrafię się zadowolić tym, co możesz mi dać -

powiedziała. - Trudno mi przyjąć taki diabelski układ.

- Dam ci cały świat, najdroższa - oświadczył.

- Nigdy nie pragnęłam aż tyle, Jasonie.

- Czy moje serce ci wystarczy? - Pogłaskał jej policzek wierzchem dłoni. -

Moje serce i nazwisko?

Odwrociła wzrok, przełykając łyżę żalu i miłości. Och, jak bardzo chciała mu wierzyć. To, o czym mówił, było niemożliwością, a jednak - jeśli nie odważy się zaryzykować i uwierzyć mu - straci wszelką szansę wspólnego życia z Jasonem.

Czy była dość szalona i śmiała, żeby spróbować?

Serce Jasona biło w szaleńczym tempie. To było żalosne. Powinien powiedzieć jej prawdę i skończyć z tym wreszcie, ale w głębi duszy rozpaczliwie pragnął się przekonać, czy jej uczucia są szczerze. Czy potrafi kochać go bezwarunkowo, ufać całkowicie, nawet jeśli wszystko zdawałoby się świadczyć na jego niekorzyść.

Przeżycia z Elizabeth pozostawiły głęboką ranę, która mogła się zabić dzięki Gwendolyn. Tak długo przysięgał sobie, że nie da się zniszczyć nowej miłości. Że nie pozwoli żadnej kobiecie zawładnąć swoim umysłem i duszą.

Nie stanie się słaby pod wpływem uczuć do kobiety. Nie narazi się na upokarzającą bezradność tego, który kocha nieodwzajemnioną miłością.

Popęłił wiele błędów z Elizabeth. Przede wszystkim zbyt pośpiesznie wyjawiał

jej swoje uczucia. Lata doświadczeń najwyraźniej niewiele go nauczyły, jako że przed chwilą wyznał miłość Gwendolyn. I zakochał się tak samo mocno -

może nawet mocniej, bo teraz był dojrzałym mężczyzną, nie żółtodziobem.

Serce mu się ścisnęło, kiedy na nią spojrział. Na początku tak bardzo chciał

sobie wmówić, że Gwendolyn nie pociąga go w żaden sposób. Oceniał ją po wyglądzie i plotkach, jakie o niej krążyły. Teraz, kiedy ją poznał, kiedy nie osądzał jej już tak powierzchownie, nic nie krępowało jego miłości. Była dumna, pewna swoich racji, inteligentna i piękna.

Była także szlachetna, lojalna, praktyczna i miała otwarty umysł.

Gwendolyn nie odwzajemniła miłosnego wyznania, ale przypuszczał, że powstrzymała ją poczucie przyzwoitości. Gdyby wyjawiał prawdę o sobie, czy wyznałaby mu miłość?

Z takimi myślami zmagał się Jason. Jej zmieszanie i niedowierzanie, kiedy oznajmił, że się z nią ożeni, wywołało w nim poczucie winy. Szukał

usprawiedliwienia, mówiąc sobie, że to nie potrwa długo i że jeśli ona naprawdę go kocha, to zrozumie i wybaczy.

- Gwendolyn, proszę, powiedz coś. Cokolwiek, na rany Chrystusa!

Pokręciła głową.

- A niech to! Nie wiem, co powiedzieć! Do licha, nie wiem, co czuć ani myśleć! - Uspokoiła się powoli. - Kręci mi się w głowie, Jasonie.

- I do tego klniesz.

Podniosła głowę.

- To nie jest śmieszne.

- Och, kochanie! Nic nie poradzisz na to, że jesteś zabawna. I cudowna.

I niewiarygodnie piękna.

Gwendolyn się naburmuszyła.

- Nie wolno ci mówić mi takich rzeczy.

- Dlaczego nie?

- Wiesz, dlaczego.

Stłumił zdenerwowanie.

- Proszę, nie czuj się winna.

- Czy to właśnie robisz? - zapytała drżącym głosem. - Ignorujesz poczucie winy?

Przysunął się powoli bliżej, siadając obok niej na łóżku.

- Narobiłem bałaganu, ale przysięgam, że wszystko naprawię. Wiem, że to niełatwe, ale musisz znaleźć w sercu siłę, żeby mi zaufać.

Gwendolyn spojrzała na niego nieprzekonana.

- Nie mogę słuchać serca, Jasonie. Muszę słuchać głowy.

W tej chwili Jason o mało nie wyrzucił z siebie prawdy, ale coś w jej oczach sprawiło, że się zawahał. Widział, że pragnie mu uwierzyć, bardzo chce zaufać.

- Czy słyszałaś o ślepej wierze? - zapytał.

Odsunęła się gwałtownie.

- Nie mogę po prostu wyrzucić zdrowego rozsądku przez okno, bo tak mi się podoba.

Jason także powstał. Chcąc zająć czymś ręce, zaczął ścielić łóżko, naciągając prześcieradło i poprawiając poduszki.

- Czy mogę z tobą zostać? - odezwał się ze smutnym uśmiechem.

Wyraz zdumienia ustąpił z jej twarzy. Uniosła brodę.

- To byłoby bardzo nierozważne.

- A jeśli przyrzeknę, że będę grzeczny? Jeśli przysięgnę, że użyję wobec siebie siły, jeśli opanuje mnie znowu chęć uwiedzenia cię?

Gwendolyn się nie uśmiechnęła i Jason zrozumiał, że musi powiedzieć prawdę. Ale nie dzisiaj. Błada, ze wzrokiem utkwionym w odległym kącie pokoju, wydawała się wyczerpana, zarówno cieleśnie, jak i duchowo.

Jason sięgnął po koszulę, którą ścisnęła w dłoni, i wyjął ją z jej palców.

Potrząsnął nią, po czym naciągnął starannie Gwendolyn przez głowę i zaczął wiązać satynowe, różowe wstążki, poczynając od piersi i posuwając się ku kibici.

Zamrugła oczami, jak wyrwana ze snu, wyciągnęła rękę, żeby go odepchnąć.

- Nie...

- Pozwól, że ci pomogę - poprosił. - Nie masz nocnej koszuli, więc to musi wystarczyć.

Schyliła głowę. Zadowolony, że już z nim nie walczy, Jason dokończył

wiązania,

zaprowadził

ją

do

łóżka

i

przykrył

kołdrą.

Potem

podszedł do umywalki i wziął flanelowy ręczniczek oraz miskę przyjemnie ciepłej wody. Delikatnie wytarł twarz, ręce i szyję Gwendolyn.

Chciał zmyć także dziewiczą krew, która musiała zostać na udach, ale wiedział, że taka bezpośredniość tylko ją przerazi. Zrobił więc, co mógł, odstawił

miskę, włożył spodnie i ułożył się koło niej.

Gwendolyn zeszywniała, linie wokół jej ust się napięły.

- Jasonie, proszę, nie możesz tu zostać.

Objął ją, kładąc jej głowę na swojej nagiej piersi.

- Tylko póki nie zaśniesz, Gwendolyn.

Szepnęła coś niezrozumiałego, ale pozwoliła mu zostać. Najpierw była sztywna, niechętna, ale czuł, jak jej ciało się stopniowo rozluźnia, a oddech staje się równy i rytmiczny.

Podniecony, ale zadowolony, że zasnęła, Jason przysunął jej ciepłe ciało do siebie. Światło księżyca wydobyło z mroku twarz Gwendolyn. Kiedy na nią spojrział, serce mu zmiękło. Z zamkniętymi oczami wyglądała młodziej i ładniej, niemal łagodnie.

Jasona ogarnął dziwny spokój. Po raz pierwszy w dorosłym życiu czuł ciepło domu, trzymając kobietę w ramionach. Czuł, że w jego skądinąd pozbawionym sensu życiu pojawiły się wyraźny cel i poczucie pewności, jak potoczy się jego przyszłość.

Jutro porozmawia z Gwendolyn, uporządkuje wszystkie sprawy. To nie będzie łatwe, ale lepiej, żeby była wypoczęta i spokojna. I była w stanie się skupić.

Zostanie jego żoną. I będą bardzo, bardzo szczęśliwi razem. Wiedział, że Gwen stanowi część jego życia, że są dobrze dobraną parą, pokrewnymi duszami, które nigdy nie będą naprawdę szczęśliwe, dopóki się nie połączą.

Teraz musiał ją tylko o tym przekonać.

Gwendolyn zdawała sobie sprawę, że nie powinna była zasnąć. To, co zrobiła zeszłej nocy, wprowadziło ją w niepokój, a jednak zapadła w pozbawiony marzeń sen.

Otworzyła oczy w smudze słonecznego światła, które padło na łóżko. Jason zniknął, jak obiecał, ale czuło się jego obecność w pokoju. Gwendolyn dostrzegła jego przybory do golenia na toalecie, obok - szczotkę do włosów. Na ten widok ścisnęło jej się gardło, tak że z trudem przełknęła ślinę.

Zerknęła na zegar nad kominkiem. Prawie ósma. W domu panowała cisza, chociaż Gwendolyn przypuszczała, że służba jest już od paru godzin na nogach.

A co z siostrą? Czy Dorothea się obudziła? Czy spędziła noc spokojnie? Czy jej się poprawiło, tak jak zapewniał doktor?

Musiała wstać z łóżka, żeby się tego dowiedzieć. Zrobiła kilka kroków i uświadomiła sobie, że czuje

lekki ból w intymnym miejscu. Napłynęły wspomnienia niezwyklej nocy z Jasonem. Gwendolyn odsunęła na bok żalę. Jej przygoda z Jasonem dobiegła końca. Okoliczności nie pozostawiały wyboru.

Przeszła przez pokój i otworzyła szafę wicehrabiego. Miała wrażenie, że wkrada się w jego prywatność, oglądając pięknie uporządkowaną męską garderobę. Przesunęła delikatnie palcami po ubraniach, zaskoczona, że wiele strojów jest tak jasnych i kolorowych - niezbyt pasujących do poważnego, smutnawego stylu lorda Fairhurst.

Nie mając czasu, żeby się nad tym zastanowić, Gwendolyn zaczęła przebierać w szafie, aż znalazła to, czego szukała - szlafrok. Uszyty z czarnego jedwabiu, z kołnierzem i mankietami obszytymi złotym aksamitem, stanowił

luksusowy strój i jedyny, który nadawał się do tego, żeby w nim wyszła z pokoju.

Włożyła go pośpiesznie, zawiązując ciasno pasek i podwijając kilka razy rękawy. Cała okryta, z wyjątkiem stóp, Gwendolyn ruszyła korytarzem, żeby sprawdzić, jak się miewa Dorothea.

Pielęgniarka podniosła się z krzesła i poprawiła zasłony, wpuszczając nieco więcej światła. Uniosła brwi, spojrzawszy na dziwne przebranie Gwendolyn, ale na szczęście nie robiła uwag.

- Miała spokojną noc - poinformowała Gwendolyn. Położyła dłoń na czole Dorothei i mlasnęła z zadowoleniem. - Ani śladu go rączki i to jest bardzo dobry znak. Będzie ją bolała kostka i głowa, ale dojdzie do siebie. Młodym zwykle to się udaje.

- Dzięki Bogu. - Gwendolyn podeszła do łóżka i pogłaskała siostrę po ramieniu. Ogarnęła ją ulga, kiedy stwierdziła, jak naturalnie wygląda Dorothea.

Miała zaróżowione policzki, oddychała równo, a na jej twarzy malował się spokój.

- Lepiej pozwólmy jej spać jeszcze parę godzin - powiedziała pielęgniarka. -

Kiedy się obudzi i zje lekki posiłek, będzie miała siłę, żeby przyjąć gości.

Posłuchawszy rady pielęgniarki, Gwendolyn wróciła do pokoju. Usiadła na brzegu łóżka, a potem położyła głowę na poduszce. Powieki zaczęły jej ciążyć.

Zamknęła je, mówiąc sobie, że odpocznie tylko parę minut.

Gwendolyn się obudziła, kiedy do pokoju weszła pokojówka z tacą, na której niosła gorącą czekoladę i tost.

- Przyniosłam drobną przekąskę, panienko - zaszczębiotała wesoło. -

Kucharka przygotowuje, co pani zechce, kiedy się pani umyje, ubierze i zejdzie do jadalni.

- Dziękuję. - Gwendolyn zdobyła się jakoś na uprzejmy uśmiech. Nie czuła się dobrze, a zapach

czokolady tylko pogarszał ten stan. Nie zwracając uwagi na tacę, wyszła z łóżka i rozejrzała się za ubraniami, starając się nie wpaść w panikę, kiedy nie mogła znaleźć sukni.

- Tutaj mam pani ubrania, panienko - oznajmiła służąca. - W zeszłym tygodniu przywieziono trochę strojów jaśnie pani. Gospodyni przejrzała rzeczy, ale nie było nic odpowiedniego, co panienka mogłaby pożyczyć. Wyczyściliśmy więc strój, który pani miała na sobie wczoraj.

Pożyczyć stroje od lady Fairhurst? Gwendolyn ugryzła się w język, usiłując powstrzymać okrzyk grozy. Dość, że ukradła miłość jej męża. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby miała jeszcze nosić jej ubrania.

Na myśl o tym Gwendolyn znowu zrobiło się niedobrze. Z bijącym sercem oparła się o kolumnkę łóżka i wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

Do czasu, kiedy służąca nalała ciepłej wody do porcelanowej miski, Gwendolyn na tyle doszła do siebie, żeby móc się umyć.

Ubierała się długo. Czuła się dziwnie, wkładając wieczorową sukienkę o tej porze dnia, ale ubranie było przynajmniej świeżo wyczyszczone i wyprasowane.

A biorąc pod uwagę wszystkie przedziwne wydarzenia z ostatniego dnia, paradowanie w wieczorowej sukience w południe nie było jeszcze czymś najgorszym.

Gwendolyn uniosła brodę i spojrzała w lustro, podczas gdy pokojówka zapinała małe guziczki na jej plecach. Dzięki Bogu, wszystkie były na miejscu. Bała się, że rozpinając pośpiesznie suknię poprzedniej nocy, kilka z nich wyrwała.

Właśnie skończyła toaletę, gdy usłyszała kroki i pukanie do drzwi.

Pokojówka otworzyła i wyszła, a w tej samej chwili gość wszedł do środka.

Gwendolyn przebiegł dreszcz po plecach, kiedy Jason wszedł do pokoju.

Och, Boże! Miał na sobie ciemnozielony kubrak, brązowe bryczesy, czarną kamizelkę oraz obszyte frędzlami buty do konnej jazdy tak lśniące, że można się w nich było przejrzeć jak w lustrze.

Uznała, że jego kamerdyner musiał wejść do sypialni, kiedy poszła odwiedzić Dorotheę. Inaczej skąd wzięłoby takie piękne, czyste ubranie?

Skłonił się, ale drżące kolana Gwendolyn nie pozwoliły jej odpowiedzieć dygnięciem.

- Dzień dobry panu.

- Dzień dobry moja miłości. - Uśmiechnął się, jego zielone oczy pojaśniały.

- I, proszę, mów do mnie Jason.

Zdecydowanie Gwendolyn się zachwiało. Był taki przystojny, wydawał się zakochany i pełen zapału. Mój Boże, jak mogłaby odmówić mu czegokolwiek?

- Widziałam przez chwilę Dorotheę dziś rano, ale chciałabym jeszcze raz pójść tam i posiedzieć z nią. - Gwendolyn celowo mówiła uprzejmym, bezosobowym tonem, modląc się w duchu, żeby ją w tym naśladował, co obojgu ułatwiłoby życie.

- Wracam z jej pokoju. Obudziła się na trochę, ale potem znowu zasnęła.

Doktor i pielęgniarka zapewniają, że to najzupełniej normalne.

Gwendolyn wciągnęła powoli powietrze.

- Czułabym się lepiej, mogąc przy niej posiedzieć.

- Oczywiście. Ale najpierw musimy porozmawiać. Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Gwendolyn się odwróciła. Jason objął ją ramionami od tyłu. Owionął ją jego zapach. Jej serce biło nieregularnie. Tego było za wiele.

Odsunęła się.

- Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Zacisnął wargi, jakby pod wpływem bólu.

- Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe.

- Niełatwe? - Gwendolyn skrzywiła się boleśnie. Przeszła na drugą stronę pokoju.

- Nie ma potrzeby robić z tego dramatu, Gwendolyn.

Podszedł bliżej. Bez ostrzeżenia przyciągnął ją do siebie i pocałował, mocno i szybko. Nie miała pojęcia, co zamierzał, zanim jego usta nie znalazły się na jej ustach.

Zaszokowana, usiłowała się odsunąć, ale potem, wbrew woli, objęła go za szyję i przytuliła mocniej. Całowali się, a w jej ciele odezwał się nieznany ból.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Jaśnie panie?

Jason odsunął się tylko na tyle, żeby móc odwrócić głowę. Spojrzał gniewnie na drzwi.

- Rozpoznałeś głos? - szepnęła.

- To chyba Snowden. Majordomus. - Jason westchnął, ale nie wypuścił

Gwendolyn z objęć. Zamiast tego opuścił głowę i pocałował ją jeszcze raz.

Kolana się ugięły pod Gwendolyn, kiedy wsunął jej język w usta. Jej serce wezbrało miłością. To uczucie było tak silne, że przesłoniło wątpliwości i żal.

Drżała na całym ciele, opanowana nieznaną dotąd tęsknotą.

Sięgnął w dół, obejmując jej pośladki i przyciskając do siebie.

Pukanie rozległo się ponownie.

- Jaśnie panie...

Jason odwrócił gwałtownie głowę.

- Jeśli jeszcze raz zastukasz do tych cholernych drzwi, Snowden, zwolnię cię! Bez referencji.

Po drugiej stronie zamkniętych drzwi nastąpiła złowieszcza cisza. Trwała może pół minuty.

- Proszę łaskawie wybaczyć, że przeszkadzam, jaśnie panie. Pan i pani Ellingham oraz panna Emma właśnie przybyli i chcą zobaczyć pannę Dorotheę

- oznajmił lokaj przyciszonym, przestraszonym głosem. - Pytają także o pannę Gwendolyn. Czy jest tam z panem?

- Panna Gwendolyn powiedziała mi, że wybiera się na poranny spacer! -

zawołał Jason. - Jestem pewien, że wkrótce wróci.

- Ta wiadomość uspokoi rodzinę - odezwał się lokaj.

- Zaprowadź, proszę, państwa Ellingham do sypialni Dorothei. Za chwilę do nich dołączę.

- Doskonale.

- Więcej kłamstw - szepnęła Gwendolyn. - Czy to się kiedyś skończy?

Jason wciągnął ze świstem powietrze.

- Porozmawiamy, Gwendolyn. Niedługo. - Pochylił się i ją pocałował. Czuli jego zdecydowanie. - Przyjdź do pokoju Dorothei, kiedy uznasz, że jesteś gotowa na spotkanie z rodziną.

Wyszedł, zostawiając Gwendolyn pełną sprzecznych uczuć, z dłonią przyciśniętą do obrzmiałych warg.

Gwendolyn stanęła w odległości paru stóp od szerokiego łóża. Przybrała przyjemny wyraz twarzy, ręce splótła za plecami, tak żeby nikt nie widział, że drżą. Spotkanie z rodziną kosztowało ją dużo więcej, niż sądziła. Ich widok uzmysłowił jej, ile mogłaby stracić, gdyby wypadki na drodze zeszłej nocy potoczyły się inaczej. Gdyby wicehrabiemu nie udało się ich uratować.

Uświadomiła sobie także, jaką ściągnęła na siebie i - pośrednio na nich -

hańbę, ulegając namiętności. Wiedziała, że to niemożliwe, ale bała się, że grzechy będą wypisane na jej twarzy. Próbowwała więc trzymać się w cieniu.

- Dorotheo, kwiatuszku - zawodziła ciotka Mildred. - Och, Boże, jaka się wydajesz blada i wyczerpana, moja droga. Szybko, Emmo, wyjmij sole trzeźwiące z mojej torebki. Boję się, że mogę zemdleć.

Emma podsunęła chwiejącej się ciotce krzesło.

- Ciociu Mildred, błagam, przerazisz Dorotheę takimi głupstwami. Wygląda znakomicie, prawda, Gwen?

- W istocie - zgodziła się Gwendolyn. - Bardzo jej się poprawiło i wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

Ciotka Mildred należała do kobiet, które potrafiły rozplakać się w każdej chwili, a kiedy postawiła stopę w Moorehead Manor, tamy zostały zerwane.

Troskę i strach można było zrozumieć - napady hysterii to już zupełnie inna sprawa.

- I moja biedna, kochana Gwendolyn. - Ciotka Mildred przetarła oczy chusteczką i pociągnęła nosem, a potem odwróciła się w jej stronę. Wuj Fletcher, Emma, lord Fairhurst, nawet pielęgniarzka poszli za jej przykładem, przyglądając jej się ciekawie.

Gwendolyn zbladła i się wyprostowała, kiedy ciotka wyciągnęła rękę.

Posłusznie postąpiła do przodu i ujęła dłoń ciotki.

- Uspokój się, ciociu. Nic nam się nie stało - powiedziała uspokajająco.

Ciotka Mildred wybuchła głośnym łkaniem.

- Takie dzielne w obliczu niebezpieczeństwa, takiego horroru. Jesteście bohaterkami.

- To lord Fairhurst je uratował - zauważyła Emma, rzucając wicehrabiemu spojrzenie pełne uwielbienia. - To on zasługuje na pochwały, ciociu Mildred.

- Tak, tak, jesteśmy wdzięczni wicehrabiemu - zapewniła ciotka Mildred. -

Choć gdyby opuścił przyjęcie wcześniej, jak wuj i ja, może nie spotkalibyście tych bandytów na drodze.

Wszystkie oczy zwróciły się na lorda Fairhurst.

- To było nad wyraz niefortunne wydarzenie - powiedział spokojnym głosem.

Ciotka Mildred pociągnęła nosem.

- To było okropne, milordzie. Absolutnie okropne. Chciałam tu przybiec, kiedy tylko pański służący przyniósł nam te straszne wieści wczoraj w nocy, ale mój drogi Fletcher nalegał, żebyśmy poczekali do rana.

- Wczoraj w nocy tylko byś przeszkadzała - stwierdził wuj Fletcher. - Lepiej było przyjechać, kiedy Dorothea wypoczęła i zaczyna dochodzić do zdrowia. Już wygląda prawie normalnie.

Ciotka Mildred się napuszyła.

- Może się wydaje, że wygląda normalnie, ale jest oczywiste, że blizny pozostaną jej do końca życia.

Gwendolyn rzuciła ukradkowe spojrzenie na wicehrabiego. Wydawał się lekko zniecierpliwiony. Sądziła, że paplanina ciotki zaczyna go nużyć. Ale spojrzała na niego po raz drugi i uznała, że kryje się za tym coś jeszcze. Robił

wrażenie zaniepokojonego, nawet zmartwionego.

Dlaczego?

- Czuję się dobrze, ciociu Mildred! - wykrzyknęła Dorothea. - Chociaż przyznaję, że jestem zmęczona.

To było hasło, na które zdawała się czekać pielęgniarka.

- Dobrze, wystarczy - Stała na środku pokoju i zaklaskała trzy razy w dłonie. - Pacjentka potrzebuje spokoju. Zbyt silne podniecenie tylko jej zaszkodzi. Muszę nalegać, aby wszyscy natychmiast stąd wyszli.

- Tak, musicie odejść - zgodziła się ciotka Mildred. Przesunęła krzesło, siadając bliżej Dorothei.

Pielęgniarka zręcznie poprawiła kołdrę.

- Pani także.

- Ja? - zapytała ciotka Mildred oburzoną tonem. - Muszę się zaopiekować moją bratanicą.

- Będziesz miała mnóstwo zajęć, kiedy sprowadzimy Dorotheę do domu -

powiedziała Gwendolyn.

Położyła ręce na ramionach ciotki. Wydymając usta, ciotka podniosła się niechętnie.

Gwendolyn mimowolnie spojrzała na wicehrabiego. Niepokój całkowicie ustąpił z jego twarzy, stał się czarującym, gościnnym gospodarzem.

- Kucharka przygotowała posiłek. Polecę natychmiast go podać.

- Nie chcemy się narzucać - rzekł wuj Fletcher.

- Nonsens, powiedziałem kucharce, że spodziewamy się gości. Poczuj się urażona, jeśli się okaże, że trzymała się na darmo.

Posłusznie ruszyli za wicehrabią. Jadalnię urządzono w poważnym, eleganckim stylu. Jedzenie było obfite i wyśmienite, ale Gwendolyn przeżywała męki. Nie mogła się doczekać, kiedy posiłek dobiegnie końca. Kiedy skończą się pytania na temat okropnego wydarzenia i narzekanie na to, jak panoszą się bandyci, zagrażając spokojnym ludziom.

- Kiedy myślę o tym straszliwym koszmarze, przez który przeszły moje drogie dziewczynki, serce mi pęka - jęknęła ciotka Mildred, patrząc na lorda Fairhurst.

Więc o tym nie myśl! - chciała krzyknąć Gwendolyn, ale ugryzła się w język. Melodramatyczny nastrój ciotki zaczynał mocno ją irytować.

- Spodziewam się, że zostanie przeprowadzone dochodzenie - oświadczył

wuj Fletcher. - Okropność, żeby uczciwi ludzie nie mogli w nocy podróżować po drogach.

- Carlyłowie odwołali przyjęcie dzisiejszego wieczoru - powiedziała ciotka Mildred. - Słyszałam, że Sophia dostała palpacji serca na myśl, że jej gości może spotkać zła przygoda.

Wuj Fletcher pokiwał głową.

- Lepiej uważać, w tych okolicznościach.

- Jeden wypadek nie oznacza jeszcze, że po drogach grasują zbójcy -

zauważył spokojnie lord Fairhurst.

- Ośmielę się twierdzić, że w Londynie przyzwyczaił się pan do niebezpiecznych wydarzeń - odparła ciotka Mildred. Zadrżała i łyknęła wina. -

Ale tutaj, w Willoughby, podobne przygody spędzają nam sen z powiek.

- Jestem pewna, że lord Fairhurst nie chciał nikogo urazić, ciociu Mildred -

wtrąciła Emma. - I ma rację. To odosobniony incydent.

- Jest stanowczo zbyt wcześnie, żeby stwierdzić, co się naprawdę wydarzyło

- powiedział wuj Fletcher.

Nadal omawiali wypadek, chociaż - na szczęście - ciotka Mildred oznajmiła, że jej wzburzone nerwy nie zniosą zbyt szczegółowego opisu tego, co zaszło.

Wicehrabia oznajmił na to, że byłoby szczytem złych manier dopuścić do dyskusji na tak nieodpowiedni temat przy stole.

Przeszli do bardziej neutralnych kwestii. Rozmowa o pogodzie szybko zamarła. Przedłużające się milczenie drażniło ciotkę Mildred, ale jej wysiłki zmierzające do podtrzymania konwersacji odniosły mierny sukces. Wuj Fletcher od czasu do czasu burknął jakieś słowo, a wicehrabia odpowiadał

wyłącznie na pytania skierowane bezpośrednio do niego. Emma, oczarowana towarzystwem wicehrabiego, odzywała się niewiele, chyba że odpowiadając lordowi Fairhurst.

Gwendolyn milczała. W końcu przestała udawać, że je, i odłożyła widelec.

Widziała Jasona kątem oka i mimo postanowienia, żeby nie zwracać na niego uwagi, była boleśnie świadoma jego każdego ruchu.

- Przyznaję, że lepiej nie rozmawiać o tym zajściu, jakkolwiek ciekaw jestem, co udało się panu odkryć na temat tych zbójów, którzy was zaatakowali, Fairhurst - odezwał się wuj Fletcher.

- Napastników było czterech, ale, niestety, zdołaliśmy schwytać tylko jednego - odparł wicehrabia. - Stracił przytomność podczas bójki i dotąd jej nie odzyskał. Doktor zapewnia, że w końcu się obudzi.

Wuj Fletcher parsknął z pogardą.

- Założę się, że będzie go paskudnie bolała głowa.

- Zasługuje na coś gorszego - stwierdziła ciotka Mildred.

- Czy zabrała go policja? - zapytał wuj Fletcher.

- Nie. W jego stanie i o tak późnej porze nie wydawało się wskazane, żeby go przewozić. Jest teraz zamknięty w piwnicy.

Ciotka Mildred rzuciła wicehrabiemu przerażone spojrzenie.

- Wielki Boże! Ten rozbójnik jest tuż obok? - zawołała piskliwie.

- Czy jesteśmy bezpieczni?

Wuj Fletcher spiorunował ją wściekłym wzrokiem.

- Fairhurst nie byłby tak szalony, żeby narażać dom na niebezpieczeństwo.

Ten człowiek z pewnością nie ma żadnej możliwości ucieczki.

- Rzeczywiście - potwierdził wicehrabia, napiwszy się wina.

- Choć chętnie przekażę go dzisiaj w ręce władz. Po tym, jak będę miał okazję go przesłuchać.

Umilkli. Lokaj wniósł tacę ze słodyczami. Niemal wszyscy odmówili, twierdząc, że nie zdołają już niczego zjeść. Poza ciotką Mildred, która uraczyła się potężną porcją czekoladowego puddingu z bitą śmietaną. Gwendolyn, która z trudem wytrzymała przy stole, niemal jęknęła głośno.

Czy ten posiłek nigdy się nie skończy?

- Cieszę się ogromnie, że mimo zmartwienia zachowałeś dobry apetyt, ciociu Mildred - zauważyła Gwendolyn.

- Tak, to szczęście. - Ciotka Mildred się uśmiechnęła.

Tym razem Gwendolyn nie wytrzymała i naprawdę jęknęła. Ciotka Mildred nie pojęła ironii i wzięła sobie dokładkę puddingu.

Mając wyrzuty sumienia, że pozwoliła sobie na taką uszczypliwość, Gwendolyn poprzysięgła trzymać nerwy na wodzy. Ale i tak było jej trudno skupić się na rozmowie. Pozwoliła swoim myślom płynąć swobodnie. Przyszłość w tej chwili wydawała jej się ponura i straszna.

Miała całkowitą rację, informując Jasona, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Zrobiła to z czystego samolubstwa, przyznając, że będąc z nim sam na sam, nie znalazłaby w sobie dość siły, żeby mu się oprzeć. Jediną logiczną formą obrony wydawało się trzymać go na odległość.

Przebywanie blisko Jasona było niebezpieczne, a pozostawanie z nim na osobności zakrawało na samobójstwo. Żeby przeżyć, musi otoczyć serce twardą skorupą. Istniała między nimi głęboka zmysłowa więź - czego dowiodły wydarzenia zeszłej nocy w sypialni - i ta więź nie osłabła w zimnym świetle dnia.

Ciągnęło ją do Jasona jak ćmę do ognia. Przy nim żyła tak intensywnie, jak nigdy. Stanowił czystą pokusę. Jej ciało tęskniło za cudowną przyjemnością, jaką potrafił jej dać, serce za jego słodkim dotykiem. Gdy znowu znalazła się blisko niego, musiała walczyć z silnym, niestosownym pragnieniem, żeby...

- Czy ty nas w ogóle słuchasz, Gwendolyn?

Gwendolyn, przestraszona, o mało nie podskoczyła na krześle.

- Przepraszam.

- Rozmawialiśmy o naszych ulubionych książkach - wyjaśniła ciotka Mildred.

- Powiedziała lordowi Fairhurst, że moje bratanice lubią dobrą literaturę, zachowując stosowny umiar, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyła Gwendolyn. Zaśmiała się sucho. –W rodzinie Ellinghamów nie toleruje się sawantek.

Wuj Fletcher mruknął aprobująco.

- Nie cierpię kobiet, które usiłują pozować na intelektualistki.

- To może być męczące - stwierdził wicehrabia śmiertelnie poważnym tonem.

Gwendolyn zeszywniała z oburzenia, ale - podejrzewając, że lord Fairhurst może ją prowokować - zachowała milczenie.

Emma przerwała niezręczną ciszę.

- Miałam ostatnio ogromną przyjemność przypomnienia sobie jednej z moich ulubionych lektur. Czy zna pan *Dumę i uprzedzenie*?

Wicehrabia uśmiechnął się leciutko.

- Słyszałem o tej powieści, ale, niestety, nigdy nie miałem okazji jej przeczytać.

- Och, ależ musi pan - zaszczębiotała przymilnie Emma. - Elizabeth Bennet to moja ulubiona postać kobieca. Niezwykły charakter. Jest bardziej niż godna upartego pana Darcy'ego.

- To bardzo satysfakcjonująca pod względem uczuciowym książka -

powiedziała ciotka Mildred, wzdychając cicho. - Ach, ten pan Darcy.

- Nigdy nie rozumiałam, co panna Bennet w nim widziała - stwierdziła Gwendolyn, nie mogąc się powstrzymać. - Był pompatyczny, uparty i zdziwaczały.

- To brzmi zachęcająco. - Wicehrabia się uśmiechnął. - Chociaż na ogół

wolę historie, w których więcej się dzieje, na przykład *Toma Jonesa*.

- Mój Boże. - Ciotka Mildred się zaczerwieniła. - Pan Fielding pisze takie skandaliczne historie. Zupełnie nieodpowiednie dla młodych dam.

- Ale czytałyśmy je, tak czy inaczej - oznajmiła Gwendolyn. - Jako że nie jest to intelektualna lektura.

Pojawienie się doktora przerwało dyskusję. Ciotka Mildred podbiegła do niego, wuj Fletcher i

Emma szybko się do nich przyłączyli. Gwendolyn usiłowała się wymknąć z pokoju, gdy dobry pan doktor informował wujostwo i siostrę o stanie Dorothei. Wicehrabia zastąpił jej drogę. Celowo.

- Spotkajmy się w ogrodzie, przy różach, za dziesięć minut - szepnął. -

Musimy porozmawiać.

Gwendolyn wykręciła głowę, udając, że nie usłyszała. Poczula jego ręce na ramionach. Odwrócił ją delikatnie do siebie.

- Drzwi dają nam odrobinę upragnionej prywatności, jak również doskonałą okazję do kradzionego pocałunku.

Gwendolyn sapnęła z irytacją, odsuwając jego ręce.

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy. Zwłaszcza że moja rodzina jest tak blisko.

- Powiedziałem, musimy porozmawiać.

- A ja twierdzę, że nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Postąpił krok do tyłu i skłonił głowę.

- Jesteś największą uparciuchą, jaką w życiu spotkałem, a biorąc pod uwagę liczbę kobiet, jakie w ciągu lat przewinęły przez moje życie, to naprawdę niezwykle.

- Zatem powinieneś się cieszyć, że się mnie pozbędziesz. - Gwendolyn próbowała się uśmiechnąć, ale był to nikły uśmiech.

Ściągnął podejrzliwie brwi.

- Co masz na myśli?

- Wracam do domu z rodziną. A ponieważ w najbliższym czasie nikt nie zorganizuje następnej imprezy towarzyskiej w okolicy, wątpliwe, abym cię szybko zobaczyła.

Popatrzył na nią zmartwiony.

- Mamy umowę.

- Mieliśmy i dotrzymałam jej. - Gwendolyn westchnęła i się wyprostowała. -

Towarzyszyłam ci wszędzie, gdzie zażądałeś. Ale teraz nie będzie przyjęć i balów, dopóki nie wyjaśni się sprawa napadu na nasz powóz.

Przesunął dłonią po włosach.

- Odwiedzę cię jutro.

- Nie będę przyjmować gości.

- Do diabła, kobieto, nie możesz mnie wiecznie unikać! - Jason otworzył usta, po czym je zamknął. Popchnął ją głębiej w przedsionek i chwycił jej dłonie.

- Kocham cię, Gwendolyn.

Ogarnęła ją radość, a potem poczuła ukłucie smutku. Zamęt w jej głowie był nie do zniesienia, rozpacz ogromna.

Chcąc się ratować, Gwendolyn specjalnie nastąpiła sobie na palec. Nagły, przeszywający ból ją otrzeźwił.

- To nie ma znaczenia. To nie może mieć znaczenia.

- Przykro mi widzieć cię tak zgnębioną, Gwendolyn. Dzień, który nastąpił po naszej wspólnie spędzonej nocy, powinien być radosny i podniecający. -

Spojrzał jej w oczy. - Chcę myśleć, że przyszedł do mnie zeszłej nocy z innych powodów niż samotność i strach.

Odwzajemniła spojrzenie. Te słowa ją poruszyły, zmuszając do uczciwej odpowiedzi.

- Kiedy wspominam tę noc, myślę o tym, jak piękne było to, co zdarzyło się między nami. To wspomnienie jest dla mnie cenne. Ale to wszystko, co jest nam dane, Jasonie, tylko wspomnienie.

Gwendolyn odetchnęła głęboko, starając się przezwyciężyć uczucie oszołomienia, które ją nagle ogarnęło. To było dziwne uczucie, tak jakby stała poza własnym ciałem, słuchając, jak ktoś inny mówi te słowa. Ta historia nigdy nie stanie się odległym wspomnieniem. Jason Barrington opanował jej myśli i będzie nawiedzać jej sny do końca życia. W to nie wątpiła ani przez chwilę.

Ale nigdy mu tego nie powie.

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie znasz wszystkich okoliczności. Musisz mi pozwolić wyjaśnić. Nie wykreślaj mnie ze swego życia. Proszę, Gwendolyn, nie odrzucaj szansy na szczęście.

Patrzyła na niego, zamyślona. W ustach jej zaschło. To były niemądre słowa, ale brzmiały tak szczerze. Czy naprawdę byłoby takie okropne wysłuchać tego, co ma do powiedzenia? Zapadło niezręczne milczenie.

Na szczęście wtedy zwrócił się do nich wuj Fletcher.

- Doktor powiada, że Dorothea zjadła lekki posiłek i zapadła w drzemkę.

Proponuje, żebyśmy zaczekali, aż się obudzi, zanim zabierzemy ją do domu.

- Ależ nie możemy nadużywać gościnności lorda Fairhurst - sprzeciwiła się Gwendolyn. - Czyż nie byłoby lepiej wrócić do domu i przyjechać, kiedy Dorothea będzie gotowa do podróży?

- Nie mamy pojęcia, kiedy to nastąpi - odparł wuj Fletcher. - Rozsądniej jest poczekać i pojechać razem.

Gwendolyn zacisnęła zęby, pokonana logiką wuja. Nie mogła protestować, nie wzbudzając podejrzeń co do tego, dlaczego tak jej pilno opuścić Moorehead Manor.

- Proponuję wizytę w galerii portretów - powiedział lord Fairhurst. - To bardzo przyjemny sposób spędzania czasu.

Wuj Fletcher przychylił się do tej prośby. Po chwili wahania ciotka Mildred położyła palce na wyciągniętym ramieniu wicehrabiego.

- Jest pan niezwykle uprzejmy. Wiele słyszeliśmy o wspaniałych dziełach sztuki w pańskiej galerii. To cudownie, że może nas pan po niej osobiście oprowadzić. Chodźcie, dziewczęta.

- Zostań przy mnie, Emmo - poprosiła Gwendolyn, ruszając niechętnie za ciotką i wicehrabią.

Chociaż Emma niewątpliwie wolałaby towarzystwo wicehrabiego, posłuchała siostry. Weszli do galerii, długiego, przestronnego pomieszczenia z szeregiem okien na ścianie. Gwendolyn czuła na sobie wzrok wicehrabiego.

Starła się zająć Emmę rozmową.

Wiedziała, że siostrę zachwyca możliwość obejrzenia dzieł wielu słynnych malarzy i zamierzała zadawać jej wiele pytań. Siostra zawsze interesowała się sztuką i miała niewątpliwy, choć surowy i zaniedbany, talent.

Obrazy były portretami przodków wicehrabiego. Lord Fairhurst wyjaśnił, że jego ojciec zgodził się wspaniałomyślnie przenieść do rezydencji kilka jego ulubionych obrazów z domu.

- To jak podróż w czasie - zauważyła Emma, kiedy wolno przesuwali się przez galerię. - Nie tylko lekcja z historii sztuki, ale także odbicie czasów, w których żyli ci ludzie.

Gwendolyn próbowała się zagubić w pięknie sztuki. Niemal udało jej się odprężyć, kiedy Emma zatrzymała się gwałtownie. Złapała dłoń Gwendolyn i ścisnęła jej palce. Mocno.

- Mój Boże, co się stało? - zapytała Gwendolyn.

Oczy Emmy się zaokrągliły. Rzuciła nerwowe spojrzenie przez ramię. Lord Fairhurst i ciotka Mildred stali kawałek dalej. Nie mogli ich słyszeć, gdyby mówiły cicho.

- Obraz. - Emma podniosła rękę i wskazała na portret grupowy przed nimi na ścianie. Jej ręka drżała

zauważalnie.

Gwendolyn spojrzała we wskazaną stronę. Arystokratkę, ubraną w strojną suknię z czasów Tudorów, otaczała gromadka dzieci. Stanowili poważną, piękną rodzinę i Gwendolyn nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy zauważyła dwoje najmłodszych dzieci, parę ślicznych chłopców, bliźniaków.

- Co jest nie tak z tym portretem? - zapytała Gwendolyn.

- Ja go namalowałam - szepnęła Emma.

Gwendolyn się roześmiała.

- Bardzo zabawne.

Emma wciągnęła nerwowo powietrze i podeszła bliżej do obrazu.

- Nie żartuję. Namalowałam go.

- Och, na Boga, Emmo, nie pleć głupstw! - zawołała ze zdumieniem Gwendolyn. – W jaki sposób twój obraz trafiłby do galerii lorda Fairhurst?

- Nie wiem. - Na twarzy Emmy pojawił się ciemny rumieniec. - Wiem tylko, że to moja praca.

- Jesteś pewna? - Do galerii wpadła smuga słonecznego światła. Gwendolyn osłoniła oczy dłonią, przyglądając się portretowi. - Słońce świeci jasno i z pewnością zmienia obraz. Może jeśli podejdziesz bliżej, zobaczysz, że się pomyliłaś.

Śliczna buzia Emmy wykrzywiła się z gniewu.

- Litości, Gwen, nie jestem głupia! Poznaję swoją pracę i mogę stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że ja namalowałam ten obraz.

Podniecony głos Emmy zwrócił uwagę wicehrabiego. Spojrzał w ich stronę.

Gwendolyn usiłowała przybrać niewinny wyraz twarzy. Lord Fairhurst ruszył

w ich stronę, ale w tej chwili ciotka Mildred zadała jakieś pytanie. Wicehrabia się zawahał, po czym się odwrócił, żeby odpowiedzieć.

- Co zrobimy? - zawołała Emma. - To straszne.

1

- Powiedz mi dokładnie, co się stało - zażądała Gwendolyn. Jak dostałaś pozwolenie, żeby wejść do rezydencji i choćby obejrzeć obrazy?

- Wuj Fletcher załatwił to dla mnie. Przez pana Ardleya. - Emma spojrzała na swoje zaciśnięte

dłonie. - W zeszłym roku znowu błagałam wujka Fletchera, żeby pozwolił mi pobierać lekcje rysunku. Jak zwykle nie posłuchał, przedstawiając listę powodów tak długą, jak moja ręka. Przypuszczam, że w końcu zlitował się nade mną, gdy powiedział, że się zastanowi. Parę dni później powiedział, że może sprowadzi artystę z Londynu, żeby mnie uczył parę miesięcy latem. Ale wcześniej poprosił pana Ardleya, żeby mnie wpuścił do galerii. Pan Ardley się zgodził i powiedział nawet, że jeśli zechcę, to mogę przestudiować i skopiować któryś z obrazów.

- Nie wiedziałam o tym - zdumiała się Gwendolyn. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Emma zaczerwieniła się po nasadę włosów.

- To dla mnie bardzo delikatna sprawa, Gwen. Chciałam namalować obraz najlepiej, jak umiałam, zanim pozwolę komukolwiek na niego spojrzeć. A kiedy sobie uświadomiłam, że nigdy nie będzie doskonały, przestałam go poprawiać.

Gwendolyn przełknęła ślinę.

- A więc jak znalazł się tutaj?

Emma spuściła powieki.

- Nie mam pojęcia. Ostatnim razem, kiedy go widziałam, był schowany pod kawałkiem materiału w małym pokoiku na trzecim piętrze, gdzie trzymam swoje przybory malarskie.

- Kto jeszcze wie o tym obrazie?

- Nikt. - Emma zmarszczyła silnie czoło. - Poza wujkiem Fletcherem.

I panem Ardleyem, jak sądzę, chociaż wuj Fletcher był jedynym, który go widział. Choć wiedziałam, że jest niedoskonały, miałam nadzieję, iż obraz przekona wuja, że mam talent. I skłoni go, żeby zatrudnił nauczyciela rysunku.

- To niezwykła historia - uznała Gwendolyn. Starła się, ale nie bardzo mogła znaleźć sens w opowiadaniu siostry.

- Musimy powiedzieć o wszystkim lordowi Fairhurst - stwierdziła Emma.

- Nie! - Gwendolyn chwyciła siostrę za ramię, zatrzymując ją.

Emma spojrzała zdumiona.

- Musimy go powiadomić! Oryginał jest bardzo cenny.

- Istotnie. - Gwendolyn odchrząknęła. - Ale musimy się najpierw zastanowić, jak to zrobimy.

- Jak to zrobimy! Gwen, czyś ty straciła rozum? Nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba powiedzieć wicehrabiemu prawdę. Natychmiast.

- Nie! Powinnyśmy być cicho, dopóki się nie dowiemy, co się dokładnie stało

- nalegała Gwendolyn. Chociaż zachowała niewzruszony wyraz twarzy, jej serce biło, jakby właśnie zobaczyła ducha.

Przez dłuższą chwilę stały, rzucając sobie niepewne spojrzenia.

- Czekanie tylko pogorszy sprawę - orzekła Emma.

- Dla kogo? Dla wuja Fletchera? Czy to on zabrał twój obraz? Powiedziałaś, że tylko on go widział.

- Po co wuj Fletcher miałby go zabierać?

- Nie wiem. - Gwendolyn ścisnęła nasadę nosa między kciukiem a palcem wskazującym, próbując złagodzić nagły ból głowy. - Nie możemy pójść do wicehrabiego, nie mając odpowiedzi na te pytania, Emmo. A zwłaszcza nie zastanawiając się nad najważniejszą kwestią. Jeśli to jest twój obraz, to gdzie, na Boga, znajduje się oryginał?

Jego ręce poruszały się szybko. Oczy Cyrila Ardleya kierowały się raz po raz na drzwi. Nie tracił czujności. Grzebał w szufladach biurka wicehrabiego, szukając małej sakiewki, w której trzymano pieniądze na pokrycie nagłych wydatków domowych.

Nie było jej w zwykłym miejscu. Klnąc głośno, Cyril otworzył inne szuflady.

Wicehrabia z gośćmi spożywał popołudniowy posiłek, ale to się mogło skończyć lada chwila. Musiał się śpieszyć.

Szarpnął mocno lewą, dolną szufladę i ze zdumieniem stwierdził, że jest zamknięta. Nie myśląc o konsekwencjach, chwycił srebrny nóż do otwierania listów. Wsunął ostrze w zamek. Szuflada się otworzyła. Skórzana sakiewka leżała w środku, nabita monetami.

Cyril podniósł ciężką sakiewkę. Jej waga dodała mu otuchy; zawierała sporo pieniędzy. Gdyby wziął choć połowę, wystarczyłoby mu na jedną spłatę.

- Co ty, do diabła, robisz, Ardley?

Cyril podskoczył, sapnąwszy z przerażenia.

- A niech to! Ale mnie przestraszyłeś. Co ty tu robisz? Myślałem, że jesz lunch z wicehrabią.

- Posiłek skończył się dwadzieścia minut temu. - Fletcher Ellingham wkroczył do gabinetu, otwierając szeroko oczy na widok wypchanej sakiewki w dłoni zarządcy. - Co ty tu masz?

Cyril wykonał gest, jakby chciał schować rękę za plecami, ale zaniechał go i westchnął.

- Mam nadzieję, że jeśli zapłacę, zbiry od lichwiarza wrócą do Yorku i zostawią nas w spokoju.

- Odezwali się znowu?

Cyril parsknął.

- Myśleli, że trafią na mnie zeszłej nocy. Zamiast tego natknęli się na wicehrabiego i twoje bratanice.

Fletcher otworzył usta ze zdumienia.

- Ci ludzie szukali ciebie?! To nie była przypadkowa napaść bandytów?

- Nie. - Cyril schylił głowę. - Zeszłej nocy lord Fairhurst wziął powóz z rezydencji, którego ja zazwyczaj używam, bo w jego powozie złamało się koło. Ci dranie zatrzymali ich, bo myśleli, że to ja jestem w środku. Wysłał ich Hunter, żeby mi przypomnieli, że zalegam z miesięczną wpłatą.

- Skąd ta pewność?

- Rozmawiałem

z

człowiekiem,

którego

schwycił

wicehrabia.

Podejrzewałem, że chodziło o mnie i więzień to potwierdził.

Fletcher aż gwizdnął.

- W chwili, gdy lord Fairhurst pozna prawdę, będziemy skończeni, przyjacielu. I ty i ja.

Cyril opadł ciężko na krzesło i schował twarz w dłoniach. W jaki sposób sprawy zaszły tak daleko w tak krótkim czasie? Jakim cudem całkowicie wymknęły się spod kontroli? Przypomniawszy sobie wszystkie popełnione błędy, żałując całym sercem, że nie dokonał lepszych wyborów i nie podjął mądrzejszych decyzji.

- Co ja mam robić?! Fletcher?

- Weź się w garść, człowieku. Coś wymyślimy.

Cyril pokręcił głową, wiedząc, że to koniec. Zostanie zwolniony, okryty niesławą i posłany do więzienia.

- Muszę powiedzieć lordowi prawdę. Przynajmniej ocalę resztki godności, wyjawiając ją osobiście.

- Z pewnością jeszcze na to nie czas! - Fletcher wypuścił ze świsem powietrze. - Może znajdziemy jakiś inny sposób. Gdzie trzymają więźnia?

Cyril podniósł głowę.

- W piwnicy. Tam jest porządny zamek i żadnych okien, więc nie ma szans, żeby uciekł.

- Czy ktoś go pilnuje?

- Nie.

- Dobrze. Zatem to nie powinno być zbyt trudne. - Fletcher sięgnął po pergamin, wziął pióro i podsunął zarządcy kałamarz. - Musisz napisać krótki list. Daj go temu człowiekowi, wypuścimy go z piwnicy i poinstruujemy, żeby go przekazał swojemu pracodawcy. Jak go nazwałeś? Hunter?

Cyril czuł, że jest bliski załamania. Przez krótką chwilę błysnęła mu nadzieja, że cały ten bałagan da się jakoś naprawić.

- Nie możemy pozwolić temu człowiekowi uciec! To niebezpieczny bandyta. I zranił jedną z twoich bratanic! Czy to cię nie obchodzi?

- Oczywiście, że mnie obchodzi! Dlatego musimy się go pozbyć z Moorehead Manor tak szybko, jak to możliwe. Pomoc w ucieczce udowodni naszą dobrą wolę.

Cyril zaśmiał się gorzko.

- To nie są ludzie honoru. Nie interesuje ich nasza dobra wola. Oni tylko chcą swoich pieniędzy.

- Będą je mieli. - Fletcher wcisnął Cyrilowi pióro do ręki. - Pisz i zapewnij, że spłacisz dług w całości. To mi zajmie parę dni, ale znam sposób, żeby zdobyć spore pieniądze.

W Cyrilu znowu obudziła się nadzieja.

- Dość, żeby wszystko doprowadzić do porządku?

- Nie, nie wszystko. - Fletcher westchnął szczerze i głęboko. - Nie wystarczy, żeby spłacić wicehrabiego, ale dość, żeby lichwiarz dał nam na razie spokój.

- Dobry Boże! Fletcherze, skoro przez te wszystkie miesiące miałeś rozwiązanie w zasięgu ręki, dlaczego go nie wykorzystałeś?

- To pieniądze z posagu Emmy. To, co z niego zostało. Miałem nadzieję zachować większość nietkniętą, ale teraz widzę, że nie ma wyjścia.

Cyril zamoczył pióro w atramencie i zaczął pisać. Trudno było formułować myśli w tych okolicznościach, ale zdołał wyjaśnić, w czym rzecz, podając datę, czas i miejsce, gdzie dokona spłaty. Posypał kartkę piaskiem, potem roztopił

niecو wosku nad świecą i zapieczętował list.

- Zrobione - oznajmił.

- Dobrze. - Fletcher kiwnął głową. - Teraz odłóż sakiewkę tam, gdzie ją znalazłeś. Nie ma potrzeby pożyczać więcej pieniędzy od lorda Fairhurst.

Zmieszany, Cyril włożył sakiewkę z powrotem do szuflady i zamknął ją za pomocą noża do listów. Czuł ulgę i szczery żal.

- Chciałbym, żeby było jakieś inne wyjście - powiedział.

- Ja też - przyznał Fletcher. - Ale nawarzyliśmy sobie piwa i niechący naraziliśmy innych na niebezpieczeństwo. Musimy się z tego jakoś wykaraskać, zanim ktoś poniesie szkodę.

Jason z najwyższym trudem zachowywał cierpliwość - ciotka Mildred wydawała z siebie „ochy” i „achy”, wyrażając przesadny zachwyt nad dziełem jakiegoś mniej znanego artysty. Jediną pociechę stanowiło to, że pochlebstwa, jakimi go teraz raczyła, zastąpiły pytania o jego przodków i sztukę, na które na ogół nie umiał odpowiedzieć.

Te sprawy były ważne dla jego brata, Jaspera. Na szczęście pani Ellingham nie miała większej wiedzy o sztuce, dzięki czemu Jason mógł po prostu zmyślać.

Jednak nawet jego żywa wyobraźnia była wystawiona niekiedy na ciężką próbę.

Kiedy zauważył, że pani Ellingham zatopiła się w kolejnym dziele, odszedł

spokojnie i przyłączył się do jej bratanic. Spodziewał się, że Gwendolyn będzie go unikać, i nie pomylił się - używała siostry jako tarczy. Nie zamierzał jednak pozwolić jej opuścić rezydencji bez szczerzej i otwartej rozmowy.

- Marszczy pani brwi, panno Ellingham - zauważył Jason. — Czy coś się stało?

Gwendolyn zatrzepotała powiekami.

- Ależ skąd. Podziwialiśmy właśnie piękne obrazy, prawda, Emmo?

- Tak.

Odgłos przypominający pisk, jaki wydała z siebie Emma, wypowiadając to jedno słowo, przestraszył Jasona. Było to zupełnie niepodobne do żywej, pogodnej Emmy. Ciekaw, co tak zaniepokoiło siostry, odwrócił głowę, żeby spojrzeć na obraz. Widok sprawił, że przejął go nagły chłód.

To był falsyfikat. Zostawił go rozmyślnie w galerii, a oryginał ukrył

w sypialni.

- Czy coś w tym portrecie wydaje się paniom szczególnie interesujące?

Obserwował uważnie ich reakcję, czekając na jakiś sygnał, że któraś z nich wie, że obraz jest fałszywy. Emma zacisnęła dłonie, a Gwendolyn wyprostowała się sztywno, przyjmując postawę, która znalazłaby uznanie w oczach każdego wojskowego, wymieniły spłoszone spojrzenia, ale Jason nie miał pojęcia, co oznaczają.

Emma podniosła dłoń do ust i zakasłała, pozwalając Gwendolyn odpowiedzieć na to pytanie.

- Zafascynowały nas bliźniaki - odparła Gwendolyn. - To interesujące, że bliźniaki wydają się pojawiać tylko w niektórych rodzinach, w twojej rodzinie to zjawisko powtarza się najwyraźniej od bardzo dawna.

- To właśnie tak bardzo zwróciło waszą uwagę? Bliźniaki? - Ton jego głosu zdradzał niedowierzanie.

- Tak - powtórzyła Gwendolyn. - Uznałyśmy, że chłopcy z obrazu są śliczni.

- W istocie. Słodkie dzieci - zapiszczała Emma.

Spojrzał na nie gniewnie. Gwendolyn ani drgnęła, ale Emma ni to zakasłała, ni to się zakrztusiła, odwracając głowę. Widział, jak Gwendolyn złapała siostrę za rękę i ją ścisnęła.

Jason poczuł, jak zaczyna mu drżeć lewy policzek, gdy przyszło mu do głowy straszne podejrzenie. Czy to możliwe, żeby wiedziały coś na temat fałszerstwa?

- O ile sobie przypominam, pani maluje, panno Emmo?

- Bazgrzę na płótnie - wychrypiała. - Jak wiele młodych panien.

- Och, jest pani stanowczo zbyt skromna. Cóż, pani własna siostra chwaliła pani talent niejedną raz.

- Siostrzana przesada, z całą pewnością.

- Przyznaję, że to prawda. - Śmiech Gwendolyn zabrzmiał nieszczerze. -

Przesadziłam co do talentu Emmy, ale nie jej entuzjazmu czy oddania sztuce.

Wykrzywił usta. Och, były sprytne, ale z każdym słowem pograżały się coraz głębiej w kłamstwie. Nie mógł jednak zadawać zbyt wielu pytań, nie zdradzając przy tym, co sam wie.

- Proszę mi powiedzieć, panno Emmo, czy uważa pani, że kopiowanie dzieł

wielkich mistrzów sprzyja rozwojowi własnego talentu malarza?

Emma odetchnęła głośno.

- Słyszałam, że to korzystne dla początkujących malarzy - szepnęła w końcu.

- Musi pani zatem wykorzystać moją galerię - powiedział, zmuszając się do uśmiechu. - Taka tu różnorodność stylów, wielki wybór. Nie powinno być trudno znaleźć obraz, który będzie pani odpowiadać.

- Och, nie! Nie mogłabym zrobić czegoś takiego. - Emma zwróciła błędny wzrok na siostrę. Zauważył, że Gwendolyn ścisnęła ponownie rękę Emmy, jakby dodając jej otuchy.

- To bardzo szlachetna propozycja, milordzie, ale umiejętności Emmy nie są jeszcze na takim poziomie - dodała Gwendolyn.

- To prawda. - Emma pokiwała energicznie głową. - Wyszłoby okropnie, gdybym próbowała

skopiować tak doskonale i skomplikowane dzieła.

- Nonsens. Stawianie sobie wyzwań to jedyna droga, żeby poprawić i udoskonalić umiejętności.

- Nie zawsze - wtrąciła ostro Gwendolyn. - Porywanie się na coś, o czym wiemy, że jest nieosiągalne, to najpewniejsza droga do porażki. I przykrego zawodu.

- Nie zgadzam się. Choć może najlepiej byłoby zacząć od pojedynczych postaci. Scena grupowa, taka jak ta, rzeczywiście może się wydawać zbyt trudna. - Jason rozejrzał się ostentacyjnie, szukając odpowiedniego obrazu. -

Czy któryś podoba się pani szczególnie, panno Emmo?

- Wszystkie przerastają mój skromny talent - odparła, podnosząc głos w przyływie paniki.

- Tak - dodała Gwendolyn.

Jason przyjrzał się raz jeszcze obu kobietom. Gwendolyn zachowała stoicki spokój. Emma sprawiała wrażenie zapędzonej w kozi róg.

- Tak, ciociu Mildred?! - zawołała głośno Emma. - Już idę. Przepraszam pośpiesznie, Emma odbiegła. Jason uznał, że dziewczyna musi być obdarzona nadzwyczajnym słuchem, ponieważ on sam nie zauważył, żeby pani Ellingham powiedziała cokolwiek. Przypuszczalnie sprytna Emma wymyśliła to, chcąc się od nich uwolnić.

- Och, nie. Tobie nie pozwolę uciec. - Jason zagroził drogę Gwendolyn, kiedy ta ruszyła za siostrą.

- Uciec? Och, nie wygaduj głupstw. Chciałam tylko przyłączyć się do mojej ciotki i siostry. Nie rozumiem, skąd taka śmieszna uwaga...

- Mówisz trzy po trzy, kochana. Coś, co zdarza się niezwykle rzadko, chyba że jesteś zdenerwowana albo podniecona.

Jason widział, jak Gwendolyn opanowuje się powoli. Zyskał chwilę, żeby się zastanowić nad tym, co dotąd odkrył, i doszedł do wniosku, że według wszelkiego prawdopodobieństwa to Emma skopiowała obraz. Ale dlaczego?

I dla kogo?

Mało brakowało, a okazałyby swój niepokój. Musiał porozmawiać z Gwendolyn na osobności! Nie można było zrobić tego otwarcie i swobodnie w obecności jej krewnych. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał, ale chęć poznania prawdy skłoniła go do zapytania:

- Czy jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć, Gwendolyn?

Spojrzał na nią. Tylko spojrzał, czekając. Po krótkiej jak uderzenie serca chwili pokręciła głową.

Serce Jasona zamarło.

Niczego tak nie pragnął, jak przedstawić jej swoje podejrzenia. Zaciągnąć ją na górę, pokazać oryginał i zapytać, co ona i Emma o tym wiedzą. Zamiast tego zmusił się, żeby pomyśleć, co by z tego mogło wyniknąć.

Nie byłoby dobrze dążyć do konfrontacji, gdy rządzą nim emocje. Zwłaszcza że brakowało mu paru istotnych faktów. Nie miał dowodu, że Emma skopiowała obraz. To było tylko podejrzenie.

Brakowało w tym wszystkim logiki. Kobiety nie miały żadnych powiązań z rezydencją ani z Ardleyem, którego Jason obarczał odpowiedzialnością za brakujące fundusze i przedmioty. Mimo to w jakiś sposób siostry były w to zamieszane.

Bolało go, że Gwendolyn nie ufała mu na tyle, żeby wyjawić prawdę. Jason zacisnął odruchowo dłonie w pięści. Po chwili rozluźnił palce. Jak to możliwe, że już i tak pogmatwana sytuacja stała się jeszcze bardziej skomplikowana?

Uchwycił jej wzrok i zapomniał o wszystkim, kiedy nagle uśmiechnęła się do niego. Uświadomił sobie, jak bardzo mu na niej zależy. Ile dla niego znaczy.

Światło wczesnego popołudnia wpadło do sali przez długie okno, otaczając Gwendolyn aureolą. Ale Jason wiedział, że dziewczyna nie ma nic wspólnego z aniołami. I bardzo mu to odpowiadało. Pragnął prawdziwej kobiety, istoty z krwi i kości, niepozbawionej wad i niedoskonałości, ale obdarzonej namiętną naturą i pełną życia. Po katastrofie związku z Elizabeth poprzysiągł sobie, że żadna kobieta nigdy nim do tego stopnia nie zawładnie. Złamał tę przysięgę i cieszył się z tego w głębi duszy.

Ale zanim otrzyma nagrodę, musi pokonać wiele przeszkód. Jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, była szczerłość z obu stron.

Od tych myśli oderwało go pojawienie się majordoma. Opanowany zazwyczaj i pełen godności Snowden wbiegł do pokoju i praktycznie odciągnął

Jasona od Gwendolyn, domagając się paru słów na osobności. Jason spodziewał się usłyszeć, że panna Dorothea się obudziła i jest gotowa do podróży do domu. Tym bardziej więc zaskoczyły go słowa lokaja.

- Ten więzień, jaśnie panie - powiedział lokaj niespokojnym tonem. -

Uciekł.

- Uciekł? To niemożliwe. Sam zamknąłem drzwi piwnicy i sprawdziłem je dziś rano.

- Wiem. Byłem przy tym. - Lokaj zmarszczył brwi, kręcąc głową ze zdumienia. - Na moje polecenie kucharka przygotowała dla więźnia tacę z jedzeniem. Osobiście wyznaczyłem Collina i Arthura, dwóch oddanych służących, którzy odznaczają się zdrowym rozsądkiem i siłą, żeby zanieśli jedzenie. Uznałem, że najlepiej się nadają do tego zadania.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony Jason. - Obezwładnił ich? Nic im nie jest?

- Collin i Arthur są cali i zdrowi. Kiedy otworzyli piwnicę i wezwali więźnia, nikt nie odpowiedział. Zawołali mnie. Weszliśmy do środka bardzo ostrożnie, obawiając się jakiejś sztuczki. Nic z tego. Piwnica okazała się pusta.

Więzień znikł.

- Jesteś pewien? Tam jest wiele dużych skrzyń i beczek, gdzie mógłby się ukryć.

Lokaj westchnął i zwiesił głowę.

- Przeszukaliśmy wszystko bardzo dokładnie. Piwnica jest pusta.

Jasonowi przyszły do głowy różne możliwości, ale każdą odrzucał równie szybko, jak się pojawiła.

- Drzwi były wyważone, a zamek wyłamany?

- Nie, jaśnie panie. Zamek jest nienaruszony. Drzwi zostały sprawdzone, zanim służący spróbował wejść z jedzeniem. Dopilnowałem tego osobiście zaledwie dwadzieścia minut wcześniej.

Jason zaklął pod nosem i wsunął palce we włosy.

- Wiesz, co to znaczy, prawda?

- Tak. Zamek otworzono kluczem. I chociaż sprawia mi to ból, muszę powiedzieć, że zrobił to zapewne ktoś z domu.

- Właśnie.

Lokaj się skrzywił.

- Co mam zrobić?

- Każ ludziom przeszukać okolicę, choć podejrzewam, że jest za późno i ptaszek odleciał za daleko. Chcę także, aby Collin i Arthur byli gotowi złożyć zeznanie przed urzędnikiem. Ma się tu wkrótce zjawić.

- Czy coś się stało? - odezwała się ciotka Mildred z żywym zainteresowaniem. Podeszła bliżej, patrząc ciekawie.

A Snowden, zazwyczaj powściągliwy - najwyraźniej bardzo zdenerwowany -

odwrócił się do starszej kobiety i zawołał:

- Więzień uciekł z piwnicy!

Na te słowa Mildred Ellingham wydała z siebie zduszony okrzyk i bez wdzięku padła zemdlona na

podłogę.

Rodzina Ellinghamów wyruszyła do domu przy zachmurzonym niebie, lekkim deszczu i narastającej mgłę. Ciotka Mildred niepokoiła się, że pogoda nie sprzyja podróży, a przestępca czai się gdzieś w ukryciu, ale wuj Fletcher nie przejął się marudzeniem żony. Przynajmniej raz Gwendolyn była zadowolona, że wuj rzadko brał pod uwagę opinie i uczucia kobiet w rodzinie. Każda chwila spędzona w Moorehead Manor stawała się męką.

Wicehrabia nalegał, żeby jego służba eskortowała powóz. Wuj Fletcher sprzeciwił się temu bez przekonania, a potem się zgodził, choćby po to, żeby uspokoić bliską histerii żonę. Ciotka Mildred była przekonana, że zostaną napadnięci i zamordowani.

Gwendolyn nie podejrzewała, żeby samotny uciekinier miał zaatakować w pełnym świetle dnia duży powóz. Nie miała jednak zamiaru mówić tego głośno, bojąc się, że każda wzmianka o zbiegłym bandycie doprowadzi ciotkę do załamania nerwowego.

O wiele bardziej Gwendolyn martwiła się o Dorotheę, która wydawała się blada i zmęczona, zanim jeszcze podróż się zaczęła. Doszła do powozu o własnych siłach, ale był to dla niej ogromny wysiłek. Chociaż Gwendolyn nie znosiła przesady, stwierdziła, że sekunduje ciotce w opiece nad Dorothea, podkładając siostrze pod głowę dużą poduszkę i okrywając jej nogi lekkim kocem, choć Dorothea narzekała, że jest jej za ciepło.

Zajęta siostrą, nie zauważyła, że zbliża się do nich lord Fairhurst, póki nie ostrzegła jej Emma. Gwendolyn wyjrzała przez okno i poczuła, że cała drży.

Lord Fairhurst szedł energicznym krokiem od strony stajni. Wydawał jej się niezwykle przystojny. Nie miał kubraka, ani halsztuka pod szyją. Rozpiął

kołnierzyk, ukazując mały fragment opalonej piersi i kilka złotych kędziorów.

Gwendolyn wciągnęła ostro powietrze. Zaszokowało ją, jak bardzo za nim tęskniła.

- Kucharka przygotowała trochę smakołyków dla panny Dorothei - oznajmił

wicehrabia, podnosząc koszyk.

- Jak to miło. - Dorothea uśmiechnęła się blado.

- Droga Gwendolyn, weź, koszyk od lorda Fairhurst - poprosiła ciotka Mildred, również się uśmiechając do wicehrabiego.

Gwendolyn zwróciła się do siostry z milczącym błaganiem, ale Emma siedziała w drugim końcu powozu, dalej od drzwi. Gwendolyn wysiadła niechętnie, nie rozumiejąc, dlaczego nie mógł po prostu podać im tego przeklętego koszyka.

Nie kłopotując się, żeby ukryć irytację, wyciągnęła rękę po koszyk.

- Żegnaj - powiedziała, odsuwając się natychmiast, kiedy chwyciła pałąk, ale Jason położył jej dłoń na ramieniu.

- Raczej do widzenia, najdroższa. Oboje wiemy, że nie możesz się przede mną wiecznie ukrywać - dodał cicho. Jego zielone oczy pociemniały. - To jeszcze nie koniec.

Gwendolyn przebiegł dreszcz po plecach. Najwyraźniej lord Fairhurst był

wyjątkowo uparty. Choć powtarzała w kółko, że wszystko skończone, nie dawał

za wygraną. A nie mogła sobie pozwolić na dyskusję, żeby nie robić widowiska.

Zamiast tego spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

- Żegnaj.

Zanim zdołała uciec, podniósł jej dłoń do ust. Przez jej ramię przeszła fala gorąca, całe ciało napięło się w odpowiedzi. Gwendolyn przełknęła ślinę, rozpaczliwie usiłując dojść do siebie, zanim ktoś zauważy jej poruszenie.

- Przestań - wyszeptała zduszonym głosem, odsuwając się. Szarpnęła ręką, chcąc się uwolnić. Puścił powoli jej dłoń, przedłużając dotyk, sprawiając, że poczuła dreszcze na całym ciele. Miała ochotę krzyczeć. Nadepnąć mu na nogę, spoliczkować, zrobić cokolwiek, byle uwolnić się spod jego hipnotycznego czaru.

Wskoczyła do powozu, nie dbając o to, jak dziwnie mogło to z boku wyglądać. Wcisnęła koszyk ciotce i usadowiła się tak daleko od okna, jak się dało. Mimo to wciąż widziała doskonale lorda Fairhurst i nie mogła nie zwrócić uwagi na sposób, w jaki na nią patrzył - jakby była zagadką, którą

rozwiązać.

Ten człowiek zagrażał niewątpliwie spokojowi jej ducha. Nie zdołała się powstrzymać i spojrzała za siebie po raz ostatni, kiedy powóz ruszył wreszcie w drogę. Stał, gdzie go zostawiła, z jedną ręką na biodrze, pogrążony w zadumie.

Powóz skręcił i wicehrabia zniknął z widoku. Gwendolyn westchnęła, potem zamknęła oczy, zatrzymując jego obraz w głowie.

Do domu nie było daleko, ale jazda wydawała się ciągnąć bez końca. Ciotka Mildred paplała, Dorothea zapadła w drzemkę, Emma wyglądała w zamyśleniu przez okno a Gwendolyn milczała ponuro. Zazdrościła swobody wujowi, który, mimo lekkiego deszczu, jechał konno obok powozu. Świeże powietrze i ruch, tego jej było teraz trzeba, żeby się oderwała od przykrych myśli.

W końcu dotarli bezpiecznie do domu, wbrew straszliwym przepowiedniom ciotki Mildred. Gdy wysiedli z powozu, ciotka zajęła się Dorothea, dając Gwendolyn i Emmie okazję do tego, by zamieniły parę słów na osobności.

- Kiedy zapytamy wuja Fletchera o obraz? - zapytała Emma niespokojnym szeptem. - Zwykle jest bardziej przystępny po dobrym posiłku. Może lepiej poczekać, aż zje kolację?

- Wkrótce z nim porozmawiam - oznajmiła Gwendolyn.

- Ale, Gwen...

- Nie, Emmo. Nie będę cię w to wciągać.

- Ależ, Gwen. Ja już jestem w to zamieszana - stwierdziła ponuro Emma.

- Pozwól mi się tym zająć. - Gwendolyn się wyprostowała, podnosząc głowę do góry. - Wujku Fletcherze, czy mogę z tobą porozmawiać?

Starszy pan się zatrzymał, wręczając lejce konia chłopcu stajennemu, i rzucił jej nadąsane spojrzenie.

- Jestem teraz zajęty. Czy to nie może poczekać? Najlepiej do jutra?

Gwendolyn pokręciła głową.

- Muszę z tobą pomówić jak najszybciej.

- Nie mam czasu.

- Obawiam się, że muszę nalegać. - Gwendolyn złożyła ręce za plecami i podeszła blisko do wuja, stając z nim twarzą w twarz. - To nie potrwa długo.

Gwendolyn widziała, jak wuja ogarnia złość.

- Dobrze zatem, dziewczyno, mów! Powiedziałem ci już, że nie mogę ci poświęcić całego dnia.

- Nie tutaj. W jakimś spokojnym miejscu. W twoim gabinecie?

Wuj Fletcher był już wyraźnie rozgniewany, ale nie dyskutował. Wszedł do domu, kierując się do gabinetu. Gwendolyn szła za nim.

Usiadł w szerokim, skórzanym fotelu za biurkiem, wskazując jej miejsce naprzeciwko. Gwendolyn posłuchała, zdumiewając się, że kolana się pod nią uginają. Usiłując ukryć stan nerwowego podniecenia, starała się znaleźć najodpowiedniejsze słowa, żeby podjąć drażliwy temat.

- Emma i ja dokonałyśmy dzisiaj przerażającego odkrycia w galerii portretów w Moorehead Manor - powiedziała. - Obraz, który namalowała Emma, wisi tam, zajmując miejsce oryginału.

- Co za niemądry pomysł. Obraz Emmy, rzeczywiście. Musiałyście się pomylić. - Twarz wuja Fletchera wykrzywiła się w niechętnym grymasie. -

Mam nadzieję, że nie wspomnieliście o tym wicehrabiemu. Uznałby z pewnością, że obie oszalałyście.

- Nic nie powiedziałyśmy lordowi Fairhurst, głównie dlatego, że nie byliśmy w stanie wyjaśnić, jak to się stało. Dlatego musiałam z tobą pomówić.

- Cóż ja mogę wiedzieć o obrazach lorda Fairhurst?

- Sądzę, że wiele. - Mrużąc oczy, Gwendolyn utkwiła w nim badawcze spojrzenie. - Powiadają, że spowiedź jest dobra dla duszy, wuju.

- Nie mam nic do wyznania - upierał się z pewnym siebie uśmiechem.

Gwendolyn

nie

spuszczała

z

niego

wzroku,

nie

odzywając

się.

W końcu, jak się wydawało, zrozumiał, że dziewczyna nie zrezygnuje, póki nie otrzyma odpowiedzi. Powoli uśmiech znikł z jego twarzy. - Zdaje się, że wyciągnęłaś już wnioski, które stawiają mnie w mocno niepoehlebnym świetle.

- Proszę o wybaczenie - odparła Gwendolyn, wzdyhając niepewnie. - Nie powinnam snuć domysłów. Musisz jednak przyznać, że najwyższa pora, żebyśmy byli ze sobą szczerzy.

- Wierz mi, Gwendolyn, to ciebie nie dotyczy i nie musisz się tym martwić.

Doskonale nad wszystkim panuję.

- W innych okolicznościach dałabym się przekonać, ale nie w tej sytuacji.

Nie wtedy, gdy Emma jest w to bezpośrednio zamieszana. - Gwendolyn splotła ręce na kolanach. - Emma powiedziała, że umożliwiłaś jej kopiowanie obrazu.

Powiedziała także, że byłeś jedynym, który go widział po ukończeniu. Wnoszę zatem, że wiesz, w

jaki sposób obraz dostał się z komórki na trzecim piętrze do galerii obrazów w Moorehead Manor.

Wuj Fletcher podniósł nóż do papieru i zaczął nim hałaśliwie pukać w blat biurka.

- Niemal straciłem mowę, kiedy go zobaczyłem. Taki piękny obraz, tyle pracy. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że Emma ma taki talent. Szkoda, że jest tylko dziewczyną. Gdyby była mężczyzną, miałyby przyszłość zapewnioną jako artysta malarz.

Szczera pochwała talentu Emmy odwróciła uwagę Gwendolyn tylko na chwilę.

- W jaki sposób obraz Emmy trafił do galerii? - powtórzyła Gwendolyn.

- Ja go tam umieściłem.

Gwendolyn spojrzała na wuja, nie mrugając okiem.

- Co się stało z oryginałem? Czy uległ uszkodzeniu?

- Nie. Został sprzedany.

- Przez kogo?

Wuj Fletcher zacisnął szczęki.

- Cyril Ardley dokonał transakcji, ale dostałem połowę pieniędzy, muszę zatem wziąć na siebie taką samą odpowiedzialność.

- Ukradliście oryginał? - zapytała Gwendolyn, starając się zachować zimną krew. Co innego mieć podejrzenia względem kogoś, a co innego wiedzieć, że są prawdziwe. Gwendolyn zbladła i przycisnęła rękę do czoła.

- Nie ukradliśmy go, tylko pożyczylimy. Od początku zamierzaliśmy go zwrócić, ale czas mijał i mieliśmy zawsze pilniejsze rachunki do spłacenia.

Obraz musiał poczekać.

Gwendolyn, wstrząśnięta, spojrzała na wuja oczami otwartymi tak szeroko, że obawiała się, iż wyglądała jak żaba.

- Och, wuju, jak mogłeś? Postawiłeś się w tak niebezpiecznej sytuacji! No i jeszcze wciągnąłeś w to Emmę. To niegodne.

Wuj Fletcher podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek.

- Do diabła, dziewczyno, nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie. Pomyśl, żeby zamienić obrazy, przyszedł mi do głowy, dopiero kiedy się przekonałem, jak świetnie Emma potrafiła skopiować oryginał. Ardley znalazł handlarza zainteresowanego obrazem. Chciałem mu sprzedać kopie, ale

Ardley się bał, że ekspert wykryje oszustwo. Zamiast tego zawarł umowę, na mocy której mogliśmy odkupić obraz. Myśleliśmy, że kopia powisi w galerii przez parę tygodni, najwyżej miesiąc. A my w tym czasie zbierzemy pieniądze i odzyskamy go, żeby mógł wrócić, gdzie jego miejsce.

- Dlaczego zrobiliście coś takiego?

- Dla pieniędzy! - Poważna twarz wuja się wykrzywiła. - Mieliśmy niebezpiecznie mało pieniędzy, więc sprzedaliśmy obraz marszandowi w Londynie, który zagwarantował nam możliwość wykupu w ciągu sześciu miesięcy.

- Ale go nie wykupiliście. - Gwendolyn stwierdziła, że mruga oczami jak wiejski głupek. - Dlaczego tak rozpaczliwie potrzebujesz pieniędzy?

- Mam wierzycieli i rachunki, które muszę spłacić. Wierz mi, niełatwo utrzymać ciebie i twoje siostry.

Gwendolyn wzdrygnęła się na myśl, że ona i siostry narażają wujostwo na takie koszty. Żyły skromnie, godnie i wygodnie, ale bez żadnych ekstrawagancji.

- Poza naszymi posagami, mój ociec, o ile wiem, przeznaczył roczną pensję na nasze utrzymanie - powiedziała Gwendolyn. - Te pieniądze z pewnością pokrywają niezbędne wydatki i zwalniają ciebie i ciotkę Mildred z konieczności łożenia na nas.

Wuj Fletcher przybrał pogardliwą minę.

- Wasza pensja to niewielka suma, która nie na wiele starcza.

Zadrzała. Czy rzeczywiście stanowiły taki ciężar? Ale dlaczego wuj Fletcher nigdy wcześniej o tym nie wspominał? Dlaczego nie prosił, żeby oszczędzały? Gwendolyn otwierała i zamykała usta kilka razy, zastanawiając się, jak wyrazić to, co miała do powiedzenia, nie urażając zbyt wuja.

- Bez względu na długi nie mieliście prawa okradać Fairhursta - wykrztusiła w końcu.

- Już to wyjaśniłem - odparł wymijająco. Wzdychając przesadnie, wuj Fletcher dopił whisky i nalał sobie następny kieliszek.

- Tak, cóż, wasz plan się nie powiódł. Sądzę, że najważniejsze, żebyście odkupili obraz i zwrócili go jak najszybciej. Są zapewne inne fundusze, z których możesz skorzystać? Przynajmniej na czas jakiś. - Gwendolyn wyjrzała przez okno, bledząc się nad rozwiązaniem.

- Może z mojego posagu?

Wuj Fletcher wydał dziwny, gardłowy dźwięk i Gwendolyn się domyśliła, że zbliżyła się boleśnie do kolejnego odkrycia.

- To nic nie da - stwierdził ponuro.

- Wydałeś cały? - zapytała cicho. Wuj skinął głową i Gwendolyn odetchnęła powoli.

- Kiedy wybuchł skandal, zrozumiałem, że nigdy nie wyjdiesz za mąż.

Początkowo myślałem, że pieniądze można by dodać do posagu Dorothei i Emmy, ale miałem palące potrzeby i część pieniędzy wydałem. W ciągu roku poszła reszta.

Założenie, że nigdy nie wyjdzie za mąż, choć na pewno słuszne, zabolalo Gwendolyn.

- Tak, wuju, wszyscy wiemy, że dokonam żywota samotnie, bez własnej rodziny. Jeśli będę miała szczęście, zostanę ulubioną ciotką dzieci Dorothei albo Emmy. Inaczej będę musiała zadowolić się samotnym życiem i hodowaniem kotów.

- Nie lubisz kotów? - zdziwił się wuj Fletcher.

Gwendolyn przewróciła oczami.

- Przypuszczam, że muszę się nauczyć je tolerować.

Zsunęła się z krzesła, przeszła przez pokój, przyłączając się do wuja przy kredensie. Śmiało naląła sobie trunku ze szklanej karafki, a potem przełknęła wszystko naraz.

- Co robisz? Młode kobiety nie piją mocnych trunków. Zwłaszcza o tej porze dnia.

- A opiekunowie nie przepuszczają posagów swoich podopiecznych, żeby spłacić długi. Nawiasem mówiąc, nie wierzę, że to tylko domowe wydatki sprawiły, iż znalazłeś się w takim bagnie. Wiem, jak lubisz hazard. -

Gwendolyn spojrzała na niego gniewnie, niemal wyzywając go, żeby zaprzeczył.

Milczał długą chwilę. Potem poruszył się gwałtownie, złapał karafkę i dolał jej trunku.

- Tu mnie masz, dziewczyno.

Gwendolyn się zgarbiła.

- Co z Dorothea? I Emmą? Czy z ich posagów coś zostało?

- Posag Dorothei cały został wydany. Wraz z większością kwoty, którą miała otrzymać Emma. - Wuj Fletcher zatarł nerwowo dłonie. Mam jednak pomysł, jak nadrobić straty. Nie będą dysponowały taką kwotą, jaką zostawił im ojciec, ale zrobię, co się da. Na szczęście żadna z dziewcząt nie ma starających się i dzięki temu mam czas, żeby zwrócić część tego, co pożyczyłem.

Pożyczyłem! Należałoby powiedzieć: ukradłem. Gwendolyn miała zamęt w głowie. Trudno jej się było zdobyć na współczucie, choć wuj wydawał się skruszony. Odkryła, że wydał większość ich

posagów na długi karciane i posunął się nawet do kradzieży w domu wicehrabiego. Prawda bolała, ale Gwendolyn zdawała sobie sprawę, że robienie wujowi wyrzutów nie złagodzi bólu. Ani nie stanowi wyjścia z tej sytuacji.

- Co zrobimy, wuju?

- Naprawię to, Gwendolyn. Przysięgam.

Gwendolyn zerknęła na whisky w kieliszku. Pierwszy łyk smakował

okropnie, paląc w gardle i żołądku. Ale w ciągu następnych paru minut zauważyła lekkie odrętwienie w palcach i otumanienie umysłu. Ścisnęła nos i pociągnęła kolejny łyk. Płyn dotarł do jej niemal pustego żołądka.

Och, jakże pragnęła, żeby wuj mówił prawdę. Chciała wierzyć, że istniało wyjście z tego koszmaru. Wiedziała, że może tylko czekać, mieć nadzieję i modlić się za wuja.

- Musimy trzymać się razem, bo w pojedynkę zginiemy - oznajmiła uroczyście Gwendolyn. - Nie zdradzę twojej tajemnicy, wujku Fletcherze.

I ufam, że postąpisz najwłaściwiej i z pożytkiem dla nas wszystkich.

Straszliwe napięcie między nimi zelżało.

- Zostaw to mnie. Będiesz jeszcze ze mnie dumna, dziewczyno.

Przysięgam.

Gwendolyn uśmiechnęła się słabo i kiwnęła głową. Przeżycia całego dnia oraz whisky, którą piła bez zastanowienia, zaczynały dawać znać o sobie. Po wyjściu wuja została sama w gabinecie, starając się odzyskać równowagę.

Emma znalazła ją tam po dwudziestu minutach.

- Mój Boże, wszędzie cię szukałam. Niemal pękam z niepokoju i ciekawości. Co się stało? - zapytała Emma, wchodząc do pokoju.

Gwendolyn spojrzała Emmie w oczy, usiłując się uśmiechnąć.

- To był wuj Fletcher, tak jak podejrzewałaś, Emmo. - Gwendolyn szybko powtórzyła rozmowę, jaką właśnie odbyła z wujem. Na zmartwionej twarzy siostry odmalowała się panika, kiedy wszystko zroszciała. Była tak przerażona, że nie zrobiło na niej wrażenia nawet to, jak wysoko wuj ocenił jej talent.

- Och, to okropne! Musimy powiedzieć prawdę wicehrabiemu - nalegała Emma.

- Wiem. - Gwendolyn chwyciła palcami grzbiet nosa, chcąc złagodzić ból głowy. - Ale obiecałam dać wujowi Fletcherowi trochę czasu, żeby sam to rozwiązał. Nie mogę złamać słowa.

Emma zagryzła wargi.

- To mi się nie podoba, Gwen.

- Mnie też nie. - Pokręciła głową i zaklęła dosadnie. - Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać i złożyć nasz los i wiarę w ręce wuja.

Trzy dni później Jason siedział w sypialni, mając za towarzystwo karafkę najlepszej brandy brata. Słońce wpadało do pokoju, nadając wszystkiemu wesoły blask, który w Jasonie wywoływał mdłości. To było niemal ponad jego siły. Podniósł się chwiejnie z krzesła i szarpnął ciężkie firany, zasłaniając okno. Nie udało mu się całkiem pozbyć słonecznego światła, ale i tak ponury mrok podziałał kojąco.

Wrócił na miejsce, podniósł kryształowy pojemnik z małego stolika obok, nalał sobie, nie żałując, i wychylił jednym tchem. Potem nalał kolejny raz.

- Piekło i szatani! - zaklął męski głos, gdy jakaś postać potknęła się o niski stołek, o mało nie przewracając się na ziemię.

Lekko zaniepokojony, Jason spojrzął na kamerdynera i się skrzywił.

- Odejdź, Pierce.

Służący odzyskał równowagę i poprawił kubrak.

- Od dawna podejrzewałem, że potrafi pan zamartwianiu się nadać formę sztuki. Widzę teraz, że moja teoria się potwierdziła.

Nie przejmując się poleceniem chlebodawcy, lokaj podszedł do okna i na powrót je odsłonił. Słońce ponownie zalało pokój.

- Zasłoń - rozkazał Jason naburmuszonym tonem.

- Mam złamać sobie kark po ciemku? Nie chcę, jaśnie panie. Starzeję się i wzrok mnie zawodzi. Nie zamierzam spędzić reszty swoich dni, kulejąc z powodu źle zrosniętej nogi. Może pan przywrócić tu stan żałoby, kiedy skończę robić to, co do mnie należy.

Jason mruknął coś, popijając brandy.

- Czy przyszła poczta? Są jakieś listy dla mnie? W ogóle jakaś ko-respondencja?

- Nic nie przyszło.

Do wszystkich diabłów! Trzy dni. Minęły trzy dni, odkąd widział

Gwendolyn po raz ostatni. Odmówiła spotkania, kiedy ją odwiedził, i nie odpowiedziała na listy, które sam dostarczał do jej domu. Jedyne, co robiła -

z niezłomną uporczywością - to dotrzymywała przyrzeczenia, że będzie go unikać.

Jason podniósł kieliszek, zdał sobie sprawę, że jest niemal pusty i sięgnął

po karafkę. Nie zwrócił uwagi na parsknięcie, jakie wydał kamerdyner. Nalał

sobie hojnie.

- Ośmielę się zapytać, czy jest jakiś szczególny powód, dla którego źłopie pan świetną brandy jak dżin?

- Nie chodzi mi o smak czy jakość - odparł Jason. - Chcę się upić.

- Ach, tak. Widziałem prześcieradła tamtego ranka. Jason zamarł

z kieliszkiem w połowie drogi.

- Prześcieradła?

- Z łóżka. Z tego, na którym panna Ellingham spędziła noc. Prostując się na krześle, Jason posłał służącemu ostrzegawcze spojrzenie.

- I co z tego?

- Pościel była zakrwawiona. Dziewiczą krwią, o ile się nie mylę. - Lokaj wyjął z szafy kubrak, przyjrzał mu się, po czym zaczął z zapalem czyścić rękaw. - Wiem także, że nie spał pan owej nocy w gościnnym pokoju, choć prosił pan gospodynię, żeby go wywietrzyła i następnego dnia podziękował jej wylewnie za to, że tak dobrze się postarała.

Trunek wypalił ścieżkę w gardle Jasona, przeraźliwie szybko docierając do żołądka.

- Czy cała służba wie o mnie i panie Ellingham?

- Nie. Wzburzyłem pościel w pokoju gościnnym i pogmiotłem przykrycie, tak żeby pokojówki się nie domyśliły

- Dziękuję.

Pierce się skrzywił.

- Zrobiłem to nie tylko po to, żeby chronić pannę Ellingham, ale żeby zachować dobre imię pańskiego brata. Nie byłby zadowolony, gdyby go uznano za cudzołożnika. Wielu ludzi nie dba zupełnie o opinię swoich podwładnych, ale powiedziano mi, że wicehrabia cieszy się najwyższym szacunkiem służby. Poza tym jest mało prawdopodobne, żeby lord Fairhurst wdał się w romans z inną kobietą. Jak rozumiem, jest całkowicie oddany swojej ślicznej żonie.

- Do obrzydzenia - odparł Jason, ale w jego tonie nie było ironii. Zamiast tego czuł zazdrość. Jasper był oddany żonie, zakochany po uszy, a ona w nim. Tego rodzaju związku Jason unikał bardzo długo, teraz zaś pragnął go bardziej niż czegokolwiek innego.

Czy znowu znalazł się tak blisko szczęścia, tylko po to, żeby stracić wszystko w ostatniej chwili?
Zadrżał z rozpacz.

- Domyślam się, że będzie pan później potrzebować kąpieli i golenia? -

zapytał lokaj. - Choć może byłoby lepiej poczekać do jutra, zanim złoży pan wizytę w domu Ellinghamów. Nie wywarłby pan zapewne najbardziej korzystnego wrażenia, zjawiając się w tak żalonym stanie i prosząc pana Ellinghama o rękę bratanicy.

Jason potarł twarz dłońmi i zaśmiał się gorzko.

- Fletcher Ellingham uzna mnie za szalonego, jeśli oznajmię, że pragnę się oświadczyć jego bratanicy. Wszyscy wiedzą, że lord Fairhurst jest żonaty.

Pierce uniósł lewą brew.

- Ach, tak... Cóż, wizyta stanie się ciekawsza, jeśli wyjawi pan swoją tożsamość. Czy mogę poradzić, aby panna Ellingham uprzedziła o tym wujka, zanim zjawi się pan osobiście? Tak będzie z pewnością bezpieczniej.

- Ona nie wie. - Jason opuścił brodę na piersi, wpatrując się w dno prawie opróżnionego kieliszka. - Sądzi, że jestem Fairhurstem. Czekałem za długo, żeby wyznać prawdę. Próbowałem parę razy, zanim wyjechali, ale nigdy nie zdołałem porozmawiać z nią na osobności. Teraz nie chce mnie widzieć.

- To prawdziwy dylemat. - Pierce podrapał się w głowę. - Mógłby pan napisać list, choć nie byłoby łatwo wyjaśnić tak zawiłą sytuację. To by ją zapewne wprowadziło w jeszcze większe zamieszanie.

- List nic by nie pomógł. Zwróciła dwa pierwsze, nie otwierając ich. Trzeci zawierał prośbę o spotkanie i czekam na odpowiedź. Ale nie mam nadziei.

- Co pan zamierza zrobić?

Jason podniósł głowę.

- Pić?

- To nigdy niczego nie rozwiązało. - Dla podkreślenia, służący przeniósł

karafkę w odległy kąt pokoju. Jason patrzył na to niewzruszenie, wiedząc, że lokaj nie odważy się wynieść trunku z pokoju.

- Zaproponowałem jej małżeństwo - powiedział Jason. - To było uczciwe posunięcie po nocy spędzonej razem.

- Jakie to romantyczne. - Lokaj podszedł do umywalki i wygładził ręcznik obok porcelanowej miski. - Kobiety uwielbiają propozycje małżeństwa wynikające z poczucia winy.

Jason zmarszczył brwi.

- To nie tak, Pierce. Kocham ją i powiedziałem jej o swoich uczuciach.

Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że trudno jej uwierzyć w moją szczerość.

- Może dlatego, że sądziła, iż jest pan już żonaty? - Lokaj przewrócił

oczami. - Nawet kobieta pozbawiona inteligencji panny Ellingham wątpiłaby w pańskie dobre intencje.

- Wiem! - Jason dopił ostatnie krople trunku z kieliszka. - Pomimo moich niefortunnych oświadczeń, nadal jestem zdecydowany ożenić się z nią.

- Nie ma zatem powodu wpadać w taki ponury nastrój - stwierdził Pierce. -

Wszystko się w końcu ułoży. Spodziewałbym się raczej, że miłość pana uszczęśliwi.

- Niestety, sytuacja jest bardziej skomplikowana. Kamerdyner wciągnął

głęboko powietrze i wypuścił je powoli.

- Wszystko się ułoży, kiedy panna Ellingham pozna prawdę.

- Niezupełnie. - Jason wstał z krzesła, rozprostowując zeszywniałe plecy. -

Obawiam się, panna Ellingham jest wplątana w malwersacje finansowe, które mają miejsce w posiadłości.

- Czy to pewne?

Pytanie wprowadziło go w zmieszanie, bo w tym właśnie kryło się sedno sprawy. Jason nie potrafił w żaden sposób wyobrazić sobie Gwendolyn zamieszanej w oszustwo. Nie umiał uwierzyć, że mogła być tak przewrotna i nieuczciwa. Widział jednak na własne oczy, jak dziwnie zachowała się w galerii obrazów.

Najwyraźniej coś wiedziała i postanowiła to przed nim ukryć. Ale dlaczego? Czy chroniła siostrę, która prawdopodobnie skopiowała obraz?

A może kogoś innego? Wuję? Był bardzo zaprzyjaźniony z Ardleyem.

- Jestem pewien tylko tego, że czuję się nieszczęśliwy i zagubiony - odparł

smętnie Jason.

- A zatem trzeba odłożyć tę sprawę na później. Obawiam się, że w tej chwili musi się pan zająć pilniejszymi rzeczami.

- Pilniejszymi niż moja przyszłość, Pierce?

- W rzeczy samej. Proszę wybaczyć, że nie wspomniałem o tym wcześniej.

Ciemność w pokoju, kiedy wszedłem, zaćmiła mój umysł i pamięć. Pański brat, prawdziwy lord Fairhurst, właśnie przybył. Czeka w salonie.

Trzy dni. Trzy dni minęły, odkąd widziała go po raz ostatni. Również trzy dni, od kiedy odkryła straszną prawdę o wuju i o tym, do czego doprowadził go hazard.

Gwendolyn próbowała zapomnieć o wicehrabim. Wymazać z pamięci to, jak bardzo jej na nim zależy, jak bardzo nadal pragnie stać się częścią jego życia. Wiedziała, że to niemożliwe, jednak uparte serce wciąż czekało na cud.

Gwendolyn należała jednak do kobiet, które kierują się rozsądkiem. Choć mogła marzyć o cudzie, zdawała sobie sprawę, że musi zmierzyć się z rzeczywistością. Historia jej miłości do wicehrabiego nie doczeka się bajkowego zakończenia i była gotowa się z tym pogodzić. Byłoby dużo łatwiej, gdyby potrafiła po prostu go zignorować, ale z powodu wuja nie mogła tak postąpić.

Musiała zachować jakąś możliwość porozumienia z Fairhurstem. Jeśli wuj Fletcher nie zdoła się z tego wywikłać, Gwendolyn wiedziała, że będzie musiała wstawić się za nim, przekonać wicehrabiego, żeby nie wtrącał wuja do więzienia i nie rujnował im wszystkim życia.

Tak więc, choć bardzo chciała zignorować ostatnią prośbę wicehrabiego o spotkanie, uznała, że musi się zgodzić. List przyniesiono poprzedniego dnia.

Dwa poprzednie zwróciła nieotwarte, ale z jakiegoś powodu ten otworzyła.

Martwiła się już, że zbyt długo zwlekała z odpowiedzią.

Jako dziecko nie miała zwyczaju biadolić nad ruszającym się mlecznym zębem. Ku przerażeniu siostr, przywiązywała do owego zęba mocną nitkę, a potem go wrywała stanowczym szarpnięciem. Chwila bólu i problem rozwiązany. Oczywiście to, że porównywała teraz lorda Fairhurst do chwiejącego się zęba, świadczyło tylko o tym, jak dziwacznie potoczyło się jej życie.

Powiadomiwszy Emmę o tym, dokąd się udaje, wyruszyła konno zaraz po lunchu. Chłopiec stajenny w Moorehead Manor przywitał ją uprzejmie, obiecując zająć się koniem. Jak się spodziewała, lokaj odpowiedział na pukanie.

- Dzień dobry, Snowden. Czy jego lordowska mość jest w domu? -

zapytała, ściągając rękawiczki do konnej jazdy i wsuwając je w głębokie kieszenie spódnicy.

- Panna Ellingham! Dzień dobry.

Dziwnie podniecony, lokaj obejrzał się przez ramię.

- Czy lord Fairhurst spodziewa się pani?

- Niezupełnie. Prosił jednak, abym tu przyjechała. Poczekam w salonie.

Nie zwracając uwagi na nagłą bladość na twarzy lokaja, Gwendolyn go minęła. Znalazła drogę bez trudu, ale przystanęła gwałtownie, kiedy weszła do pokoju, stwierdziwszy, że ktoś już w nim jest. Jason.

Odwrócił się, kiedy weszła, podnosząc monokl do lewego oka i patrząc przez niego uważnie.

- Dzień dobry.

Mówił spokojnym, niemal znudzonym głosem. Po trzech namiętych listach nie takiego powitania się spodziewała. Uznawszy że zachowuje się tak celowo, żeby wytrącić ją z równowagi, Gwendolyn poczuła, jak ogarniają złość.

- Na litość boską! Odłóż to. Oboje wiemy, że masz doskonały wzrok, wyglądasz jak głupiec z tym czymś na oku. Nadęty głupiec.

Uniósł wysoko brwi, opuszczając monokl.

- Wydaje się, że obudziła się pani dzisiaj w fatalnym humorze, a pani nastrój pogorszył się jeszcze w ciągu dnia. Jednakże nie ma powodu, aby wyładowywała pani złość na mnie. Szczególnie w moim własnym salonie.

- Jestem tutaj na pana żądanie, milordzie. - Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Przyjechałam niechętnie, muszę przyznać.

- Ja domagałem się pani obecności? Niemożliwe!

Z jej ust wyrwał się cichy jęk.

- Ostrzegam cię, nie mam dzisiaj cierpliwości, żeby znosić twoją błazenadę.

Przestań robić z siebie głupca.

- Głupca? Święci pańscy, czy pani właśnie nazwała mnie głupcem?

- To uprzejmiej niż stwierdzić, że jesteś osłem - odparła Gwendolyn szyderczo, słodkim tonem.

Przez chwilę wpatrywał się w nią gniewnie. Nie rozumiała zmieniającego się szybko wyrazu jego oczu, ale ogarnęła ją nieufność.

- Pani ostry język i niegrzeczne zachowanie są nie do zniesienia. Żądam przeprosin - oznajmił, zaciskając szczęki.

- Możesz żądać, czego ci się podoba. To zdaje się wychodzić ci najlepiej, zarzucać innych żądaniami.

- No, młoda kobieto, jeśli natychmiast nie przestanie się pani zachowywać w tak niegrzeczny sposób, każę panią siłą usunąć z mojego domu!

Młoda kobieto? Czy on właśnie nazwał mnie młodą kobietą? Cóż za grę teraz prowadził? Gwendolyn otworzyła usta, ale gniewna odpowiedź zamarła jej na wargach. Lord Fairhurst był naprawdę rozgniewany. Choć jego głos pozostał

spokojny i nie podniósł się do krzyku ani na chwilę, złość przebijała z całej jego postawy.

Pochyliła się, przyglądając badawczo stojącemu przed nią mężczyźnie. Jego twarz i ciało wryły się w jej pamięci, jednak widziała drobną, subtelną różnicę, której nie potrafiła określić. Miał przystojną twarz, zielone oczy, włosy w tym samym odcieniu blond.

Ubrany był raczej zbyt formalnie jak na popołudnie w domu. Ubranie, jak zwykle, odznaczało się najwyższą jakością i świetnym krojem, ale też stonowanymi barwami. Nie mogła nie zwrócić uwagi, że brakuje mu zwykłego polotu i śmiałości, jakie przypisywała wicehrabiemu. Wreszcie, zauważyła ciężki złoty sygnet na jego lewej ręce. Ściągnęła brwi ze zdumienia. Jason nie nosił pierścieni.

Przejął ją strach.

- Kim pan jest? - szepnęła.

- Lord Fairhurst, do usług. - Mrużąc oczy, znowu podniósł śmieszny monokl.

- Ciekawi mnie bardziej, kim pani, u diabła, jest?

Pytanie brzmiało nedorzecznie, ale tylko potwierdziło jej podejrzenia. To nie był Jason. Gwendolyn potarła skronie opuszkami palców.

- Ale to niemożliwe. Pan nie może być Fairhurstem. Znam dobrze wicehrabiego. I choć jest pan zdumiewająco podobny...

Gwendolyn urwała. To nie był wicehrabia, a jednak wyglądał dokładnie tak samo. To, co wydawało się nedorzeczne, nagle stało się krystalicznie jasne. Ten dżentelmen był bratem Jasona, identycznym bratem bliźniakiem. Ale dlaczego przedstawiał się jako Fairhurst?

- Ach, widzę że światło prawdy oślepiło panią i pozbawiło mowy. - Strzepnął

niewidzialny pyłek z granatowego rękawa i uśmiechnął się lekko. - Przyznaję, że podoba mi się cisza.

- Pan jest bratem Jasona - powiedziała powoli Gwendolyn.

- Owszem.

- Ale twierdził pan, że jest lordem Fairhurst?

- Oczywiście. – W jego głosie brzmiała lekka uraza. - To szczególna sytuacja, zapewniam panią. Los dał mi tytuł i w końcu odziedziczę hrabstwo po ojcu. Jestem starszym bliźniakiem, starszym synem, choć w rzeczywistości urodziłem się ledwie siedem minut przed bratem.

Przez chwilę Gwendolyn nie mogła złapać tchu. Czowała ucisk w gardle.

Ogarnęły ją sprzeczne uczucia. Jason nie był lordem Fairhurst. Ale dlaczego ją oszukał?

- Czy przyjechał pan niedawno? - wychrypiała.

- Przed chwilą. - Ruszył w jej stronę, po czym się zatrzymał, jakby nagle zdając sobie sprawę z jej oszołomienia. - Wydaje się, że żywiła pani błędne przekonanie, jakoby mój brat był wicehrabią. Zapewniam panią, że istnieje logiczne wyjaśnienie.

Oczy Gwendolyn załśniły, kiedy podniosła na niego wzrok. Jason ją oszukał.

Oszukał ich wszystkich. Ale dlaczego?

- Logiczne, być może, ale czy wybaczone? Nie sądzę.

Drzwi się otworzyły i oboje zwrócili się w tamtą stronę. Jason wszedł do pokoju, po czym zatrzymał się gwałtownie. Oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia, zaklął paskudnie.

Gwendolyn, zmieszana i zagubiona, poczuła się boleśnie zdradzona. Wodziła wzrokiem od Jasona do jego brata, raz jeszcze zauważając subtelne różnice między nimi. Lord Fairhurst był bardziej oficjalny i niedostępny. Jason -

łagodniejszy, bardziej pogodny, modnie ubrany, swobodniejszy w obejściu, ale wyrafinowany.

Usta jej zadrżały. Z gniewu, złości, emocji. Jason ujął ją za łokieć, a Gwendolyn niemal podskoczyła.

- Widzę, że jesteś zmieszana - powiedział.

- Ponieważ mnie okłamałeś? Okłamałeś nas wszystkich, lordzie Fairhurst! -

Przełknęła ślinę. - Nigdy dotąd nie spotkałam bliźniaków. Podobieństwo jest niezwykle.

- Zmniejszyło się trochę z wiekiem - zauważył.

- Niewiele. - Zagryzła mocno wargi, żeby powstrzymać łzy.

- Skoro już wiem, że nie jesteś tym, za kogo się podawałeś, czy mogę pozwolić sobie na śmiałość i zapytać o twoje prawdziwe nazwisko?

- Jason Barrington.

- A twój brat?

- Jasper Barrington, wicehrabia Fairhurst.

- Ach! Zdecydowałeś się wyjawić mi swoje prawdziwe imię. Jakie to niezwykle. Sądzę, że powinnam czuć się zaszczycona z tego powodu. -

Zacisnęła dłonie w pięści, zwracając się do wicehrabiego. - Muszę panu powiedzieć, że pański brat czuł się z tytułem wicehrabiego jak ryba w wodzie.

Podejrzewam, że w skrytości ducha zazdrości panu tytułu.

Jason podszedł bliżej, wyciągając rękę.

- Gwendolyn, proszę, pozwól mi wyjaśnić.

- Po co? Żebyś mógł mnie otumanić jeszcze bardziej?

Spojrzała na drzwi, ale Jason odciął jej drogę. Bojąc się, że straci niepewne panowanie nad emocjami, jeśli Jason znowu jej dotknie, Gwendolyn zwróciła się do jego brata.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć, iż cieszę się z poznania pana. - Uniosła brodę, przełykając ślinę, aby pozbyć się bolesnego ucisku w gardle. - Ale ja, w przeciwieństwie do niektórych członków pańskiej rodziny, nie lubię zasłaniać się kłamstwami.

Odwróciwszy w ten sposób uwagę Jasona, Gwendolyn pobiegła do drzwi.

Nie zwracając uwagi na jego prośby, wybiegła na zewnątrz. Obojętna na to, że jej policzki zrobią się nieprzystojnie czerwone, nie przestała biec.

Cisza, jaką zostawiła za sobą, była kompletna. Jason napotkał wzrok brata i obaj patrzyli na siebie w pełnym zdumienia milczeniu przez dłuższą chwilę.

Jason usiłował rzucić się w pogoń za Gwendolyn, ale silna ręka brata osadziła go w miejscu.

- Jak rozumiem, nie posłuchałeś mojej rady i przybrałeś moją tożsamość, mieszkając tutaj? - zapytał Jasper.

- Mój Boże, Jasper, nie straciłeś nic ze swego talentu zauważania rzeczy oczywistych. - Jason pochylił głowę i zamknął oczy, starając się uspokoić myśli. Niedawno wypita brandy nadal szumiała mu w głowie, wraz z obrazem urażonej i przerażonej Gwendolyn. - Czy nie mogłeś ciągnąć tej maskarady choćby przez parę godzin? Poczekać do rozmowy ze mną, zanim wyjawisz, kim jesteś?

- Nie - odparł Jasper, rozluźniając uchwyt. - Ostrzegałem cię, że to niedobry pomysł. Nic dobrego nie wyniknie z oszustwa, bracie.

Jason powoli otworzył oczy.

- Oszczędź mi tej niewiele wartej filozofii. Co mam robić? Jak mam to naprawić?

- Po co miałbyś to robić? Przypuszczam, że to jedna z miejscowych panien?

Sądząc po stroju, z dobrej rodziny, choć niezamożna. To, co myśli, nie ma znaczenia.

- Zapomniałem, jakim potrafisz być niekiedy nadętym bufonem.

Jasper poprawił kubrak, po czym spojrzał na brata z zainteresowaniem

- Obraziła mnie. I to niejedną raz.

- Cóż, jest wybitnie inteligentna.

- I ma żywe usposobienie. I jest urodziwa, jeśli komuś odpowiadają ciemne włosy i oczy. - Jasper ponownie wyciągnął rękę, tym razem poklepując brata po ramieniu. - Ale chyba nie ma potrzeby się zamartwiać. Założę się, że zapomnisz o niej, gdy tylko wrócisz do Londynu.

- Nie rozumiesz. Ja ją kocham, Jasper.

- Oczywiście - orzekł brat, uśmiechając się wyrozumiale. - Tak jak kochasz wszystkie kobiety. To raczej nic zaskakującego.

- Chcę się z nią ożenić.

Jasper nie starał się nawet ukryć zdumienia.

- Czy ona wie?

- Tak. - Jason przeszedł się po pokoju, ze wzrokiem utkwionym w karafkę z whisky. Wiedział jednak, że trunek jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuje. - Prosiłem ją już o rękę, ale odmówiła, sądząc, że jestem tobą, a zatem człowiekiem żonatym. - Jason opadł na krzesło i westchnął głośno. -

Boże, w co ja się wpakowałem.

- Jak zwykle - stwierdził wesoło brat.

Jason podniósł głowę, patrząc gniewnie na brata.

- Przestań! Nie jestem w nastroju, żeby tolerować twoje żarciki.

Atmosfera w pokoju nagle się zmieniła.

- Naprawdę myślisz poważnie o tej kobiecie? - zapytał Jasper.

Jason poczuł ukłucie w sercu.

- Tak.

- A więc powinieneś podnieść ten żalony tyłek z krzesła i pobiec za drogą Gwendolyn. Jeśli zdołasz ją złapać, zanim opuści posiadłość, możesz spróbować wyjaśnić, przeprosić i błagać o przebaczenie. Wierz mi, bracie, byłbyś głupcem, gdybyś pozwolił wymknąć się takiej kobiecie, jak ona.

Jasonowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wybiegł z salonu, przebiegł

przez hol i wypadł przez drzwi na taras. Sądząc po amazonce, którą miała na sobie, Gwendolyn przyjechała konno. Pognał więc w stronę stajni.

Złapał ją w chwili, gdy stajenny prowadził jej konia w stronę kłosa, z którego mogła go dosiąść.

- Zajmę się tym, George.

W oczach Gwendolyn błysnął ogień, ale nie odezwała się, dopóki służący się nie wycofał.

- Oszczędź sobie zachodu, milordzie. Nie jestem ciekawa, co masz do powiedzenia. Chcę odjechać stąd najszybciej, jak to możliwe.

- Gwendolyn, proszę. Błagam, daj mi szansę na zadośćuczynienie. Życie jest za krótkie, żeby tracić czas, gniewając się z powodu nieporozumienia.

- Och, zatem nie oszukałeś mnie celowo? Nie okłamałeś? Nas wszystkich?

Czyżbym źle zrozumiała, kiedy twierdziłeś, że jesteś lordem Fairhurst?

Poczuł napięcie w szczęce.

- Źle zrobiłem, ciągnąc tę maskaradę po tym, jak staliśmy się sobie tak bliscy, ale musisz wiedzieć, że nigdy tego nie chciałem. Przyjechałem tutaj z misją od brata i uznałem, że łatwiej będzie ją wypełnić, jeśli przyjmę jego tożsamość.

Jej ciemne oczy błysnęły gniewnie.

- Prawdziwy lord Fairhurst wydawał się zaskoczony tą uzurpacją. Nie raczyłeś poinformować go o swoim planie?

Jason przeczesał włosy palcami.

- Jasper i ja nie zgadzaliśmy się co do tego, jak najlepiej poradzić sobie w tej sytuacji.

- Dlaczego mnie nie zdumiewa, że nie zechciałeś posłuchać cudzego zdania?

- W porządku! Nie miałem racji. Przyznaję. Powiedz mi jednak, dlaczego tak bardzo zależało mi na rozmowie z tobą w ciągu ostatnich trzech dni? Po nocy, jaką spędziliśmy razem, uświadomiłem sobie, że powinien powiedzieć ci prawdę. Próbowałem zrobić to na osobności, ale celowo mnie unikałaś. Nie dopuściłaś do tego, żebyśmy się spotkali.

- A zatem podjęłaś jakiś wysiłek, żeby naprawić szkodę. Niestety, to oczywisty przypadek zbyt skromnych i zbyt późnych starań - odparła Gwendolyn tonem pełnym powątpiewania. - Było aż nazbyt wiele okazji przed owym porankiem, kiedy mogłaś wyjawić prawdę. Jednak wolałaś kłamać.

- Nie odchodź, Gwendolyn - poprosił głosem, który brzmiał głucho i rozpaczliwie nawet w jego własnych uszach.

Zatrzymała się i odwróciła głowę. Jej twarz pobleadła.

- Nie zostawiasz mi wyboru.

Biły od niej chłód i zdecydowanie. Ale robiła także wrażenie straszliwie samotnej, co poruszyło serce Jasona. Zawahał się, szukając odpowiednich słów, gestów, które zakończyłyby ten koszmar.

- Proszę, Gwendolyn, zastanów się, zanim podejmiesz decyzję. Miłość jest zbyt delikatnym i ulotnym uczuciem, żeby ją z takim pośpiechem odrzucać. -

Widział ból w jej oczach. - Wyjdź za mnie.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Nawet teraz ośmielasz się mi ubliżać.

- Ubliżać ci? Składam ci szczerą i otwartą propozycję.

Opuściła głowę, tak że nie widział jej twarzy.

- Nigdy nie mogłabym ci ufać. Nie ma szans, żebyśmy mogli żyć razem.

- Przestań zachowywać się jak głupia - powiedział ostro i natychmiast tego pożałował. Jej nieufność go zaboliała. Ciągnął łagodniejszym tonem. - Nie widzisz, że cię kocham, Gwendolyn?

- Widzę tylko, że mnie okłamałaś - odparła gwałtownie. - Widzę, że nie mogę ci ufać ani wierzyć.

- Ostatnie tygodnie dały mi mnóstwo radości i chciałbym, żeby to trwało dalej. Wyjdź za mnie.

Milczała. Jej oczy pociemniały z gniewu, a potem się rozjaśniły, jakby odzyskała panowanie nad sobą. Jasonowi zaczęły się pocić dłonie.

- Za późno dla nas, Jason. - W jej głosie brzmiały gwałtowne uczucia, ale nie wiedział, czy to gniew czy żal. - Błagam cię, nie wspominaj o tym więcej.

- Nie możesz po prostu...

- Prosiłam, żebyś o tym nie mówił.

Jason zamilkł. Krew pulsowała mu w skroniach, kiedy usiłował znaleźć słowa, które

powstrzymałyby ten koszmar i nie pozwoliłyby jego światu legnąć w gruzach.

Gwendolyn poślizgnęła się, chcąc wsiąść na konia. Jason podszedł

odruchowo, żeby jej pomóc. Chciała go odepchnąć i poradzić sobie bez pomocy, ale to nie było możliwe. Poczuł, jak dziewczyna sztywnieje, kiedy dotknął jej buta, ale nie odezwała się, gdy podsadził ją na konia.

Poprawiła się w siodle i rzuciła mu ostatnie, gniewne spojrzenie, skłaniając wdzięcznie głowę. Potem skierowała wierzchowca na północ. Zawahał się, gotów złapać za lejce, wiedział jednak, że powstrzymując ją przed odjazdem, niczego w tej chwili nie zmieni.

- Gwendolyn...

- Żegnaj, Jasonie - powiedziała, odwracając się od niego na dobre.

Jason stał na pustym dziedzińcu i patrzył, jak się oddala, nie oglądając się ani razu za siebie.

Wrócił powoli do domu, zmierzając do salonu akurat w chwili, gdy brat z niego wychodził. Bracia dostrzegli się jednocześnie i przystanęli.

- Szedłem cię poszukać, sprawdzić, czy mogę ci jakoś pomóc - powiedział

Jasper.

Jason pokręcił głową.

- Za późno. Odjechała.

- Nie muszę pytać, jak ci poszło. Widzę to na twojej twarzy. Jason odsunął

kosmyk włosów z oczu. Był bardziej wstrząśnięty, niż chciał to okazać.

- Muszę się napić.

Wszedł do salonu, skierował się do karafki z whisky i nalał sobie pełny kieliszek. Jednak po pierwszym łyku odstawił go z obrzydzeniem.

- Nie pomaga, co?

Odwrócił się. Brat usiadł w fotelu przy niezapalonym kominku, patrząc na niego ze współczuciem.

- Dlaczego kobiety są takimi upartymi, uczuciowymi stworzeniami? -

zapytał Jason, podchodząc do kominka.

Jasper wzruszył ramionami.

- To część ich natury, ich czaru i uroku.

- To akurat nie wydaje mi się w najmniejszym stopniu czarujące - burknął

Jason.

- Czy to oznacza, że masz zamiar dać sobie spokój z tą kobietą?

- Do diabła, nie! - Jason czuł, jak krew kipi mu w żyłach. - Pamiętasz, żebym kiedykolwiek pozwolił kobiecie wygrać ze sobą?

Jasper się zastanowił, wpatrując się w skupieniu w twarz brata.

- Na ogół twoje przygody przebiegały tak, jak się spodziewałeś, jednak kilka razy, jak sądzę, zakończyły się inaczej, niż planowałeś. Przypominam sobie pewną baletnicę, która odeszła ze

szmaragdowo-brylantową kolia i takim samym diademem, które musiały kosztować całą twoją kwartalną pensję. Była też rubensowska śpiewaczka operowa...

- Użyłem metafory. - Jason się skrzywił, siadając na krześle naprzeciwko brata.

- Co z Elizabeth?

Jason zastanawiał się chwilę, wyciągając długie nogi w stronę zimnej kraty kominka.

- Miałem dwadzieścia dwa lata, Jasperze. Zakochałem się po raz pierwszy, byłem pewny siebie, zarozumiały. I zbyt zatopiony we własnych uczuciach, pragnieniach i potrzebach, żeby zdać sobie sprawę, że Elizabeth nie odwzajemniała mojej miłości. Przyznaję, że źle przyjąłem odrzucenie, a potem wykorzystywałem tę ranę, żeby usprawiedliwić swoje skandaliczne zachowanie.

- A teraz?

Jason siedział, patrząc na brata, ale pogrążony we własnych myślach.

- Podjąłem decyzję, żeby zmienić swoje życie, zanim tu przyjechałem. Zanim poznałem Gwendolyn. Nie jestem pewien, dlaczego. Może to, że zobaczyłem, jak bardzo ty i Claire jesteście szczęśliwi, dało mi impuls, żeby wreszcie się zmienić, dojrzeć, zacząć w końcu postępować odpowiedzialnie. - Westchnął

ciężko. Dziwne, ale przedtem samotność nigdy mi nie przeszkadzała, a potem nagle zrozumiałem, że chcę czegoś więcej od życia. Ale nie byłem pewien, co to jest to więcej, dopóki nie spotkałem Gwendolyn. Przy niej wszystko stało się jasne.

Nie chciał więcej od życia. Był dżentelmenem z urodzenia, ale nie zachowywał się stosownie przez wiele lat. Kochał Elizabeth i zraniony jej odmową nie chciał już kochać. Nie chciał zależeć od kogoś, ufać i tęsknić. Dbał

tylko o siebie, robił, co mu się podobało i kiedy mu się podobało, nie przejmując się konsekwencjami.

Jasper zmrużył oczy w zamyśleniu.

- Czy Gwendolyn czuje do ciebie to samo? Jason wykrzywił usta w ponurym grymasie.

- Porzuć tę zgnębną minę. Nauczyłem się paru rzeczy o kobietach od czasów Elizabeth. Gwendolyn żywi wobec mnie głębokie uczucia.

Jasper uśmiechnął się kpiąco.

- Tak, widziałem na własne oczy, co do ciebie czuje.

- Była wzburzona, poznawszy prawdę - powiedział Jason. - Wiem, że bardzo jej na mnie zależy. To cudowna kobieta. Dobra, szlachetna, kochająca i przede wszystkim, moralna. Musi mnie kochać,

inaczej nigdy by nie...

Jason urwał nagle, zdając sobie sprawę, że wyjawiał za dużo. Nastąpiła krótka, ale bardzo znacząca cisza. Miał nadzieję, że ta chwila minęła bezpiecznie, ale jedno spojrzenie na wściekłą twarz brata go przekonało, że Jasper zrozumiał

niedomówienie.

- Nie powiesz chyba, że zaciągnąłeś ją do łóżka? Nie wtedy, kiedy udawałeś mnie!

- Odmawiam odpowiedzi na to wulgarne pytanie - odparł Jason, przejęty poczuciem winy. - Chodzi o reputację damy.

- Jeśli moja żona dozna upokorzenia z twojego powodu, uduszę cię - oznajmił

Jasper groźnym głosem.

- Claire w żaden sposób na tym nie ucierpi. - Jason, który podniósł się przedtem z krzesła, usiadł z powrotem, wzdychając. - Rozumiem, że chcesz chronić żonę, ale reszta nie ma znaczenia. Zawsze zbyt wiele uwagi poświęcałeś swojej bezcennej reputacji i temu, co inni o tobie myślą, Jasper. To denerwujące.

- A ty za mało się tym przejmujesz - odparował brat, z błyskiem w oczach, opuszczając kąciki ust w grymasie dezaprobaty.

Obaj zamyślili się na chwilę, potem napięcie w pokoju odrobinę zelżało.

- Ktokolwiek powiedział, że bliźniacy myślą i postępują tak samo, był

kompletnym głupcem - stwierdził Jason, siląc się na lekki ton.

Jasper zerknął w jego stronę.

- W istocie.

Jason wiercił się niespokojnie. Był poirytowany i niezbyt dumny ze swoich postępów.

- Kocham Gwendolyn. I będę o nią walczył, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować.

- Nie wyglądała na szczęśliwą, kiedy stąd wypadła. Być może czeka cię długie oblężenie.

- Wiem. - Jason, choć bardzo się starał, nie zdołał stłumić rozczarowania w głosie.

Nagle na twarzy Jaspera pojawił się szeroki uśmiech.

- To wielka przyjemność widzieć, że zachowujesz się w ten sposób.

- Jak zakochany dureń?

- Nie, jak mężczyzna, który ma jakiś cel, chce coś osiągnąć i nie przejmuje się przeszkodami.

Jason pozwolił sobie na słaby uśmiech.

- Wolałbym, żebyś dodawał mi odwagi, bracie. A nie zmuszał, żebym dostrzegł ponurą rzeczywistość.

- Gdybym uprawiał hazard, postawiłbym na ciebie - powiedział Jasper z lekką ironią.

- Dziękuję. - Jason skłonił głowę, zadowolony, że znów rozmawiają bez gniewu. Nie znośił kłócić się z bratem. W przeszłości zdarzało się to zbyt często.

- Zmieńmy temat - zaproponował Jasper. - Opowiedz mi, co się tutaj działo.

Poza tym, że podszyłeś się pode mnie, rujnując moją reputację wśród miejscowych i dobre imię u służby.

- Poza jednym incydentem, o którym nie wspomnę, wszystko poszło jak najlepiej. Choć nie osiągnąłem jeszcze tego, co chciałem. Nie wyjaśniłem do końca kwestii brakujących pieniędzy.

Wargi Jaspera drgnęły.

- Twoja maskarada nie była zbyt udana. Snowden wiedział, kim jestem w chwili, kiedy otworzył mi drzwi.

- Oczywiście, że wiedział, kim jesteś - powiedział kpiąco Jason. - Jesteśmy bliźniakami.

Jasper pokręcił głową.

- Wiedział najwyraźniej, że nie jestem tym samym człowiekiem, który mieszkał tu przez ostatnich parę tygodni. Wiedział też, że jestem prawdziwym wicehrabią.

- Nie wierzę. Traktował mnie z najwyższym szacunkiem, odkąd przyjechałem. Sądził, że jestem Fairhurstem.

Jasper wydawał się urażony tym pomysłem.

- Jasne, Snowden nie zdawał sobie sprawy z oszustwa, dopóki mnie nie zobaczył. Nie mając porównania, dał się zwieść. Ale nie dłużej.

Jason parsknął niedowierzająco.

- Nadal nie wierzę, że Snowden zna prawdę. Do diabła, matka czasami nas myli.

- Matka nie ma zdolności obserwacji, jaką ma wyszkolony majordom. -

Twarz Jaspera spochmurniała. - Następnym razem, kiedy zobaczysz Snowdena, spodziewam się, że

go przeprosisz i wyjaśnisz, iż byłem nieświadomy twojego postępku i dowiedziawszy się o nim, wyraziłem swoją dezaprobatę.

Jason machnął lekceważąco dłonią.

- To lokaj.

- W rzeczy samej. I jako taki zasługuje na szacunek. - Jasper spojrział bratu prosto w oczy. - Ukradłem go lordowi Devonshire, co sporo mnie kosztowało, ale Snowden okazał się tego wart, a nawet więcej.

Jakby na dany sygnał lokaj wszedł do pokoju, pchając wózek z przekąskami.

Nie wahając się ani chwili, postawił wózek przed Jasperem. Prawdziwym panem rezydencji.

- Z pewnością zapamiętał twoje ubrania - mruknął Jason pod nosem, wciąż nie mogąc uwierzyć, że lokaj go przejrzał.

- Snowden, mój brat ma ci coś do powiedzenia - oznajmił Jasper.

Mając poczucie śmieszności, ale gdzieś w głębi duszy zdając sobie sprawę, że się myli, Jason podniósł się z krzesła.

- Jak z pewnością wiesz, z powodów osobistych przyjąłem tożsamość brata, przybywając do majątku. Lord Fairhurst nie był świadomy mojego postępku i właśnie poinformował mnie, że jest zaszokowany moim zachowaniem. Czuję się zatem zobowiązany cię przeprosić.

- To bardzo miło z pana strony, jaśnie panie. - Twarz lokaja oblała się rumieńcem. - Skoro już o tym mowa, przyznaję, że kilkakrotnie w ciągu minionych paru tygodni zastanawiałem się nad pańskim zachowaniem, ponieważ nie pasowało ono w żaden sposób do wicehrabiego. Pozostał pan jednak dżentelmenem w każdym calu i służba darzyła pana największym szacunkiem i poważaniem.

- A więc nie było tak źle? - zapytał Jason.

- Wcale nie. - Usta służącego drgnęły w leciutkim uśmiechu. Jason uznał to za aprobatę. - Z pewnością jestem jedyny z domowników, który odkrył prawdę.

- Będę zobowiązany, jeśli zachowasz ją dla siebie - wtrącił Jasper.

Lokaj uklonił się z gracją.

- Może pan zawsze liczyć na moją dyskrecję.

- Wiem. Dziękuję.

Jason usiadł ponownie, a majordom opuścił pokój. Herbata pozostała nietknięta, chociaż Jasper zjadł małą kanapkę. Jason powiedział mu, co odkrył

na temat finansów posiadłości i brakujących przedmiotów.

- Czy dowiedziałeś się czegoś u londyńskiego handlarza antykami? - zapytał

na zakończenie. - Czy ma w swoim posiadaniu jakieś inne dzieła sztuki, które są twoją własnością?

- Nie sędzę. - Jasper dojadł kanapkę i sięgnął po następną. - Popełniłem błąd, zabierając ojca ze sobą oraz, co gorsza, nie mówiąc mu, dlaczego chcę tam pójść. Bałem się, że zrobi scenę.

- Reaguje raczej żywo, jeśli chodzi o jego antyki.

- Aż nadto żywo. - Jasper zmrużył oczy. - Zaczęło się dobrze. Ojcu podobało się oglądanie różnych przedmiotów, ale potem zauważył dwie wazy, które, jak twierdził, były falsyfikatami, i domagał się rozmowy z właścicielem.

- Och, nie.

- Nastąpiła po tym raczej gorąca dyskusja, padło wiele ostrych słów i obelg, a w końcu poproszono nas, żebyśmy stamtąd wyszli.

- Właściciel nie był świadomy, że jesteście parami? - zapytał Jason, nie mogąc uwierzyć, że kuty na cztery nogi kupiec wyrzucił ze swojego sklepu hrabiego i wicehrabiego.

- Ojciec nie podzielił się tą informacją od razu. A potem wdaliśmy się w spór i straciliśmy okazję, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Mało prawdopodobne, żebyście dowiedzieli się czegoś konkretnego -

stwierdził Jason.

Jasper wzruszył ramionami.

- Nigdy nie wiadomo.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Jason.

- Doceniam wszystko, co uczyniłeś, ale jest jasne, że utknąłeś w martwym punkcie. Wiesz, jak ważne było dla mnie, żeby tę sprawę zachować w tajemnicy. Dziękuję ci za wszystko.

- Niewiele zdołałem.

Twarz Jaspera spowazniała.

- Nieprawda. Ustaliłeś, że Ardley jest głównym podejrzanym, i zgadzam się z tobą. Miał dostęp i możliwości, żeby dopuścić się kradzieży pieniędzy i mojej własności.

Jason pochylił się na krześle, zadowolony z pochwały brata. Jednak nadal był rozczarowany, że nie

potrafił rozwikłać ostatecznie tej sprawy.

- W księgach majątkowych są nieścisłości, które Ardley już wyjaśnił. Co do dzieł sztuki, które zastąpiono falsyfikatami, nie mam solidnego dowodu, że Ardley jest w to zamieszany.

- Nie potrzebujemy go - oznajmił Jasper bez gniewu. - Jestem jego pracodawcą. Odpowiada przede mną za prowadzenie majątku. Zapytam go o wszystko wprost; odpowie mi.

- A jeśli skłamię? Zaprzeczy, że wie cokolwiek? Możemy nigdy nie odzyskać skradzionych dzieł.

- Jestem gotów podjąć takie ryzyko. To tylko rzeczy, Jasonie, przedmioty.

Można je zastąpić.

Jason wyprostował się na krześle.

- Nie pozwól, żeby ojciec usłyszał, co mówisz o jego wazach. Jasper się uśmiechnął i pokiwał głową.

- Przyznaję, że niektóre z tych antyków uważa się za jedyne w swoim rodzaju, ale to nie ma znaczenia. A gdyby służąca stłukła coś przypadkiem, w trakcie odkurzania? Albo niegrzeczne dziecko zrzuciło wazę na podłogę?

Strata byłaby podobna.

- Chcesz powiedzieć, że nie uważasz tych rzeczy za cenne?

- Oczywiście, że są cenne, ale nie są ważniejsze od ludzi - powiedział

Jasper, pocierając brodę. - Ardley przez wszystkie te lata był doskonałym zarządcą. Z pewnością nie pamiętasz, ale jego poprzednik kradł jak opętany.

Gospodarstwa dzierżawców pozostawały w żalosnym stanie, rezydencja praktycznie chyliła się ku ruinie.

- To wina ojca. Posiadłość nie należała jeszcze do ciebie. Jasper skinął głową.

- Ojciec w ogóle się tu nie pojawiał przez dziesięciolecia, zatem ponosi część odpowiedzialności za opłakany stan rezydencji i ziemi.

Głównie dlatego palił się, żeby mi przekazać majątek, jak tylko osiągnąłem pełnoletność. Przyznał, że źle się sprawiał i miał nadzieję, że dam sobie radę lepiej.

- Ale to przyływ twoich pieniędzy sprawił różnicę, spowodował, że majątek stał się dochodowy. Spodziewałbym się, że poczytasz za osobistą urazę, że ktoś cię okrada.

- Poczuję się urażony. Dlatego prosiłem cię, żebyś przyjechał i zbadał tę sprawę na miejscu.

- Jeśli Ardley jest winien, musi zostać ukarany - powiedział spokojnie Jason.

- Naturalnie. - Jasper poruszył się niespokojnie na krześle. - Ale to ja i tylko ja zdecyduję o jego losie. Ardley jest dobrym człowiekiem. Pracował dla mnie ciężko przez wiele lat. Dzięki niemu dochód z tych ziem niemal się potroił.

Ostatnią rzeczą, w jaką uwierzę, jest to, że stał się fałszywy i zdradziecki. To jeden z powodów, dla których chciałem, żebyś ty się zajął tą sprawą.

Wiedziałem, że trudno byłoby mi zachować bezstronność.

- Czy to się zmieniło?

- Nie jestem pewien. Jak mówisz, nie ma dowodów. - Jasper spojrział przez chwilę ponad ramieniem brata. - Jeśli Ardley jest w to zamieszany, jak podejrzewamy, sądzę, że kryje się za tym jakiś powód. I zamierzam wszelkie wątpliwości rozstrzygnąć na jego korzyść oraz pozwolić mu złożyć wyjaśnienia osobiście.

- Masz prawo - stwierdził Jason.

Jasper kiwnął głową.

- Czy wezwiemy Ardleya teraz, czy też poczekamy do wieczora?

Jason westchnął.

- To musi poczekać do jutra rana. Ardley wyjechał z majątku. Powiedział mi wcześniej, że jedzie do sąsiedniego hrabstwa obejrzeć byka, którego być może kupi. Nie wróci do jutra rana. Gdybym wiedział, że się zjawisz, poprosiłbym, żeby wstrzymał się z transakcją do przyszłego tygodnia.

Jasper postukał niecierpliwie palcami w poręcz fotela.

- Musimy się z nim spotkać, jak tylko wróci. Nie chciałem zostać w rezydencji dłużej niż jedną noc i bardzo mi nie odpowiada zmiana planów.

Pragnę jak najszybciej wrócić do żony.

Jason się uśmiechnął.

- Jak się czuje moja droga bratowa?

- Kwitnie - odparł Jasper z dumnym uśmiechem.

Uśmiechał się nadal. Jason nie bardzo rozumiał, w czym rzecz.

- Och, na Boga! Jest w ciąży - mruknął Jasper.

- Już?

- Jesteśmy po ślubie od paru miesięcy. - Jasper uniósł brodę i leciutko wypiął pierś. - Chociaż muszę przyznać, że czujemy się zabawnie dumni z siebie.

- Wspaniała z was para! Matka i ojciec muszą być w siódmym niebie.

W końcu pojawi się nowy wnuk i można go będzie kochać i rozpieszczać. -

Jason zerknął na brata z ukosa. - Być może przyćmisz Meredith i Dardingtona, chwając się pierwszym wnukiem płci męskiej.

- Nie leży w moich zamiarach odbierać palmę pierwszeństwa siostrze i jej mężowi. Chociaż posiadanie syna wydaje mi się dużo rozsądniejsze - przyznał

Jasper. - Najważniejsze jednak, żeby Claire powiła bez przeszkód zdrowe dziecko.

- Claire jest młoda i silna. Poradzi sobie doskonale. Prawdopodobnie lepiej od ciebie.

Jasper schylił głowę lekko zmieszany.

- Przejmowałem się wszystkim ogromnie. To kolejny powód, dla którego zdecydowałem się przyjechać tutaj. Claire na to nalegała, twierdząc, że potrzeba jej wytchnienia od mojej przesadnej troski. Choćby na dwa tygodnie.

Chociaż wiedział, że Claire darzy męża serdeczną miłością, Jason rozumiał uczucia bratowej w tym względzie.

- Zapewne już za tobą tęskni i powita cię z otwartymi ramionami.

- Taką mam nadzieję. - Jasper sięgnął po ostatnią kanapkę na tacy.

- Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze, zanim spotkamy się jutro z Ardleyem?

Jason się zawahał. Urzędnik uznał, że napad był dziełem bandytów, i zalecał

większą ostrożność na drogach. Co do skradzionych dzieł, Jason nabierał coraz większego przekonania, że to Emma namalowała obraz wiszący w galerii.

Właściwie powinien o tym poinformować brata, ale nie chciał narażać na szwank i tak już delikatnych stosunków z Gwendolyn.

- Sądzę, że jesteś dobrze przygotowany do konfrontacji z Ardleyem - odparł

w końcu, tłumiąc ukłucie winy. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, domyślam się, gdzie możemy szukać odpowiedzi na dalsze pytania.

Było dobrze po północy, kiedy dwaj jeźdźcy zbliżyli się do miejsca przeznaczenia. Krzewy przy drodze znikły im z oczu, kiedy zwolnili biegu i zwrócili konie w stronę małego zagajnika. Panowały spokój i cisza. Dziwny spokój.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego spotykamy się z nimi w tak oddalonym miejscu i o tej porze? - zapytał Fletcher, ustawiając konia obok wierzchowca towarzysza. Czuł, że nogi mu zdrętwiały od długiej jazdy.

- To jedyny sposób, żeby zachować naszą tajemnicę - odparł Ardley. -

Trudno, żebyśmy ludzi tego pokroju zaprosili na obiad.

Fletcher zerknął w górę, dostrzegając błysk księżyca i gwiazd przez zielony baldachim gałęzi. Mimo że noc była przyjemnie ciepła, zadrżał. Czuł

przenikający do kości chłód. Jego wiara w powodzenie planu malała z każdą przebytą milą.

- Dlaczego nie mielibyśmy się spotkać w jakiejś gospodzie? - zapytał

Fletcher. - Co do mnie, czułbym się bezpieczniej przy świadkach.

- Ci ludzie nigdy nie zgodziliby się pokazać w publicznym miejscu. Cenią sobie anonimowość.

Fletcher ściągnął mocno brwi.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też nie. - Twarz Ardleya wyrażała napięcie. Rozglądał się niespokojnie. - Ale znaleźliśmy się w sytuacji, w której nie my dyktujemy warunki.

- Okoliczności się zmieniają, kiedy zobaczą, co im przywieźliśmy. - Fletcher poklepał się po kieszeni kubraka, którą wypychała ciężka sakiewka. - Kiedy wreszcie pozbędziemy się tych pijawek, będziemy mogli uregulować dług wobec majątku.

- Wszystko w swoim czasie. - Ardley wyjął lornetkę z kieszeni i przyłożył do oka, badając horyzont.

- Spłata tego długu pozbawi nas większości gotówki.

Zwrot brakujących pieniędzy może zająć dużo czasu.

- Ale zawsze to pierwszy krok.

- Tak. Miejmy nadzieję, że wykaraskamy się z tarapatów. Fletcher ponownie podniósł głowę, żeby spojrzeć w nocne niebo. Wpatrywał się w kołyszące się gałęzie, starając się tłumić niepokój.

Wkrótce usłyszeli tętent, potem przekleństwo, po którym nastąpiła cisza.

Fletcher wstrzymał oddech, pewien, że Ardley słyszy bicie jego serca. Nagle jeźdźcy wypadli z drzew, zaskakując dwóch czekających mężczyzn.

Fletcher zwrócił się odruchowo w stronę Ardleya, który poblądł, mrugając niepewnie oczami.

Naprzeciwko stało trzech jeźdźców. Wszyscy byli obcy i Fletcher odczuł ulgę, że nie ma wśród nich tego, którego uwolnili z piwnicy i który brał udział

w napadzie na powóz.

- W samą porę - odezwał się mężczyzna w środku, wysuwając się do przodu. -

To dobrze wróży.

- A zatem przystąpmy do interesów - powiedział Ardley. - Przynieśliśmy pieniądze, Hunter. Tak jak chciałeś.

- Daj mi je - odparł Hunter. - Nie spędzę tutaj całej nocy.

Drżącymi palcami Fletcher sięgnął do kieszeni i wyciągnął skórzany trzos.

Hunter wyciągnął rękę oczekująco, ale Fletcher się bał, że nie opanuje płochliwego konia, jeśli zanadto zbliży się do drugiego wierzchowca, rzucił więc sakiewkę wysokim łukiem w stronę lichwiarza.

Hunter złapał ją lewą ręką. Cień uśmiechu widoczny w mroku na jego twarzy, znikł, kiedy podrzucił ją, waząc w dłoni.

- Wydaje się za lekka.

- Jest tam wszystko, co do gwinei! - wykrzyknął Ardley. - Nie bylibyśmy tacy głupi, żeby cię oszukiwać.

- Mimo to wydaje się zbyt lekka - upierał się Hunter.

- Zatem policz pieniądze - odparł Fletcher, starając się mówić pewnym głosem. - Jest tam dokładnie tyle, ile jesteśmy winni.

Hunter wsunął trzos do kieszeni, potem spokojnie rozsunął poły kubraka. Zza paska spodni wystawał pistolet. Srebrna kolba lśniła w świetle księżyca.

- Nie muszę liczyć. Wiem, że jest za lekka i że nie ma w niej dość pieniędzy.

Fletcherowi pociemniało w oczach. Kręcąc głową, upomniał się w duchu, że powinien zachować spokój. Okazanie strachu czy paniki zwiększyłoby tylko przewagę Huntera.

- W tej sakiewce jest ponad pięćset gwinei. Dość, żeby spłacić dług.

- A odsetki?

- To pokrywa odsetki - parsknął Ardley.

- Kto tak twierdzi? - zapytał wyzywająco Hunter.

Fletcher się wyprostował.

- Doprawdy jest pan nierozsądny. Gdyby...

- Zamknij się. Nie mówię do ciebie.

Fletcher przełknął dalsze słowa, po czym zwiesił głowę, wpatrując się w lejce, które ścisnął w dłoniach. Natychmiast pożałował, że się odezwał, ponieważ ściągnęło to na niego uwagę Huntera.

- Zapłaciliśmy uzgodnioną sumę, włącznie z odsetkami - upierał się Ardley. -

Zakończyliśmy nasze interesy.

Twarz Huntera sposępniała. Zmrużył szare jak grafit oczy.

- Z mojego punktu widzenia nie. Naliczam karę za późną spłatę. Ado tego jeden z moich ludzi został ranny, a drugi uwięziony w piwnicy rezydencji.

- Wypuściliśmy twojego człowieka - powiedział Ardley.

- I nie można nas obarczać winą za zranienie tego pierwszego - dodał

Fletcher. - Twoi ludzie zaatakowali niewłaściwy powóz.

Hunter burknął coś, po czym powoli zsiadł z konia. Fletcher odetchnął

z ulgą. Lichwiarz nie wydawał się wysoki. Był żyłasty, o jasnych włosach, nijakiej twarzy i stroju. Nie robił wrażenia groźnego przeciwnika.

- Obaj kosztowaliście mnie dużo więcej, niż jesteście warci - oświadczył

spokojnie Hunter. - A staję się niezwykle trudnym człowiekiem, kiedy się rozgniewam.

W jego głosie brzmiała cicha groźba. Fletcher przełknął ślinę, uświadamiając sobie z przerażeniem, że nie docenili wroga.

- Podaj swoją cenę, Hunter - wyjąkał Ardley z paniką w głosie. - Zapłacimy, ile chcesz, żeby skończyć to raz na zawsze.

Nastąpiła cisza. Fletcher widział, jak Ardley kręci się niespokojnie. Hunter pozostał milczący i

nieruchomy, jakby nie usłyszał tych słów. Fletcher poczuł, jak zaczyna się trząść

- Nie dostaniesz swoich pieniędzy, jeśli będziemy martwi - odezwał się w końcu Ardley.

- Jest was dwóch. Potrzebuję tylko jednego, żeby spłacił dług. A to sprawia, że jeden z was staje się zbędny. - Oczy Huntera zwęziły się w groźne szparki.

Zakołysał się na piętach. - Z mojego doświadczenia wynika, że taki rodzaj perswazji bywa niezwykle skuteczny. Ten, który pozostaje przy życiu, cudownym sposobem dostarcza żadaną sumę bardzo szybko.

Przez chwilę wydawało się, że Ardley się załamał, ale zapanował nad sobą.

- Pozwól odejść mojemu przyjacielowi. To ja wziąłem od ciebie pieniądze.

- Zatem to ty powinieneś ją spłacić. - Hunter schylił się i niedbałym gestem wyciągnął nóż zza cholewy buta.

- Ale ja brałem udział w wydawaniu pieniędzy - wybełkotał Fletcher, usiłując bezradnie chronić przyjaciela. - Dług obciąża nas obu po równo.

Hunter spojrzał na ich przejęte twarze, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Może zachowam was obu przy życiu. Na razie. Ale trzeba wam dać nauczkę. Taką, którą zapamiętacie na długo i która będzie przestrogą dla wszystkich robiących ze mną interesy. - Zniżył głos do szeptu. - Nikt nie śmie wchodzić mi w drogę.

- Nie próbowaliśmy wchodzić ci w drogę - powiedział Fletcher, rozpaczliwie usiłując zachować spokój. Miał ochotę wycić i krzyczeć.

Hunter skinął na swoich ludzi. Zsiedli posłusznie i zbliżyli się do nich. Ten, który szedł w stronę Fletchera, był innej budowy niż szef - potężny osiłek o krzywym, wielokrotnie złamanym, nosie, grubych, muskularnych ramionach i wielkich, mięsistych łapach.

Fletcher próbował przełknąć zólc, która napłynęła mu do ust. Jak wiele rzeczy w jego życiu w ciągu ostatnich paru lat, to była pomyłka. Zły, szaleńczy plan, nieprzemyślany i fatalnie przeprowadzony. Teraz mieli ponieść konsekwencje.

Coś trzasnęło pod butem osiłka, kiedy szedł w ich stronę, i straszliwy, gniotący w żołądku niepokój zamienił się w panikę. Jednym ruchem mężczyzna ściągnął go z konia. Fletcher się zachwiał, próbując dzielnie utrzymać się na nogach. Zauważył, że Ardleya także ściągnięto brutalnie z wierzchowca, choć wydawał się stać pewnie na nogach.

Zbój podniósł ramię, odciągając je do tyłu. Uświadamiając sobie, co się dzieje, Fletcher uchylił się, ale nie dość szybko. Cios trafił go w szczękę i Fletcher przewrócił się na ziemię. Przerażliwy ból

wybuchł mu pod czaszką.

Drugi cios pogрузił go w ciemności. Zdążył jeszcze poczuć szczery żal za wszystkie popełnione błędy, za całe popełnione zło.

Ale największy żal budziło w nim to, że nie zdołał dotrzymać obietnicy złożonej Gwendolyn.

Nie udało mu się niczego naprawić.

Gwendolyn przemierzyła sypialnię, zastanawiając się, czy zdoła samodzielnie rozpiąć suknię na plecach. Zwolniła Lucy parę godzin wcześniej i nie chciała jej wzywać, sądząc, że pewnie już poszła spać.

Poza tym Gwendolyn wolała być sama. Przeżywała wciąż na nowo wydarzenia popołudnia. Stała obok biurka. List Jasona był częściowo schowany pod kałamarzem. Sięgnęła po niego, chcąc podrzeć go na kawałki i wrzucić do zimnego kominka, ale widok jego śmiałego, silnego charakteru pisma poruszył coś w jej sercu.

Czy popełniła błąd, odwracając się od niego? Czy była zbyt twarda i niezdolna do wybaczenia? Czy ryzykowała szczęście z powodu upartej dumy?

A może Jason był rzeczywiście nieuczciwym i zakłamanym człowiekiem?

Usłyszała, jak zegar w holu wybija ponuro godzinę. Było późno. Reszta domowników prawdopodobnie spała.

Zajęta własnymi myślami, nie usłyszała skrzypnięcia drzwi. Ale nagle uświadomiła sobie, że nie jest sama.

- Dobry wieczór, Gwendolyn.

Dźwięk jego głosu przyprawił ją o gęsią skórę. Westchnęła gwałtownie, odwracając się do niego powoli, z sercem tłukącym się boleśnie w piersi.

- Jak się tu dostałeś?

- Emma ulitowała się nade mną. Przemyciła mnie przez kuchnię i sprawdziła, czy na korytarzu nikogo nie ma, zanim przyprowadziła mnie do twojego pokoju.

Miała wilgotne dłonie, wytarła je o suknię. Nie była gotowa na to, żeby się zmierzyć ze swoimi uczuciami, żeby stawić mu czoło.

- Wyjdź natychmiast, albo zacznę krzyczeć.

Rozbrajający uśmiech rozświetlił jego przystojną twarz.

- Nic by mnie bardziej nie ucieszyło. Krzyki sprowadziłyby twoją rodzinę i służbę. A kiedy odkryto by mnie w twojej sypialni, byłabyś skompromitowana bez reszty. To, że nie jestem lordem Fairhurst, przyjęto by z ogromną ulgą, ponieważ, naturalnie, postąpiłbym, jak należy. Twoja ciotka nie posiadałaby się z radości, wuj przyjąłby moje oświadczenia, a ty musiałabyś mnie poślubić.

- A więc to jest twój plan?

Wzruszył ramionami.

- Jestem zdesperowany, Gwendolyn.

- Jesteś podły!

Przesunął powoli palcem po okryciu łóżka. Ruch był powolny i zmysłowy.

- Prawda, nie mam wstydu ani dumy, jeśli chodzi o ciebie. Wezmę cię za żonę, sięgając wszelkich możliwych sposobów. Zdaję sobie sprawę, że to nie najlepsza droga, żeby rozpocząć szczęśliwe małżeństwo. Wolałbym, aby to była także twoja decyzja.

Gwendolyn poczuła gorący rumieniec na policzkach. Oddychaj głęboko, upomniała się. Odczekała, póki nie odzyskała na tyle panowania nad sobą, żeby się z nim zmierzyć.

- Wyraziłam dostatecznie jasno swoje zdanie w tej sprawie. Nie wyjdę za ciebie.

- Rozumiem, że chcesz mnie ukarać, ale najdroższa, postępując w ten sposób, karzesz również siebie.

- Podeszedł bliżej. - Czy nie przemyślisz tego raz jeszcze?

Gwendolyn się zmieszała. Może rzeczywiście była zbyt surowa.

- To, co zrobiłeś, to nie jakaś błahostka, milordzie.

- Prawda. Jednak miałem swoje powody i próbowałem je wcześniej wyjaśnić. Staralem się powiedzieć ci prawdę, ale nie chciałaś słuchać.

- To nie ma znaczenia. Było wiele okazji, żeby wyznać prawdę. Mój Boże, spędziliśmy razem całą noc i część przedpołudnia. Sami. Mogłeś mi wtedy powiedzieć, kim naprawdę jesteś.

Spojrzał na nią żałośnie.

- Z tobą w ramionach, w łóżku, myślałem o czymś zupełnie innym.

Odwzajemniła spojrzenie, patrząc na niego z żalem.

- Od tamtej nocy walczę z uczuciami, usiłując je zrozumieć i zapomnieć.

Tamtego ranka! Mój Boże, myślałam, że jesteś niespełna rozumu, mówiąc o małżeństwie. Myślałam, że jesteś żonaty!

- Gwendolyn. - Podniósł rękę, dotykając jej policzka. - Nigdy nie chciałem, aby tak się to potoczyło. Nie chciałem cię zranić. Gdybym mógł zmienić choć jedną rzecz w swoim życiu, z wielu złych postępów, jakich się dopuściłem, byłoby to powiedzenie ci prawdy tamtej nocy.

Jego szczerość poruszyła ją, była zdumiona.

- Nie wiem, co powiedzieć. Co robić - wyszeptała w końcu. Jason podszedł

jeszcze bliżej.

- Muszę wiedzieć, że mi przebaczyłaś, Gwendolyn. Że możemy wznieść się ponad to i ułożyć sobie życie.

Nie spuszczał z niej wzroku. Rozum kazał Gwendolyn sprzeciwić się stanowczo, ale serce, och, jakże jej serce błagało, żeby zmieniła zdanie.

Wydawało się, że wbrew niej samej, jej serce pragnie go i potrzebuje.

Wszystko ważyło się w tej chwili. Jeśli mu wybaczy, będą mieli szansę na wspólne życie. Jeśli nie zdobędzie się na to...

- Jak będę mogła ci zaufać? - szepnęła.

- To wymaga czasu, ale dowiodę ci, że zasługuję na zaufanie. I miłość.

Proszę, ze względu na nas oboje, pozwól mi spróbować - powiedział cicho.

Przez długą chwilę zastanawiała się nad jego słowami. W jego ustach brzmiało to tak prosto. Czy rzeczywiście tyle wystarczy? Otworzyć serce i wybaczyć mu?

Gwendolyn pochyliła się ku niemu, wciąż bijąc się z myślami. Stając na czubkach palców, pocałowała go w policzek. Jason ją objął, zanim zdążyła się odsunąć.

- Potrzebuję dużo więcej niż niewinnego pocałunku, Gwendolyn -

powiedział, a potem pocałował ją mocno w usta.

Zdumiewające, jak ciało potrafi zdradzić umysł, pomyślała Gwendolyn, zatapiając się w nim i obejmując go rękami za szyję. Ogarnęło ją pożądanie, wypierając wszystkie myśli z jej głowy.

Czuła, jak jego dusza przemawia do niej. Było to tak wyraźne jak słońce na twarzy czy wiatr we włosach. Jason mógł być jej. Gdyby odważyła się zaryzykować własne serce.

Zmieszana i niepewna, Gwendolyn zaczęła się odsuwać, odrywając usta od jego ust. Natychmiast odezwał się w niej ostry, szarpiący ból. Jason ścisnął ją mocniej w pasie, nie pozwalając uciec. Czekał.

Gwendolyn stała bez ruchu, napięta i pełna pożądania. Niezależnie od okoliczności wiedziała, że ten człowiek stanowi jej uzupełnienie, sprawia, że są całością. Z jego czarem i wadami, zmysłowością i szalonymi postępami, nie mogła zaprzeczyć, że był jej jedyną, prawdziwą miłością.

Spojrzała na Jasona. W jego oczach dostrzegła błysk nadziei i jej serce się ścisnęło. Po tym wszystkim, co wycierpiała, co straciła, czy naprawdę mogła odnaleźć szczęście? Czy zdoła stłumić

żał oraz poczucie zdrady i dać mu drugą szansę?

Długo trwało, zanim się odezwała.

- A gdybym cię poprosiła, żebyś odszedł?

- Odszedłbym. - Roześmiał się gorzko. - Ale wróciłbym. Jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze.

Jego słowa nie pozostawiały wątpliwości. Nie zamierzał z niej zrezygnować.

Położyła dłoń na sercu.

- Może więc najlepiej będzie, jeśli zaczniemy od początku, bez żadnych kłamstw, które by nas dzieliły.

Uśmiechnął się, uszczęśliwiony, ale w oczach miał głód, który sprawił, że Gwendolyn zadrżała. Czowała bijące od niego ciepło i przyłgnęła do niego.

Chciała się w nim zagubić, aż znowu staną się jednością.

Jej ciało pragnęło cudownej przyjemności, jaką Jason potrafił jej dać, ale to serce pchnęło ją do działania. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała. Nagle przestało się liczyć cokolwiek poza nim.

Powoli pocałunek się zmienił. Jego usta przestały tak naciskać, język dotykał delikatnie wnętrza jej ust. Wsunął dłonie w jej włosy. Gwendolyn wiedziała, że dokonała dobrego wyboru. Nigdy nie zapragnie nikogo innego w łóżku, w życiu. Nigdy nie będzie się czuła taka związana z innym mężczyzną. Tylko z Jasonem.

Napięcie wzrastało. Nie mogła złapać tchu. Walczyła krótko z ogarniającą ją mgłą, a potem się poddała, powierzając swoje bezpieczeństwo i szczęście Jasonowi.

Kiedy pragnienie stało się nieznośne, oderwał od niej usta. Zatoczyła się, oszołomiona, na miękkich kolanach. Widziała, jak podchodzi do drzwi, zamyka je starannie i przekręca klucz w zamku. Rozpinając koszulę, przeszedł

z powrotem przez pokój. Chwilę później Gwendolyn leżała na łóżku, a Jason gorączkowo rozpinął jej suknię.

Usunął kolejne warstwy materiału, całując ją po całym ciele. Patrząc przymkniętymi oczami, jak ją obnaża, drżała w oczekiwaniu. W jego ruchach nie było łagodności czy spokoju. Pożądanie było zbyt silne, namiętność zbyt gorąca.

Gwendolyn nigdy nie doznała czegoś podobnego. Czowała intensywną przyjemność, ale wiedziała, że czeka ją dużo więcej. Chciała dostać wszystko.

Poczuła jego ciepłe dłonie na udach, kiedy zsuwał jej ubranie poniżej kolan.

Odwrócił się lekko, ściągnął kubrak, potem zsunął koszulę przez głowę.

Ujrzała naga, umięśnioną i pokrytą złotawymi włoskami pierś. Światło księżyca nadawało jego ciału cudowny, ciepły odcień.

Odpiął spodnie jedną ręką i odwrócił się znowu do niej. Gwendolyn położyła dłonie na jego szerokiej, twardej piersi, podnosząc się do pocałunku.

Całowali się, a Jason wodził dłońmi po jej biodrach i brzuchu.

Łóżko zaskrzypiało głośno, kiedy nakrył ją sobą. Wspomnienie dojmującej samotności, jakiej doznawała przez ostatnie cztery lata, zatarło się całkowicie.

Jason złożył delikatnie twarz między jej piersiami, obsypując jej nagie ciało pocałunkami.

Sunął ustami po jej brzuchu i gładkiej skórze uda. Szorstki zarost tarł o jej skórę, rodząc dodatkowe doznania.

Poruszyła się niespokojnie, czując jego ciepły oddech między udami.

Pocałował ją tam, słodko, delikatnie, pieszcząc ją dłońmi.

- Nie powinieneś - szepnęła, otwierając szeroko oczy. - To takie...

niewłaściwe.

- Jesteś moja - oświadczył. - I obiecuję robić z tobą dzisiaj w nocy wszelkie możliwe niestosowne rzeczy. Nie będzie między nami więcej tajemnic, Gwendolyn. Zrobimy wszystko, żeby dać sobie rozkosz.

Trzymając ją za nadgarstki, ciągnął pieszczotę, aż westchnęła i zapadła głębiej w materac.

Bezwstydnie rozsunęła szerzej uda, napawając się pozbawioną hamulców namiętnością. Chciała go całego.

Doznanie było tak silne, że niemal nie do zniesienia. Wygięła się w łuk, unosząc biodra. Zadrzała z rozkoszy.

- Mój Boże, Gwendolyn - szepnął. - Jak bardzo cię potrzebuję.

Przesunęła się, tak żeby widział jej twarz. Był taki przystojny. Pogładziła czule jego pierś, przywierając do niej ustami. Miał skórę wilgotną od potu, o słonym smaku. Wdychała łapczywie jego zapach.

Poruszył się tak nagle, że nie zdała sobie sprawy, co się dzieje. Znalazła się na plecach, pod nim. Z łobuzerskim uśmiechem Jason rozsunął jej kolana i podniósł się, po czym wsunął się w nią głęboko.

Wsparty na ramionach znieruchomiał, patrząc na nią z miłością.

- W porządku?

Poczuła łzy pod powiekami.

- Tak - szepnęła. Musnęła palcami jego policzek, patrząc na ukochaną twarz i podnosząc biodra.

- Boże, jesteś cudem.

Gwendolyn się uśmiechnęła. Westchnęła i zamknęła oczy, napawając się chwilą. Połączyli się. Sercem i ciałem.

Otworzyła oczy i ponownie poruszyła biodrami. Jęknął. Wygięła plecy, ocierając się nagą pierś o jego pierś. Wydał cichy pomruk i zaczął się poruszać, zwiększając powoli tempo.

Przez cały ten czas patrzył jej głęboko w oczy, ani na chwilę nie odwracając wzroku, nie przerywając doskonalej więzi, jaka się między nimi wytworzyła.

- Ty naprawdę mnie kochasz - szepnęła z sercem ściśniętym ze szczęścia.

- Kocham. I zawsze będę kochać.

Jego słowa wywołały natychmiastowy skutek. Gwendolyn zaczęła drżeć.

Krzyknęła, a Jason zakołysał biodrami, wsuwając się dalej i głębiej, aż drzenie ustało.

Przesunął ręce z jej bioder na pośladki. Poruszał się teraz w szaleńczym rytmie, aż nagle zamarł i krzyknął. Gwendolyn przycisnęła go mocno do siebie.

Gładziła go po plecach, szepcząc miłosne słowa.

Po długiej chwili milczenia się podniósł. Miał spokojną, zadowoloną twarz, kiedy schylił się, żeby pocałować ją lekko w usta. Gwendolyn, z uśmiechem, przekreśliła się na bok, wtulając się w niego.

Tym razem nie miała poczucia winy. Żadnych wyrzutów, że zdradziła siebie samą, kochając się z człowiekiem, który należał do innej. Był jej i tylko jej, na tak długo, jak chciała.

Boże, jak bardzo go chciała!

Pocałowała ciepłą skórę na jego piersi. Czowała się ociężała i śpiąca, ale walczyła ze snem.

- Jesteś pewien co do ślubu? - zapytała.

Jason poruszył się i spojrzał na nią gniewnie.

- Tak, chcę się z tobą ożenić. Czy nie pytałem cię o to przynajmniej dziesięć razy?

- Tak. Ale nie chcę, żebyś się czuł zobowiązany poprosić o moją rękę, ponieważ zbliżyliśmy się do siebie fizycznie - odparła, bawiąc się włosami na jego piersi.

- Nie zbliżyliśmy się do siebie fizycznie. Kochaliśmy się. Kilka razy, a każdy następny był lepszy od poprzedniego.

Podniosła się na łokciu.

- To było cudowne.

- Tak. - Pochylił się i pocałował ją w nos. - I zapewniam cię, kochana, że bycie z tobą to zupełnie coś innego, niż dotąd doświadczyłem. Wiem, że to coś więcej niż zwykłe zbliżenie fizyczne. Ostatecznie nie oświadczałem się każdej kobiecie, z którą spałem.

- Wyobrażam sobie, że to uczyniłoby z ciebie przestępcę, bigamistę -

powiedziała sucho.

Wzruszył ramionami.

- Było ich zbyt wiele, żeby liczyć.

Gwendolyn parsknęła.

- Oto coś, żeby wprawić kobietę w świetny humor i napełnić wiarą w dobrą przyszłość.

- Chciałaś, żebym był uczciwy - odparł z bezwstydnym uśmiechem.

- Uczciwość to jedno, Jasonie. Co innego usłyszeć coś podobnego.

- Nie mogę zmienić przeszłości - oznajmił uroczyście.

- Nie proszę o to. Wiem, że nie jestem pierwszą kobietą w twoim łóżku.

Spodziewam się jednak, że będę ostatnia.

- Będiesz, ponieważ cię kocham. Tylko ciebie. - Jason spoważniał

i zmarszczył brwi. - Co za zdumiewająco nieskromny, niedelikatny i niestosowny temat do dyskusji z kobietą. Z moją kobietą. Jesteś wyjątkowa, najdroższa. Jest jednak coś, co musisz zrozumieć, przyjąć do wiadomości, Gwendolyn. Mój brat Jasper jest dobrym synem, odpowiedzialnym, godnym szacunku

członkiem

rodziny.

Ja

jestem

tym

niespokojnym,

nieodpowiedzialnym, skandalizującym - ciągnął. - Jako młodzi ludzie obaj byliśmy huncwotami, oddającymi się z zapałem najdzikszemu wybrykom.

W jakiś sposób Jasper zdołał poskromić swoją dziką naturę, opanować szaleństwo. Stał się absurdalnie poprawny i szacowny. Podczas gdy ja... cóż, pozostałem taki sam.

Przechyliła głowę, patrząc na niego. Zdała sobie sprawę, że nie kpi z niej, tylko mówi poważnie. Może nie był wzorem cnót przez większość dorosłego życia, ale Gwendolyn była pewna, że jest w nim dobro, prawość, nawet szlachetność, ponieważ to widziała. Przycisnęła palec do jego warg.

- Nie mów takich rzeczy.

- To prawda.

- Niezupełnie. - To, w jaki sposób Jason opisał własny charakter, świadczyło o wrażliwości, która poruszyła Gwendolyn. Oczywiście, że popełniał błędy, robił rzeczy, których żałował, dokonywał niewłaściwych wyborów. Czy nie tak samo, jak wszyscy? Nie wykluczając jej samej?

W przekonaniu Gwendolyn było ważniejsze, aby mężczyzna miał silny charakter i szlachetne serce, aniżeli zachowywał się nienagannie.

- Jesteś dobrym, wyjątkowym człowiekiem, Jasonie Barrington -

powiedziała zdecydowanie. - Sprzeciwię się każdemu, kto zechce twierdzić coś innego. Włącznie z tobą.

Przez chwilę wydawał się zmieszany.

- To dla mnie niezwykle doświadczenie mieć tak zdecydowanego obrońcę.

Pogłaskała go po włosach.

- Lepiej się przyzwyczaj.

Smutek znikł z jego oczu, zastąpiła go nadzieja.

- Naprawdę zamierzam się zmienić, Gwendolyn. Chcę zmienić swoje zachowanie, tryb życia. Powiadają, że skruszony hulaka to najlepszy mąż.

Zmarszczyła nos i się roześmiała.

- Co za śmieszna myśl! Dobrzy mężczyźni o szczerym sercu i uczciwych zamiarach są najlepszymi mężczyznami.

- W istocie. Ale mężczyźni, którzy mają cel w życiu, odznaczają się stałością.

- A jaki jest twój cel?

Uśmiechnął się.

- Dopilnować, żebyś była najszczęśliwszą, najbardziej zadowoloną z życia, najbardziej rozpieszczaną i kochaną kobietą na ziemi.

Ten chłopięcy czar podbił całkowicie jej serce.

- Nie obciążam nikogo odpowiedzialnością za swoje życie. Spodziewam się, że małżeństwo będzie partnerskim związkiem, w którym obie strony kochają się i szanują - powiedziała. - Ale nie mogę nie przyklasnąć twoim szczytnym celom, kochany.

Roześmiał się.

- Czy to znaczy, że za mnie wyjdiesz?

Gwendolyn przytuliła się do niego, ciesząc się dotykiem jego dłoni na biodrze.

- Och, tak, Jasonie. Wyjdę za ciebie na pewno.

Następnego ranka Gwendolyn, zamyślona, udała się do Moorehead Manor.

Chociaż wcześniej wzięła długą, leniwą kąpiel, wciąż czuła zapach Jasona na skórze i obolałość w mięśniach.

Spali krótko tamtej nocy, wtuleni w siebie. Obudziwszy Jasona, Gwendolyn szepnęła, że będzie musiał wyjść przed świtem. Jason oznajmił z uśmiechem, że wyslizgnie się przez okno i zsunie po pnączach, żeby nikt go nie spostrzegł.

Pomogła mu znaleźć ubranie. Włożył koszulę, spodnie, buty. Kiedy się żegnali, Gwendolyn położyła mu dłoń na piersi i wspięła się na palce, żeby

pocałować go w policzek, ale odwrócił głowę i ich usta się spotkały. Przesunął

ręce w dół i pocałunek zmienił się w coś, nad czym nie mogli zapanować.

Opadli na podłogę, Jason ustawił ją na kolanach, tyłem do siebie. Ujął

dłońmi jej biodra, wchodząc w nią.

Zadrżała, ogarnęło ją gorąco, czuła narastającą rozkosz. Jason pochylił się nad nią, odsuwając włosy i pieszcząc jej szyję. Słyszała jego ciężki oddech, widziała ich odbicie w lustrze.

Przewrócili się na ziemię, czekając, aby ich serca zaczęły bić wolniej, a oddech się uspokoił. Jason odszedł w końcu, kiedy na horyzoncie pojawiła się zapowiedź świtu. Przysiągł, że będzie tęsknił za nią straszliwie.

Nie poczynili żadnych planów na dzisiejszy dzień, ale Gwendolyn, wspominając miłosną noc, uznała, że to dowód nie tylko jej miłości, ale i całkowitego zaufania do Jasona. A skoro ufała mu całym sercem, z pewnością mogła wyjawić mu prawdę o wuju.

- Lord Fairhurst nie przyjmuje dziś rano gości, panno Ellingham -

oświadczył lokaj, otworzywszy drzwi.

- Sądzę, że uczyni wyjątek w moim wypadku, Snowden - odparła Gwendolyn z pewnym siebie uśmiechem.

- Rozkazy były wyraźne. - Lokaj odchrząknął. - Jednakże brat jego lordowskiej mości, pan Barrington, także zostawił rozkazy, żeby zawiadomić go natychmiast, gdyby się pani zjawiała.

Gwendolyn usiłowała ukryć zdumienie, zastanawiając się, co lokaj wie na temat lorda Fairhurst i jego brata. Bardzo chciała o to zapytać. Nie zrobiła tego jednak, wiedząc, że Snowden jest dobrze wyszkolonym służącym i nie będzie się dzielił swoimi opiniami o pracodawcy.

Gwendolyn odmówiła poczęstunku, zaproponowanego przez lokaja, i zaczęła przemierzać niespokojnie pokój, czekając na Jasona.

- Muszę z tobą pomówić - oznajmiła, gdy tylko wszedł.

- Uśmiechnął się.

- Zamieniam się w słuch.

- To poważna sprawa.

Skinął głową. Usiadł na wyściełanym krześle pod oknem i wskazał krzesło naprzeciwko.

- Lepiej usiądź tutaj, wątpię, czy zdołam się opanować, jeśli usiądziesz koło mnie na kanapie.

Posłuchała, chcąc zacząć - i skończyć - tę rozmowę jak najszybciej, ale kiedy spojrzała na jego przystojną, zaciekawioną twarz, zawiodły ją nerwy. Ile może mu powiedzieć? Wyraz miłości w jego oczach sprawił, że przestała się wahać.

Oparła się na poduszkach i zaczęła mówić, wyjawiając wszystko, co wiedziała o finansach wuja.

Jason słuchał uważnie, czasami zadając pytania, czasem wtrącając jakąś uwagę.

- Ach, więc to jednak Emma namalowała portret wiszący w galerii -

powiedział, kiedy skończyła.

- Wiedziałaś?

- Podejrzywałem to, ale szczerze mówiąc, wydawał mi się za dobry jak na kogoś, kto nie ma odpowiedniego wykształcenia. - Przechylił głowę na bok. -

I trudno mi było uwierzyć, że brała udział w oszustwie.

Gwendolyn poczuła, jak jej wargi układają się w ponurym uśmiechu.

- Emma nie zdawała sobie sprawy, w czym bierze udział. Jest teraz załamana. Chociaż twoje uznanie dla jej talentu podniesie ją na duchu. Powiem jej...

- Jaśnie panie! - Drzwi bawialni otworzyły się gwałtownie i jeden z ogrodników, wyraźnie przerażony, o błędnym spojrzeniu, wpadł do pokoju. -

Proszę szybko przyjść. To pan Ardley. Jest ciężko ranny.

Ani Jason, ani Gwendolyn nie pofatygowali się, żeby wyjaśnić służącemu, iż nie zwraca się do lorda Fairhurst. Oboje wybiegli na dwór.

Przed stajniami stał krąg służących. Kiedy Gwendolyn i Jason się zbliżyli, grupa się rozstała i

Gwendolyn jęknęła głośno, widząc zarządcę.

Mężczyzna leżał rozciągnięty na ziemi w podartym kubraku i spodniach.

Twarz miał tak spuchniętą, że nie sposób było go rozpoznać, oczy zamknięte, powieki nabrzmiące i blade. Wokół jego ust i na koszuli widniały plamy zaschłej krwi. Sińce na spuchniętym policzku i szczęce zaczynały już nabierać ciemnofioletowej barwy.

Czując nieprzyjemny skurcz w żołądku, Gwendolyn uświadomiła sobie, że nie poznałaby pana Ardleya, gdyby ogrodnik nie powiedział, że to on.

- Mój Boże, co się stało? - zapytał Jason, schylając się i badając puls zarządcy.

- Nie mamy pojęcia - odparł ogrodnik. - Ned sprzątał boksy, kiedy usłyszał

stukot kopyt przed stajnią, wystawił głowę na zewnątrz akurat wtedy, jak pan Ardley zsuwał się z konia. Zawołał po pomoc i wszyscy przybiegliśmy.

Jason zwrócił się do chłopca stajennego.

- Widziałeś kogoś jeszcze?

- Nie. Tylko pana Ardleya. Był pochylony do przodu i obejmował konia za szyję. Nie wiem, jak zdołał się utrzymać w siodle tak długo.

- Istotnie. - Jason zadrżał. - Puls ma regularny, ale słaby. Wydaje się, że nogi ma złamane przynajmniej w dwóch miejscach. Ręce też.

- Ramię? - zapytała Gwendolyn, zaniepokojona dziwnym kątem, pod którym było ułożone.

- Zwichnięte - stwierdził Jason. - W tej chwili to jest najmniej groźne.

Pojawił się lord Fairhurst.

- Co się dzieje? Snowden powiadomił mnie, że zdarzył się wypadek.

- To nie wygląda na wypadek - stwierdził ponuro Jason.

Gwendolyn zauważyła, że lord Fairhurst się wzdrygnął, spojrzawszy na Ardleya.

- Mój Boże, kto to jest? Znamy go?

- To Ardley. - Jason się pochylił i szepnął coś bratu na ucho.

Gromada gapiów, wraz z Gwendolyn, cofnęła się, pozostając jednak na dziedzińcu. O ich przerażeniu i powadze sytuacji świadczył fakt, że nikt nie zwracał szczególnej uwagi na to, że było teraz dwóch lordów Fairhurst.

Gwendolyn odsunęła się jeszcze bardziej, stając obok konia zarządcy. Jeden z chłopców stajennych trzymał wodze wyczerpanego zwierzęcia.

Na bokach wierzchowca widać było czerwone smugi. Gwendolyn, przerażona, zdała sobie sprawę, że to krew pana Ardleya.

- Musimy założyć mu łupki na nogi, zanim wniesiemy go do domu -

zdecydował Jasper. Zwrócił się do najbliższego służącego. - Znajdź cztery długie deski, które posłużą za łupki i do tego czyste bandaże. Potem poślij kogoś po doktora. Niech mu powie, że potrzebujemy go natychmiast.

- Tak, jaśnie panie. - Człowiek skłonił się nisko i odszedł pośpiesznie.

Gwendolyn pokręciła głową ze zdumieniem. Mogło być dwóch ludzi, którzy wyglądali jak lord Fairhurst, ale było zupełnie jasne, kto był prawdziwym wicehrabią.

Żądane przedmioty szybko przyniesiono, pojawił się także blady jak płótno Snowden. Próbował rozpędzić służbę, ale udało mu się jedynie ich trochę odsunąć. Wielu udawało, że zajmuje się pracą, ale pozostawali w zasięgu wzroku i słuchu.

Gwendolyn zauważyła, że teraz to Jason kieruje bratem, instruując go, jak i gdzie umieścić łupki, podczas gdy sam podwiązywał je szybko długimi paskami płótna. Pracowali w skupieniu, oszczędnymi ruchami.

Patrząc na ręce Jasona, Gwendolyn zastanawiała się, gdzie nabył takie umiejętności.

- Wiesz, co robisz? - zapytała, podchodząc bliżej.

- Młodzi hulacy, którzy zwykli ścigać się w powozach na złamanie karku, często ulegają wypadkom - odparł, nie podnosząc oczu.

- Sprowadzanie doktora może trwać godzinami, kiedy jest się na opuszczonej, wiejskiej drodze. Widziałem i złożyłem wiele połamanych członków.

Jason sprawdził łupki, przewrócił delikatnie Ardleya na bok, po czym szybkim, wprawnym ruchem nastawił zwichnięte ramię. Ardley nie wydał

żadnego dźwięku, choć ból musiał być okropny. To ją zmartwiło jeszcze bardziej.

- Czy coś powiedział? - zapytał Jasper. - Czy wyjaśnił, jak to się stało?

- Nie - odparł Jason. - Był nieprzytomny, odkąd go znalezione. Bóg jeden wie, jak długo siedział na koniu. Jeśli to potrwa dłużej, boję się, że może się już nigdy nie obudzić.

Jasper zmarszczył brwi.

- Biedny człowiek, pobito go niemal na śmierć.

- To pewnie ci bandyci - szepnął ze strachem jeden z chłopców stojących. -

Ci sami, którzy napadli na powóz jaśnie pana.

Po twarzy Jaspera przemknęło zdumienie i Gwendolyn się domyśliła, że nic nie wie o napadzie.

- Jest za wcześnie, żeby coś powiedzieć - odparł wicehrabia. - Ale nie dopuścimy, aby takie okrucieństwo pozostało bez kary. Zamierzam osobiście poprowadzić śledztwo.

- Byłoby dobrze porozmawiać z kimś, kto widział Ardleya, zanim ten odjechał wczoraj wieczorem - zauważył Jason. - Mówił mi, że jedzie do Haslet w sąsiednim hrabstwie, żeby obejrzeć jakieś bydło. Może zboczył w którymś momencie z drogi.

- Zaczęę przepytować służbę - oznajmił Jasper. - I musimy wysłać kogoś na tę farmę, żeby sprawdzić, czy tam w ogóle dotarł.

Te słowa dźwięczały Gwendolyn w uszach. Ich sens dotarł do niej dopiero po chwili, wstrzymała oddech.

- Muszę natychmiast wrócić do domu! - zawołała, odwracając się na pięcie i biegnąc w stronę stajni po konia.

- Poczekaj! Gwendolyn, co się stało? - zapytał Jason, podążając za nią.

Zatrzymała się i odwróciła, wahając się przez mgnienie oka.

- Chodzi o wuja. Myślę, że towarzyszył panu Ardleyowi w tej podróży.

A kiedy wychodziłam dzisiaj rano z domu, jeszcze nie wrócił.

Jason nie pozwolił Gwendolyn odjechać samej. Nie podobało się jej, że ma poczekać, ale nalegał. Po krótkiej rozmowie z bratem i szybkiej wizycie w pokoju, skąd zabrał pistolet, wyruszyli oboje.

Wszystko wydawało się takie, jak zawsze, kiedy wjechali na dziedziniec przed domem Ellinghamów. Na zewnątrz kręciło się paru służących, którzy -

jak zwykle - zajmowali się swoją pracą. W domu Jason i Gwendolyn zastali kobiety w bawialni. Ciotka Mildred haftowała, Emma siedziała nad szkicownikiem, a Dorothea czytała gazetę.

- Nie, wuj jeszcze nie wrócił z podróży - stwierdziła ciotka Mildred w odpowiedzi na niespokojne pytanie Gwendolyn. - Chciałabym, żeby się pośpieszył. Jest parę spraw, których powinien dopilnować. - Z szerokim uśmiechem zwróciła się do gościa. - Zechce się pan czegoś napić, lordzie Fairhurst?

Jason uśmiechnął się czarująco i spojrzał na Gwendolyn, oczekując wskazówek. Pora nie była

najbardziej odpowiednia, żeby wyjawiać swoją tożsamość, ale nie chciał dłużej ciągnąć tej maskarady.

- To nie jest lord Fairhurst, ciociu Mildred - powiedziała Gwendolyn obojętnym tonem.

Starsza kobieta zamrugła oczami.

- Doprawdy, Gwendolyn, co to za żarty? Martwię się o twojego wuja, ale zmartwienie nie zmąciło mi umysłu, ani też nie zaburzyło wzroku. Poznaję wicehrabiego, kiedy go widzę.

Gwendolyn zacisnęła wargi.

- To pan Barrington, brat bliźniak lorda Fairhurst. Przyjechał do Willoughby dopiero wczoraj.

Ciotka Mildred poruszyła się na krześle, wlepiając w niego oczy.

- Jesteś pewna, że to nie wicehrabia?

Gwendolyn parsknęła i przewróciła oczami.

- To wielki zaszczyt poznać panią. - Chcąc oszczędzić Gwendolyn dalszych wyjaśnień, Jason wysunął się naprzód, kłaniając się nisko. - Powiadają, że podobieństwo między mną a wicehrabią jest uderzające, ale zwykłem myśleć, że z nas dwóch ja jestem przystojniejszy. Czy zgodzi się pani ze mną?

Ciotka Mildred zachichotała, potem się zaczerwieniła.

- Sądzę, że gdybym musiała wyrazić swoją opinię, dałabym panu lekką przewagę.

- Inteligencja w parze z urodą. - Jason uniósł lewą brew. - Teraz rozumiem, skąd u Gwendolyn obie te zalety w takiej obfitości. To wyraźnie cecha rodzinna.

Broda ciotki Mildred się zatrzęsała, kiedy kiwnęła głową, uśmiechając się niemądrze.

- Czy mogę pozwolić sobie na śmiałość i zapytać, czy istnieje pani Barrington?

- Niestety, jeszcze nie. - Jason uśmiechnął się łobuzersko.

- Pragnę jednak wkrótce dostąpić małżeńskiego szczęścia. - Spojrzał

znacząco na Gwendolyn, która wyglądała niespokojnie przez okno na podjazd, nie zwracając uwagi na rozmowę.

- Co za pomysł! - wykrzyknęła Emma, marszcząc nos ze zdumienia. -

Dopiero co poznał pan moją siostrę.

- To prawda, panno Emmo - zgodził się swobodnie Jason. - Jedno spojrzenie wystarczyło, abym

odkrył pragnienie swego serca.

Emma zwróciła głowę w jego stronę. Przyglądała mu się krótką chwilę.

- Skąd pan zna moje imię? Poznałam tylko lorda Fairhurst, nie jego brata bliźniaka.

Przyłapany! Jason uśmiechnął się szerzej. Przynajmniej Emma nie była głupiutką gąską.

- Gwendolyn tyle mi o was wszystkich opowiadała, że czuję się, jakbym znał doskonale całą rodzinę.

- Dziwne, że nigdy o panu nie wspomniała - stwierdziła suchym tonem Dorothea, sztyletując go wzrokiem.

- Nie było kiedy - odparła Gwendolyn zmęczonym głosem.

- Poznałam pana Barringtona wczoraj, podczas wizyty w Moorehead Manor.

Odsunęła się od okna i stanęła obok Jasona. Serce mu się ścisnęło na widok jej zmartwionej miny. Mogli jednak tylko czekać, aż wuj wróci. Cały i zdrowy.

- To była miłość od pierwszego wejrzenia - wyjaśnił Jason.

- Czyż takie nie są najlepsze? - Ciotka Mildred zachichotała nerwowo, jej oczy rozbłysły. - Powiedz mi, Gwendolyn, czy szczęśliwym zrzędzeniem losu podzielasz uczucia pana Barringtona?

Gwendolyn, wyraźnie zatopiona we własnych myślach, odwróciła się do ciotki.

- Słucham?

Jason objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Twoja ciocia pragnie się dowiedzieć, czy darzysz mnie serdecznym uczuciem?

- Och, tak, oczywiście. Jesteśmy zakochani do nieprzytomności.

- Och, mój Boże! - Ciotka Mildred pisnęła z zachwytem, zbyt podniecona niespodziewaną wiadomością, żeby zwrócić uwagę na dziwne, jak na zakochaną kobietę, zachowanie bratanicy. W gruncie rzeczy w głosie Gwendolyn nie było śladu zainteresowania. Jason pomyślał, że poczułby się urażony, gdyby nie wiedział, co ją gnębi.

Dorothea nie przestała mierzyć go podejrzliwie. Emma także nie wydawała się przekonana. Zauważył, że siostry wymieniają znaczące spojrzenia, i modlił

się, żeby doszły do porozumienia z korzyścią dla niego. Szybko stało się jasne, że nie musiał się martwić. Dorothea i Emma okazały się lojalne wobec Gwendolyn.

Skoro twierdziła, że się spotkali niedawno i natychmiast się zakochali, siostry ją poprą. Na razie.

- Och, żałuję, że twój wuj nie ma w domu - paplała ciotka Mildred. -

Wiem, że byłby zachwycony, mogąc poznać pana Barringtona. Może nawet porozmawiałby z nim na osobności...

Urwała, promieniejąc z zachwytu.

- Kiedy wraca wuj Fletcher? - zapytała Gwendolyn.

- Miał być w domu przeszło cztery godziny temu - odparła Emma. - Bardzo się spóźnia.

Emma podeszła do nich i Jason usłyszał, jak szepcze do siostry:

- Co tu się dzieje?

Gwendolyn pokręciła głową. Jason wzruszył ramionami, panując nad wyrazem twarzy. Chciał poczekać na brata i się dowiedzieć, co odkrył Jasper, zanim sam zacznie zadawać pytania siostrom Ellingham.

Następne dwadzieścia minut upłynęło na mało znaczącej rozmowie. Jason i Gwendolyn uchylali się od odpowiedzi na wszelkie ciekawskie pytania, jakie padały ze strony Emmy i Dorothei. Potem zapowiedziano wicehrabiego.

Jason ucieszył się, że zdążyli już wyjawić, iż jest bratem bliźniakiem lorda Fairhurst, ponieważ - nawet wiedząc o tym - panie Ellingham niemal zaniemówiły widząc ich obok siebie.

Jason wykorzystał tę chwilę, aby zapytać panią Ellingham:

- Co może nam pani powiedzieć o podróży pani męża?

Choć zaskoczona, ciotka Mildred odpowiedziała, nie zastanawiając się wiele:

- Niezbyt dużo. Wyjechał w interesach wczoraj wieczorem i miał wrócić dzisiaj wczesnym rano. - Powiodła spojrzeniem od Jaspera do Jasona. -

Podobieństwo w istocie jest wyjątkowe. Gdyby nie inny kolor stroju, nie sposób byłoby was odróżnić.

- Tak zwykle jest - odparł Jasper z pobłażliwym uśmiechem. -

Przypuszczam, że mój brat oznajmił już, że jest przystojniejszym z bliźniaków?

Ciotka Mildred się roześmiała.

- W istocie. Musi pan mieć się przy nim na baczności.

Emma śmiało wystąpiła naprzód. Przyglądała się im obu bardzo uważnie, badawczo i Jason widział,

że nie będzie łatwo przekonać ją, że to Jaspera poznała trzy tygodnie temu.

- Ciekawa jestem, czy pana wizyta dziś rano ma jeszcze jakiś inny cel, poza czysto towarzyskim?

- Obawiam się, że przynoszę smutne nowiny - odparł z powagą Jasper. - Mój zarządca został ciężko ranny.

Ciotka Mildred zmarszczyła brwi.

- Fletcher podróżował z panem Ardleyem. Boże, nie chce pan chyba powiedzieć, że mój mąż także miał wypadek?

- Nie jesteśmy pewni - odpowiedział Jason. - Ardley wrócił sam, a z tego, co wiemy, pan Ellingham jest zaginiony.

- Zaginiony? - Ciotka Mildred zatrzepotała rękami i zaczęła wydawać ciche jęki. - O Boże! O Boże! Wiedziałałam, że coś się stało.

Całe rano miałam przeczucie nieszczęścia, ale zmusiłam się, żeby je stłumić.

Opadła z powrotem na poduszki fotela, załamując dłonie. Dorothea uklękła obok, kładąc uspokajająco ręce na dłoniach ciotki.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o napadzie na Ardleya? - szepnął Jason do brata.

- Nie odzyskał jeszcze przytomności, a przy jego obrażeniach doktor uznał, że lepiej podać mu silny środek przeciwbólowy. Wątpię, żeby się obudził do rana.

- Ellingham nie może tyle czekać. - Jason zmarszczył czoło w zamyśleniu, wypowiadając głośno swoje przypuszczenia. - Sądzę, że Ardley i Ellingham próbowali zawrzeć umowę z lichwiarzami, ale coś poszło nie tak.

- Ardley i Ellingham byli współnikami?

Jason kiwnął głową.

- Pieniądze i przedmioty zabrane z majątku służyły do pokrywania długów z hazardu i spłacania lichwiarzy. Gwendolyn odkryła prawdę zaledwie parę dni temu. Wyjaśniła mi wszystko dzisiaj, tuż przed powrotem Ardleya. Jego stan wskazuje na to, że lichwiarze nie chcieli pertraktować.

Jasper gwizdnął cicho.

- Jeśli to prawda, to nasi przyjaciele prowadzili bardzo niebezpieczną grę.

Nie zdawali sobie sprawy, z jakiego pokroju ludźmi prowadzą interesy?

Próbować negocjować z lichwiarzem to tak, jakby wkładać rękę do klatki z lwem.

- Teraz za to płacą - szepnęła Gwendolyn.

Ledwie to powiedziała, kiedy otworzyły się drzwi. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Na progu stała służąca.

- Kucharka wyszła do ogródka, żeby zerwać trochę ziół do zupy. Kiedy wróciła, znalazła to na stole w kuchni.

Ciotka Mildred spojrzała, zaskoczona. Przez chwilę wydawało się, że odjęło jej mowę. Potem zeszywniała. Sięgnęła po list, ale pokojówka pokręciła głową.

- Jest adresowany do panny Gwendolyn.

Gwendolyn wzięła list. Złamała zwykłą czerwoną pieczęć i go przeczytała.

Otworzyła usta, po czym zamknęła je gwałtownie.

- Mają wuja Fletchera. Jeśli chcemy, żeby go wypuścili, musimy im zapłacić. Pieniądze mamy zostawić na skrzyżowaniu w Hartfield o szóstej dziś wieczorem.

Jason, nie dbając o maniery, wyrwał jej list z ręki. Przeczytał go i podał bratu.

- To niedorzeczne! - wykrzyknęła przerażona i zdumiona Dorothea. -

Dlaczego ktoś miałby porwać wuja Fletchera, żeby żądać od nas pieniędzy?

Nie jesteśmy bogatą rodziną.

- Mój drogi Fletcher nie ma wrogów - dodała ciotka Mildred, podnosząc się. - To musi być żart.

- To nie brzmi jak żart. - Gwendolyn wygięła z goryczą usta. - Jeśli nie zapłacimy, zwrócą go w dużo gorszym stanie niż pana Ardleya.

- Przynajmniej wiemy, że to ci sami ludzie - zauważył Jason, po czym, zwracając się do służącej, dodał:

- Czy widziano, kto przyniósł list?

Pokojówka znowu potrząsnęła głową, przygnębiona.

- Nie, jaśnie panie.

- Powinniśmy przesłuchać służbę - zaproponował Jasper. Jason zgodził się na to, choć obawiał się, że niewiele zdołają się dowiedzieć.

Upłynęło kilkanaście minut, zanim w salonie zebrała się cała, niezbyt liczna, służba. Jak można się

było spodziewać, nikogo obcego nie zauważono w pobliżu. Jason zaczął się przechadzać niespokojnie po pokoju. W jego głowie powstawały plany - każdy szalony. W końcu się zatrzymał i zwrócił do brata:

- Co zrobimy?

Jasper zmrużył oczy.

- Płacąc tym łajdakom, skłonimy ich tylko do dalszych żądań, ale po tym, jak potraktowali Ardleya, nie możemy ryzykować, że ich sprowokujemy.

- Może dostarczę im część pieniędzy, obiecując resztę, jeśli Ellingham wróci bezpiecznie? - zaproponował Jason.

- List był adresowany do mnie! - zawołała Gwendolyn z mocą, choć wydawała się nieco oszołomiona. - Napisali, że to ja mam zanieść pieniądze i jeśli nie będę się dokładnie trzymać instrukcji, wszyscy pożałujemy.

Jason podniósł dłoń.

- Jeśli wyobrażasz sobie, że się zgodzę, żebyś dostarczyła okup, to radzę ci, abyś to przemyślała raz jeszcze.

Gwendolyn westchnęła.

- Wierz mi, wcale nie chcę tam jechać. Ale instrukcje są jasne. Spodziewają się, że ja zostawię pieniądze. Nie mogę ryzykować życia wuja Fletchera, postępując inaczej.

Myśl o narażaniu Gwendolyn na niebezpieczeństwo sprawiała, że Jason oddychał z trudem. Uświadomił sobie, że miłość czasem sprawia ból.

- Nie mogę stawiać cię w takiej sytuacji. Włożę suknię i sam dostarczę okup.

Nie pozwolę ci się zbliżyć do tych drani!

Gwendolyn chwyciła go za rękę, ściskając ją mocno.

- Nie chcę zostać męczennicą, Jasonie. Ale nie dali nam wyboru.

- To może się udać - zauważył Jasper. - O ile przechylimy szalę na naszą korzyść, nie na ich. - Złożywszy palce w piramidkę, oparł brodę na czubkach palców. - Sądzę, że Jason mógłby udawać ciebie, przebierając się za kobietę, ale szczerze mówiąc, uważam, że najlepiej, gdyby został w polu, obserwując, jak dostarczasz pieniądze.

Jason gwałtownie pokręcił głową.

- Jasper...

- Jesteś najlepszym strzelcem, jakiego widziałem, Jasonie. Rozumiem twoje obawy i podzielam je, ale obaj wiemy, że będziesz znacznie skuteczniejszy, strzegąc Gwendolyn z daleka.

- Widzisz, nawet lord Fairhurst przyznaje mi rację - powiedziała.

Jason zaklął pod nosem. Rumieńce wróciły na policzki Gwendolyn. W jej aksamitnych, brązowych oczach pojawiły się iskry.

- Nie wiem, czy mam dość odwagi, żeby narazić cię na takie niebezpieczeństwo - szepnął.

Jasper stłumił parsknięcie.

- Zatem ja będę przynętą i włożę suknię oraz płaszcz.

- Nie! - zawołali jednocześnie Jason i Gwendolyn.

- Jeśli odkryją, że jest pan mężczyzną, zabiją pana i wujka Fletchera.

- Niestety, Gwendolyn ma słuszość - zgodził się niechętnie Jason. - To miejsce wybrano celowo. Przypuszczam, że będzie tam niewiele drzew i mało miejsc, gdzie można się ukryć, co działa zarówno na naszą korzyść, jak i przeciwko nam. Szybko się dowiemy, ilu jest wrogów, jednak trudno nam będzie ich otoczyć. Możemy zabrać tylko kilku ludzi. Takich, którzy najlepiej strzelają i nie wpadają łatwo w panikę.

Gwendolyn spojrzała na Jasona i jego brata.

- Zatem sama zaniosę pieniądze?

Jason podszedł bliżej, patrząc jej w oczy. Jej odwaga napełniała go pokorą.

Miała tak wiele wewnętrznej siły.

- Ja i Jasper przyczaimy się tam z paroma ludźmi, niewidoczni, ale gotowi reagować

na

każde

niebezpieczeństwo.

Będę

czuwał

nad

twoim

bezpieczeństwem.

Położył uspokajająco dłoń na ręce Gwendolyn.

- Nie będę się bała, wiedząc, że jesteś w pobliżu - powiedziała, uśmiechając się lekko.

Przez następne pół godziny opracowywali plan. W liście żądano, żeby dostarczyć pieniądze o szóstej tego samego wieczoru i Jason czuł przewrotne zadowolenie, że nie musieli czekać długo, żeby zacząć działać. Lepiej skończyć z tym szybko.

Jasper, dostojny i poważny, odjechał w końcu, ale Jason postanowił zostać jeszcze trochę w domu Ellingtonów. Przyniesiono tacę z podwieczorkiem, ale nikt się nią nie zainteresował. Ciotka Mildred siedziała wsparta na poduszkach na kanapie w otoczeniu bratanic.

Zauważył, że blady rumieniec wrócił na policzki starszej pani, chociaż przyciskała dłoń do czoła, jakby bolała ją głowa. Kiedy się zbliżył, wolno opuściła ramię.

- To straszne, przerażające wydarzenie, panie Barrington - szepnęła drżącym głosem.

- Okropne - odparł.

- Co robić?

- Proszę się nie martwić. Przygotowaliśmy plan i dziś wieczorem uratujemy pani męża - oznajmił z nieco sztuczną pewnością siebie.

Jason odetchnął głęboko i rozejrzał się uważnie dookoła. Gdzieś w głębi ducha aż drżał z podniecenia, ale na zewnątrz zachował chłód, postanawiając nie okazać straszliwego niepokoju. Przywódca powinien dawać przykład, a Jason bardzo chciał, żeby jego ludzie czuli się pewnie i nie wątpili w powodzenie ich planu.

Wiedział, że nie pogodzi się łatwo z faktem, że Gwendolyn odegra tak niebezpieczną rolę, ale nie spodziewał się, że to będzie aż tak trudne. Czuł się za nią odpowiedzialny.

Wszystkie siły skupił na wykonaniu zadania. Nie zwracał uwagi na to, że wiatr przycichł, a słońce zaczęło się opuszczać nad horyzontem. Nie odczuwał

chłodu ani wiszącego w powietrzu deszczu.

Mógł myśleć tylko o Gwendolyn. Mieli mniej niż godzinę, żeby zająć miejsca, z których - z ukrycia - widzieliby, jak dziewczyna przekazuje pieniądze, a także mieliby na oku kępy drzew i krzewów otaczające miejsce spotkania.

Jason dał znak Jasperowi i grupce jego ludzi. Gromadka się rozdzieliła, ruszając w różne strony. Zostawili konie przeszło milę stąd i resztę drogi przebyli pieszo. Poruszali się ostrożnie, biegnąc od krzaka do krzaka, żeby zdążyć przed pojawieniem się Gwendolyn.

Po zastanowieniu Jason usadowił się za głazem, leżącym na krawędzi niewielkiego wzniesienia. W ciągu paru minut dotarł do niego Jasper.

- Pozostali rozproszyli się wokół - powiedział. - Ci dranie nie zdołają stąd odjechać niezauważeni. Jeśli mają ze sobą wuja Gwendolyn, uratujemy go, kiedy dziewczyna zostawi pieniądze i odejdzie.

Jason kiwnął głową. Nie martwił się szczególnie losem Fletchera Ellinghama. Myślał tylko o Gwendolyn i o tym, żeby jej zapewnić bezpieczeństwo. Wyprostował się z trudem, czując, że przygniata go ciężar całego świata.

Czekanie ciągnęło się w nieskończoność. Panowała pełna napięcia cisza.

Nogi zaczynały Jasonowi sztywnieć od trwania w niewygodnej pozycji.

Poruszył się i, opierając rękę o głaz, przyjrzał się otwartej przestrzeni poniżej.

Z każdą minutą jego niepokój rósł.

Nagle jakiś ruch w odległym miejscu na horyzoncie zwrócił jego uwagę.

Dostrzegł Gwendolyn - jechała konno przez pole, z piórem przy czepku, powiewającym na wietrze. Z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości, wpatrywał się w przestrzeń przed nią, bojąc się, żeby nie wpadła w pułapkę.

- Czy ktoś pilnuje jej z bliska? - zapytał brata.

- Nie. Ryzyko odkrycia było zbyt duże. - Jasper lekko dotknął jego ramienia, chcąc mu dodać otuchy.

Jason nie spuszczał wzroku z Gwendolyn. Chociaż nie widział

bezpośredniego zagrożenia, dręczył go coraz większy niepokój. Gwendolyn wydawała się taka samotna i bezbronna.

Dobry Boże, czy to wszystko miało się okazać błędem? Jason zaklął, wściekł na siebie, że przystał na ten plan. Gwendolyn była łatwą ofiarą dla pozbawionych skrupułów złoczyńców. Poczł w sobie dziwną pustkę. Nie wyobrażał sobie życia bez Gwen. Gdyby coś jej się stało... Wstrzymał oddech.

Myśl była zbyt okropna, żeby ją dokończyć.

Brat spojrzł na niego spod zmrużonych powiek.

- Rozumiem, ile ona dla ciebie znaczy. Zrobimy wszystko, żeby włos jej nie spadł z głowy.

Jason poczuł się lepiej. Jego brat nie był człowiekiem skłonny do przemocy, ale Jason wiedział, że może mu zaufać. On sam dobrze sobie radził

z bronią palną, ale mało kto posługiwał się szpadą tak zręcznie jak Jasper.

Razem tworzyli groźną parę.

Jason wyteżał wzrok, śledząc każdy ruch Gwendolyn. Zaplanował wszystko najlepiej, jak się dało w tak krótkim czasie, zrobił co w jego mocy, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. On i jego ludzie wykorzystają element zaskoczenia, ale bał się, że bandyci będą podejrzewać, że Gwendolyn nie przybyła tu sama, a to zwiększało niebezpieczeństwo.

Mógł tylko mieć nadzieję, że przeciwnicy są zbyt pewni siebie i że chciwość pozbawi ich czujności. To przechyliłoby szalę na ich stronę.

Tak czy inaczej lada moment wszystko się rozstrzygnie.

Gwendolyn zbliżyła się ostrożnie do wyznaczonego miejsca. Oddech palił ją w piersi. Strach urósł teraz do rozmiarów paniki, ale zmusiła się, żeby zachować spokój. Musiała zachować chłodną głowę i pewną rękę. Jeden jej błąd i wuj pożegna się z życiem, a ona sama narazi się na wielkie niebezpieczeństwo.

Chociaż znała dobrze okolicę, wydawała jej się teraz złowieszczą i groźną.

Nie było słycać śpiewu ptaków, słońce nie świeciło, żeby dodać jej odwagi.

Im bardziej zbliżała się do miejsca, gdzie miała zostawić pieniądze, tym bardziej traciła pewność siebie.

A jeśli ci ludzie pojawią się nagle i zażądamy więcej pieniędzy? A jeśli im zapłacimy, a oni nadal nie będą chcieli uwolnić wuja Fletchera? A jeśli zaczną jej grozić?

Wtedy pomyślała o Jasonie. Krył się gdzieś tam, za drzewami, krzakami czy głązami, czekając i obserwując wszystko. Poczwała ulgę. Jason ją ochroni, nie dopuści, żeby spotkało ją coś złego.

Ale czy uda mu się także ochronić wuja Fletchera?

Pozwoliła nieść się koniowi, wiedząc, że zbliża się do wyznaczonego miejsca. W oddali dał się słyszeć słaby odgłos pioruna. Nagle błyskawica przecięła niebo. Ściągnęła wodze, żeby opanować płochliwą klacz. Miała nadzieję, że zdąży zostawić pieniądze i uciec przed letnią burzą.

Oparła się pokusie, żeby rozejrzeć się dokoła, obawiając się, że ludzie, którzy czekają na okup, także ją obserwują i mogą się domyślić, że nie posłuchała instrukcji i nie zjawiała się sama.

W końcu dotarła na miejsce. Zatrzymała klacz i siedziała chwilę nieruchomo. Potem skierowała się do kępy krzaków. Zeskoczyła na ziemię i przywiązała wodze do najniższej gałęzi.

Z sakwy przy siodle wyjęła ostrożnie mały skórzany trzos i zapięła torbę starannie z powrotem. Potem, nie zwracając uwagi na mrowienie na karku, podeszła do wielkiego dębu parę stóp dalej.

W liście kazano zostawić pieniądze u stóp drzewa. Gwendolyn kucnęła i położyła brązową sakiewkę przy pniu, zadowolona, że ciemny kolor nie złał

się z korą drzewa, wyprostowała się i spojrzała jeszcze raz, upewniając się, że sakiewkę łatwo zauważyć.

Wciągnęła głęboko powietrze i rozejrzała się nerwowo, zastanawiając się, czy zobaczy gdzieś wuja. Miała nadzieję, że jest blisko i że uda się go uratować. Minęła minuta. Potem następna. Uświadamiając sobie, że wuja nie da się natychmiast uwolnić, Gwendolyn zachowała się rozsądnie - odwróciła się i pomaszerowała w stronę konia.

Nie ośmieliła się obejrzeć, chociaż kusiło ją, żeby się upewnić, czy na pewno postąpiła zgodnie z instrukcją. Serce biło jej tak głośno, że nie słyszała szelestu gałęzi. Nie zauważyła też ruchu. Nagle obcy człowiek znalazł się tuż przy niej. Wyskoczył z ukrycia i ją złapał, kładąc jej rękę na ustach, zanim zdołała krzyknąć.

Wykrzywiając usta w gniewnym grymasie, przycisnął ją plecami do swojej piersi i pociągnął w stronę gęstych krzaków, za miejscem, gdzie stał uwiązany jej koń. Gwendolyn walczyła zapamiętane, wijąc się i kopiąc, ale nie mogła się wyrwać.

- Miałaś przyjechać sama - warknął jej do ucha.

- Jestem sama - wymamrotała przez palce przyciśnięte do jej ust. Strach pozbawił ją siły. Nie mogła już walczyć.

- Łgarstwo - burknął mężczyzna. - Naliczyłem co najmniej czterech ludzi ukrytych na polu.

- Musiałeś się pomylić.

- Kłamiesz. Złapaliśmy dwóch, ale nie chcą mówić.

Szarpnął ją. Jęknęła ze strachu i bólu. Zdając sobie sprawę, że walka tylko ją wyczerpuje, Gwendolyn zwiśla bezwładnie, udając, że zemdląła i mając nadzieję, że wytrąci to bandytę z równowagi.

Przewidział jej zachowanie. Podniósł ją wyżej, wzmacniając uchwyt. Drugą rękę mocniej przycisnął do jej ust, pozbawiając ją powietrza.

Krzyk uwiązał jej w gardle. Walcząc o oddech, poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Ścisnął ją tak mocno, że niemal straciła przytomność. Wpiła się palcami w jego przedramię, nie chcąc zemdleć naprawdę.

Ciągnął ją brutalnie po trawie. Bojąc się, że jeśli dotrą do zarośli, nigdy nie zdoła uciec, Gwendolyn wyętyła wszystkie siły. Wbiła pięty w miękką trawę, starając się spowolnić jego ruchy.

Ale był zbyt silny, żeby mu się przeciwstawić. Łzy płynęły po jej policzkach.

Usiłowała ugryźć go w rękę, którą zakrywał jej usta, ale bezskutecznie.

Nagle jakaś potężna postać wyskoczyła z krzewów i rzuciła się na bandytę.

Mężczyzna wrzasnął, zaskoczony. Gwendolyn upadła na ziemię, całkiem pozbawiona tchu. Kotłowali się przez chwilę. Gwendolyn zdała sobie sprawę, że nikt jej już nie trzyma i że jest wolna. Odturlała się na bok.

- Jason!

Wybawca się odwrócił. Włosy miał zmierzwione, kubrak podarty, koszulę i spodnie wybrudzone ziemią.

- Jesteś ranna?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, chwycił ją za ramię i pociągnął do góry.

Rozbójnik zaklął głośno i Jason zasłonił Gwendolyn własnym ciałem.

Gwendolyn się zachwiała, usiłując utrzymać się na nogach. Widziała wyraźnie napastnika. Był to szczupły, żyłasty mężczyzna. Twarz miał

wykrzywioną złością, oczy płonące wściekłością, usta zaciśnięte w wąską, okrutną linię.

Przez chwilę nikt się nie poruszał.

- On ma nóż! - krzyknęła Gwendolyn.

Jason drgnął, ale zaraz potem jego twarz zacięła się w wyrazie twardego uporu. Bandyta rzucił się na niego, kierując połyskujące w mroku długie, wąskie ostrze ku jego szyi.

Jason złapał go za nadgarstek. Walczyli o nóż. Choć Jason był wyższy, przeciwnik wydawał się dorównywać mu siłą. Gwendolyn szukała gorączkowo czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Na kolanach przesuwiała dłońmi po ziemi, kopiąc ją wściekle gołymi palcami, aż w końcu natknęła się na spory kamień.

Tak uzbrojona, podniosła się niepewnie na nogi, gotowa uderzyć.

Mężczyźni sapali i napierali na siebie. Nagle Jason puścił napastnika i wbił mu pięść w żołądek.

Rozległ się krzyk wściekłości, ale cios, zamiast osłabić wroga, wydawał się dodać mu energii. Warcząc ze złością, machnął nożem ku żebrom Jasona.

Gwendolyn usłyszała, że ktoś krzyknął i uświadomiła sobie, że to ona.

Dostrzegła ruch i słaby błysk polerowanego drewna, gdy w dłoni Jasona pojawił się pistolet.

Napastnik skoczył ku Jasonowi. Huknął wystrzał. Gwendolyn patrzyła oszołomiona, jak bandyta powoli osuwa się na ziemię z wyrazem zdumienia na twarzy.

Mała plamka krwi na jego piersi rozrosła się szybko, zalewając przód koszuli. Wolno odwróciła oczy od ponurego widoku i spojrzała na Jasona.

- Miał nóż - powtórzyła nieprzytomnie.

- Na szczęście, kochanie, ja miałem pistolet.

- Och, Jasonie!

Ulga była tak ogromna, że Gwendolyn zachwiała się na nogach. Zaraz otoczyły ją silne ramiona Jasona. Dotyk męskiego ciała uspokoił jej napięte do ostateczności nerwy.

Czuła, że Jason drży - on także przestał trzymać emocje na wodzy.

- Boże dopomóż, nigdy w życiu tak się nie bałem - szepnął chrapliwie, zanurzając twarz w jej włosach. - Kiedy zobaczyłem, że cię złapał, nie mogłem oddychać, wydawało mi się, że biegnę do ciebie godzinami. Bałem się, że nie zdążę. Nie mógłbym żyć, gdybym cię stracił, Gwendolyn.

- Ani ja - szepnęła. Odsunęła się trochę, patrząc mu w oczy z miłością.

Nie wiadomo skąd, pojawili się ludzie. Jason się odwrócił, podnosząc obronnym gestem nienaładowany pistolet. Na szczęście był to Jasper z obnażoną szpadą, na czele grupki mężczyzn.

- Złapaliśmy pozostałych - oznajmił. - Wystarczyła odrobina perswazji i powiedzieli nam, gdzie trzymają Ellinghama.

- Musimy tam natychmiast jechać! - zawołała Gwendolyn.

- Posłałem już paru ludzi - odparł Jasper. - Jeśli powiedziano nam prawdę, wkrótce powinni wrócić.
- Wicehrabia się rozejrzył, marszcząc nos, kiedy wyczuł unoszący się w powietrzu zapach prochu. -
Widzę, że opanowałeś sytuację, Jasonie.

Zapadła cisza, wszyscy spojrzeli na człowieka, który najpierw napadł na Gwendolyn, a potem zaatakował Jasona. Jego ciało było nieruchome, szkliste oczy wpatrywały się, nie widząc, w horyzont.

- Nie żyje? - zapytała przestraszona Gwendolyn.

Jasper ukląkł obok leżącego.

- Żyje. Puls ma stały i wyraźny. Kula przeszła przez mięśnie ramienia.

Sądzę, że na wylot. - Podniósł oczy i się uśmiechnął. - Mówiłem pani, panno Ellingham, że mój brat to znakomity strzelec.

- Trudno byłoby chybić z tej odległości - odparł Jason skromnie.

- Choć przyznam, że ledwie się powstrzymałem od tego, żeby mu strzelić prosto w serce.

- Jesteście pewni, że nic wam nie jest? - zapytał lord Fairhurst.

- Obojgu?

Gwendolyn skinęła głową. Bezpieczna w ramionach Jasona, czuła, jak jej troski odpływają. Poglądziła lekko jego plecy, napawając się poczuciem bezpieczeństwa.

- Dobry Boże, ci zbóje musieli przyłożyć mi po głowie mocniej, niż sądziłem, bo przysięgam, że teraz widzę podwójnie.

- Wuj Fletcher!

Usta Gwendolyn drżały, kiedy podbiegła do niego. Pokuśtykał jej na spotkanie. Miał podbite oko i parę widocznych sińców, ale objął ją ciepło i serdecznie.

- Co z Ardleyem? - zapytał wuj Fletcher.

- Poważnie ranny, ale jest nadzieja, że dojdzie do siebie - odparł Jason, wysuwając się naprzód.

- Fairhurst?

- Nie, Jason Barrington, brat wicehrabiego - odparł. - A wkrótce pański zięć.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Wuj Fletcher wydawał się oszołomiony.

Gwendolyn nie była pewna, czy był to wynik tego, co przeszedł, czy też oświadczenia Jasona.

- Jestem panu i pańskiemu bratu tak wdzięczny, że nie potrafię tego wyrazić słowami. - Zmarszczył czoło w wyrazie głębokiego zmartwienia. -

Choć może, kiedy poznacie całą prawdę, pożałujecie, że pośpieszyliście mi z pomocą.

- Oni już wiedzą - powiedziała Gwendolyn.

Starszy pan popatrzył na nich zawstydzony.

- Oddamy waszej rodzinie wszystko, co do szylinga. Przyrzekam.

- A zatem trzymam pana za słowo. - Jason westchnął głęboko. -

Chciałbym odprowadzić pana i pańską bratanicę do domu, panie Ellingham.

Mój brat zajmie się resztą.

Przyprowadzono dwa konie. Po wielokrotnych zapewnieniach wuja, że jest w stanie utrzymać się w siodle, usadowiono go na wierzchowcu. Gwendolyn czekała, aż przyprowadzą konia Jasona. Zaskoczył ją, wskakując na jego grzbiet, a potem sadzając ją przed sobą.

- Jedziesz ze mną - oznajmił stanowczo, jakby spodziewał się protestu.

Gwendolyn usiadła wygodnie i oparła się o jego pierś. Uśmiechnęła się, kiedy objął ją czułym, serdecznym gestem. Czowała się szczęśliwa.

W duchu zmówiła modlitwę dziękczynną za całe dobro, jakie ją spotkało w życiu.

To była spokojna, triumfalna podróż do domu.

Wszyscy się zgadzali, że to wymarzony dzień na ślub. W sierpniu pogoda bywała wilgotna, duszna, niekiedy bardzo upalna. Dzisiaj jednak błękitne niebo zdobiło zaledwie parę białych chmurek, a słońce świeciło jasno, grzejąc przyjemnie.

Tłum zgromadzony w kościele Świętego Jerzego przy Hanover Square poruszał się niespokojnie w ławkach, czekając na pannę młodą, która spóźniała się już kwadrans. Wielu o niej słyszało, ale bardzo nieliczni mieli już okazję zobaczyć tajemniczą dziewczynę ze wsi w Yorkshire, która w jakiś sposób zawładnęła sercem jednego z najbardziej skandalizujących kawalerów londyńskiej socjety.

Rozpowiadano najdziwniejsze plotki, jakich musiała użyć środków, żeby złowić taką zdobycz, bo Jason Barrington nie był człowiekiem, który dobrze znosił samą wzmiankę o małżeństwie. Szantażowała go? A może rzuciła na niego potężny urok miłosny? Czy była majętna? Miała piękną twarz i figurę?

A może wszystko razem?

To wszystko, jak i wiele innych rzeczy, nawet dużo dziwniejszych, stało się tematem rozmów, odkąd pojawiły się zapowiedzi ślubne. W kręgach dżentelmenów z klubu przeważała opinia, że przyszedł pan młody postarał się przed ślubem o dziecko i teraz musiał postąpić przyzwoicie.

Hulaka i utracjusz Jason Barrington uchodził jednak, i słusznie, za dżentelmena.

Na szczęście Gwendolyn, wysiadająca z eleganckiego powozu przed kościołem, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z plotek. Przyszli teściowie bardzo się zaangażowali w przygotowania ślubne i we wszystkim widać było ich rękę.

Szczegóły uroczystości nie stanowiły zresztą sprawy pierwszej wagi dla panny młodej ani pana młodego. Byli zachwyceni, że matka Jasona zechciała się wszystkim zająć. Hrabina zaś była wdzięczna losowi, że pozwolił jej wreszcie zaplanować normalny ślub, jako że jej córka uciekła z kochankiem, a drugi syn rozpoczął życie małżeńskie w sposób dalece niekonwencjonalny, których to okoliczności nigdy do końca nie ujawniono.

Gwendolyn z radością zdała się na matkę Jasona. Cieszyło ją też serdeczne przyjęcie, jakie zgotowała jej nowa rodzina. O skandalu z przeszłości, który tak ją martwił, nie wspomniano w ogóle. Przyjęto ją - o czym zapewniał ją przedtem Jason - z otwartymi ramionami.

Zgodnie z życzeniem Jasona przyjechali do Londynu, żeby wziąć ślub. Był

to zupełnie inny świat niż ten, w którym się wychowała. Ale wydał jej się intrygujący i na ogół przyjemny. Choć z drugiej strony, przyznawała, że z Jasonem u boku byłaby szczęśliwa w każdym miejscu.

W ciągu minionych paru tygodni nauczyła się doceniać wzajemne oddanie, jakie okazywali sobie Barringtonowie, choć czasami trudno jej było zrozumieć dość zmienne stosunki łączące Jasona z bratem bliźniakiem.

Siostra Jasona, Meredith, okazała się kopalnią wiedzy, a matka taktowną nauczycielką reguł rządzących socjetą. Spotkanie z żoną Jaspera, lady Claire, było dla Gwendolyn silnym przeżyciem. Poczła ogromną ulgę, stwierdzając, że Claire jest pozbawioną pretensji, skromną kobietą, darzącą męża szczerym i gorącym uczuciem.

A teraz to ona miała zostać żoną. Gdy weszła do kościelnego westybulu, do jej uszu doleciał dźwięk organów i szmer rozmów. Dorothea wręczyła jej bukiet świeżych kwiatów. Były to śliczne białe róże, przewiązane białą, jedwabną wstążeczką.

- Prezent od pana młodego - oznajmiła.

Gwendolyn się uśmiechnęła, przyciskając je do serca. Wuj Fletcher ujął ją pod ramię. Czekali na końcu nawy. Gwendolyn rozejrzała się za panem młodym i uśmiechnęła się, uszczęśliwiona, widząc go, stojącego obok brata.

Liczył się tylko on - niesamowicie przystojny, silny i wspinały w eleganckim ślubnym stroju.

Ich spojrzenia się spotkały i serce zabiło jej mocniej z radości. Powierzając wujowi Fletcherowi troskę o to, żeby szli w rytm muzyki, nie spuszczała wzroku z Jasona. Nie kryli się ze swoimi uczuciami. Promienny uśmiech Jasona, szczery i pełen miłości, przeznaczony był tylko dla niej.

Kiedy wreszcie stanęła obok niego, podniósł jej dłoń i przycisnął usta do delikatnego miejsca we wnętrzu jej nadgarstka. Ten romantyczny gest wywołał westchnienia wielu kobiet w kościele.

Uroczystość zaczęła się od modlitwy i Gwendolyn usiłowała się skupić na tym, co mówił duchowny. Chciała zapamiętać każdą chwilę tego dnia.

Recytując przysięgę, smakowała każde słowo z chęcią ofiarowując miłość, szacunek i, owszem, nawet posłuszeństwo.

- Możesz pocałować pannę młodą.

Jason się pochylił, ale czysty, krótki pocałunek, jakiego zwykle spodziewano się w tych okolicznościach przekształcił się szybko w namiętną deklarację miłości i oddania. Gwendolyn westchnęła, kiedy Jason objął ją w pasie, podniósł tak, że stanęła na palcach i pocałował ze zreżnością hulaki i namiętnością kochanka.

Świat gdzieś odpłynął. Gwendolyn miała wrażenie, że na tę chwilę czekała całe życie. Zachwycona, zatraciła się we wspólnym uniesieniu, wiedząc, że przez resztę życia będzie jedyną kobietą obdarzoną przywilejem całowania się z tym niezwykłym mężczyzną.

Duchowny zakasłał. Dwukrotnie.

W końcu nowożeńcy odsunęli się od siebie. Jason, promieniejąc radością, odwrócił Gwendolyn twarzą do tłumu. Kilku dżentelmenów podniosło się i zaczęło klaskać z entuzjazmem. Hałaśliwe, swobodne zachowanie było wysoce niestosowne w tak uroczystej chwili, ale rumieńce ślicznej panny młodej i zadowolony uśmiech triumfującego pana młodego złagodziły najsurowszą krytykę.

Mówiono później, że goście, którzy odbyli podróż do Londynu w tak nietypowej porze roku, nie spodziewali się niczego innego po czarnej owcy, synu hrabiego Stafford.

Obiad, jaki później nastąpił, był także miłym, radosnym wydarzeniem.

Jednak obecność ponad setki członków rodziny i bliskich przyjaciół nużyła Jasona. Patrzył na żonę, przechodzącą między gośćmi i przyjmującą życzenia oraz gratulacje, i marzył tylko o tym, żeby się stamtąd wyrwać.

Żonaty od trzech godzin i już rozpaczliwie tęskniący za tym, żeby znaleźć się sam na sam z Gwen. Był zadurzonym głupcem i z radością się do tego przyznawał! Jakby czując jego spojrzenie, Gwendolyn podniosła głowę i się uśmiechnęła. Serce skoczyło mu w piersi, kiedy odwzajemnił uśmiech.

Matka, również uszczęśliwiona, podeszła do niego.

- Jestem niezmiernie zadowolona z tego, jak sprawiła się dzisiaj służba.

Czy dobrze się bawisz, Jasonie?

- Wyśmienicie.

- Mam nadzieję, że jedzenie ci smakuje. Staralam się uwzględnić wiele z twoich ulubionych dań, ale, naturalnie, trzeba było wybrać także kilka bardziej eleganckich potraw.

- Wszystko jest pyszne - odparł, wiedząc, że mógłby jeść piasek i nie sprawiłoby mu to różnicy. Jedzenie było ostatnią rzeczą, jaką miał zapamiętać z tego dnia.

Któryś z gości odwołał matkę i Jason skorzystał z okazji, żeby podejść do panny młodej. Chwycił ją za rękę i pocałował w nadgarstek.

- Szczęśliwa, kochana?

- Och, tak. - Objęła go ramionami i mocno uścisnęła. - Czy to nie jest wymarzony ślub?

Odsunął jej kosmyk z czoła. Przechodzący lokaj podał im szampana i Jason wsunął kieliszek w dłoń Gwendolyn. Uśmiechnął się i napił.

- To wspaniały ślub i wesele. I doskonale schłodzony szampan. Kiedy będziemy mogli stąd wyjść?

- Jasonie! Nie było jeszcze toastów ani przemówień. Nie pokroiliśmy tortu ani nie zaczęliśmy tańców.

- Hm... wygląda na to, że to zajmie dużo czasu. - Przytulił ją do siebie. -

Przypuszczam, że uznałabyś za niegrzeczne, gdybyśmy się teraz wymknęli?

Jej oczy zabłyśły, kiedy przytuliła się do niego.

- Twoja matka poczułaby się urażona, gdybyśmy odeszli tak szybko.

- Poproszę ojca, żeby ją ułagodził szampanem. - Jason chwycił delikatnie ucho Gwen zębami, a potem musnął ustami jej szyję. - Po trzech kieliszkach mama nie zauważy, że nas nie ma.

- Jasonie! - Uderzyła go żartobliwie otwartą dłonią w pierś. - Jak możesz myśleć o czymś podobnym?

Wzruszył ramionami. Uśmiechnęła się, ale po wyrazie jej twarzy domyślał

się, że nie będzie łatwo ją przekonać.

- Obiecuję, że wszystko się skończy za parę godzin.

- Godzin! - Jęknął, ale zanim zdążył się poskarżyć, wspięła się na palce i go pocałowała. Był to długi, namiętny pocałunek, zapowiedź tego, co ich czekało później.

Odwzajemnił pocałunek z równym zapałem, a potem się odsunął. Jego oczy płonęły.

- Jesteś pewna, że nie możemy odejść natychmiast?

Pokręciła głową.

- Jeszcze nie. Musimy pokroić tort.

Przyciągnął ją do siebie.

- Ożeniłem się z kobietą swoich marzeń i wreszcie mogę ogłosić światu swoją miłość. Zapewniam cię, że ostatnią rzeczą, o której teraz myślę, jest tort weselny.

- Zjemy tort i będziemy się uśmiechać z uznaniem, słuchając przemówień oraz toastów za nasze zdrowie i szczęście. I będziemy dzielić radość z tymi wszystkimi dobrymi ludźmi, którzy są tu dzisiaj z nami - oświadczyła Gwendolyn niewzruszenie. - Potem uciekniemy do naszej chatki i zamkniemy się w sypialni. Co najmniej na tydzień!

- Będziemy przez cały czas w łóżku?

- Tak.

- Bez ubrania?

- Nadzy, jak w dniu narodzin.

Uścisnął ją silniej i szepnął we włosy:

- Jesteś czystą doskonałością, ukochana. Nie jestem pewien, czy na ciebie zasługuję.

- Naprawdę jesteś szczęściarzem. - Odsunęła się, patrząc na niego z uśmiechem. - Tak samo jak ja. Taka miłość jak nasza to coś rzadkiego i cennego, Jasonie. I zamierzam przypominać ci o tym nie tylko dzisiaj, ale codziennie przez wszystkie lata, które nastąpią.

Epilog

Trzy miesiące później

Podróż z Londynu trwała mniej niż godzinę. Gwendolyn siedziała obok męża, który powoził zgrabną dwukólką - z dużą zręcznością, ale nieco szybciej, niżby sobie życzyła. Cieszyła się świeżym jesiennym powietrzem i okazją, żeby pobyć tylko we dwoje. Chociaż podobało jej się życie w mieście, ucieczka od hałasu i brudu, ciągłych wizyt oraz nieustających towarzyskich i rodzinnych zobowiązań była prawdziwą przyjemnością.

Kołysanie pojazdu sprawiało, że kleiły jej się powieki, ale oprzytomniała w jednej chwili, kiedy Jason zatrzymał dwukólkę i wskazał widok, jaki się przed nimi rozpościerał.

Z prawej strony ciągnęła się szeroka łąka. Na wciąż zielonej trawie pasły się owce. Po lewej rósł las z dębami i wiązami o pomarańczowych i rudobrazowych pniach. Gwendolyn się uśmiechnęła, myśląc, z jaką przyjemnością Emma namalowałyby ten sielski widoczek.

Wśród pięknej przyrody, na niewielkim wzniesieniu, stał dom. Wysoki na cztery piętra, z szarego kamienia, nie sprawiał wrażenia szczególnie majestatycznego, ale wydawał się zarazem solidny i przytulny, co bardzo przypadło Gwendolyn do gustu.

Podobał jej się zwłaszcza ciągnący się przez całą szerokość budynku balkon z dużymi drzwiami balkonowymi. Dolną część domu porastało dzikie wino.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Jason.

- Jest bardzo ładny. Znasz właściciela?

- Tak. - Jason szarpnął lejce i poprowadził powóz pomiędzy dwoma kamiennymi słupkami bramy. Wkrótce stanęli przed drzwiami frontowymi.

- Mój Boże, Jasonie, mogłeś mnie uprzedzić, że jedziemy z wizytą -

zbeształa go Gwendolyn. Pośpiesznie poprawiła włosy, wsuwając parę zbląkanych kosmyków pod modny czepeczek. - Muszę wyglądać okropnie.

Nigdy nie pojechałabym otwartym powozem, gdybym wiedziała, że kogoś odwiedzimy.

Jason milczał. Przywiązał konia do żeliwnego słupka, a potem pomógł

wysiąść Gwendolyn, na koniec obejmując ją ramieniem w pasie i unosząc w powietrze. Lekko zadyszana, przyjęła wyciągniętą rękę i oboje podeszli do drzwi.

Na pukanie Jasona odpowiedział starszy człowiek w roboczym stroju, który wydawał się na nich czekać. Sądząc po ubraniu, Gwendolyn uznała, że to dozorca. Ukłonił się uprzejmie, a potem zostawił ich samych w holu.

Gwendolyn, zaskoczona, spojrzała na męża.

- Moi rodzice wielkodusznie nalegali, żebyśmy mieszkali z nimi w ich miejskim domu, w Londynie, oddali także do naszej dyspozycji rodzinny dom w Kent. Pomyślałem jednak, że byłoby cudownie, gdybym mógł zabierać cię z Londynu, kiedy mi się spodoba. - Jason zdjął kapelusz. - Zgłosiłem chęć kupna tej posiadłości, żeby nikt mnie nie uprzedził, ale nie sfinalizuję umowy bez twojej zgody.

Uśmiechnęła się, przechylając głowę na bok, dotykając policzkiem jego dłoni.

- Mieszkanie z twoimi rodzicami nie jest w żaden sposób uciążliwe.

Rezydencja jest tak duża, że zdarza mi się nie widzieć ich całymi dniami.

- Jednak byłoby miło mieć własny dom.

- Tak.

- Nie jest taki okazały jak Moorehead Manor ani tak elegancki jak inne rezydencje moich rodziców - powiedział Jason, kiedy zaczęli się leniwie przechadzać po pierwszym piętrze.

- Twój ojciec jest hrabią. Nie spodziewam się, żebyś dorównywał mu majątkiem.

- Moja pensja jest hojna, ale potrzebuję dodatkowych pieniędzy. Przyznaję, że nie mam takiego talentu do zbijania majątku jak mój brat czy moja siostra.

Dlatego prosiłem ich o radę w sprawie inwestycji i z zadowoleniem stwierdzam, że odniosłem już pewien sukces.

Obróciła powoli głowę, zwracając uwagę na elegancki, estetyczny wystrój domu.

- Musiał to być spory sukces, skoro stać nas na ten dom.

- Powiodło mi się. I spodziewam się osiągnąć jeszcze więcej. - Uśmiechnął

się, w kącikach oczu pojawiły mu się delikatne linie. - Sporo umeblowania także jest na sprzedaż. Sądzę, że będzie nam łatwiej, jeśli kupimy parę rzeczy, które już tu są, dokupując resztę w miarę potrzeb.

Gwendolyn przyznała mu rację. Jeśli zdecydują się kupić dom, będzie chciała zatrzymać duże lustra w pokojach, dające wrażenie większej przestrzeni i światła. W salonie na dole, urządzone w gustownej tonacji beżu i bladego złota, także stały meble, nad którymi można się było zastanowić.

Gwendolyn spojrzała na wzorzysty dywan Aubusson, pokrywający wypolerowaną dębową podłogę. Kolory przypominały jej dywany w pokojach, jakie zajmowała w miejskiej rezydencji. W gruncie rzeczy nie tylko kolor, ale nawet wzór był niemal identyczny.

Zaczęła oddychać szybciej na wspomnienie poprzedniej nocy, kiedy to jej małżonek z podniecenia

nie zdążył dotrzeć do łóżka. Skończyli, półnaczy, na podłodze.

- Chciałabym zatrzymać dywan - powiedziała.

- Dywan?

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko, czekając, aż zrozumie, co ma na myśli i dlaczego spośród wielu pięknych rzeczy wybrała akurat tę.

- Przypomina mi dywan w moim pokoju - dodała.

Zdziwiony zerknął w dół, po czym się uśmiechnął.

- Zapłacę za niego każdą cenę, jakiej zażądamy.

- Dziękuję.

- Wszystko, żeby sprawić przyjemność mojej ślicznej żonie.

Wspięli się po schodach na trzecie piętro i zaczęli oglądać sypialnie. Ich kroki rozlegały się głośno, gdy stąpali po drewnianej podłodze, jako że pokoje nie były umeblowane.

- Wszystko wydaje się w bardzo dobrym stanie. Ile tu jest pokoi? - zapytała Gwendolyn, kiedy weszli do narożnego pomieszczenia, które, jak uznała, w sam raz nadawałoby się na ich sypialnię.

- Nie pytałem. Około trzydziestu.

- Ile sypialni?

- Osiem? Nie, może dziesięć? Nie pamiętam. Możemy je policzyć, jeśli chcesz. - Wyszedł na korytarz, patrząc w prawo, potem w lewo. - Jedyne, co dokładnie pamiętam, to duży pokój dziecienny na górnym piętrze.

Gwendolyn schyliła głowę. Krwawienie miesięczne pojawiło się wcześniej w poprzednim tygodniu, co bardzo ją rozczarowało. Wobec tego, jak dużo czasu spędzali, kochając się, była pewna, że jest w ciąży. Nade wszystko chciała mieć dziecko Jasona.

- Niestety, pokój dziecienny nie jest nam jeszcze potrzebny.

- Mój Boże, co ze mnie za pozbawiony wrażliwości osioł. - Jason podszedł

pośpiesznie, żeby wziąć ją w ramiona. - Nic nie sprawiłoby mi większej radości niż widzieć cię z moim dzieckiem pod sercem. Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby trochę poczekać. Wciąż uczę się, jak być mężem.

- Będziesz wspomniał ojcem.

- Najpierw jednak muszę uczynić cię matką. A to zadanie sprawia mi ogromną przyjemność.

Odpnęła się w jego ciepło, wdychając znajomy zapach jego skóry i ciesząc się bliskością ukochanego mężczyzny.

- Naprawdę chcę twojego dziecka. Naszego dziecka.

Westchnęła, całując go. Potem podeszła do okna i wyjrzała na ogrody.

Z pewnym wysiłkiem wyrzuciła precz z głowy wszelkie obawy i pozwoliła sobie marzyć. Mając miłość Jasona, mogła zdobyć wszystko.

- Czym zajmiemy się tym teraz? Uczynieniem cię matką?

Gwendolyn odwróciła głowę, a mąż posłał jej zmysłowy uśmiech, od którego dreszcz przeszedł po jej plecach. Ten wyraz jego twarzy znała bardzo dobrze.

- Nie ma łóżka - szepnęła, odsuwając się nieco.

- Nie ma łóżka - powtórzył, idąc za nią.

- Podłoga nie wydaje się zbyt czysta - powiedziała, oblizując suche wargi. –

I jest raczej twarda.

- Bardzo twarda - zgodził się. Jego głos brzmiał chrapliwie.

- Okna - dodała. - Nie ma zasłon.

- Podoba mi się światło słońca, które wpada do pokoju. Tym lepiej będę widział twoje cudne ciało.

- Jest służba. Każdy mógłby nas zobaczyć!

- Tylko dozorca i jego żona. To dość odludne miejsce, ale szczerze mówiąc, Gwendolyn, nie dbam o to. Jesteś moją żoną. Kocham cię. Uwielbiam. Pożądam cię. - Jego oczy zaśniły.

- Jasonie, proszę.

Zrzucił płaszcz i kubrak, rozluźnił halsztuk.

- Wiedziałaś, że jestem hulaką, kiedy za mnie wychodziłaś. Pamiętasz, że cię ostrzegałem?

- Tak, wszyscy mnie ostrzegali, że wychodzę za mąż za wielkiego grzesznika.

Znieruchomiał nagle.

- Wszyscy?

- Nawet twoja matka.

- Mądra kobieta.

- W istocie. - Z gardła Gwendolyn wyrwał się chichot, ale zamarł, gdy pochwyciła spojrzenie Jasona pełne nieukrywanej żądz. Miała wrażenie, że mógłby ją zjeść. Zbliżał się, a ona się cofała, zatrzymując się dopiero, gdy plecami oparła się o ścianę. - Naprawdę, Jason...

- Kupimy ten dom?

Zmieszana, pokręciła głową, niezdolna skupić się na niczym innym poza pożądaniem.

- Słucham?

- Dom, kochanie. Czy mam go dla ciebie kupić? - Jego mroczne spojrzenie zapowiadało zmysłową przyjemność.

- Tak, proszę.

- Wspaniale. Zatem musimy uczynić go naszym. Teraz.

Jason w jednej chwili przebył dzielącą ich odległość, gorącym pocałunkiem tłumiąc wszelkie protesty. Jej ciało zamieniło się w lawę, gorącą, potem zimną, kiedy czekała na jego dotyk.

Chwyciła go za ramię i przysunęła się, żeby położyć mu dłoń na karku i dać do zrozumienia, że pragnie tego samego, co on. Przerwał pocałunek, co pozwoliło jej na drżący oddech. Zaczęła całować jego ramię i pierś przez cienki materiał

koszuli.

- Spokojnie - powiedział cicho. - Zaraz wybuchnę.

- Jason. - Gwendolyn zwilżyła wargi, chwytając gorączkowo powietrze.

Przycisnęła wargi do jego szyi, do pasma nagiej skóry nad rozluźnionym krawatem.

Wsunął dłoń pod spódnicę, rysując delikatne kręgi na jej brzuchu, potem sięgając niżej, pod reformy.

- Jesteś gotowa - szepnął głosem pełnym pożądania.

- Byłam już w chwili, gdy uśmiechnąłeś się do mnie - odparła, poruszając biodrami w rytm jego pieszczoty.

Upadł na kolana i podniósł jej suknię, pieszcząc nogi i uda.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

Gwendolyn ścisnęło się gardło. Uniosła wyżej suknię, trzymając ją wilgotnymi dłońmi powyżej pasa.

Jason nie potrzebował dalszej zachęty. Czują, jak jedwab trzaska, kiedy rozrywał jej bieliznę. Chłodny powiew na obnażonych nogach sprawił, że zadrżała z podniecenia.

Krzyknęła, kolana ugięły się pod nią, ale trzymał ją mocno, nie przerywając pieszczoty.

- Przewrotny z ciebie człowiek, Jasonie Barrington - wysapała.

Krzyknęła, przejęta rozkoszą. Jason wstał, rozpinając pośpiesznie spodnie, nie odrywając od niej oczu. Przyciągnął ją mocno do siebie, wygięła się w odpowiedzi, a on przycisnął ją do ściany, unosząc w powietrze. Gwendolyn objęła go nogami, przyciągając bliżej.

- Jesteś moja - szepnął jej do ucha.

- Na zawsze - odparła.

Nie istniało nic poza Jasonem, jego zapachem, siłą, miłością i pożądaniem.

Drżąc i tuląc się do siebie, pozostali tak przez długą chwilę, oboje zbyt wyczerpani, żeby się poruszyć. Jason oparł się łokciami o drzwi, przysuwając głowę do policzka Gwendolyn. Jego chrapliwy oddech brzmiał jej w uszach, bicie jego serca czuła pod palcami.

Powoli opuściła nogi, próbując stanąć. Kolana ugięły się pod nią i przewróciłyby się, gdyby Jason jej nie złapał, śmiejąc się cicho.

- Czy to nie wspaniały dom? - zapytał. - Myślę, że w tym pokoju powinniśmy urządzić naszą sypialnię. Przyniesie nam szczęście. I mnóstwo dzieci.

Opadł na podłogę, sadzając sobie Gwendolyn na kolanach. Poprawił jej spódnicę, bezwstydnie nie zapinając spodni.

- Dobry Boże - pisnęła Gwendolyn. - Zachowujemy się skandalicznie. Nie tylko straciliśmy panowanie nad sobą w środku dnia, kochając się przy ścianie, w obcym domu, ale do tego ty byłeś w butach, a ja w czepku!

- To było cudowne. - Przycisnął usta do jej wilgotnego czoła. - Następnym razem będziemy się kochać, gdy ja będę miał buty na nogach, a ty tylko czepek na głowie.

Roześmiała się, ponownie zgorszona. Życie z Jasonem będzie pewnie jednym wielkim szaleństwem, ale gdyby miała wybierać, nie zamieniłaby się na nic innego.

Jej serce wypełniło się radością, zadowoleniem i miłością. Wtuliła się ponownie w jego ciepłe ramiona.